

Delinsky Barbara
TRZY ŻYCZENIA

przełożyła Danuta Błaszak

Warszawa 1998 .

Tytuł oryginału Three Wishes

Projekt okładki Maciej Sadowski Redakcja Elżbieta Desperak Redakcja techniczna Marzena Pitko Korekta Alicja Chylińska

Copyright 1997 by Barbara Delinsky Copyright for the Polish translation 1998

Wydawnictwo "bis"

ISBN

Wydawnictwo "bis" ul.

Lędzka 44 A 01-421 Warszawa skr.

poczt.

36 tel./fax (0-22) 37 10 84

Druk

Zakłady Graficzne ATEXT SA 80-164 Gdańsk, ul.

Trzy Lipy 3 lei.

(0-58) 302-57-69, (0-58) 302-64-41

ROZDZIAŁ PIERWSZY

To nie był pierwszy śnieg tej jesieni.

Niewielkie mia steczko Panama w stanie Yermont leży na tyle daleko na północ, by już kilka razy świt zastał je oproszone śniegiem, chociaż dopiero zaczął się październik.

Tym razem jednak śnieg zaczął sypać po południu i nie stopniał od razu.

Ciężkie, mokre płatki padały co raz gęściej i wkrótce pokryły miasteczko białym, puchatym szalem.

Kierowcy ciężarówek, którzy zatrzymywali się w za jeździe na obiad, narzekali na mokre i śliskie drogi.

Jednak mieszkańcy Panamy niewiele przejęli się tym ostrzeżeniem.

Wiedzieli, że słońce powróci, że śnieg stopnieje i że jeszcze zanim zima zapanuje na dobre, będą cieszyć się babim latem.

Chłodne, grube płatki śniegu wyciszyły orgię koloro wych liści, kładły się na zielonej trawie, na ławkach i na nagietkach, które posadzono rzędem wzdłuż ścieżek.

Nawet rower, który ktoś oparł o otwarte drzwi zajazdu, był cały biały.

Ten widok napawał spokojem.

Nikt nie spodziewał się, że właśnie tego dnia zdarzy się wypadek.

Ani tym bardziej, że dotknie Bree Miller, która najbardziej ze wszystkich pór roku lubiła właśnie zimę.

Kochała śnieg.

Wierzyła, że świat pokryty białym puchem staje się lep szy i łagodniejszy.

Bree była kobietą twardo stąpającą .

po ziemi i rzadko traciła czas na fantazjowanie.

Gdyby ktoś nazwał ją marzycielką, zaprzeczyłaby od razu.

Zda rzały się jednak takie chwile, że ulegała pięknu natury.

W zajeździe panował duży ruch.

Miejscowi chcieli zjeść, zanim pogorszy się pogoda.

Kierowcy ciężarów wek wstępowali, marząc nie tylko o obiedzie, ale tak że o odpoczynku.

Bree nie zwracała sobie głowy czymś takim jak kurtka.

Jeszcze zbyt dobrze pamiętała lato.

W kuchni w za jeździe było naprawdę ciepło i nie myślała o mrozie.

Wyśliznęła się za drzwi, pozostawiając za sobą gwar rozmów, syk i skwierczenie grilla, i nosowy głos Shani Twain.

W nagłym pośpiechu zbiegła po schodkach w dół, minęła parking, przeszła przez ulicę.

Tam po drugiej stronie zaczynał się już las.

Oparła plecy o pień dużego klonu, którego gałęzie, ozdobione miodowymi liśćmi, ugięły się pod ciężarem śniegu.

Obejrzała się za siebie.

Zajazd, otulony śniegiem, wyglądał jak pałac z bajki.

Fioletowe i zielone neony odbijały się w lśniącej nierdzewnej stali.

Wabiły kolorowe reklamy.

Bree niewiele zmieniłaby w tej scenarii.

Raził ją wygięty narożnik parkanu, w który uderzyła parę miesięcy temu ciężarówka

Morgana Willisa, i ptasie kupy na dachu na balustradzie.

Poza tym wszystko było wy czyszczone do połysku, a przy tym miłe dla oka.

Stojąca tuż przy drodze reklama zajazdu zachęca ła, by zatrzymać się właśnie tutaj.

Współśrodkowe pierścienie neonów układały się w kształt patelni.

Nad nią unosił się dymek, zbudowany z fioletowych świateł, z dobrze wkomponowanym napisem "Flash an the Pan".

Złote lampy błyszcząły we wszystkich dziesięciu oknach.

W środku przy stolikach siedzieli goście.

Bree nie była właścicielką zajazdu.

Po prostu pracowała tutaj.

Lubiła to miejsce.

Czuła się tu jak u siebie w domu, a może nawet lepiej.

Tak samo kochała Panamę.

Patrzyła teraz na ulicę East Main.

Droga okrążała park i prowadziła na wzgórze.

W wysokich domach mie ściły się urzędy miejskie, bank i poczta.

Na dachach le żały czapy śniegu.

Majaczyła na jasnym tle biała wieża kościoła.

Niżej, tam gdzie droga dochodziła do starego dworca kolejowego, śnieg zakrył plamy po oleju samochodowym.

Śnieżna kopuła zdobiła dach browaru Sleepy Creek...

Panama leżała przy autostradzie do Montrealu, dziesięć minut drogi od Concord.

Małe miasteczko, które nie wyróżniało się niczym szczególnym.

Archi tekci nie uwzględniali tego miejsca w swoich projek tach.

Nikt nie robił żadnych ambitnych planów rozbu dowy.

I może właśnie to stało się największą siłą Panamy.

Wiele decyzji podejmowano spontanicznie.

Ludzie byli otwarci i szczerzy.

Przy domach budowano szerokie werandy, na których kwitło życie towarzyskie.
Można jeszcze wspomnieć o zerowej niemal przestępczości i niskim koszcie ziemi.

Jasne umysły znajdowały tu raj i inspirację.

Przykłady działalności było wiele - browar produkujący doskonałe piwo, spółka piekarska, wytwórnia pysznych lodów oraz sklepy artystyczne, sprzedające meble i zabawki ręcznej roboty.

Rodowici mieszkańcy Panamy dawali stabilizację.

Nowo przybyli wnosili wkład finansowy.

Bree wciągnęła do płuc mroźne, ostre powietrze.

Po jedynym płatku śniegu, które przedostały się przez gęstą koronę klonu, spadały jej na głowę i ramiona.

Koły sały kolorowymi liśćmi.

Były miękkie i delikatne w dotyku.

Topniały po paru sekundach.

Bree przywarła do pnia klonu.
Potem okręciła się, by spojrzeć na las.
Światła zajazdu jak zaczarowane odbijały się w ośnieżonych drzewach.
Liście zwijały się od zimna, a wewnątrz jak perły świeciły kryształki śniegu.
Bree dała się ponieść wyobraźni.
Ujrzała nagle obrazy z dzieciństwa, karuzele, klaunów, choinkę z gwiazdą.
To pochodziło bardziej ze świata fantazji niż z pamięci.
Wyteżyła słuch, jakby spodziewała się usłyszeć głosy elfów.
Co tak stoisz jak głupia, skarciła się w myśli.
Nadal jednak stała nieruchomo, pogrążona w marzeniach.
Coś przykuło ją do tego miejsca.
Oczy zaszyły jej mgłą, drapało ją w gardło.
Jeżeli to była tęsknota, to nie wiedziała za czym.
Miała dobre życie.
Nigdy w to nie wątpiła.
Nadal stała nieruchomo pod starym klonem.
Dobiegły ją strzępy rozmów.
Ktoś w zajeździe otworzył drzwi.
Później dotarły do niej inne odgłosy cywili z zaci, wyciszone przez falujące płatki śniegu.
Warkot silnika.
Auto odjechało z parkingu, skręciło na autostradę i znowu jedynym dającym się słyszeć dźwiękiem był szelest śniegu padającego na liście.
Nagle drzwi zajazdu znowu się otworzyły.
Ktoś za wołał: - Bree!
Wracaj do kuchni!
Otarła łzy.
Z trudem powstrzymała się, by nie odpocząć od wiedzy czegoś nieprzyjemnego.
Parę sekund później biegła z powrotem przez ulicę.
Już nie patrzyła na śnieg.
Pragnęła znowu znaleźć się w zajeździe, wrócić do dobrze znanej rzeczywistości.
Praca dawała jej poczucie bezpieczeństwa.
Tam wszystko miało sens...
Pośliznęła się.
Walczyła, by zachować równowagę.
Rozpaczliwie machała rękami, ale i tak wylądowała w śniegu.
Gramoląc się na czworakach, próbowała
otrząść czarne dzinsy.
Zatrzymała się.
Otrzeпаła ręce.
Potem już szybko pobiegła do środka.
Towarzyszyły jej oklaski, gwizdy, pokrzykiwania rozbawionych gości.
- Hej!
Bree!
Wstawaj!
Złapałaś zajacę?
Gdzie go masz?
Bree, przechodząc koło jednego ze stałych klientów, który nie ustawał w pokrzykiwaniach, zalotnie cmoknęła go w dawno nie golony policzek.
Towarzyszyły temu jeszcze głośniejsze owacje.

W drzwiach spotkała Flasha, właściciela zajazdu.

Niósł bańkę mleka.

- Niedobrze - mruknął.

- Kończą nam się zapasy.

Żaden wóz dostawczy nie dotrze tu w taką pogodę.

- Weszli razem do kuchni.

- Poradzimy sobie - zapewniła go Bree.

Otworzyła lodówkę.

- To powinno wystarczyć.

Nie ma powodu do zmartwień.

- Siedemnastka do obsłużenia, Bree!

- zawołał człowiek przy grillu.

W zajeździe było miejsca na pięćdziesiąt dwie osoby.

Dziesięć boksów i dwanaście stolików przy ścianie.

W godzinach szczytu, szczególnie w porze lunchu, kołki sięgały aż do drzwi.

Teraz jednak, pod koniec dnia, znacznie się rozluźniło.

Pogoda robiła swoje.

Za jętych było zaledwie trzydzieści pięć miejsc.

Do Bree należała obsługa połowy stolików.

Resztą zajmowała się LeeAnn Conti.

Bree, balansując czterema talerzami, na których było razem dwanaście jaj, dwanaście plasterków bekonu, sześć kiełbasek, sześć tostów z klonowym syropem i rodzynkami, podeszła do siedemnastki.

To był boks na prawo od drzwi.

Podawała mężczyznom kolację.

Znała ich wszystkich od dziecka.

Chodzili razem do szkoły.

Sam i Dave pracowali teraz w tartaku pod miastem, Andy w swoim rodzinnym sklepie z narzędziami.

Jack .

został na farmie, którą ojciec zapisał jemu i jego bratu.
Byli to rośli mężczyźni, lubiący dobrze zjeść.

Dwa stoliki dalej siedziała rodzina Littleów.

Liz i Ben pracowali dawniej w nowojorskiej firmie reklamowej.

Przyjechali tutaj, by zająć się własnym biznesem.

Wykorzystując fax i połączenia internetowe, trudnili się doradztwem handlowym.

Często przychodzili do zajazdu na obiady, przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Mieli troje dzieci - siedmioletnią Benji, pięcioletnią Samanthę i dwuletniego Joeya.

Zamawiali zwykle dania firmowe Flasha.

Brali dużej porcję, a potem dzielili się tym z dziećmi.

Indyk z tłuczonymi ziemniakami i fasolką, zapiekanek z mięsa polaną ciastem albo befsztyki.

Teraz właśnie kończyli późny obiad szarlotką i ciasteczkami czekoladowymi.

Gdy pojawiła się Bree, dwulatek odłożył swoje ciastko, zeskoczył na podłogę i szybko podbiegł do niej.

Wzięła go na ręce.

- Czy wszystko smakowało?

Mały, umorusany czekoladą, uśmiechnął się do niej tak ciepło, że czuła, jak topnieje jej serce.

- Podać coś jeszcze?

- zwróciła się do jego rodziców.

-Tylko rachunek - powiedział Ben.

- Śnieg ciągle pada.

Boję się drogi powrotnej.

Joey coś krzyknął do Bree.

Ucałowała go w czoło i zostawiła rodzicom.

Podeszła do kasy, przygotowała rachunek.

Potem szybko sprzątnęła stolik Littleów.

Zaraz mogli się pojawić następni klienci.

Zebrała brudne naczynia, schowała do kieszeni napiwek i wytarła czarny plastikowy obrus.

Ustawiła starannie bułeczki z przyprawami, serwetki i mały czarny wazonik, w którym stały złożone gałeczki.

Przygotowała nowe podstawki pod talerze z wydrukowanym na środku standardowym menu.

Dania firmowe były wyłożone

pisane ręcznie na dwóch tabliczkach, wiszących wysoko przy bufecie.

Następnie Bree podeszła do stolika, przy którym zgromadziła się "elita Panamy".

Naczelnik poczty Earl Yarum, szef policji Eliot Bonner i przewodnicząca rady miejskiej Emma McGreevy.

Przed nimi stały brudne naczynia po gulaszu wołowym, siekanej wieprzowinie i sałatce z pieczonego na grillu kurczaka.

Wszystkie trzy talerze, a także koszyk po kwaśnych rożkach, były opróżnione prawie do końca.

Bree ucieszyła się, że wszystkim smakowało.

Siedzący przy stoliku goście wyglądali na zadowolonych.

- Czy podawać już deser?

- zapytała.

- Co macie?

- zapytał Earl.

- A co chcecie?

- A co pan sobie życzy?

- przekomarzała się.
 - Jakieś smaczne ciasto.
 - Dobrze.

Mamy szarlotkę, ciasto brzoskwiniowe i jagodowe.

Jest też z dynią.

Truskawkowe, rabarbarowe, z kremem bananowym, z syropem klonowym z orzechami, dyniowe też z orzechami, beza cytrynowa...

- wyrecytowała jednym tchem.
 - Coś czekoladowego?
- podsunął Earl.
 - Ciasto czekoladowo-orzechowe, mus czekoladowy, krem czekoladowy z rumem...
 - Może murzynek?

Domyślała się, że spotkali się tu na naradę.

- Jeden murzynek - potwierdziła przyjęcie zamówienia.

Spojrzała pytająco na Emmę.

- Herbaty?
 - Tak, proszę.

- Emma nigdy nic innego nie zama wiała.

Eliot jak zwykle droczył się, każąc jej wymienić wszystkie smaki lodów.

Wymieniła dwadzieścia trzy nazwy.

W końcu, jak zawsze, zamówił truskawkowe bez żadnych dodatków.

Bree poszła do kuchni zrealizować zamówienie.

Wraz z nią pracował człowiek obsługujący grilla, kelnerka LeeAnn, kucharz, pomywacz i właściciel zajazdu -

Flash.

Bree podgrzała w mikrofalówce murzynka i dodała kremu.

Posypała orzeszkami i gorącymi karmelkami, tak jak lubił Eari.

Nabrała lodów dla Eliota.

Podawała kawałki smażonego kurczaka jednemu prawnikowi Panamy - Martinowi Sprague, który siedział przy szóstce.

Zaniosła siekaną wieprzowinę z ziemniakami Nedowi i Frankowi Wrightom, miejscowym hydraulikom, dwa stoliki dalej.

Przeszła z dzbankiem wzdłuż rzędu boksów.

Na końcu sali siedziała Dotty Hale ze swoją córką Jane.

Obie były wysokie i szczupłe, lecz o ile ściągnięta twarz Dotty budziła niechęć, miękka, delikatna buzia Jane bez trudu zjednywała sobie sympatię otoczenia.

To nie miało nic wspólnego z wiekiem, wynikało raczej z różnicy charakterów.

Zresztą trudno tu posądzać Bree o bezstronność.

Jane była jedną z jej najbliższych przyjaciółek.

Do tego stolika przysiadła się LeeAnn z łokciami opartymi o blat.

W przeciwieństwie do pań Hale, była drobna i ożywiona.

Miała jasne, krótko obcięte włosy i tęcza jak pogodne niebo.

Teraz otworzyła oczy szerzej niż zwykle i dopytywała z zaciekawieniem: - Gdzie Abby Nolan spędziła noc?

Naprawdę rozwiodła się z Johnem?

- W zeszłym tygodniu przyszły pocztą papiery z sądu - potwierdziła Dotty, kiwając kościstym podbródkiem.

- Earl je widział.

- To dlaczego nadal z nim chodzi do łóżka?

- Ona z nim nie sypia - zaprotestowała Jane.

Dotty spojrzała na nią.

- A ty skąd możesz wiezieć?

- Potem dodała: - To nie wyszło ode mnie.

Eliot widział jej samochód na podjeździe przed garażem Johna.

- Odwróciła się znowu do LeeAnn.

- Dla czego?

Dlatego, że jest w ciąży.

LeeAnn spojrzała za siebie z ciekawością.

- I ma dziecko Johna?

Ale jakim cudem, jeżeli, jak mówi ci, nie sypia z nim?

Bree uśmiechnęła się krzywo, włączając się do rozmowy.

- To nie jest dziecko Johna, tylko Daveya Hillardsa - wyjaśniła.

Dotty poczuła się dotknięta.

- Kto ci to powiedział?

- Abby - odparła Bree.

Ona, Abby i Jane przyjaźniły się już w podstawówce.

- Więc dlaczego spędziła noc z Johnem?

- dopytywała LeeAnn.

- Nie spędziła - protestowała Jane.

- Byłaś tam?
- zapytała Dotty.
- Abby po prostu pojechała porozmawiać - powie dzieła Bree, żeby odwrócić uwagę Dotty od Jane.
- Nadal są z Johnem przyjaciółmi.
Chciała mu przekać wiadomość.
- Emma mówi co innego - zaprotestowała Dotty.
Emma była jej siostrą i głównym źródłem plotek.
- I wiecie, co jeszcze mówiła?
Julia Dean dostała pocztówkę.
- Rany boskie!
- jęknęła Jane.
- No cóż, fakt pozostaje faktem - odparła Dotty.
- Earl widział pocztówkę i powiedział Eliotowi.
Jest tu po to, żeby utrzymać spokój, a niezadowolenie w ro dzinie różnie może się skończyć.
Rodzina Julii nie jest uszczęśliwiona z tego powodu, że ona tu mieszka.
Pocztówkę dostała od córki z Des Moines, która pisze, że to wstyd tak się izolować, że trzy lata żałoby po śmierci tatusia powinno jej wystarczyć i pyta, kiedy Ju lia zamierza wrócić do domu.
- Wszystko to było na pocztówce?
- spytała Bree.
Wiedziała o Julii tylko tyle, że trzy lata temu otworzy ła małą kwiaciarnię i dwa razy w tygodniu przychodzi 13 .

la do zajazdu, żeby ułożyć w wazonikach kwiaty.
Cza sami zamawiała coś do jedzenia, ale zdarzało się to stosunkowo rzadko.
Niewiele mówiła.
Sprawiała wrażeń nieśmiałej i zamkniętej w sobie.
Z pewnością nie zasługiwała na to, żeby być tematem plotek.
- Rodzina Julii nie zna Earla - mruknęła Jane.
- Naprawdę?
- Bree spojrzała przez okno.
Kolej na wielką ciężarówkę wjechała na parking.
Tańczące płatki śniegu lśniły w świetle reflektorów.
Dotty też patrzyła w tamtą stronę.
- Jak wtedy - powiedziała.
- Verity przysięga, że widziała następne UFO.
Eliot mówi, że światła były z ciężarówki, ale ona upiera się, że statek-matka, który ją ścigał, zostawił ślad na jej samochodzie.
LeeAnn przysunęła się bliżej.
- Czy widziała też statki-dzieci?
Takie małe skażące światełka?
- Nie pytałam - wyszeptała Dotty.
- Ta kobieta jest dziwna.
Bree zawsze uważała Verity bardziej za zdumiewającą niż dziwną.
Nie chciała mówić o niej jak o dziwadce i już zamierzała wyrazić swoją opinię, gdy usłyszała wołającego Flasha.
- LeeAnn, dwadzieścia dwa do obsłużenia!
Bree lekko dotknęła ramienia koleżanki.
- Zajmę się tym - powiedziała.
Odniosła do kuchni dzbanek z kawą.
Nałożyła na talerz sałatkę z kurczaka z czerwoną papryką i brokułami i znów przeszła między boksami.
Dwudziesty drugi to był ostatni stolik w rzędzie.
Schowany w kącie za szafą grającą.
Zastała tam samotnego mężczyznę.
Od siedmiu miesięcy przychodził na obiady i zwykle siadał przy tym właśnie stole.
Nigdy nie mówił za dużo i nie zachęcał do rozmowy.
Zazwyczaj, tak jak i teraz, czytał książkę.

14

Nazywał się Tom Gates.
Kupił w West Elm posiadłość Hubbardów, nieduży domek z kamienną podmurówką.
Ostatni właściciel nie domagał się przez kilkanaście lat.
Nikt w tym czasie nie myślał o remoncie.
Odpadał tynk, powyginały się żaluzje.
Kiedy Tom Gates przejął posesję, szybko załatał dziury i naprawił wszystko, co należało.
Teraz ganek był pomalowany, a trawa w ogródku starannie przystrzyżona.
To, czy coś się zmieniło w środku, okrywał mrok tajemnicy.
Skipper Bone poprawiał w domku instalację elektryczną, a bracia Wright zainstalowali nowy piecyk, ale poza tym nikt nic nie wiedział.
Bree zawsze uważała ten domek.
Chociaż mniejszy od jej własnego, od dawna był przedmiotem jej marzeń.
Kupiłaby go sobie.

Miała na to pieniądze.

Ale tak się złożyło, że odziedziczyła dom po ojcu, który odziedziczył po dziadku...

Millerowie mieszkali w South Forest od wielu pokoleń.

Zbyt długo, by policzyć dokładnie, ile lat, i zbyt długo, żeby się wyprowadzić.

Tak więc Bree nie zdobyła się na trudną decyzję za miany domu.

Skwapliwie jednak nasłuchiwała wszystkiego, co dotyczyło tego uroczego miejsca.

Remont domku na West Elm niezmiernie ją interesował.

Żadna z tych informacji nie pochodziła jednak od Tama Gatesa.

Nie był człowiekiem towarzyskim.

Był przystojny.

Bardzo przystojny.

Zbyt przystojny, żeby być samotnym.

Ale nie szukał towarzystwa.

- Proszę - powiedziała Bree.

Poczekala, aż odsunie książkę.

Postawiła przed nim talerz.

Wytrzeła dłonie o dzinsy i wsunęła ręce do kieszeni.

- Czytasz coś ciekawego?

- zapytała.

Znowu skierował wzrok na książkę.

- Ujdzie w tło ku - mruknął.

Pochyliła głowę, żeby zobaczyć tytuł, ale okładka była gęsto zadrukowana jakimś tekstem.

15 .

- Dziwna okładka.

- Tego jeszcze nie ma w księgarniach.

- Naprawdę?

A skąd to masz?

Jak to dostałeś?

- Znam kogoś.

- Autora?

Kiedy pokręcił głową, światła zajazdu zamigotały mu we włosach jak gwiazdy.

Miał długie jasnobrązowe włosy.

- Jesteś recenzentem?

- zapytała.

- Niezupełnie.

- Zachłannym czytelnikiem - zdecydowała.

Nie że by wyglądał na mola książkowego.

Był na to zbyt opalony, zbyt wysoki, zbyt szeroki w ramionach.

Miała wrażenie, że nie chodzi, tylko kroczy.

Flash zgadywał, że to polityk, który przegrał wybory i uciekł.

Dotty podejrzewała, że biznesmen.

To do niego pasowało, szczególnie po tym, jak Earl powiedział o korespondencji z Nowego Jorku.

LeeAnn sądziła, że to poszukiwacz przygód, odpoczywający po męczącej podróży.

Bree potrafiła wyobrazić go sobie jako poszu kiwacza przygód.

To do niego pasowało.

W takim razie kupno domu nie znaczyło dla niego zbyt wiele.

Nawet poszukiwacze przygód muszą czasem odpocząć, ale nigdy nie zostają zbyt długo w jednym miejscu.

Panama nudzi ludzi kochających ryzyko.

Żałowała tego.

Podobał jej się ten człowiek.

Miał ładne dłonie.

Bree lubiła patrzeć na ręce.

Długie, szczupłe palce.

Podziwiała zręczność, z jaką posługiwał się dłońmi, choćby nawet sposób, w jaki brał do ręki widelec.

To sugerowało, że jest w stanie zrobić wszystko, za co się weźmie.

Bree nigdy nie widziała u niego brudu za paznokciami ani odcisków, co od różniało go od większości mężczyzn, którzy tutaj się stołowali.

Chociaż przed kilkoma miesiącami rozciął sobie rękę tak, że trzeba było założyć kilka szwów.

16

Dziś miał kilkucentymetrową bliznę, która zaczynała już blednąć.

- Właśnie skończyłam nowego Deana Koontza - powiedziała.

- Czytałeś już to?

Wpatrywał się w widelec.

- Nie.

- Niezłe.

Warto przeczytać.

Chcesz coś jeszcze?

Może jeszcze jedno piwo?

Pochyliła się nad stołem.

- Wiesz, że to miejscowy wyrób, prawda?

Jasne Sleepy Creek.

Mamy swój bro war- pochwaliła się.

Czuła się związana z tym miastem.

Jego oczy miały cudownie szary kolor.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Wiem-odparł.

To zachęciło ją, by powiedzieć coś jeszcze.

Ale właśnie drzwi zajazdu gwałtownie się otworzyły.

Sypnęło śniegiem.

Załapały wysokie buty.

Do środka weszło czterech kierowców.

Strząsali śnieg z czapek i kurtek.

Pokleпали poufale po ramieniu mężczyznę przy siedemnastce - najwidoczniej był to ich znajomy kierowca.

Usiedli przy szesnastce, a to znaczyło, że Bree ma ich obsłużyć.

- Nic więcej?

- zapytała znów Toma Gatesa.

Kiedy pokręcił głową, uśmiechnęła się.

- Smacznego.

Roześmiana podeszła do szesnastki.

- Cześć chłó paki, jak się macie?

- Zmarznięci.

- Zmęczeni.

- Głodni.

- To może piwko na rozgrzewkę?

Kiwnęli głową, a ona pobiegła do lodówki za kasą.

Pchnęła błyszczące stalowe drzwi.

Nalała dwa piwa.

- Ach...

- John Hogan pociągnął potężny łyk piwa.

- Dobra rzecz w taki wieczór jak ten.

Bree spojrzała za okno.

- Jak myślisz, ile spadło śniegu?

- Z dziesięć centymetrów - powiedział John.

17 .

- Nie gadaj.

Przynajmniej dwadzieścia - sprzeciwił się Kip Tucker.

- Jest już ponad pół metra - orzekł Gen Mackey, który właśnie próbował wróżyć z ręki łatwowernej LeeAnn.

- Pół metra?

Bree trąciła koleżankę w ramię.

- Nabiera cię, Lee Ann.

Nie wierz mu.

- Nie psuj zabawy - zachichotał Gen.

Teraz przysu nął się do Bree.

Objął ją wpół.

Odsunęła go delikatnie.

- Wszystko, co możesz tutaj dostać, to dobry obiad - obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

- Zaraz przyjdę przyjąć zamówienie, ale muszę przedtem sprząć naczynie.

- Zamawiam to, co zwykle - zdążył powiedzieć T.J.

Kearns, zanim odeszła.

- Ja też!

- zawołał za nią Gen.

Bree zawróciła.

- A co dla was?

- spojrzęła pytająco na Johna i Kipa.

John skinął głową i uśmiechnął się do Bree.

Zamówił zapiekankę w cieście wołową, polaną sosem, ziemniaki, pieczywo i wszystkie warzywa, jakie miał Flash tego dnia.

Kip patrzył na kartę dań specjalnych.

- Co z tego możesz mi polecić?

Bree znała Kipa.

- Pstrągi smażone na maśle, pieczarki z brokułami i frytki - doradziła bez wahania.

Kip aż westchnął z zachwytem.

- Dzięki, lalczko.

Panama leży na górzystym terenie, dość daleko na północ.

Zimy bywają tu ostre i mieszkańcy nigdy tego nie bagatelizowali.

Już od początku listopada na ulicach

stoją pojemniki z piaskiem, kierowcy zakładają łańcuchy na koła, a wszyscy wyciągają zimowe ubrania.

Jednak do listopada jeszcze ponad dwa tygodnie.

Był dopiero dziesiąty października, a śnieg padał bez końca.

O ósmej została w zajeździe tylko garstka maruderów.

Bree, uzbrojona w przenośny mały komputer i porcję pstrąga, weszła do pokoiku, w którym urzędował Flash.

Sączył kolejną kawę, pochylony nad gazetą, i za gryzał bułką z rodzynkami - bez wątpliwości była to jego kolacja.

Bree dobrze znała zwyczaje Flasha, a jednak nie umiała opanować zdziwienia, ilekroć widziała go przy posiłku.

Ten mężczyzna, który miał tak wiele oryginalnych pomysłów kulinarnych, sam potrafił zadowolić się czymś tak prostym jak sucha bułka do kawy.

- Ominęły cię pyszne pstrągi - powiedziała.

- Nie cierpię ości.

- Nie ma żadnych ości.
Nie w twoich filetach.
- Tak mówimy klientom - zachnął się.
- Ale nigdy nie wiem, czy wszystkie wyjęliśmy.
Zawsze się boję, że jakaś została.
Poza tym...
- spojrzął na nią pytająco - nie wiem, dlaczego zostało nam tyle pieczywa.
Bree uruchomiła komputer i sprawdziła dane.
- Agnus, Oliver i Jack zamawiają zwykle dużo pieczywa.
A dzisiaj ich nie było.
- Trzej klienci, o których mówiła Bree, dobiegali osiemdziesiątki.
Dobrze, że przy tak złej pogodzie zdecydowali się siedzieć w domu.
- Flash?
- zajrzała do pokoju LeeAnn.
- Czy mogłabym wyjść troszkę wcześniej?
- Gav mówi, że mnie zawiezie do domu.
Przydałoby mi się, bo nie wzięłam zimowych butów ani kożucha, ale on nie może czekać, aż zamkniemy lokal.
Flash spojrzął na Bree.
- Ją zapytaj.
To na nią spadnie twoja robota.
- Nikt więcej tu nie przyjdzie.
Nie dzisiaj.
Idź - po wiedziała Bree.
19 .

LeeAnn poszła.

- Znowu wykorzystuje twoje miękkie serce - za uważył szef.

- To zdarza się za często.

- To ty masz miękkie serce - odparta Bree.

Jesteś za dobry i nie potrafisz odmówić.

Mogłeś się nie zgo dzić.

Nie musiałeś pytać mnie o zdanie.

Poza tym ona musi zająć się dziećmi, a ja nie mam dzieci.

- Dlaczego nie masz?

- zapytał.

- Już chyba o tym mówiliśmy.

- Bree, rozmawiając z Flashem, przeglądała listę dostaw.

- To przypomnij mi, jak to szło.

Szczególnie lubię kawałek o tym, że żeby mieć dzieci, potrzebny jest mężczyzna.

Jakbyś nie mogła mieć każdego faceta, który tu wchodzi.

Wiesz, co im się najbardziej podo ba?

Twój brak zainteresowania.

- To nie jest brak zainteresowania, tylko ostrożność.

Ostrożność brzmiała lepiej.

Chociaż brak zainteresowania trafiał w sedno.

Z mężczyznami, którzy przychodzili do zajazdu, mogła się najwyżej pośmiać i porozmawiać.

Patrzyli z uznaniem na jej sylwetkę - smukłą, wysoką.

Wszystkim podobały się jej włosy - długie, proste, ciemne.

Piękne, ale z tych niesfor nych, które zawsze wyglądają jak trochę potargane.

Klienci najbardziej lubili w Bree to, że obsługiwała ich bez kłótni.

I że zawsze wiedziała, co będzie im sma kować.

Jej ojciec również lubił, jak skakała koło niego.

Była jego kucharką, pokojówką, krawcem, fryzjerem, domową sekretarką...

Można jeszcze wiele dodać do tej listy.

Dopiero po jego śmierci po raz pierwszy w ży ciu Bree miała trochę czasu dla siebie.

Teraz, trzy lata później, nadal uważała to za coś bardzo cennego.

- Ach...

- mruknął z powątpiewaniem.

- Cóż, cała ty, Bree.

Ostrożna aż do przesady.

Wynajęłaś kogoś, żeby założył ci przyzwoite ogrzewanie czy nadal zbierasz kosztorysy?

20

- Nadal zbieram kosztorysy.

Wyjrzał przez okno.

- Najwyższa pora się zdecydować bo zostaniesz na zimę bez centralnego.

- Jeszcze dzień, dwa i znowu zrobi się ciepło.

Ma my dopiero październik.

- Odwlekasz to, co nieuniknione.

Poprzedniej zimy przyjeżdżałaś zmarznięta na kość.

Na co czekasz?

Przecież masz pieniądze.

- Mam pieniądze na nowy samochód.

To dla mnie ważniejsze.

- To bardzo nierozsądne z twojej strony.

- Dlaczego?

Zawsze mogę rozpalić pod kuchnią.

I mam ciepłą pierzynę.

Znacznie bardziej potrzebuję nowego samochodu.

Wyłączyła komputer.

- Musimy porozmawiać o za trudnieniu innego dostawcy mleka.

- Poczekajmy z tym jeszcze trochę.

Trzeba dać mu szansę.

- Stafford jest z Panamy.

Oboje chcemy go popieścić, ale jego dostawy częściej się spóźniają niż docie rają na czas.

I ostatnio jedna czwarta tego, co przywozi, jest nieświeża.

Przypomnij sobie, jak panikowałeś dwie godziny temu - powiedziała miękko głosem.

- Byłem zmęczony.

To wszystko.

Stafford był jak kropla, która przepełniła czarę.

- Chciałam ci przypomnieć, że problemy ze Staffordem powtarzają się regularnie od dwóch lat.

- Daj mu jeszcze trochę czasu - powiedział Flash.

Otworzył znowu gazetę i powrócił do lektury.

Bree nie wiedziała, czy płakać, czy się śmiać.

Flash miał za miękkie serce i wszyscy o tym wiedzieli.

Niektórzy nawet to wykorzystywali.

Flash był artystachaciaz próbował ubierać się jak kierowca ciężarówki w czarnych dżinsach, fioletowej koszyki czapce z daszkiem, z którą nigdy się nie rozstawał

Bree nie mogła narzekać.

Pracowała tutaj, na wet gdyby ktoś inny był jej szefem.

Lubiła tę pracę.

A Flash był dla niej dobry.

Dobrze liczyła, więc po zwał jej prowadzić księgowość.

Płaciła rachunki.

Przyjmowała towar od dostawców.

Pilnowała, by wszystkie dane zostały wprowadzone do komputera.

Bree nałożyła sobie na talerz pstrąga.

Zjadła.

O ósmej pięćdziesiąt wyszedł ostatni klient.

Pięćdzie siat dwa miejsca zostały uprzątnięte i przygotowane do śniadania, talerze umyte, jedzenie schowane do zamra żarki, grill oczyszczony.

Wkładała już kurtkę i szykowała się do wyjścia, kie dy Flash zaproponował: -

Podwiozę cię do domu.

Pokręciła głową.

- Pieszko będę szybciej.

- Włożyła kozaczki.

- Zresztą zupełnie ci nie po drodze.

Nie warto nadrabiać drogi w taką okropną pogodę.

Jednak Flash był uparty.

Wziął ją pod ramię i wy prowadził za drzwi.

Świat zmienił się nie do poznania.

Wszystko stało się śnieżnobiałe i lodowate.

- Jeszcze za wcześnie na zimę - zamruczał Flash, podchodząc do swego explorera.

Kiedy zaczął szukać za siedzeniem łopatk do śniegu, Bree przecierała okna rękawem kurtki.

Flash zmiótł śnieg i oskrobał szyby.

Bree wsiadła do samochodu.

Przekręciła klu czyk w stacyjce, włączyła wycieraczki.

Explorer jechał wolno, ślizgał się po śniegu.

Bree wyteżęła wzrok.

W ciemności wirowały jasne płatki śniegu.

Wycieraczki pracowały na pełnych obro tach, ale widoczność na pewno była kiepska.

Samochód jechał powoli, raz po raz ześlizgiwał się na pobocze.

Po pewnym czasie Flashowi udało się opanować sytuację.

Nie ujechali daleko, kiedy znowu zaczęła się ślizga wica.

Explorer z trudem utrzymywał się na jezdni, raz po raz zjeżdżał na pobocze.

Wreszcie zatrzymał się.

- Złe opony?

- zapytała Bree.

22

- Śliska jezdnia.

Pod górkę nie tak łatwo - wyjaśnił.

- To może wysiądę i dojdę pieszo - zdecydowała Bree.

- Nie musisz jechać pod górę i mnie odwozić.

Po zwól mi iść.

Proszę...

Flash uparcie próbował pokonać wzniesienie.

Zmieniał biegi, starał się nie używać hamulca.

Nie na wiele to się zdało.

Explorer ledwie dojechał do pierwszego ze stojących na zboczu domków, znowu ześli znają się na pobocze.

- Poddaję się - mruknął Flash z rezygnacją.

Bree naciągnęła na głowę kaptur i wysiadła z samo chodu.

- Dzięki, że próbowałeś!

- zawołała.

- Do zobaczenia jutro.

Zamknęła drzwi, skuliła się, szczelniej opatulili się kurtką i poszła w stronę domu.

Explorer zawrócił i odjechał.

Światła znikły.

Parę chwil później ucichł odgłos silnika.

Bree szła pod górę.

Śnieg na jezdni nie był głęboki, może do połowy wysokości butów, ale miała ten sam problem co przedtem Explorer.

Wierzchnia warstwa śniegu zamarzła.

Było ślisko.

Bree z trudem brnęła w stronę domu.

Naciągnęła kaptur na głowę, schowała ręce do kieszeni.

Potem uwolniła dłonie.

Tak było wygodniej.

Marzyła o rękawiczkach.

Nagle pośliznęła się, straciła równowagę i wylądowała w zaspie śniegu.

Wstała, otrzepała się i ruszyła dalej.

Znowu się pośliznęła.

Przesunęła się na pobocze.

Śnieg leżał tam głębszy, prawie do kolan.

Szło się ciężko, ale bezpieczniej.

Schyliła głowę, by wirujące płatki nie wpadały do oczu.

Wspinała się dalej.

Chodziła tą drogą od lat.

Nie musiała otwierać oczu, żeby wiedzieć gdzie jest.

Kiedy mijała osiedle, bolały ją wszystkie mięśnie.

Poczuła olbrzymią ulgę, kiedy droga zaczęła schodzić w dół.

Bree skręciła koło stacji benzynowej i okrążyła park miejski.

Teraz ulica była pusta.

Na jezdni widniały ślady opon.
Z kominów unosił się dym.
W powietrzu czuć było palące się drewno.
Śnieg dudnił o metalowe dachy.
Ominęła ratusz i bank, przeszła koło plebanii.
Za rondem majaczył wysoki, strzelisty kościół.
Po drugiej stronie był park miejski.
Tam odbywały się uroczystości, a latem orga nizowano pikniki.
Bogaci mieszkańcy Panamy opiekę wali się tym miejscem.
Teraz gałęzie klonów, brzoź, i jodeł ugięły się pod ciężarem śniegu.
Dźwięk silnika przerwał ciszę.
Po drugiej stronie je chała furgonetka z Pine Street.
Powoli okrążyła ron do.
Kiedy dojechała do Bree, zatrzymała się.
Curtis Lamb uchylił okno.
- Wracasz z pracy?
Bree osłoniła ręką oczy.
- Aha.
- Podrzucić cię?
Ale Curtis mieszkał na dole, niedaleko Flasha.
Uśmiechnęła się i pokręciła głową.
Pokazała na ko ściół.
- Jestem prawie na miejscu.
Jedź dalej.
Curtis zamknął okno.
Furgonetka powoli ruszyła.
Skręciła w prawo, w stronę banku, po czym pojechała na dół.
Bree szła dalej.
Ten spacer naprawdę sprawiał jej przyjemność.
Lubiła śnieg.
Czysty jak w piosence, pomyślała.
A jeszcze tak niedawno wszyscy pocili się w letnich upałach.
Znów warkot silnika przerwał ciszę.
Rósł hałas.
Bree odgadła, że samochód wjeżdża na Birch Hill.
Widziała jego przednie światła, kiedy daleko po prawej pojawił się drugi samochód.
Furgonetka.
Jechał szybko, zbyt szybko.
Widziała, jak wpadł w poślizg na rondzie, ale odzyskał przyczepność.
Potem wjechał w ulicę, którą szła.
Chcąc zejść mu z drogi, przyspieszyła kroku.
Na rogu skręciła w Birch Hill.
Ten pierwszy samochód - te raz widziała, że był to dżip - jechał z przeciwna.
Bree doszła do rozjazdu dróg i zatrzymała się przerażona.
Stara, niebieska furgonetka pędziła jak szalona, ślizga24
jąc się na zakrętach.
Bree pomyślała, że kierowca musi być kompletnie pijany albo bardzo głupi.
Zwolnij - modliła się w duchu.
Zwolnij - ostrzegała w myśli.

Jadąc z taką prędkością furgonetka musiała wpaść w poślizg na zakręcie.
Niezależnie od tego, w którą stronę zamierzała skręcać.
Albo w prawo do Birch Hill, albo w lewo dookoła ronda.
Gdyby pojechała prosto, wjechałaby wprost na nią.
Bree, przestraszona tą myślą, wskoczyła w głęboki śnieg.
Wybrała jednak zły kierunek.

Parę sekund później usłyszała głuchy odgłos zderzenia.
Przeraźliwy zgrzyt zgniatanego metalu.
I zaraz potem dźwięk, odbijając się od furgonetki, z impetem ruszył tyłem w jej stronę.
Chciała uciekać, ale buty ślizgały się po mokrym śniegu.
Czuła przerażenie i strach.
Potem ostry, palący ból.
A potem już tylko ciszę i spokój.

ROZDZIAŁ DRUGI

Furgonetka na zakręcie wpadła w poślizg.
W tym samym momencie nadjechał dżip.
Zderzenie boczne wyrzuciło go na pobocze, gdzie uderzył o kamienne ogrodzenie, natomiast furgonetka odjechała nie za trzymawszy się.
Tom Gates nawet tego nie zauważył.
Myślał tylko o jednym.
Z bijącym sercem wyciągnął rękę do klamki.
Niestety, pod wpływem uderzenia zaklinował się zamek.
Tom rzucił się więc do drzwi od strony pasażera.
Ani drgnęły.
Uniósł nogi i z całą siłą kopnął w szybę.
Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.
Był wolny.
Przecisnął się przez okno.
Zadra snął twarz, ale nie to było ważne.
Rozejrzał się po ulicy, ale niczego nie dostrzegł.
Obiegł samochód dookoła, przykucnął.
Pod kołami nie znalazł nikogo.
Podbiegł do szosy, potem do ogrodzenia.
Sprawdził ślady, przeszukał drogę.
Niko go nie znalazł, nie było śladów krwi.
Oszalały rozglądał się dookoła.
Był pewien, że uła mek sekundy przed wypadkiem widział jakąś sylwetkę na rogu ulicy.
Był pewien, że kogoś potrafił.
Na podwórku za ogrodzeniem pojawiło się słabe światło.
Jakiś człowiek wyszedł z latarką.
- Czy ktoś został ranny?
- rozległ się głos.
Potem znowu Tom usłyszał, jak ktoś woła: - Wezwij karetkę.
26
W świetle latarki majaczył na śniegu jakiś kształt.
Tom podbiegł, przyklęknął.
Wpatrywał się z przerażeniem w leżącego człowieka.
Nie widział krwi.
Nogi, które wystawały spod obszernej kurtki, wyglądały zupełnie normalnie.
Być może ta osoba jeszcze żyła.
- Hej!
- zawołał.
- Hej, słyszysz mnie?
Nie wiedział, kto to jest.
Kaptur zakrywał połowę twarzy.
Tom poluzował sznurki i odsunął go do tyłu...
I w tym momencie rozpoznał ją.
Nieważne, że była przeraźliwie blada.
Pozostały te same delikatne rysy twarzy.
Pasma pięknych włosów opadające na policzki.
Tom przymknął oczy.
To Bree.

Słodka Bree z zajazdu.

- Chryste - jęknął ze zgrozą.

Pochylił się niżej.

Do tknął zimnego policzka, a następnie znowu naciągnął kaptur na twarz, żeby ochronić ją przed mrozem.

Szu kał na szyi pulsu.

Jego serce bito tak głośno, że nic nie słyszał.

Ale jej skóra pod ubraniem pozostała ciepła.

To dawało nadzieję.

Bez wahania ściągnął swoją kurtkę i przykrył nią Bree.

Zobaczył jej rękę, zimną i bezwładną.

Zaczął masować.

, - Bree?

Nie poruszyła się, nie jęknęła, nie drgnęła jej powieka.

Odsunął kaptur, dotknął policzka.

- Słyszysz mnie, Bree?

Znowu padło na niego światło latarki.

A potem Tom ujrział Carla Breena, gramolącego się przez śnieg.

Carl zarzucił wełniany płaszcz na starą, znoszą ją pizamę.

Nie zdążył zawiązać butów.

Nadal wirowały w powietrzu gęste, mokre płaty śniegu.

Wiał silny południowo-zachodni wiatr.

Carl skierował latarkę na Bree.

- Żyje?

- zapytał.

- Tak mi się wydaje.

Zadzwoił pan po pogotowie?

- Karetka już jedzie.

Jak długo to potrwa?

27 .

- W dobrą pogodę dziesięć minut.

W taką?

Co naj mniej dwadzieścia.

- Dwadzieścia?

- wykrzyknął Tom.

- Chryste, nie możemy tak długo czekać.

Teraz Cari zajął pod kaptur.

- Skąd ona tu się wzięła?

Wracała z pracy?

- Dwadzieścia minut to za długo - denerwował się Tom.

- Ona nie może tu leżeć tyle czasu.

- Nie będzie musiała.

Szef policji już tu jedzie.

Travis też.

On ma przeszkolenie medyczne.

Przynieść koc?

("

-Tak.

Carl poczłapał w stronę domu.

Tom został z Bree.

Podłożył rękę pod jej głowę.

Gładził jej policzek.

Chciał, żeby wiedziała, że nie jest tu sama.

- Chryste...

Przepraszam...

- szeptał przerażony.

- Dwadzieścia centymetrów w lewo albo w prawo i omi nąłbym cię.

Marzył, że się poruszy, żeokaże jakiś znak życia.

- Słyszysz mnie, Bree?

i

Nie wiedział, co by zrobił, gdyby umarła.

Nie mógł sobie wyobrazić życia z tynr, strasznym poczuciem winy.

Był samolubnym skurfzybykiem, to prawda.

Tylko że spowodowanie czyjejs śmierci to coś zupeł nie innego.

- Poczekaj, malutka.

Nie umieraj - błagał, patrząc z niecierpliwością na drogę.

- Przyjeżdżajcie, prędzej, przyjeżdżajcie.

Co wam zajmuje tyle czasu?

Wrócił Carl, niosąc .spiwór.

- Pożyczyłem od wnu ka - wyjaśnił i przykrył Bree.

- Słyszałem uderzenie.

To musiała być -siła!

- mówił.

Spojrzał pytająco na Toma.

- Jak to się stało?

Tom rozglądał się niecierpliwie.

- Kiedy wreszcie przyjadą?

28

- Szef był na dole, na Creek Road, kiedy dzwoni łem.

Będzie jechał East Main.

- Skierował latarkę na Toma.

- Pan jest ranny.

Ma pan rozciętą twarz.

Tom nie czuł nic prócz strachu.

Znowu przesunął dłoń do szyi Bree, aby znaleźć puls.

Wyczuł, ale bar dzo słaby.

Wsunął rękę do kaptura.

Objął jej głowę.

- Bree, oni zaraz tu będą.

Wytrzymaj, proszę.

Zaraz nadejdzie pomoc.

I właśnie w tej chwili Tom ujrzał zbliżające się świa tła samochodu.

To był chevy blazer Eliota Bonnera.

Za nim jechał swoim samochodem Travis Fitch.

Oba pojazdy zatrzymały się przy rozbitym dzipie.

Kierowcy energicznie otworzyli drzwi i dobiegli, niemal jedno cześnie, do leżącej na śniegu Bree.

n

Travis był mężczyzną po trzydziestce - wysoki i bar dzo szczupły, w czarnych spodniach i ciemnej kurtce z kapturem.

Eliot nieco starszy, niższy, o szerszych ramionach.

W zwykłej, prostej kurtce i naciągniętej na głowę pomarańczowej: "wełnianej czapce wyglądał bardziej na myśliwego niż na szefa policji.

W niewielkiej, spokojnej Panamie mógł sobie pozwolić na noszenie takiego stroju.

Wszyscy go tu znali i darzyli szacunkiem, f

Tom odsunął się, by zrobić miejsce Travisowi, nie odszedł jednak od Bree.

Nadal gładził jej policzek.

- Nawet się nie poruszyła - powiedział.

W jego głosie słychać było panikę.

- Nic nie powiedziała, nawet nie otworzyła oczu.

Travis badał stan Bree, nie zdejmując z niej przykrycia.

- Dziś rozbity.

Dziewczyna ranna.

Co się tu wydarzyło?

2- zapytał.

Jego chropowaty głos i wydatny brzusek wskazywały na skłonność do nadużywania piwa.

Tom obserwował Trávisa.

Zastanawiał się, czy policjant wie, co robi.

- Furgonetka wjechała na mnie, a ja potraściłem ją.

29 .

- To musiało być silne uderzenie, skoro odrzuciło ją tak daleko.

Gdzie jest furgonetka?

Tom popatrzył na szosę.

Tamten samochód już dawno zniknął z pola widzenia.

Mruknął pod nosem jakieś przekleństwo, po czym znowu odwrócił się w stronę Bree.

- Co z nią?

- zapytał.

- Kark w porządku, kręgosłup cały.

Myślę, że ma ja kieś obrażenia wewnętrzne.

- Krwotok wewnętrzny?

- Na to wygląda.

- Kto prowadził furgonetkę?

- zapytał szef policji.

Tom jeszcze nie mógł myśleć o furgonetce.

Emocje były zbyt silne.

- Czy może wykrwawić się na śmierć?

- zapytał, podczas gdy Travis oglądał teraz jej nogi.

- Może - przyznał Travis.

- Tu nie ma żadnych zła mań - dodał.

- Przynajmniej nic takiego, co się da rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Nic nie możemy zrobić.

Trzeba ją zawieźć do szpitala.

- Travis skończył oględziny.

Przykrył starannie Bree.

- Już dzwoniłem po karetkę.

Pogoda nie powinna im przeszkodzić.

Mają dobre wozy.

- Przeszedł przez śnieg do swojego samochodu.

- Dokąd ją zabiorą?

- zwrócił się Tom do Bonnera.

- Nie chciał, żeby Bree umarła.

Bardzo się tego bał.

Po raz pierwszy od siedmiu miesięcy zapragnął znów znaleźć się w Nowym Jorku.

Tam miałyby od razu najlepszych lekarzy.

Tutaj z pewnością trudno było o właściwą opiekę.

- Mamy w Ashmont centrum medyczne - rzekł Bonner.

- Tak, przypominam sobie - burknął Tom.

- Ona musi jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

- Potrzebuje natychmiastowej pomocy - zgodził się szef policji.

- Nikt nie przebrnie przez ten śnieg.

We30

zmą ją do Ashmont i sprowadzą chirurga z St.

Johnsbury, jeżeli będzie potrzeba.

Od razu, jak tylko tam się znajdzie, przygotowują ją do operacji.

- Czy w Ashmont jest jakaś sala operacyjna?

- zapytał Tom z powątpiewaniem.

Bonner przymrużył oczy.

- Do licha, człowieku, masz nas za wieśniaków!

- zdenerwował się.

- Nasze sale operacyjne może nie są na tym poziomie co wa sze, ale pozwalają chirurgom zrobić swoją robotę.

Tak samo jak ty nie lubimy, jeśli ktoś umiera.

Tom wyprostował się.

Nie mógł znieść bezradności.

Pamiętał, jak podle się czuł, stojąc samotnie nad grobem matki.

Dla niej nie mógł już nic zrobić.

Najwyżej ją opłakiwać.

Teraz trzeba było działać, i to szybko.

- Ktoś musi zawiadomić jej rodzinę - powiedział.

- Tym możemy się nie przejmować.

- Bonner machnął ręką.

- Przynajmniej w tym wypadku.

Matka opuściła ją zaraz po urodzeniu, wychowywał ją ojciec, ale umarł trzy lata temu.

Nie ma rodzeństwa, ani męża i dzieci.

To zdumiało Toma.

Wielokrotnie obserwował Bree w pracy.

Zawsze wydawała mu się silna, zaradna.

Dała ciepło, poczucie bezpieczeństwa.

Myślał często, że musi mieć solidne oparcie w rodzinie.

Łatwo mógł wyobrazić sobie ją z dziećmi, może jeszcze z matką i siostrą.

Z kimś, kto mógłby ją zastąpić w domu, gdy szła do pracy.

Zazdrościł jej tej przynależności do jakiejś rodziny.

Bonner wstał.

- Flash zawsze zastępował jej rodzinę.

Zadzwoń do niego.

Gdy Eliot odchodził do telefonu, wrócił Travis.

- Za trzy minuty będzie tutaj ambulans.

Nie ma sensu teraz jej ruszać.

Oni mają nosze.

Tom klęczał na śniegu.

Dotknął jej szyi, potem czoła, pogładził po policzku.

Chciał coś zrobić.

Czuł się

31 .

rozpaczliwie bezradny.

Odgarnął śnieg z jej kaptura.

To nie była niczyja wina.

Po prostu Bree znalazła się w złym miejscu w złym czasie.

Podobnie jak on.

Chciał kogoś obarczyć winą.

Spojrzał na niebo.

- Rany boskie, przecież to dopiero październik!

Kiedy wreszcie przestanie padać?

Carl, który stał z nimi i przez cały czas oświetlał Bree latarką, powiedział: - Prognozy mówią, że będzie pa dać aż do rana.

- Do licha, przecież zapowiadali deszcz.

- Różnica kilku stopni, to wszystko.

Tom zamierzał wyrazić swoje zdanie, ale właśnie ambulans okrążył park i podjeżdżał do nich.

Błyskały białoczerwone światła.

Tom, pochylony nad Bree, poczuł gwałtowną ulgę i zaraz potem paniczny strach.

Przemawiał do niej ła godnie, prosił, żeby wytrzymała jeszcze trochę, mó wił, że właśnie nadeszła pomoc i że już zaraz wszyst ko będzie dobrze.

Pocieszał ją i jednocześnie siebie, że już nie ma powodu do niepokoju, że zajmą się nią jak należy.

Przyjął to bardzo boleśnie, gdy został energicznie odepchnięty przez załogę ambulansu.

Tak długo przy niej klęczał, że czuł coś w rodzaju prawa własności.

A teraz odgradzili go od niej.

Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy nie pozwolili mu jechać razem z nią ambulansem.

- W tej chwili jestem wszystkim, co ona ma - upie rał się, boleśnie świadom ulotności tego posiadania.

Bree mogła nie mieć rodziny, ale miała wielu przyja ciół.

Widział, że ją lubiano, że ludzie do niej lgną.

Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko policja zdąży po wiadomić Flasha o wypadku Bree, on przekaże tę wia domość dalej.

Wystarczy jedno słowo, a przyjaciele rzucą się na pomoc.

A on będzie musiał stać z boku.

32

Eliot Bonner żelaznym uściskiem ujął go pod ra mię.

- Powinniśmy porozmawiać.

Pan i ja.

Proszę ze mną do samochodu.

Chyba że...

- dodał sucho.

- Chy ba że jest pan lekarzem.

Drzwi ambulansu zamknęły się.

- Jeszcze nie powiedział nam pan, kim jest.

Panamaska policja już wcześniej interesowała się To mem.

W małym miasteczku nowy przybysz nie mógł zostać nie zauważony.

Wkrótce po tym, jak się poja wił, zatrzymał go szef policji.

- Gorąco witamy - po wiedział z przesadnie szerokim uśmiechem.

Tom od razu wyczuł nienaturalność tego powitania.

Nie mógł jednak nic Eliotowi zarzucić.

Policjant traktował go grzecznie i uprzejmie.

Rozmawiali wtedy mniej więcej dziesięć minut.

Tom udzielał wymijających odpowiedzi.

Bardziej niż na cokolwiek zależało mu na zachowaniu anoniowości.

Nadal tego pragnął.

Miał dużą wprawę w okłamywanie przyjaciół i rodziny, a co gorsza samego siebie.

Niestety, jako kierowca zamieszany w wypadek, musiał rzetelnie podać policji swoje dane.

Tym bardziej że w tym wypadku mieszkanka Panamy została poważnie ranna.

- Jestem pisarzem - powiedział.

Bonner westchnął.

- Och, tak.

Jeszcze jeden pisarz.

Szuka pan tu inspiracji, nieprawdaż?

- Nie całkiem.

- Istniały inne powody, znacznie dla niego ważniejsze.

- Co zatem skłoniło pana do przyjazdu tutaj?

Tom nie odpowiedział.

Trudno mu było to wyjaśnić, nawet gdyby chciał.

Potrzebował spokoju, żeby przemyśleć różne rzeczy.

Po śmierci matki odkrył z przerażeniem, że stał się arogancki i egoistyczny.

Potrzebował samotności, żeby zastanowić się nad

33 .

sobą, spojrzeć w głąb duszy i zobaczyć, czy zostały tam jeszcze jakieś resztki przyzwoitości. Jeżeli traktował siebie z pobłażliwością, to tej nocy nie zostało po niej ani śladu.

Patrzył na odjeżdżający ambulans.

Światła znikły w oddali.

Dopiero teraz zrobiło mu się zimno.

Prze szedł go dreszcz.

Znajdował pewną przyjemność w tym, że Bree ma jego kurtkę.

Chociaż wiedział, że w szpitalu odrzucą ją gdzieś, gdy przystąpią do akcji ratunkowej.

Wyobrażał sobie dziewczynę podłączoną do monitorów i do kroplówki.

Modlił się, żeby starczyło jej sił.

Szef policji delikatnie popchnął go w kierunku samochodu.

- Trzęsiesz się z zimna, człowieku.

Jesteś w szoku.

Lepiej wejdź do środka.

Zaprosił na miejsce pasażera, nie do tyłu.

To była dobra wróżba.

Kiedy Tom zaczął wchodzić do samochodu, poczuł ból.

To wydawało się jeszcze gorsze niż drgawki.

Pokonanie słabości ciała stało się dla niego wyzwaniem.

Bonner obserwował go z kierownicy.

- Wszystko z panem w porządku?

- Tak.

- Przyciskając do policzka gazę, którą dał mu wcześniej sanitariusz, machnął ręką.

Ambulans już zniknął z pola widzenia.

Odjechał, zabierając Bree.

Blazer powoli, ostrożnie pokonywał zaśnieżoną drogę.

Ten spokój irytował Toma.

- Co się tu stało?

- zapytał znowu Bonner.

Drgawki nasilały się.

- Panie Gates?

Tom zmusił się, żeby przypomnieć sobie przebieg wypadku.

- Wjeżdżałem pod górę, jechałem w stronę parku...

- zaczął.

Nie mógł się skupić.

- Poślizg?

Nie pamiętał, żeby wpadł w poślizg.

- Chyba nie...

Dżip dobrze trzymał się drogi.

- Więc jak to było?

Dokąd pan jechał?

Tom nie jechał w żadnym określonym celu.

Męczył go niepokój.

Odczuwał samotność.

Musiał zastanowić się nad przeszłością.

Przemysleć różne sprawy.

- Chciałem się przewietrzyć.

- Czy pił pan przed wyjściem?

Tom posłał mu przeciągłe spojrzenie.

- Rozmawia liśmy.

Pochylał się pan nade mną.

Czuć było ode mnie alkohol?

Bonner parsknął śmiechem.

- Nie, tylko kawę.

- Widział mnie pan przy obiedzie.

Zamówiłem do kurczaka piwo.

Potem Bree pytała, czy chcę drugie.

Odmówiłem.

LeeAnn parzyła kawę.

Wypiłem dwa kubki...

- Wycieraczki zgarniały z szyby grube płatki śniegu.

Światła policyjnego samochodu oświetlały drogę, tworząc coś na kształt tunelu.

Wi dok ten napawał grozą.

Tom wzdrygnął się.

- Gdzie jest ambulans?

- Może już dojechał do Ashmont - mruknął Bonner.

- Proszę mówić dalej.

Wypił pan kawę i wyszedł.

Która mogła być wtedy godzina?

- Koło ósmej.

- Lewa strona bolała bardziej.

Usiadł wygodniej.

Nadal jednak czuł ból przy każdym drgnięciu samochodu.

- Pojechałem do domu.

Po półgodzi nie znowu wyszedłem.

- Po co?

Trenować jazdę rajdową po śniegu?

- Żadną rajdową - zaprzeczył szybko.

Nie czuł przy jemności, nie bawiła go ta jazda.

Zbyt długo będzie to pamiętać.

- Chciałem się tylko przejechać - powtórzył.

- Dokąd?

- Pojeździć po mieście, zajrzeć do Lowell albo do Montgomery.

Jak mówiłem, dziesięć dobrze trzymał się drogi.

35 .

- Chciał pan zobaczyć, jak jeździ na śniegu?

- Jeżeli chodzi panu o to, że chciałem sprawdzić, jak szybko uda mi się jechać, to nic z tych rzeczy.

Daj my temu spokój.

Proszę spojrzeć na ślady opon.

Nie jechałem wężykiem, trzymałem kierunek jazdy.

- Zgoda - mruknął Bonner.

- Furgonetka jechała bardzo szybko.

Można powie dzieć, że zepchnęła mnie jak buldożer.

- Kiedy po raz pierwszy spostrzegł pan ten samo chód?

Tom wziął głęboki oddech.

I zaraz poczuł piekący ból.

Dawały o sobie znać potłuczone zebra.

Dłonie pokaleczył sobie, usiłując wydostać się z samochodu.

Być może odniósł jeszcze jakieś rany, z czego w tej chwili nie zdawał sobie sprawy.

To wszystko jednak było niczym w porównaniu z tym, co stało się Bree.

- Panie Gates?

Tom zacisnął powieki.

Próbował odtworzyć w pa mięci ostatnie kilka sekund.

W końcu rzekł z wes tchnieniem: - Wszystko, co pamiętam, to zbliżające się światła tamtego samochodu.

- Czy pamięta pan, jaki to model furgonetki?

- Nie wiem.

- Jakiego koloru?

Znowu usiłował sobie przypomnieć.

- To nie był du ży samochód.

Może pikap.

Kolor?

Może niebieski...

Do licha, nie widziałem dużo.

Najpierw panowały egipskie ciemności, a potem oślepił mnie światłami.

Nie zastanawiałem się, jaki ma kolor...

Chociaż...

pro szę spojrzeć na mojego dżipa.

Może zostały na nim ślady lakieru.

- Już patrzyłem.

Ciemny brąz.

- A co ze śladami opon?

- Pasują do pikapa...

Kiedy po raz pierwszy spo strzegł pan Bree?

- Nie widziałem jej.

Przynajmniej nie wiedziałem, że to ona.

Chwilę wcześniej, zanim wyłoniła się z za rogu furgonetka, wydawało mi się, że dostrzegłem jakiś kształt.

Nic więcej z tego nie zarejestrowałem.

Nie wiedziałem, czy to słup latarni, czy coś innego stoi przy drodze.

Nie zdawałem sobie sprawy, że to człowiek, dopóki nie usłyszałem odgłosu uderzenia, dopóki go nie poczułem.

- Tom pomyślał, że będzie to pamiętał do końca życia.

I zawsze na to wspo mnienie włos będzie mu się jeżyć ze zgrozy.

- Jak długo potrwa, zanim dotrą na miejsce?

- denerwo wał się.

- Niedługo.

Więc nie ma pan pojęcia, kto prowadził tamten samochód?

- Nie sądzi pan, że gdybym wiedział, powiedziałbym to już dawno?

- zapytał zniecierpliwiony.

- Nie wiem.

Nie znam pana aż tak dobrze.

- Proszę mi zaufać.

Na pewno bym powiedział.

- Tak?

To zabawne, ale większość ludzi przemilcza najważniejsze fakty.

- Tylko wtedy, jeśli mają coś do ukrycia.

To nie była moja wina, to ja zostałem uderzony przez furgonetkę.

Oglądał pan ślady.

Wie pan o tym.

Trudno, żebym zacho wał się w tej sytuacji inaczej.

- W pewnym sensie muszę panu przyznać rację.

Ale pochodzi pan z innego miasta.

Spodziewałem się, że od razu zażąda pan adwokata.

- Sam jestem prawnikiem - przyznał z oporem.

Nie miał zamiaru tego mówić.

Teraz jednak stało się to konieczne.

Bonner spojrział na niego podejrzliwie.

- Twierdził pan, że jest pan pisarzem.

- To prawda.

Piszę na tematy związane z prawem.

- Och, tak - rzekł Eliot z lekką ironią.

- Jeszcze je den, który chce kroczyć śladami Grishama.

- Jeśli o mnie chodzi, to zacząłem pisać wcześniej niż Grisham - sprostował Tom.
Wiedział, że Eliot sprawdzi wszystkie dane.

Tom nie mógł się dłużej ukrywać.

Poczuł jednak dumę, że przez siedem miesięcy udało mu się ukryć w tym małym miasteczku, gdzie aż roilo się od cie kawskich.

- Wszyscy tak mówią.

- Można sprawdzić rok wydania moich książek.

Szef policji zawahał się.

Potem ciekawość wzięła górę.

- Czy ja może czytałem coś z pańskich książek?

- Na przykład "Sąd udaje się na naradę".

- Jedno spojrzenie na policjanta i Tom już znał odpowiedź.

- Wygodnie mieć takie popularne nazwisko, prawda?

Nie potrzebowałem pseudonimu.

Byłem tu siedem miesięcy i nikt się tego nie domyślił...

- Chryste, teraz się dowiedzą, pomyślał z przerażeniem.

- Dlaczego pan to trzyma w sekrecie?

- Ostatnie lata były dla mnie męczące.

Musiałem zwolnić tempo.

Wyjechać gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna.

- Dlaczego?

- Miałem pewne kłopoty - przewyciężył dumę, by to wyznać.

- Z prawem?

- Ze swoim "ja".

Małe, ogrodzone domki stały tu bliżej siebie.

Dojeżdżali do Ashmont.

I nagle samochód gwałtownie zaha mował.

Przed nimi wyjechała z bocznej drogi ciężarówka z pługiem.

Jechali za nią po posypanej piaskiem, odśnieżonej jezdni.

Eliot ani myślał wyprzedzać.

Tom poczuł przyływ zniecierpliwienia.

- Wy przedźmy go.

- Wolę być przesadnie ostrożny niż ryzykować - rzekł stanowczo Bonner.

- Pan też by nie ryzykował,

jeśli by to pan prowadził.

Jeden wypadek całkowicie

dzisiaj wystarczy.

Tom podniósł głowę z policzka, spojrzał na nią krytycznie i znowu przyłożył do rany.

- Nakręcono jakieś filmy na podstawie tych pana książek, jeśli się nie mylę.

- Teraz Eliot prawidłowo je kojarzył fakty.

- Zgadza się.

- Jest pan milionerem.

- Gruba przesada.

- Biedakiem?

- dopytywał Eliot.

- Mam pieniądze - przyznał Tom.

- Jeśli potrzeba zapłacę wszystkie rachunki za szpital.

- To miło z pana strony, dziękuję.

Ale ona jest ty pę niezależnym.

Nigdy nie chciała, żeby jej poma gać.

Poza tym, człowieku, nie musisz poczuwać się do żadnej winy.

Przyjąłeś uderzenie na siebie.

Furgonetka była większa od dzipa, jechała z dużą prędkością.

Gdyby to on na nią najechał, nie miałyby żadnych szans.

Wyrzwał przez okno.

Dojeżdżali już do Ashmont.

Szpital był niewielkim, wybudowanym stosunkowo niedawno, budynkiem z czerwonej cegły.

Tom znał to miejsce.

Pamiętał piękny park wokół centrum me dycznego, krajobraz pełen zieleni i kwiatów.

Być może trochę naiwny i kiczowaty, ale napawający spokojem.

Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej.

Neonowe latarnie nadawały tańczącym płatkom śniegu upiorny jaskrawożółty kolor.

Przy izbie przyjęć stał pusty ambulans.

Gdy tylko zatrzymali się za karetką, Tom wyskoczył z samochodu, podbiegł do drzwi i pchnął je gwałtownie.

Trzy pokoiki na parterze, w których udzielano pacjentom pierwszej pomocy, były otwarte. To znaczyło, że Bree albo została przewieziona na górę, albo... nie żyła.

Tom podbiegł do dyżurki.

- Czy jest tutaj Bree Miller?

- zapytał.

Słowa z trudem przeciskały się przez zaciśnięte z przerażenia gardło.

Do okienka podeszła pielęgniarka - poważna, stała kobieta.

- Pan musi być tym drugim z wypadku - powiedziała.

- Proszono mnie, żebym się panem zajęła.

- On się nazywa Thomas Gates - wtrącił Bonner, który wszedł zaraz za Tomem.

- Proszę sprawdzić ręce i zębra, czy nie połamane.

A poza tym trzeba będzie zszyć parę ran.

Tom nie pozwalał się nawet dotknąć.

Musiał najpierw dowiedzieć się, co z Bree.

- Zabrano ją na górę - powiedziała wreszcie pielęgniarka.

- Żyje?

- Tak.

Odetchnął z ulgą.

- Czy jest już tam chirurg?

- Nie, ale już jedzie.

Za parę minut powinien tu być.

Ignorując protesty pielęgniarki, zmęczenie i ból, podbiegł do windy, a potem przeskoczył kilka schodków i podszedł do mieszczącej się na pierwszym piętrze recepcji.

- Chciałem dowiedzieć się o Bree Miller - powiedział.

Widział kilka otwartych sal, ale tam jej nie było.

Musiała być gdzieś, gdzie drzwi były zamknięte.

W recepcji na piętrze siedziała młodsza i ładniejsza pielęgniarka niż ta na parterze.

Od razu jednak za uważała gazetę, którą przyciskał do policzka.

- Pan też jest poszkodowany w tym wypadku?

- zapytała.

40

- Tak, ale nic mi nie dolega.

Przyglądała się gazecie na jego policzku.

- Ta rana musi zostać zszyta - powiedziała z naciskiem.

Po tem dodała: - Nie rozumiem, jakim cudem udało się panu wejść na górę.

Nie zatrzymano pana w recepcji na dole?

- Nikt mnie nie zatrzymywał.

Proszę mi powiedzieć, jaki jest stan Bree Miller.

I chciałbym wiedzieć, gdzie ona się znajduje.

- Jeśli powiem panu, gdzie ona jest, będzie pan próbował tam się dostać.

W pomieszczeniach szpitalnych panują sterylne warunki.

Skazi pan wszystko i będą kłopoty.

Tom cofnął się.

- Zgoda.

Ma pani rację, nie będę tam wchodził.

Proszę mi tylko powiedzieć, w jakim ona jest stanie.

Czy odzyskała przytomność?

- Z tego, co wiem, nie.

- Pan Fitch podejrzewał, że to krwotok wewnętrzny.

Czy badania wykazały coś jeszcze?

- Tak, są jeszcze jakieś urazy, ale krwotok jest tu najważniejszy.

- Mam grupę krwi A.

Czy mogę na coś się przydać?

- Nie.

Ona ma B.

Mamy trochę zapasu i listę daw ców.

Tę sprawę zdążyliśmy już załatwić - zapewniła.

Poczuł ogarniającą go słabość.

- Ilu lekarzy tutaj macie?

- Normalnie jednego na dyżurze.

Zadzwoniliśmy po drugiego lekarza z naszego miasta, a chirurg z St.

Johnsbury będzie trzecim.

- Czy ci dwaj miejscowi kiedyś robili coś podobne go?

- zapytał z powątpiewaniem.

Wiedział, że to nie brzmiało grzecznie, lecz nie dbał o to.

Żałował, że nie jest w Nowym Jorku.

Tam na pewno mógłby liczyć na szybką, fachową pomoc.

Tutaj, na prowincji, nie było to takie pewne.

41 .

Pielęgniarka patrzyła na niego z oburzeniem.

- Tak.

- powiedziała.

- Nasi doktorzy wiedzą wszystko i potrafią zrobić, co potrzeba.

Są często lepsi niż lekarze w mieście, bo tu nie ma wąskiej specjalizacji.

Muszą znać się na wszystkim.

- Uniosła dłoń.

- My śle, że będzie lepiej, jeśli pan zejdzie na dół.

Tom upierał się.

- Gdzie będę mógł poczekać?

- zapytał.

- Muszę wiedzieć, jaki jest jej stan.

Chcę po rozmawiać z chirurgiem.

- Pan cały drży.

Nie czuł się dobrze, ale starał się nie przejmować.

- Czy pani by się nie trzęsła, gdyby to pani samochód kogoś potrącił?

- Tak, rozumiem pana.

Nic jednak w tej chwili nie można dla niej zrobić.

- Spojrzała na niego błagalnie.

- Tam pracują nad nią nasi lekarze.

To będzie trwało jeszcze jakiś czas.

Proszę zejść na dół.

Margo opatrzy panu rany.

-

Po przemyciu i zaszyciu rany oraz rentgenie Tom wreszcie mógł wrócić na górę.

Do tego czasu zdążył dotrzeć chirurg z St.

Johnsbury.

Rozpoczęła się operacja.

W poczekalni Tom zastał Flasha ONeila.

Właściwie z zajazdu nie pytał go o przebieg wypadku.

Musiał już wiedzieć od szefa policji.

Dochodziła północ, gdy Tom usiadł na winylowej sofie.

Oparł się i zamknął oczy.

Po jakimś czasie osunął się niżej.

Z sali operacyjnej nikt nie wychodził.

Pa nowa cisza.

Żaden dźwięk nie docierał spoza zamkniętych drzwi.

Gdyby był wierzący, modliłby się o jej zdrowie.

Mi nęły jednak całe lata, odkąd robił to ostatni raz.

Nie

42

odczuwał takiej potrzeby.

Przez długi czas sam dla siebie był źródłem największej siły.

Był zaślepiony, pochłonięty zabawą.

Flash drzemał z pochyloną głową.

Potem wyprostował się.

Zaczął mówić głosem, przez który przebijała rozpacz.

- Bree była pierwszą osobą, którą poznałem w Panamie.

Dowiedziałem się, że zajazd jest na sprzedaż i przyjechałem go zobaczyć.

Czekała na mnie i na moją żonę.
Przyjaźnie nas wszystkim przedstawi ła.
Potem robiliśmy remont.
Trwało to przeszło mie sięć.
Bree jako jedyna powiedziała, że będzie na nas czekać.
Pomagała nam, służyła radą.
Od początku pracowała razem z moją żoną.
Tom nigdy nie widział jego żony.
- Co się stało z twoją żoną?
- Wyjechała.
Słomiany ogień, rozumiesz - mruk nął.
- Ale Bree została ze mną.
Pracuje u mnie już czternaście lat.
- Zawahał się.
- Powinienem zrobić ją współwłaścicielką.
Pielęgniarka wybiegła z sali operacyjnej.
Tom po derwał się na równe nogi.
Machnęła ręką i zaraz zniknęła w sąsiednim pokoju.
Wróciła, niosąc pod pachą jakiś przyrząd.
- Niedobrze - mruknęła.
- Straciła dużo krwi.
Tom znowu zaczął żałować, że nie są teraz w No wym Jorku.
Wiedział, że wypadki zdarzają się wszę dzie.
Tam jednak mógł liczyć na fachową pomoc.
- Chciałem ją odwieźć do domu - powiedział Flash.
- Samochód się ślizgał i zrezygnowałem.
Gdy bym się uparł, nic złego by się nie zdarzyło.
Tom słyszał w jego głosie zdenerwowanie.
- To nie twoja wina - rzekł bez przekonania.
- Więc czyja?
- Kogoś, kto siedział za kierownicą furgonetki.
- Kto to był?

- A skąd, do diabła, mógłbym wiedzieć?

- Byłeś tam - wybuchnął Flash.

- To twój sa mochód uderzył Bree.

Spaleś za kierownicą czy co?

- Zaraz potem uniósł dłoń w geście pojednania.

- Przepraszam, zagalopowałem się.

Jestem zdenerwo wany.

- Żyjecie ze sobą?

- zapytał Tom.

Flash skrzywił się.

- Nie, ona zawsze chciała być sama.

Ceni swoją niezależność.

Lubi sama wracać do domu.

Mówi, że w przeciwnym razie tak by się czuła, jakby cały czas była w pracy...

Jest moją prawą ręką.

Gdyby coś się przydarzyło...

- Nie zdarzy się - powiedział Tom.

- Skąd wiesz?

- Po prostu jakoś tak czuję...

- Co czujesz?

- zaczął dopytywać Flash.

Tom już chciał coś powiedzieć, ale zawahał się.

Tak samo jak Flash bat się, że Bree umrze, ale jednocze śnie miał dziwną pewność, że wszystko będzie dobrze.

Nie mógł się uwolnić od dziwnego przeświadczenia, że wypadek zdarzył się w jakimś określonym celu i że Bree wyjdzie z tego cało.

Nie było w tym żadnej logiki, raczej niezwykle, nie dający się niczym wytłumaczyć optymizm.

Tom był zawsze trzeźwo myślącym człowiekiem.

Zimny, wyra- [chowany i przebiegły - zarzucał mu ojciec, zanim na dobre odwrócił się do niego plecami.

Może ojciec miał rację.

Wobec rodziny i przyjaciół Tom był zimny, wyrachowany i przebiegły.

Ale nie w sprawach za wodowych.

Jako adwokat działał inteligentnie i z zaangażowaniem.

Nie zaniedbał najmniejszych detali w linii obrony i z polotem potrafił zinterpretować każdy fakt.

Z pewnością coś musiało się znaleźć na wytłumaczenie tego niesamowitego doznania, jakie mu się zdarzyło.

Znowu zobaczył przed sobą ten

"

Wetlisty tunel, jaki tworzyły światła blazera.

I ogarył go niezwykle spokoj.

r dv Tom i Flash czekali pod salą operacyjną, Bree Gdy -wysoko ponad swoje ciało.

Patrzyła ze zdiu tm laTSęc osób w lekarskich fartuchach i pieSSiSrmach próbuje przywrócić do zyaa

jej serce.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Obudź się, Bree!

Pora wstawać!

Bree z wysiłkiem otworzyła oczy.

Powieki wydawały jej się ciężkie jak z ołowiu.

Walczyła ze snem.

- Bree, słyszysz mnie?

- pytała jakaś kobieta.

Skinęła głową.

Nie miała siły mówić.

Ostrożnie próbowała rozejrzeć się po pokoju.

Panował półmrok.

Po mieszczenie wydało jej się chłodne i przeraźliwie sterylne.

Tak bardzo inne niż miejsce, w którym znajdowała się przedtem.

Wspomnienie tamtego niezwykłego przeżycia przywróciło jej spokój.

- Obudziła się już?

- zapytał męski głos.

Przez moment myślała, że to on, jednak ta twarz miała wyrażone różne rysy.

Tamta zbyt jaśniała, by mogła ją widzieć wyraźnie.

Więc skąd wiedziała, że to był mężczyzna?

I jak ma go widzieć jego uśmiech?

A może tylko wyobrażała sobie, że to jest uśmiech?

- Witaj, Bree - powiedział ten człowiek.

- Witaj z powrotem w świecie żywych...

Ten głos wydał się znajomy, ale nic poza tym.

- Gdzie ja jestem?

- spytała chrapliwym szeptem.

- Nazywam się Paul Sealy - przedstawił się nieznajomy.

- Pracowaliśmy nad panią przez ostatnie pięć godzin.

46

Czuła w ustach przeraźliwą suchość.

- Gdzie ja jestem?

- powtórzyła.

Na sali pooperacyjnej.

Jak się pani czuje?

Czuła się zakłopotana.

Smutna, jakby była w jakimś piękniejszym miejscu i nie chciała stamtąd wracać.

A jednocześnie szczęśliwa, że znalazła się tu na powrót.

- Czy coś boli?

Może coś czuła w środkowych partiach ciała, ale ból był raczej głuchy niż przenikliwy.

Trudniej jej było znieść myśli, które teraz napływały.

Nie mogła się uwolnić od obrazu własnego ciała na stole operacyjnym i siebie opuszczającej ciało, unoszącej się w górę, w to piękne miejsce.

Bree zawsze trzeźwo patrzyła na świat i wierzyła jedynie w rzeczy konkretne i namacalne.

Gdyby nie to, mogłaby przypuszczać, że umarła, znalazła się w raju, a potem została odesłana z powrotem na ziemię.

Męczyły ją te myśli.

Zamknęła oczy i znowu zapadła w sen.

ńPierwszy dzień po narkozie upłynął jej w półśnie.
Budziła się, potem znowu zapadała w sen, leżała, drzemała...
Ciagle ktoś ją pytał, jak się czuje i czy ją coś boli.
Denerwowali się o nią.
Chciała im powiedzieć, żeby się nie bali, że niedługo będzie zdrowa.
Co najmniej kilka razy musiała zwalczyć w sobie chęć powiedzenia czegoś takiego.
Nie wiedziała, skąd wzięło się w niej to przekonanie, ale nie miała żadnych wątpliwości.
Wiedziała tylko to jedno: że będzie zdrowa.
Wszystko poza tym wydawało jej się męczącą zagadką.
Była nadal oszołomiona po długiej narkozie i silnej dawce środków przeciwbólowych.
Urywki rzeczy47 .

wistości, wspomnienia i aktualne wydarzenia migały jej przed oczyma jak w kalejdoskopie. Widziała znał jome twarze, potem znowu obcych ludzi.

Nie mogła sobie przypomnieć, skąd się wzięła w tym szpitalu.

Nie wiedziała, kim są ci, którzy się nią opiekują.

A ilekroć przypominała sobie to, co miało miejsce w sali operacyjnej, nie wiedziała, co było snem, a co rzeczywistością.

Dopiero następnego poranka Bree przestała odczuwać działanie narkozy.

Była już dość przytomna, by odpowiadać na pytania pielęgniarek.

Tak, boli ją brzuch.

Nie, nie ma mdłości.

Nie, nie ma zawrotów głowy.

Tak, chce jej się pić.

Nikt nie wspominał o operacji.

Domyśliła się, że to doktor Paul Sealy miał jej o tym powiedzieć, a on przyszedł dopiero koło południa.

Stanął koło łóżka.

Ręce trzymał w kieszeni fartucha.

- Miała pani krwotok wewnętrzny - powiedział.

- Musieliśmy znaleźć jego źródło i zatamować.

A potem znowu zszyliśmy to, co musieliśmy pokroić.

Mieliśmy pewien problem...

- zawahał się.

- Jaki problem?

- zapytała Bree nieswoim głosem.

- Zatrzymanie akcji serca.

- Ja...

umarłam?

- Nie całkiem.

Trzymaliśmy panią przy życiu, aż zdołaliśmy przywrócić akcję serca.

- Zastosowaliście elektrowstrząsy - szepnęła.

To nie zabrzmiało jak pytanie, ale doktor nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Konieczność - mruknął.

- W takiej sytuacji to jedyny skuteczny sposób.

- Jak długo moje serce nie biło?

48

Machnął ręką.

- Nie aż tak długo, żeby mogło to spowodować uszkodzenie komórek nerwowych.

Bree chciała wiedzieć.

Ten czas, kiedy obserwowała operację, wydawał jej się wiecznością.

Unosiła się w górze, widziała jasne światło i miała poczucie całko witego, bezkresnego szczęścia.

Ile to mogło trwać?

Se kundy?

Minuty?

- Praktycznie nie było przerwy w dopływie krwi do mózgu - mówił doktor.

- Nie ma powodu do obaw.

To nie była odpowiedź na jej pytanie.

Spróbowała od innej strony.

- Czy dużo osób asystowało przy operacji?

- za częła.
- Ile osób znajdowało się w sali operacyjnej?
- Bree widziała pięć osób.
 - Było nas siedmioro.
Trzech lekarzy i cztery pielęgniarki.
 - A w czasie kiedy moje serce się zatrzymało?
Zastanowił się.
- Nie.
Pomyliłem się.
Było nas
 pięcioro.
Jack Warren i ja, dwie pielęgniarki i Simon
 Meade z St.
Johnsbury.
Simon Meade, ten wysoki z podkrążonymi oczami.
 Ten sam, który zaaplikował jej elektrowstrząsy.
Musiał
 dać więcej niż jedną serię.
 - Ja to czułam - mruknęła.
Dobrze to sobie za pamiętała.
Spokój, bezkresne szczęście.
I nagle...
trrrach.
 Doktor uśmiechnął się.
- Pacjenci często twierdzą, że to czują.
To jednak wydaje się niemożliwe.
Była pa ni w pełnej narkozie.
Myślę, że dużą rolę odgrywa tu sugestia.
 - Ja to naprawdę czułam - szepnęła.
Nie chciała się klócić.
Mogły to być jakieś wspomnienia z przeszłości, sen, a może narkotyczna wizja.
Lecz przecież wiedziała dokładnie, co działo się na sali operacyjnej...
Jak to możliwe?
Na razie nic z tego nie potrafiła zrozumieć.
49 .

Oczywiście wielokrotnie czytała o doświadczeniach "życia po życiu".

Patrzyła na te sprawy z przymrużeniem oka.

A może teraz uległa sugestii.

A może to wszystko jej się śniło.

Jednak sny, nawet najstraszniejsze, szybko się zapominają.

Przynajmniej zawsze tak jej się wydawało.

Ten nie chciał odejść w niepamięć.

Wręcz przeciwnie.

Bree przypominała sobie coraz nowe szczegóły.

To ją męczyło.

Nie mogła z nikim o tym porozmawiać.

Przyjaciele, poganiani przez pielęgniarki, przychodzili tylko na chwilę.

Życzyli zdrowia i pytali, czy czegoś nie potrzebuje.

Poza tym to wszystko było tak dziwne, że nie potrafiła o tym mówić.

Flash był jedynym, któremu pozwalano zostać dłużej.

Przybył późnym popołudniem z talerzykiem ciasteczek z zajazdu.

Bree już nie spała, ale jeszcze niczego nie jadła.

Bolał ją brzuch.

Bolała ją cała całość - ramię, biodro, nogi...

Ostatnie, co czuła, to głód.

Pić chciała, owszem, ale na pewno nie jeść.

- Nawet jednego małego ciasteczka?

- błagał Flash.

- Przyniosłem paluszki, twoje ulubione.

- O, to ty je uwielbiasz - rzekła schrypniętym głosem i jej twarz znów wykrzywił grymas bólu.

Próbowała wyciągnąć rękę po kubek z wodą, który stał przy łóżku.

- Chcę pić.

Pomóż mi, Flash, nie mogę dosięgnąć.

- Kiedy przysunął kubek, przytknęła go do ust.

Udało jej się wypić kilka łyków.

- Co my tu mamy!

- zawołał Flash, podchodząc do okna.

Na parapecie stał wielki okrągły wazon, a w nim artystycznie ułożony bukiet kwiatów - róże, geranium, pelargonie, coś fioletowego i białe kruszycy, przybrane ozdobną trawą.

- Od Julii Dean.

To miłe z jej strony - mruknęła

Bree.

Flash znowu podszedł do łóżka.

- Rozmawiałem z lekarzem.

Wypiszą cię już za pięć dni.

Ale w domu będziesz musiała leżeć.

Zatrudniłem Jillie na czas twojej nieobecności, ale gdyby potem męczyło cię kelnerowanie albo chciałybyś zająć się tylko kasą i księgowaniem, mogę ją przyjąć na stałe.

Ale i tak będę ci płacił, nawet gdybyś tylko miała siedzieć i pomagać mi w pilnowaniu interesu.

Tak czy inaczej będę ci płacił.

Nie musisz się niepokoić z tego powodu.

Bree nie bata się o pieniądze.

Nie zastanawiała się jeszcze nad przyszłością.
Nie myślała o tym, co będzie, gdy wyjdzie ze szpitala.
Musiała najpierw uporządkować to, co się wydarzyło.

- Umarłam na stole operacyjnym - powiedziała.

- Nie, Bree, nie umarłaś - zaprzeczył Flash.

- Twoje serce zatrzymało się na kilka uderzeń.

Potem znowu zaczęło pracować.

To nie była śmierć.

Jednak Bree nie dała się zbyć.

Uważała Flasha za najlepszego przyjaciela.

Musiała mu opowiedzieć, co się zdarzyło.

- Ja...

wiedziałam, kiedy to się stało...

Czułam...

Patrzył sceptycznie.

- Co czułaś?

- Opuściłam ciało i...

Przeszłam przez sufit...

Tam była taka jasność i miałam poczucie, że...

- Tak samo ja - przerwał jej.

- Kiedy Eliot po wiedział mi o wypadku, poczułem się potwornie.

Nie doszłoby do tego, gdybym cię wtedy odwiózł do domu.

Ten łajdak, który prowadził furgonetkę...

Wcale jej nie słuchał.

Mówił o czym innym.

Bree, zdenerwowana, przymknęła oczy.

Nadal jednak nie chciała dać za wygraną.

- Czy wiesz coś o doświadczeniach "życia po życiu"?

- Zmusiła się, by zadać mu to pytanie.

- Nie wierzę w raj czy piekło, jeśli o to ci chodzi - powiedział.

- Po prostu, kiedy człowiek umiera, wszystko się kończy.

- Machnął ręką z lekceważeniem.

- Nie przejmuj się.

Grunt, że wyszłaś z tego cało.

Flash nie wierzył w Boga.

Mówił jej o tym wiele razy.

Nie zgadzała się z nim, ale szanowała jego przekonania.

Wiedziała, że studiował historię sztuki na uniwersytecie Columbia.

Flash nie był głupi.

- A jeżeli widziałam coś, co wyglądało jak raj?

- zapytała.

- Dali ci morfinę.

To silny narkotyk.

Potrząsnęła głową.

- To nie była ekstaza po narkotyku.

- Nie?

Może nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Po słuchaj, jak niewyraźnie mówisz.

To też wpływ leków i narkozy.

- Możliwe - poddała się.

Nie było sensu się upieścić.

Nie miała pewności, czy naprawdę widziała to wszystko.

To mógł być sen lub, rzeczywiście, wpływ leków.

Pamiętała jednak tamto niezwykle zjawisko, tę światłość, czuła jakby spłynęło na nią jakieś błogosławieństwo...

- Ja zwykle nie wierzę w takie rzeczy jak to

- mruknęła zawiedziona.

Zależało jej na rozmowie.

- Do licha, gadasz głupoty jak ta nawiedzona Verity - oburzył się Flash.

- Czy chciałabyś, żeby ludzie naśmiewali się z ciebie tak jak z niej?

- Ale ja widziałam tak, jakby to się działo naprawdę - błagała o zrozumienie.

- Już ci mówiłem, że to wpływ morfiny albo może narkozy.

To przejdzie.

- Potem dodał bardziej ze strachem niż z humorem: - Jesteś rozsądną dziewczyną i musisz mocno stąpać po ziemi.

I właśnie taka jesteś mi potrzebna w pracy.

Nie wygłupiaj się, dobrze?

Bree nie wygłupiała się.

Flash miał rację, zawsze była rozsądna.

Za każdym razem jednak, kiedy zamykała

52

oczy, powracał obraz sali operacyjnej.

Unoszenie się nad stołem coraz wyżej i potem znowu tamta światłość.

Nie opowiedziała Flashowi nawet połowy tego, czego tam doznała.

Ta zagadka męczyła ją.

Była ekscytująca, niezwykła, choć zarazem przerażająca.

I nadal miała silne wrażenie, że to wszystko, co widziała w sali operacyjnej, działo się w rzeczywistości.

W pokoju panował półmrok.
Bree znowu śniła o sali operacyjnej.
Unosiła się coraz wyżej i patrzyła na wszystko z góry.
Tym razem widziała ciemne zna mię na karku jednej z pielęgniarek.

Obudziła się świadoma, że to wcale nie był sen.
Na prawdę widziała to znamię na sali operacyjnej tamte go wieczoru.
Nie rozumiała jednak, jak to było możli we.
Przecież leżała nieprzytomna z zamkniętymi oczami.
Istniał tylko jeden sposób...

Wstrząśnięta odkryciem, zmusiła się, żeby otworzyć oczy.
Jedynym światłem w pokoju była stojąca w rogu lampka nocna.
To delikatne światło, nie tak ostre jak lampa nad głową, dodawało otuchy.
Bała się, że się obudzi w całkowitej ciemności i zacznie się zastana wiać, w jakim jest
świecie.

Przez jakiś czas leżała bez ruchu.
Próbowała od dzielić ból od innych potrzeb.
Musiała zdecydować, co powinna zrobić i w jakiej kolejności.
Na pewno chciało jej się pić.
Usta miała spierzchnięte.
Wycią gnęła rękę, by uchwycić drążek nad głową i spróbo wać usiąść.

Nagle w rogu pokoju, koło lampki, ożyła jakaś po stać.
Żrenice Bree rozszerzyły się ze zdziwienia.
Z krzesła stojącego w kącie sali wstał mężczyzna.
Wy soki, szczupły, o szerokich ramionach.
Jego długie

r

brązowe włosy sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie wi działały fryzjera.
To mógł być tylko Tom Gates.

Nalał z dzbanka do kubeczka świeżej wody, włożył słomkę, żeby łatwiej jej było pić i podtrzymał jej plecy ramieniem.

- Nie używaj jeszcze mięśni brzucha.

Po zwól, że ci pomogę.

Zastanawiała się, skąd on, do licha, mógł się tutaj wziąć.

Ale miała tak spierzchnięte usta, że nie była w stanie zapytać.

Rzeczywiście, ból okazał się znacz nie mniejszy, kiedy Tom podparł ramieniem jej plecy.

Piła małymi łykami, robiąc długie przerwy.

- Dla czego tak mi się chce pić?

- szepnęła.

- Po narkozie.

Przez kroplówkę ciągle dostawałaś płyny, ale najwidoczniej one nie działają.

- Oj, działają - westchnęła.

Drugie na liście jej potrzeb było wyjście do toalety.

-Ach, tak...

- Postawił dzbanek z wodą na stoliku.

- Mam zadzwonić po pielęgniarkę, żeby ci pomogła?

- Nie.

Już przedtem próbowałam wstawać...

Gdybyś mi tylko pomógł przejść przez pokój...

- Odrzuciła kołdrę i przysunęła nogi bliżej krawędzi łóżka.

Czuła ból i zmęczenie.

Spociała się.

Oddychała szybko i płytko.

- Może cię zaniosę.

- Nie - zaprotestowała.

- Potrzebuję spaceru.

Powiedzieli mi, że jak będę trochę się ruszać, to szyb cieją się zagoi.

Dość tego lenistwa.

Patrzył na jej spuchnięty policzek.

- Jedyńy sposób to czas i odpoczynek.

- Spuścił wzrok.

- Przykro mi, Bree.

Gdybym w jakiś sposób mógł uniknąć tego wy padku, zrobiłbym wszystko, co możliwe.

Wiedziała już o tym.

Eliot powiedział jej o wypad ku.

Tom zawsze traktował ją przyzwoicie.

Był grzeczny i dawał sute napiwki.

Poza tym pamiętała przebieg wy darzeń aż do chwili, kiedy została uderzona.

Tom je chał dżipem, nie furgonetką.

Znała jego samochód.

54

Spojrzała na zszytą ranę na jego policzku.

On także nie wyszedł bez szwanku z tego wypadku.

Najpiękniej sze, że siedzi tu przy niej wspaniały Thomas Gates.

Trudno było obrócić się na łóżku.

Być może, gdyby czuła się lepiej, krępowałaby się poprosić go o pomoc.
Teraz jednak nie miała chęci rozmawiać z nim o książkach.
Jej obolałe ciało dopominało się o swoje prawa.

Przytrzymując opatrunek na brzuchu, centymetr po centymetrze zsuwała nogi poza krawędź łóżka.

Udało jej się uspokoić oddech.

Stanął na nogi, podtrzymała wana silnym ramieniem Toma.

Zaprowadził ją do łazienki.

Szła bardzo powoli.

Nie myślała, że Tom potrafi być aż tak opiekuńczy.

Dodawał jej siły.

- Przyniosłem ci galaretkę - powiedział.

Skinęła głową.

Położyła się.

Przymknęła oczy.

I znowu ujrzała świetlistą postać, która pomagała jej znosić ból.

"i"?

Musiała się zdrzemnąć, bo kiedy znowu otworzyła oczy, wskazówka zegara ściennego przesunęła się z dziewiątej na dziesiątą.

Weszła pielęgniarka.

Sprawdziła opatrunek, zbadała puls, podała środki przeciwbólowe.

Bree szukała pieprzyka na jej karku, ale światło było za słabe, a może pa trzymała od innej strony.

Ledwie kobieta wyszła z sali, Bree przypomniała sobie Toma.

Wzrok jej powędrował do stojącego w rogu pokoju krzesła.

Tom siedział z rękoma założonymi na brzuchu.

Na kolanach trzymał książkę.

To mogło oznaczać, że planował pozostać tu jakiś czas.

Nie wyglądał na sławnego człowieka, raczej na bardzo zmęczonego.

Miał zamknięte oczy.

W pierwszej

chwili myślała, że śpi.

A potem zauważyła, że się uśmiechnął.

Nigdy przedtem nie widziała, żeby się uśmiechał, ale teraz to znaczyło dla niej coś więcej.

Pamiętała do tyk jego rąk.

Wyobraziła go sobie, jak pisze książkę.

Potem zaczęła się zastanawiać, jakie prowadził życie, zanim przyjechał do Panamy.

Myślała o ludziach, z którymi się spotykał.

Sławne aktorki z Hollywood, bogaci biznesmeni, milionerzy...

Nie była przy nich ni kim ważnym.

I zaczęła się głowić, co on tu robi, niemal przyklejony do krzesła w rogu sali.

Nie chciała jednak o tym rozmawiać.

- Jak tego dokonałeś, że pielęgniarki pozwoliły ci zostać?

- zapytała.

Wyprostował się.

Otworzył oczy.

- Przekonałem je, że mogę się przydać.

Powiedziałem, że jak będę ci pomagać, one będą miały mniej pracy.

- Czy one wiedzą, że piszesz książki?

Przez chwilę panowała ciężka cisza.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Tom.

- Kto ci powiedział?

Eliot?

- Tak.

- Wolałbym, żebyś o tym zapomniała.

Nie wiem, czy jeszcze kiedyś coś napiszę.

Przeżywam kryzys.

Muszę przemyśleć różne sprawy.

Dlatego tu przyjechałem.

- I co?

Podoba ci się tutaj?

- Nie wiem.

Na pewno moje życie jest tutaj inne.

Nie wiem, czy właśnie tego chciałem.

- Nie powiem nikomu.

- Ty nie powiesz.

Wystarczy, że Eliot piśnie słówko burmistrzowej.

Plotka dotrze do Dotty, a potem już cały świat będzie wiedział.

- Westchnął.

- Wcze śniej czy później i tak by się dowiedzieli.

Odłożył książkę.

Podniósł się z krzesła.

- Trudno.

Najwyżej się dowiedzą.

Powiedz mi lepiej, jak się czujesz.

56

Bolał ją brzuch, a usta miała wysuszone na wiór.

Na gle coś jej się przypomniało.

- Mówiłeś coś o galaretce?

- Powiedz tylko, że chcesz, a zaraz dostaniesz.
Wo lisz truskawkową czy wiśniową?
- Wiśniową.
- Zaraz dostaniesz.
Chcesz przedtem pójść do ła zienki?
- Poproszę.
Pomógł jej tam dojść i wrócić.
Poprawił poduszkę.
Pomógł Bree ułożyć się wygodnie.
Podał wodę.
Przytrzymał kubek przy ustach.
Poszedł po galaretkę.
Rozbroił ją zupełnie, kiedy zaczął ją karmić.
Dał jej chwilkę odpocząć.
Przysunął sobie krzesło.
Szło mu opornie, ręka drżała, bolało ramię.
Czuła się potwornie słaba.
Pamiętała, że jeszcze tak niedawno była silna i sprawna.
Myśl o świetlistej postaci nie mogła tu pomóc.
Potrzebowała czasu, żeby odzyskać siły.
Chciała opowiedzieć Tomowi, co ją spotkało.
Ni czego sobie nie wymyśliła.
Doświadczenie "życia po życiu" zdarzyło się naprawdę.
Światłość istniała i to wszystko było prawdziwe.
Obawiała się jednak, że po dejdzie do tego sceptycznie.
Szczególnie teraz, kiedy wiedziała, kim on jest.
Skończyła galaretkę.
Pozwoliła mu ułożyć płasko poduszkę.
Zamknęła oczy i zapadła w sen.
Budziła się powoli.
Nie otwierała oczu.
Nie ruszała się.
Myślała najpierw o świetlistej kuli, ponieważ o tym śniła.
Potem o nocnej ciszy i o brzuchu.
Gdy je den z lekarzy ją badał, zerknęła na to, co było pod opatrunkiem.
Wiedziała już, że zostaną jej po tej ope racji dwie blizny, krzyżujące się na środku brzucha.
Na pewno nie była to wygórowana cena za uratowanie ży cia.
Ale nie wyglądało to ładnie.

Pamiętała też, jak patrzyła z góry na swój brzuch, roz krojony przez chirurgów.
To było zupełnie jak scena z filmu, nie urywek wspomnień.
Z trudem przyszło jej uwierzyć, że to ciało należało do niej.
To też budziło odrazę.

Pomyślała, że może rzeczywiście przypomniał jej się jakiś film, albo po prostu to był tylko taki wyrazisty sen.

Tyle że nigdy w życiu nie czuła się taka szczęśliwa jak w obecności świetlistej postaci.
Nawet w szkolnych czasach, kiedy paliła z Curtisem Lambem trawkę, nie doznała nigdy niczego podobnego.

Z westchnieniem otworzyła oczy.

Spojrzała na zegar.

Minęła druga.

Potem znowu jej wzrok powędrował w kąt sali.

Mężczyzna siedział na krześle i czytał.

Tego też nie potrafiła zrozumieć.

Może mu jednak opowiedzieć o świetlistej postaci...

Bała się, że ją wyśmiej.

To prze cież Thomas Gates, mówiła sobie w myślach.

Jakby usłyszał bezgłośnie wypowiedziane swe imię, drgnął nerwowo.

Zobaczył, że się obudziła.

Przetarł oczy i uśmiechnął się do niej.

I wtedy doszła do wniosku, że to nieważne, czy ją wyśmiej.

I tak nie mieszka na stałe w Panamie.

Wyjedzie i wszelki ślad po nim za ginie.

Nie warto się przejmować.

- Czy jesteś zmęczony?

- zapytała ostrożnie.

- Nie.

Przespałem większość dnia.

- Nie musisz mi pomagać.

Ten wypadek nie był twoją winą.

- Ja nie dlatego - mruknął.

- To po co?

Zastanowił się.

- Siedziałem przy tobie na śniegu.

Czekałem, aż przyjedzie ambulans.

Potem czekałem pod salą operacyjną.

Denerwowałem się.

Pytasz, dla czego tu jestem.

Nie wiem, chcę być teraz przy tobie.

Zapomniała o swoich obawach.

- Byłeś wtedy, gdy miałam operację?

Skinął głową.

58

- Jak wiele powiedziano ci o przebiegu tej operacji?

- Wystarczająco - odparł.

To zabrzmiało ciepło, zachęcająco.

To nic, że może ją wyśmiać.

Zapomnij, kim on jest, mówiła sobie w myślach.

Wyjedzie z miasta, wróci do swojego życia.

Jeśli nawet uzna cię za wariatkę, to naprawdę nie będę się liczyć.

Tom znowu zaczął czytać.

Zamknęła oczy, wsłuchana w szelest przekładanych kartek.

- Powiedzieli ci o za trzymaniu akcji serca?

- zapytała, nie otwierając oczu.

- Och, tak.

- W jego głosie słyhać było ślad tam tego zdenerwowania.

- Bali się o moje życie?

- Bardzo - odparł z przejęciem.

- Czy wierzysz w takie różne rzeczy...

Nie była pewna, jak nazwać to, co przeżyła.

- Takie coś, co nazywają niektórzy doświadczeniem "życia po życiu"?

Milczał.

- Nie wiem - rzekł po chwili.

- Znasz kogoś, kto przeżył coś takiego?

- Nie.

Ale to niczego nie oznacza.

- Odłożył książkę.

Wstał i przysunął krzesło bliżej łóżka.

- A doznałaś czegoś takiego?

Oczekiwała kpiny, ale on był poważny.

- Chyba tak.

Nigdy nie wierzyłam w takie rzeczy - przyznała.

- Ani ja.

Ale być może tu nie chodzi o wiarę, tylko o coś zupełnie innego - zastanowił się.

- Co czułaś?

- Widziałam...

- zaczęła Bree i zamilkła przestraszona swoją odwagą.

Gardło miała przeraźliwie suche.

Tom pochylił się i podał jej kubek.

- Napij się.

Poprawił jej poduszkę.

Odwrócił na drugą stronę,

świeżą i chłodną w dotyku.

Potem usiadł na krawędzi

łóżka.

- Opowiedz o tym, co widziałaś.

- Wydawał

się poważny, szczerze zainteresowany.

Nabrała odwagi.

- Po pierwsze słyszałam i widziałam wszystko, co działo się na sali operacyjnej.

Wtedy, kiedy zatrzymała się akcja serca.

Jakby coś...

wyśliznęło się z mojego ciała i uniosło w górę.

Patrzyłam na nich w dół.

Widziałam, jak podłączają mnie do aparatu reanimacyjnego.

Spadało ciśnienie krwi, nie mogłam oddychać.

Naprawdę bali się o mnie.

Wstrzykiwali adrenalinę...

Patrzyłam na to, ale czułam spokój.

- Teraz, gdy to mówiła, też poczuła napływającą falę spokoju.

- Nie bałam się, ponieważ byłam z tym...

z tą świetlistą postacią, taką miłą dla mnie.

- Nie rozumiała tego, co się wówczas wydarzyło, ale słowa znajdowały ujście.

- Ta postać nie miała rąk, które mogłabym zobaczyć, ale na mój widok szeroko otworzyła ramiona.

Była silna, ale zarazem delikatna i pełna mocy.

Wzięła mnie do siebie, łagodna i pełna blasku, miła i słodka.

Kochała mnie.

Gwałtownie umilkła, przestraszona, że w swoich zwierzeniach trochę się zagalopowała.

Tom jednak wyglądał na zaintrygowanego.

- Co się potem stało?

- Myślisz, że mi się to zdawało?

- Nie.

- To jest bardzo dziwne.

- Powiedz mi, co się wydarzyło później.

- Zaaplikowali mi elektrowstrząsy.

Musieli robić to dwukrotnie.

Za każdym razem to wstrząsało całym moim ciałem.

To naprawdę jest takie, jak się widzi w telewizji.

Tylko wcale nie zabawne, kiedy dotyczy własnego ciała.

To okropne obserwować, a przed wszystkim odczuwać coś takiego.

- Czułaś to?

- zapytał.

- Ten ostatni raz.

Przedtem byłam razem z tą po stacją bardzo szczęśliwa i spokojna.

Czułam ulgę.

- Ulgę?

Dlaczego?

60

Nie była pewna.

- Może dlatego, że to istnieje - szepnęła.

- Czy myślisz, że to istnieje, czy to był raj?

- Nie wiem.

Czy widziałaś tam coś oprócz tego zjawiska?

Potrząsnęła głową.

Znowu sięgnęła po wodę.

Podał jej kubek i przytrzymał przy ustach.

- Jak to wyglądało?

Wypiła kilka łyków.

- To było tylko światło.

Ta po stać nie miała twarzy, ale śmiała się do mnie.

I była piękna, mówiła...

- Zawahała się.

- Nie było głosu.

Po prostu...

czułam myśli.

- Jakie to były myśli?

- Nie jestem pewna, czy znajdę na to słowa - po wiedziała.

Sama jeszcze nie zdążyła tego przemyśleć, jeszcze nie przypomniała sobie wszystkich szczegółów.

To mogło okazać się bardzo głupie.

Nie chciała się zbłądzić przed obcym człowiekiem, w dodatku tak przy stojnym.

Mimo wszystko odezwała się w niej duma.

Wziął od niej kubek.

Odstawił na tackę.

Zapytała szeptem.

- Już idziesz?

Potrząsnął głową.

- Jeszcze trochę tu zostanę.

- Nie musisz.

Będę spała.

Aż do rana niczego nie będę potrzebować.

- W takim razie po prostu sobie poczytam.

- Znowu przesiadł się na krzesło.

Usiadł wygodnie, skrzyżował stopy.

Miał na nogach kapcie.

To była ostatnia rzecz, jaką do strzegła, zanim zapadła w sen.

I jeszcze pomyślała o tym, że Tom Gates ją lubi.

Tu nie chodziło o żadne poczucie winy.

Przespała niecałe dwie godziny.

Obudził ją potworny ból.

Tom od razu spostrzegł, co się dzieje.

Podbiegł do łóżka, szybko zadzwonił po pielęgniarkę.

Morfina przyniosła natychmiastową ulgę.

Pielegniarka wyszła z pokoju.

Bree znowu została sama z Tomem.

Siedział na jej łóżku jak bliski przyjaciel.

- Nie wiesz wszystkiego o tej świetlistej postaci - odezwała się schrypniętym głosem.

- Wydarzyło się coś więcej?

- zainteresował się.

- Jeszcze dziwniejsze od tego, co mówiłam.

Nadal pamiętam myśli, które ta świetlista postać kierowała do mnie.

Albo może przekazywała telepatycznie.

To nie ważne.

- Co to było?

- Trzy życzenia.

Dostałam trzy życzenia.

- Mówiła cichym szeptem, ale słyszałam ją wyraźnie.

- Umarłam, tylko to nie był mój czas.

I zostałam odesłana na ziemię.

Z prezentem.

To trzy życzenia, które muszą się spełnić, zanim umrę.

Jakby rekompensata...

- Odszkodowanie za wypadek?

- Może.

- Bree zaczęła się zastanawiać.

- Albo za to, że nie miałam matki...

A może za ojca...

Chociaż nie mogę narzekać.

Miałam dobre życie.

Może właśnie dlatego...

- Przymknęła oczy.

- W to najtrudniej mi uwierzyć.

- Dlaczego?

Zajęło jej trochę czasu, zanim zebrała myśli, rozproszone przez morfinę.

- Życzenia prowadzą naprzód.

Reszta...

jasne światło należy już do przeszłości.

- Nie ma pewnie żadnego sposobu, żeby dowiedzieć się, że naprawdę widziałaś tę światłość.

Można za to sprawdzić, czy życzenia są fikcją - domyślił się Tom.

- Właśnie tak.

- Czy chcesz, żeby okazały się prawdą?

Skrzywiła się.

- Chyba tak.

- Nie cieszyła się aż tak bardzo tymi życzeniami, choć jeszcze nie rozumiała dlaczego.

62

- Tylko "chyba tak"?

Nie masz nic takiego, o co chciałabyś poprosić?

- Tak, mam takie rzeczy...

- Przypomniało jej się coś jeszcze.

- A więc?

Teraz już wiedziała.

Trzy życzenia, zanim umrę - powtórzyła sobie w myśli.

- Niepokoję się o to, co się stanie, gdy spełni się moje trzecie życzenie.

- Spojrzała badawczo na Toma, jednak nie znalazła w jego twarzy zrozumienia.

- Wygląda na to, że wróciłam na ziemię po to, żeby spełniły się te życzenia - dodała - ale to oznacza także, że gdy spełni się trzecie życzenie, mój czas dobiegnie końca.

Nadal nie była pewna, czy to wydarzyło się naprawdę.

To mogły być halucynacje po morfinie.

- Teraz rozumiem, co masz na myśli - powiedział.

W jego rozszerzonych źrenicach wyczytała przestrah.

- Nie ma sensu tym się przejmować - zapewniła go.

- Być może to mi się przyśniło.

- Patrzyła na To ma.

I dopiero teraz zobaczyła rany na jego ręce.

- Pokaleczyłem się, gdy chciałem się wydostać z dziupły - wyjaśnił.

- Na policzku zostanie blizna.

- Jakoś to przeżyję - uśmiechnął się.

- Taka blizna dodaje męskości.

Bree znowu poczuła senność.

Męczyła ją ta roz mowa.

- Może wypowiem życzenie, żebyś nie miał blizny.

- Ani się waż marnować życzenia na coś takiego - oburzył się.

Zamknęła oczy.

Ogarnął ją błogi spokój.

- Może powinnam wykorzystać tylko dwa życzenia - szepnęła po chwili.

- Wiesz, co mam na myśli?

- To dobry pomysł - zgodził się Tom.

Zapadła w sen.

63 .

Bree spała, kiedy Tom od niej wyszedł.
Wschodziło słońce, przysłała do pracy pielęgniarzka na dzienną zmianę.
Marzył o gorącej kąpielu i o długim, twardym śnie.
Jego ciało domagało się swoich praw.
Najpierw jednak musiał zebrać informacje.

.. i

Pojechał do domu samochodem, który wypożyczył poprzedniego dnia.
Śnieg leżał jeszcze na poboczu, ale ulice były czyste, posypane piaskiem.
Przy West Elm domy nie stały tak blisko siebie jak w centrum miasta.
Choćby z tego powodu Tomowi bardzo przy padł do gustu jego bungalow.
Po pierwsze ze względu lokalizację, po drugie dlatego, że był naprawdę uroczy, ukryty wśród zieleni, a po trzecie, bo tak bardzo różnił się od jego poprzednich domów.

Po drodze zobaczył pedałuującego na górskim rowie chłopaka roznoszącego gazety.
Był ciekaw, co pisze o wypadku lokalna prasa.
Bał się, że umieszczono także jakieś informacje o nim.
Przygotował dolarowy banknot.

- Musi pan zaprenumerować gazetę - powiedział chłopiec.
- Ja wożę tylko do stałych klientów.
- Kiedy wyjeżdżałem z Nowego Jorku, przestałem kupować prasę - wyjaśnił Tom.
- To po co pan mnie teraz zatrzymał?
- Potrzebna mi dzisiejsza gazeta.

I potem jeszcze przez parę dni chciałbym kupować.
Podał chłopcu banknot.

- Dam panu gazetę Johnsonów - postanowił chłopiec.
- Oni są na wakacjach.

Tom wziął gazetę.

Pojechał do domu.

Wszedł do kuchni.

Szybko zdjął buty.

Przejrzał gazetę.

Potem wszedł na górę.

Znajdowały się tam dwie sypialnie i duży pokój, który przed siedmioma miesiącami
mi przeznaczył na swój gabinet.

Mógł policzyć na palcach jednej ręki, ile razy tam wchodził.

Stały tam wielkie, nie rozpakowane pudła.

W oknach nie było firanek.

Na ścianach nie wisiał żaden obraz.

Na mahoniowym biurku stał zakurzony komputer.

Tom włączył go.

Sprawdził pocztę internetową.

Znalazł trzy wiadomości od Nathana Gunna.

Inni je go przyjaciele, widząc, że nie odpowiada na listy, dawno już przestali pisać.

Nathan był jego agentem.

Usił nie namawiał Toma do napisania następnej książki.

Ale przynajmniej jemu jednemu zależało na tym, żeby nie stracić z Gatesem kontaktu.

To nie było niespodzianką.

Zaraz po sprawdzeniu poczty Tom zaczął szukać w internecie wszystkiego, co dotyczyło doświadczeń "życia po życiu".

.1

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tom przeczytał dziesiątki zapisów ludzkich do świadczeń "życia po życiu".
Fragmety książek, opra cowań naukowych, wywiady z ludźmi, którzy wrócili do życia po śmierci klinicznej.

Ściągnął z internetu wszystko, co było możliwe.

Bolały go oczy od patrzenia w jaskrawy ekran komputera i widział świat jak przez mgłę.

Czuł się zbyt zmęczony, żeby się myć, choć może gorąca kąpiel dobrze by mu zrobiła.

Już świtało, kiedy ostatkiem sił dotarł do łóżka i od razu zapadł w głęboki sen.

Kilka razy, kiedy mimowolnie próbował się przewrócić na lewy bok, budził go ostry ból.

Ale zaraz potem znowu zasypiał.

Wstał dopiero wczesnym wieczorem, przeraźliwie głodny.

Wziął środek przeciwbólowy.

Zjadł reszkę pizzy, która została z poprzedniego dnia.

Nie zdołał jednak zaspokoić głodu.

Po kąpieli pojechał do zajazdu.

Drogi były czyste i suche.

Po śnieżycy pozostały jedynie tu i ówdzie brudnobiałe smugi śniegu wśród drzew.

Liście płonęły żywymi barwami, jaskrawe na wet o zmroku.

Był piękny październikowy wieczór.

Tom, wyjeżdżając z Nowego Jorku na północ, marzył o takich nocach.

I gdyby nie musiał teraz jechać do Bree, siedziałby na swojej ławeczce nad strumieniem, wsłuchany we własne myśli.

66

W zajezdzie panował gwar.

W niedzieleawsze przychodziło tu wiele osób.

Wszystkie stoliki były zajęte.

Kilka grup czekało, aż coś się zwolni.

Tom nie mógł sobie pozwolić na czekanie.

Zniecierpliwiony i głodny zdecydował się zająć ostatni wolny stół przy barze.

Kiedy wszedł, rodowy przycichły.

Słychać było skwierczenie mięsa na grillu, sześć talerzy i smutny śpiew Vince Gili.

Tom przyzwyczał się już do tego, że jest obiektem zainteresowania.

W szkole średniej był gwiazdą rozgrywek piłkarskich, na studiach członkiem misyjowskiej załogi wioślarskiej.

Zdobył sobie rozgłośnie, jako niezwykle inteligentny młody prawnik w studenckiej biurze pomocy prawnej, a gdy rozpoczął prywatną praktykę, występował w procesach, które uczyniły go znanym w całym kraju.

Jako pisarz udzielał wywiadów, pozował do zdjęć, a nawet nie miał nic przeciwko temu, by pisano o nim w plotkarskich piskach.

Nawet zła reklama była wówczas mile widziana, jednak nie teraz.

Teraz zaciekawione ludzkie spojrzenia wdierały się w przestrzeń, którą chciał oddzielić swoje życie od przeszłości.

Nie znał dobrze tych ludzi.

Mieszkańców podobnych miasteczek spotykał na kiermaszach, gdy podpisywał swoje książki.

Od takich ludzi dostawał setki listów.

Dawny Tom uniósłby protekcjonalnie dłoń mówiąc: dziękuję, dziękuję...

Hołd przyjąłem, a teraz możecie spokojnie wrócić do swoich zajęć, panowie i panie...

Nowy Tom nie wiedział, czy nagła cisza odzwiercie dla jego dawną sławę, czy może ci ludzie tutaj chcą wyrazić potępienie, że jego samochód uderzył kometę którą tak bardzo kochają.

Patrzył prosto przed siebie i pokonując onieśmienie, dotarł wreszcie do i? yssokiego barowego stołka.

67 .

Pozdrowił siedzącego po lewej stronie Franka Wrighta, który ledwie skinął głową, nie odwzajemniwszy uśmiechu.

Po prawej stronie Martin Sprague studiował menu.

Nie zaszczycił Toma spojrzeniem.

Flash pierwszy przerwał tę znowu milczenia.

Spojrzał na Toma i wytarł ręce.

Potem znowu skierował wzrok na ludzi siedzących przy stolikach.

- Czy podać coś jeszcze?

- zapytał głośno.

Następnie nie zwrócił się do Toma.

- Witaj.

Jak się czujesz?

- Jak artretyk - zażartował Tom.

Potem zapytał: - Czy widziałeś się dzisiaj z Bree?

- Wiedział, że Flash jest jej najlepszym przyjacielem.

- Właśnie od niej wróciłem - odparł.

- Dobrze o tobie mówi.

Siedziałeś z nią przez całą noc i bardzo jej pomagałeś.

Tak powiedziała.

- Dobrze, że chociaż to mogłem dla niej zrobić.

-1 jak ją znajdujesz?

- Jeszcze potrzeba trochę czasu, zanim dojdzie do zdrowia.

- Mam na myśli...

- Flash się zawahał.

- Chodzi o jej stan psychiczny.

Jest bardzo...

rozbita.

- Nie jest aż tak źle.

- Czy mówiła ci coś więcej?

- zapytał Flash.

Tom wiedział, do czego Flash zmierza.

Nie pora te raz o tym rozmawiać.

Frank i Martin, którzy siedzieli obok niego, ignorowali jego obecność, ale z pewnością uważnie przysłuchiwali się wszystkiemu.

Musiał stać rannie dobierać słowa.

- To, co opowiadała, wydało mi się spójne i logiczne - powiedział.

- Tak uważasz?

Tom skinął głową.

Flash odczuł w tym momencie wyraźną ulgę.

- Co zamawiasz?

- zapytał.

- Może pieczeń cielęcą - zastanawiał się Tom.

68

- Delikatne mięso i wyśmienity smak - pochwalił Flash swoją potrawę.

- Poproszę w takim razie.

I do tego dużą porcję wo dy z lodem.

Wiedział, że Flash chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu powiódł wzrokiem po sali i zniknął w kuchni.

Znowu zapanowała cisza.

Tom słyszał, jak chłopak stojący przy grillu mówi coś do LeeAnn.

Potem prze szła koło niego, patrząc ostentacyjnie w drugą stronę.

Frań zjadł ostatnią frytkę i teraz z uwagą przyglądał się rachunkowi.

Martin wbił widelec w kotlet wieprzowy.

Tom przyglądał się jak w listwach z nierdzewnej stali odbija się sala restauracji.

Rozpoznawał znajome twarze

- Curtis Lamb, John Dillard, miejscowi kierowcy, Sandy i Jack Swartz z małym

Tylerem oraz nierozłączne trio

- Earl, Emma i Eliot.

Ludzie raz po raz zwracali ku nie mu spojrzenia.

Nie miał wątpliwości.

Prawie wszyscy mówili teraz o nim.

Pierwszy raz w życiu przeszkadzało mu, że stał się obiektem zainteresowania.

Matka zawsze go ostrzegała, żeby uważał, czy to, do czego dąży, nie przyniesie mu więcej kłopotów niż szczęścia.

Mógł się teraz przekonać, jak bardzo miała rację.

Frank zostawił na stole garść monet i odszedł.

Jillie podała pizzę siedzącym nieopodal mężczyznom i ode szła do kuchni.

LeeAnn przeszła obok, niosąc brudne talerze.

Żadna z nich nie spojrzała na Toma.

Czuł się jak trędowaty.

Zawsze taki zaradny i pełen pomysłów, teraz nie umiał nic na to poradzić.

Flash postawił przed nim szklankę wody z lodem.

- Słyszałem, że twój dziup całkiem się rozsypał - po wiedział.

- Pęknięta oś.

Nie opłaca się naprawiać - wyjaśnił Tom.

- Kupujesz nowego dżipa?

- Dżipa?

Nie, raczej coś większego.

69 .

- Dla bezpieczeństwa?

Na pewno tak, pomyślał Tom i kiwnął głową.
Flash odszedł.

W nierdzewnej stali jak w lustrze Tom widział wchodzących gości.

LeeAnn miała dużo roboty.

Ledwie zdążyła uprzątać, już siadali następni klienci.

Martin Sprague przyłożył do ust papierową serwetkę.

- Słyszałem, że jesteś prawnikiem - mruknął do Toma, nie patrząc mu w oczy.

Tom, gdyby tylko mógł, zaprzeczyłby temu.

Teraz jednak było na to za późno.

Wiedział, że plotka obie gła całe miasteczko.

- To prawda - musiał przyznać.

- Pracowałem przedtem jako prawnik.

- Nie potrzebujemy w Panamie prawników.

- Nie mam zamiaru rozpoczynać tutaj praktyki.

- To dobrze.

Ja robię tu wszystko, co jest konieczne.

Tom mógł to zrozumieć.

W Panamie, praktycznie f j rzecz biorąc, przestępczość nie istniała.

Odkąd tutaj j przyjechał, słyszał tylko o jedynym wykroczeniu - s o wybryku czteroletniego dziecka, które ukradło coś z wystawy.

Martin Sprague był starszym człowiekiem i być może nie nadążałby za tempem przemian w tym mieście.

Tu jednak radził sobie doskonale.

- Jest pan jedynym prawnikiem w Panamie?

- za pytał Tom.

- Tak.

Nie mamy tu dużo roboty.

- Jakimi rzeczami pan się zajmuje?

- Niczym takim, co mogłoby pana zainteresować - rzekł Martin, po czym zwrócił się ostrym, donośnym głosem do LeeAnn.

- Poproszę rachunek.

Tom trzymał w dłoni szklankę z wodą.

Po chwili po czuł, że opuszki palców zaczynają marznąć.

To poma gało wytrzymać.

Nie czuł się najlepiej.

Martin wziął od LeeAnn rachunek i szybko podszedł do kasy.

Do Toma przysiadł się teraz Eliot Bonner.

70

- Wykazał pan dużo odwagi, przysiadając się do mnie - rzekł Tom z lekką ironią.

- Wszyscy się ode mnie odwracają.

Co mają mi do zarzucenia?

To, że je stem pisarzem, czy to, że bratem udział w tym wypadku?

- Prawdopodobnie chodzi o jedno i drugie.

Nikt się nie zastanawia, kto spowodował wypadek.

- Hm, trudno.

Ja też poniosłem straty.

Dżip nada je się na złom, a ja sam jestem w niewiele lepszym stanie.

- Pomyślał, że najważniejsza jest tu Bree.

- Czy natrafiono na ślad furgonetki?

- zapytał.

- Znikła jak kamfora.

Kontaktowałem się z policją stanową.

Mam nadzieję, że uda im się złapać tego bandziora.

Zdarzyło się w tym czasie kilka innych wypadków.

Aresztowano sprawców, ale żaden z kierowców nie jechał furgonetką.

Aż trudno w to uwierzyć, przecież wiadomo, jaki to popularny rodzaj samochodu.

Ale trzeba tu dużo szczęścia - uśmiechnął się.

- Bree mówi, że furgonetka była czarna, pan, że niebieska, ślady wskazują na to, że ciemnobrązowa.

- Przyjmijmy, że ślady mówią prawdę - stwierdził Tom i skupił uwagę na pieczeni cielęczej, którą właśnie mu przyniesiono.

Mięso okazało się istotnie delikatne, miękkie, polane wyśmienitym sosem.

Jadł z apetytem.

Do tego po dano ziemniaki i fasolkę szparagową, tak samo smaczne.

W Nowym Jorku nie mógł liczyć na tak dobre jedzenie.

- Rozmawiałem z ludźmi z miasteczka, którzy posiadają podobne samochody.

Każdy z nich ma alibi.

Na żadnym samochodzie nie ma śladów wypadku.

- A co z podobnymi samochodami w sąsiednich miasteczkach?

- zapytał Tom po przełknięciu kilku nastu kęsów.

- Nadal szukamy.

Bree mówi, że to nie jest ważne.

Cieszy się, że żyje i nic innego nie ma znaczenia.

71 .

Tom odłożył widelec.

- A ja sądzę, że to ma znaczenie.

Warto, żeby osoba jeżdżąca w ten sposób zastano widać się choć przez chwilę.

Ten człowiek chyba nawet nie wie, że została potrącona dziewczyna.

Mógł uznać to za zwykłą stłuczkę.

Można go znaleźć.

Opowie znając o wypadku, zgłosi się do warsztatu, odbierze pieniądze z ubezpieczenia.

- Tom zdał sobie sprawę, jak bardzo go to zirytowało.

- Kto może wiedzieć, czy następnym razem, jak spadnie śnieg, nie wjedzie w grupę dzieci przechodzące przez ulicę albo nie zrobi czegoś jeszcze gorszego.

- Proszę jej o tym powiedzieć.

- Może był pijany.

A może jest kretynem.

Jak może na potrafić kogoś i tak po prostu sobie odjechać.

Do diabła, przecież on ją prawie zabił.

Bonner patrzył teraz na listwy z nierdzewnej stali.

- Słyszałem, że umarła na stole operacyjnym.

Przywrócili ją do życia.

Podobno twierdzi, że widziała, jak jest w raju.

Opowiadała panu coś o tym?

Tom chciał odrzec, że prawnik nie przekazuje dalej informacji powierzonej mu przez klientów.

Ale to nie był tego typu układ.

Nawet nie zaliczał się do jej przyjaciół.

Mimo wszystko lojalność obowiązywała.

- Raj?

- powtórzył jak echo.

- O czym miała mi mówić?

- Nie, nie, nic takiego - zaczął się wycofywać Eliot.

Mój kuzyn pracuje z Paulem Sealy.

Bree mówiła coś o raju.

Tom mógł sobie wyobrazić, jaką drogę przebyła plotka.

Paul powiedział pracownikowi, tamten Eliotowi, dowiedzieli się Emma i Earl.

A Emma poinformowała Dotty i już wiedziało całe miasteczko.

- Czy nie poprosiła go o to, żeby zachował to w tajemnicy?

- zapytał.

Zdenerwował się w imieniu Bree.

- Kto wie?

Proszę spojrzeć na to z innej strony.

Ona nie oskarża Paula.

Nawet nie dba o to, żeby znaleźć

72

sprawcę wypadku.

Gdy miał wypowiedzieć swoją opinię, za dużo się teraz mówi o tym życiu po życiu.

Ale nie mogę winić za to Bree.

Miała poważną operację.

Do stała silne leki.

Nic dziwnego, że mogła ulec halucynacjom.

Miała do tego pełne prawo.

- Przerwał napił się piwa.

Odchrząknął.

- Słyszałem, że byłeś w telewizji w CNN Talk Show.

I to nawet dwa razy.

Hm...

Progra my Larryego Kinga cieszą się dużym uznaniem.

Tom rozejrzał się po sali.

- Podobnie w ABC w "Twenty-twenty" Barbary Walters.

Te jej wywiady w zaciszu domowym...

Ona zawsze zauważy to, co trzeba.

- Jest pan doskonale poinformowany - mruknął Tom.

- Taki mój zawód - rzekł z dumą Eliot.

Larry King, ten facet z szelkami i w okularach w grubej czarnej oprawie...

On nie przeprowadza wywiadów z byle kim, o nie..

Tom spojrział na niego, potem znowu rozejrzał się wokół.

Panowała niczym nie zmacona cisza.

Wszyscy w restauracji patrzyli na niego.

Już teraz nikt się z tym nie krył.

Próbując opanować złość, zajął się znowu swoją pieczęcią.

- Dwa razy w programie Larryego Kinga - po wtórzył Eliot.

- Musiałeś mu się spodobać.

- Spodobało mu się to, co robiłem - mruknął Tom.

Zjadł jeszcze kilka kęsów.

Potem dodał: - Opi sywałem ciekawe sprawy sądowe.

Z takich rzeczy dość łatwo zrobić kasowy film, który budzi zainteresowanie.

Dokończył pieczęć.

Kiedy odsunął talerz, był już gotów do działania.

Musiał to załatwić szybko, zanim dowiedzą się o tym wszyscy w miasteczku.

Rozejrzał się po sali.

- Kupiłem dom w Panamie, ponieważ wydawało mi się, że tutaj ludzie szanują się nawzajem - powiedział

73 .

głośno stanowczym tonem.

- Nie lubię, jak wypytuje się mnie o przeszłość.

Chcę mieć prawo do prywatności.

Wybrałem Panamę, bo-leży dość daleko od Nowego Jorku i wydawało mi się, że tu znajdę spokój.

Gdybym chciał, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie jestem, zadzwoniłbym do "Timesa" i od razu narobiłoby się zamieszanie.

I proszę przyjąć do wiadomości - rzekł z naciskiem - jeżeli pojawią się tu jacyś dziennikarze, od razu sprzedaję dom i przenoszę się gdzie indziej.

r

Tom na wzmiankę o Larrym Kingu stracił apetyt.

Nie dlatego żeby Larry King, Barbara Walters albo któryś z dziennikarzy przeprowadzających z nim wywiady zapędził go w kozi róg.

Zadawano mu pytania wcześniej uzgodnione, sam był współautorem wielu z nich.

Kreował swój image i wykorzystywał do tego wszystko, co możliwe.

I wówczas był dumny z tego, że wystąpił w znanych programach telewizyjnych.

Teraz na samo wspomnienie przeszłości żołądek podszedł mu do gardła.

Jednak musiał coś zjeść z czy stego rozsądku.

Planował zostać dłużej w szpitalu i nie mógł być głodny.

Wypił jeszcze dwa kubki kawy i za mówił deser na wynos.

Kiedy Tom zaczynał szkołę średnią, miał metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Całkiem sporo, jeśli się nie ma ambicji dostać się do drużyny futbolowej.

Przez całe wakacje zarabiał malowaniem domów w dzień, a wieczorami trenował.

Opalił się, lecz miał szczupłą sylwetkę, nie muskularną jak starsi chłopcy grający w futbol.

74

- Masz mięśnie jak stal - powiedziała mu matka w przeddzień eliminacji, gdy pogrążony był czarnych myślach.

- To nie ma znaczenia.

I tak się nie dostanę.

Jestem za mały.

- Małość to stan umysłu - odparła matka.

Poprawiła leżące na sofie poduszki.

- Idź z głową podnie sioną wysoko do góry.

Będiesz wyglądał na znacznie wyższego.

Patrz przeciwnikom w oczy.

Będą myśleć, że jesteś potężniejszy.

Uznaj sam siebie za dobrego piłkarza, a inni też cię tak będą traktować.

Słowa matki pomogły.

Dostał się do reprezentacji.

Kiedy zdawał maturę miał już metr dziewięćdziesiąt wzrostu i muskularną sylwetkę.

Kłopoty ze wzrostem należały do przeszłości.

Nie musiał już udawać kogoś, kim nie był, ale zaszczepiona w nim wtedy pewność siebie pozostała.

Nie opuszczana go także teraz.

Już trzeci dzień z rzędu wchodzi do szpitala, kiedy godziny wizyt już się skończyły.

Chciał znowu zostać z Bree na noc.

Z głową podniesioną do góry, spokojnym krokiem minął recepcjonistkę, jak gdyby chodzenie o dowolnej porze po szpitalu było jego świętym prawem.

Zresztą z pewnością wszyscy już wiedzieli, kim on jest.

Dopiero później poczuł strach.

Bree nie było w po koju.

i?

Siedziała w fotelu końcu korytarza.

Panował tu pół mrok.

Z głośników dochodziła łagodna, tęskna melodia.

Bree lubiła muzykę klasyczną.

W tej chwili bardzo tego potrzebowała.

Pokój wydał jej się przygnębiający.

Sz szczególnie te raz, kiedy ostatni znajomi poszli do domu.

Zegnali ją

75 .

ciepło.

Życzyli szybkiego powrotu do zdrowia.

Mówi li, jak bardzo za nią tęsknią.

Jej doświadczenie "życia po życiu" ewidentnie uznali za halucynacje, po kó rych nie zostanie ani śladu, jak tylko umysł zacznie funkcjonować prawidłowo.

Tylko rzecz w tym, że umysł miała całkowicie jasny.

Dużo spała, nie brała już środków przeciwbólowych.

Wspomnienie tego, co wydarzyło na sali operacyjnej, stało się jeszcze bardziej wyraziste.

Nie opowiedziała o tym swoim przyjaciołom.

Nie wykazywali zaintereso wania tymi jej przeżyciami, a ona nie miała siły ich przekonywać.

Siedząc w mroku korytarza, wsłuchana w łagodny szelest ciepłego październikowego wiatru, nie mogła wprost uwierzyć, że trzy dni temu była taka śnieżycą.

Jeszcze trudniej było jej uwierzyć w to, że umarła, po szła do nieba i wróciła stamtąd.

Wszystko to było tak krystalicznie przejrzyste, a jed nocześnie tak nierealne.

Nierealna była taka śnieżycą o tak wczesnej porze.

Nierealne było to, że znalazła się na Birch Hill właśnie w tym czasie.

Nierealne były wszystkie zdarzenia w sali operacyjnej, obserwowane z góry.

Ten absolutny spokój, który ją ogarnął, i ta ja sność...

I ten milczący gość w zajeździe Flasha, który okazał się słynnym Thomasem Gatesem.

Thomas Gates.

Prawda wymieszała się z fikcją.

Można było w nic nie wierzyć.

Albo we wszystko.

Zrobiło się chłodno.

Bree szcześnie otuliła się szła frokiem.

Próbowała się podnieść i podwinąć pod sie bie zmarznięte stopy, jednak unieruchomił ją przeni kliwy ból brzucha.

Znała Thomasa Gatesa.

Jako miłośniczka jego ksią żek czytała artykuły prasowe na jego temat.

Nie były szczególnie pochlebne.

Wyłaniał się z nich obraz aro76

ganckiego bogacza, który nie liczył się z niczym i z nikim.

Zarozumiały, twardy, bezwzględny.

Dziwne, ale ten Thomas Gates, którego poznała, był wyjątkowo mity.

Nigdy nie zauważyła, żeby kogoś źle traktował.

Opisywano go jako podrywacza, ale nie zauważyła, żeby usiłował w Panamie kogoś uwieść.

Usłyszała kroki na korytarzu i zaraz potem pojawił się przy niej Tom.

Zamrugła, zalękniona, że może go tylko sobie wyobraziła.

Nie wypowiedziała życzenia, żeby do niej przyszedł.

Bardzo się strzegła, żeby przez przypadek nie zmarno wać tych życzeń.

Była jednak bardzo ucieszona, że są zjawił.

- Cześć - powiedział.

W półmroku nie widziała jego twarzy, ale słyszała w głosie ciepło i serdeczność.

Jej serce przyspieszyło rytm.

- Cześć.

- Uśmiechnęła się.

- Sama doszłaś tak daleko?

- Tak.

- Po czym dodała sucho: - Musiałam przytrzymywać dreny i uważać na opatrunek.

Rozejrzał się wokół.
- Już bez kroplówki?
To po stęp.
- Aha.
I dostałam porządny obiad.
Kurczaka.
- Domyślam się, że nie aż tak dobry jak u Flasha.
- Nie.
Ale do zjedzenia.
Tyle że po dwóch kęsach czułam się już strasznie syta.
Dobrze, że przyszedł.
Wracało w nią życie.
- Chcesz zapalić światło?
- Nie.
Jeśli ty wolisz być po ciemku.
- Wolę przy świetle.
Łagodne światło wypełniło korytarz.
Teraz widziała, że Tom jest postacią rzeczywistą, a nie wytworem wyobraźni.
Był jednak tak przystojny, że w to z kolei nie mogła uwierzyć.
Atletyczna budowa, zgrabna sylwetka, rozwiane włosy...

- Bałam się, że nie przyjdiesz - powiedziała.

- Przecież ci obiecałem.

Po prostu wtedy spałaś.

Nie.

Bree wszystko słyszała.

Zastanawiała się tylko, czy jej się to nie przyśniło.

Tak bardzo tego pragnęła.

- Pomyślałam, że mogłeś pojechać do domu, że uznałeś mnie za wariatkę.

- Gdybyś ty była niespełna rozumu, tak samo musiałyby być z wieloma ludźmi, którzy przeżyli coś podobnego.

- Pochylił się.

Zdjął z ramienia skórzaną torbę i położył ją na podłodze.

Usiadł obok Bree na krześle.

Wyjął z torby gruby plik papieru.

- Wydruki z komputera - powiedział.

- Wywiady z osobami, które doświadczyły tego co ty.

Serce Bree biło jeszcze szybciej niż przedtem.

Pa trzymała na papierach.

Bała się tego, co znalazł w tych wiadomościach.

Nie wiedziała, czy powinna się cieszyć.

Zwyciężyła ciekawość.

Wzięła od niego wydruki.

Położyła sobie na kolana.

- Czytałeś to?

- Wszystko bardzo dokładnie.

- Co oni mówią?

- Mniej więcej to samo co ty - odpowiedział ła godnie.

Pochylił się, opierając łokcie na udach.

- Po dobny przebieg wydarzeń.

Wypadek, a potem pomoc medyczna.

Ofiary są świadome opuszczenia swojego ciała, unoszenia się nad nim, patrzenia z góry.

Czasami to się dzieje w czasie samego wypadku, a niekiedy podczas operacji.

Widzą chirurgów, którzy operują.

Słyszą rozmowy.

Potem pojawia się światło.

Zawsze bardzo jasne i jak błogosławieństwo.

Daje poczucie szczęścia i mówi do ofiary, chociaż nikt nie widział, że by poruszało ustami.

- Tak było - westchnęła Bree z zachwytem.

- Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czuła się samotna.

- Co jeszcze?

- Splotła dłonie.

Starła się nie okazywać ekscytacji.

78

- Te wszystkie osoby, podobnie jak ty, mają dużo wątpliwości.

Wiedzą, że doświadczyły eksterioryzacji, ale nie mają pewności, czy to stało się naprawdę.

- Tak jak ja.

- Osoba, która tego doświadczyła, wie, że ludzie jej nie wierzą, ale i tak nie może zapomnieć.

Boi się o tym rozmawiać.

Niektórzy trzymają to w tajemnicy bardzo długo.

Jedna osoba dopiero po dwudziestu pięciu latach zdecydowała się mówić.

- Oj, tak.

Dobrze to rozumiem - westchnęła Bree.

Postawiła prawą stopę na lewej.

Tak było ciepłej.

- Czy ktoś jeszcze wspominał o tym, że dostał trzy żywienia?

Tom potrząsnął głową.

- To jeszcze niczego nie oznacza.

Żadne dwie osoby nie miały tych wspomnień identycznych.

Jedna twierdziła, że tę jaśniejącą kulę otaczała fioletowa poświata, inna podczas tego do świadczenia przeszła przez drzewo i dopiero wówczas, nasączona żywicą, powróciła do życia.

Jeszcze inna opuściła ciało i przez krótki czas latała nad miastem, a potem obudziła się w szpitalu.

Pewien mężczyzna próbował otworzyć drzwi, ale nie mógł.

Jacyś ludzie wspominali uczucie "przynależności", kiedy byli z tą kulą.

Bree też myślała o tym w ten sposób.

Tom mówił dalej.

- Wielu uważa, że coś ich wyssało z ciała i płynęli przez ciemny tunel.

Jasne światło znajdowało się na końcu tunelu.

Niektórzy walczyli z tym, nie chcieli być wessani.

Ktoś słyszał syk i odgłosy takie jak wrzenie wody.

Bree potrząsnęła głową.

Nie doświadczyła niczego takiego.

- Tam nie było nic takiego, żeby z tym walczyć.

Po prostu nagle znalazła się poza swoim ciałem.

Spotkanie ze świetlistą postacią nie wzbudziło w niej lęku.

Nie bała się.

Nie chciała wracać na ziemię.

79 .

- Niektórzy ludzie mogą dokonać wyboru i sami podjąć decyzję, czy wracają do życia. Inni wierzą, że odsyła się ich na ziemię z określonych powodów.

To może tak być, że wróciłaś dla tych trzech życzeń.

- Ale nikt nie wspomniał o tym że dostał życzenia?

- zapytała.

Gdyby przytrafiło się to jeszcze komuś, ła twiej przyszłoby jej uwierzyć.

Spojrzała na Toma.

Wyglądał wspaniale.

Drobne zmarszczki wokół czarnych oczu niczemu nie prze szkadzały.

- Nikt nie wspominał o tym że dostał trzy życzenia

- powiedział.

- Jedna osoba wróciła, żeby opieko wać się chorym ojcem.

Inna, żeby nacieszyć się ko chankiem.

Żadna nie wspominała o życzeniach.

Były też historie ludzi, którym powiedziano, że źle postępo wali w życiu i dostali drugą szansę.

I tych, którzy byli straszeni piekłem.

Niektórzy dostali się do raj, gdzie spotkali nieżyjących już krewnych i przyjaciół.

- Ja nikogo nie widziałam - powiedziała Bree.

By ła za to wdzięczna losowi.

Jej ojciec umarł stosunkowo niedawno, a wspólne mieszkanie z nim nie należało do przyjemności.

Mógł być teraz w raj, ze swoimi rodzica mi, fanatykami religijnymi.

Jednak Bree cieszyła się, że światło nie zostało przyćmione ich obecnością.

Oczywiście cały czas brała pod uwagę, że świetlista zjawa jest tylko wytworem jej wyobraźni.

- I co ty o tym myślisz?

- zawróciła się do Toma.

- Czy to mogło mi się naprawdę przydarzyć?

Na jego czole pojawiły się drobne zmarszczki.

Tom patrzył na swoje palce.

Dopiero potem podniósł na nią wzrok.

- Nie wiem.

Twoje opowiadanie jest na pewno bardziej wiarygodne niż wiele innych.

Na przykład ma łe dzieci, które doświadczyły śmierci klinicznej...

Dzieci w wieku trzech czy czterech lat, a nawet starsze, mają silnie rozwiniętą wyobraźnię i bardzo łatwo ulegają su80

gestii.

Poza tym z trudem mi przyszło uwierzyć ludzi, którzy byli naćpani albo pijani.

Albo chorzy psychicz nie.

Jeszcze przed wypadkiem mogli ulec halucyna cjom.

Podobnie traktowałem opowiadania ludzi, którzy doznali urazu głowy.

- I jeszcze były inne rzeczy, w które zupełnie nie mogę uwierzyć.

Ludzie, którzy opowiadali, jak szli uli cą i nagle ujrzeni coś, i od razu wiedzieli, że to ma związek z Bogiem.

Rodzaj objawienia.

Nie nazwałbym tego "życiem po życiu".

To inny rodzaj doświadczeń.

Podobnie jak opowieści ludzi, którzy wracają do zdro wia po bardzo ciężkiej chorobie.

Twierdzą, że widzieli świętego Piotra albo bramy raju.
Poważne choroby na pewno wywołują refleksje na temat przemijania.

Bree potrząsnęła głową.

- Nie we mnie.

Mój ojciec był fanatykiem religijnym.

Uodporniłam się na to.

Tom uśmiechnął się i wyprostował na krześle.

- Było też wiele osób takich jak ty.

Dorośli, dobrze przy stosowani do rzeczywistości, inteligentni.

I nieko niecznie bardzo religijni.

Po prostu dobrzy, szlachetni ludzie.

Wypadek, który nie oni spowodowali.

Zatrzy manie akcji serca.

Personel medyczny przywrócił ich do życia.

Po tej chwilowej śmierci znaleźli się znowu w świecie żywych i opowiadają takie rzeczy, że ciarki przechodzą po plecach.

Często nie znają się wzajemnie.

Nic nie czytali o podobnych doświadczeniach.

Nie znali innych raportów...

Trudno tu mówić o sugestii.

- Westchnął.

- Nie można im nie wierzyć.

Bree poczuła ulgę.

- Mówisz to z dużym przekonaniem.

- Zbyt wiele podobnych faktów, żebyś mógł to zignorować.

Jedyna teoria, którą znalazłem i która wygląda wiarygodnie, to taka, że koniec życia jest bardzo podobny do początku.

Linia życia jest kołem.

Coś się kończy i coś zaczyna.

Ciemny tunel, który widziało wie81 .

le osób, to symbol zarówno narodzin Jak i śmierci.

Świałło sali porodowej, spostrzegane przez dziecko, wycho dzące z łona matki.

Bardzo jasne po ciemności, w której było.

Podobnie z hałasem.

To oznaczałoby, że w mo mencie śmierci człowiek wraca do swoich narodzin.

- A co z innymi rzeczami?

Z tym, co ja zapamięta łam?

Dzieci rodząc się nie dostają trzech życzeń.

Poza tym ja widziałam znamię u jednej z pielęgniarek w sa li operacyjnej.

Pochyliła się nade mną i to było z tyłu na jej karku.

Jak mogłabym to zobaczyć, gdyby nie fakt, że unosiłam się w górze.

- Bree machnęła ręką.

- Dobrze.

Możliwe, że ona była dopiero później, gdy się obudziłam na sali pooperacyjnej i po prostu po mieszały mi się wrażenia z obu tych miejsc.

Ale tam były tylko dwie pielęgniarki.

- Sprawdziłaś to?

- Jedna nie ma nic na karku, a druga ma długie wło sy i nawet jeśli to ona, to i tak nie widać.

Wiąże włosy tylko na czas operacji.

- Bree zacisnęła ręce na wydru kach.

- Powinam ją zapytać, ale mi wstyd.

Już i tak krążą o mnie jakieś głupie plotki.

A co jeżeli ta cała sprawa z "życiem po życiu" to tylko rodzaj halucynacji?

- Poruszyła nogami.

Stopy przemarzły jej na kość.

Flash przyniósł jej nocną koszulę i ciepły wełniany szlafrok.

Ale nie pomyślał o kapciach.

A te szpitalne byty lepsze niż nic, ale za cienkie na zimne posadzki.

Tom pochylił się i niespodziewanie zaczął masować jej stopy.

- Nie musisz tego robić - powiedziała.

- Chcę.

- Masz lepsze rzeczy do roboty.

Potrząsnął głową.

Wyglądał na zadowolonego.

- Czujesz się winien - upierała się - ale już ci mówiłam, że ten wypadek to nie była twoja wina.

To mnie trochę krępuje.

82

- Dlaczego?

Masz ładne stopy.

Ładne, choć lodo wate - uśmiechnął się.

- Zawsze najpierw marzną mi nogi.

- Moja mama mówiła, że to damska rzecz, że ko biece ciepło jest skoncentrowane w rejonie serca, a czubki palców na tym cierpią.

Bree zachichotała.

I szybko spoważniała, bo od śmiechu zabolął ją brzuch.

Tom przestał masować stopy i spojrzał na nią z nie pokojem.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaaj.
Tak jest dobrze.
Ale jaka miła myśl.
Mówisz takie rzeczy jak w swoich książkach.
Teraz już wiem, skąd bierzesz te mądrości.
Od mamy, prawda?
 Udzielił wymijającej odpowiedzi.
- Nigdy tak nie myślałem.
Wydawało mi się, że po prostu z siebie czerpię te tematy.
 - Czy twoja mama żyje?
 - Umarła w zeszłym roku - powiedział bardzo ci cho.
 - Przykro mi.
 - Mnie także.
 Zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego dłoń.
Pomyślała, że mogłaby wypowiedzieć życzenie, że by cały czas rozcierał jej stopy.
Przez parę minut wał czyła z pokusą.
Nie mogła tak szybko zmarnować daru niebos.
 Zastanawiała się nad tym, czy ktoś inny mógł do stać trzy życzenia podobnie jak ona.
Ale może ten ktoś już wykorzystał wszystkie trzy i umarł, zanim zdążył o tym napisać.
 Nie może wykorzystać tego ostatniego.
Nie wolno ryzykować.
Chociaż, tak naprawdę, nie wiadomo, czy to wszystko działa się naprawdę.
 Tom przestał masować stopy.
Sięgnął po torbę, wyjął z niej sweter i już miał owinać jej nogi, kiedy po83 .

wiedziała: - Zaczynam być zmęczona.

Lepiej wrócę do łóżka.

Schował sweter i wydruki.

Zarzucił torbę na ramię i pomógł Bree wstać.

Podtrzymał ją w drodze do pokoju.

Starła się iść o własnych siłach.

Mimo że zgięta w pół, czuła się dużo zdrowsza.

Mogła nawet wrócić do pokoju o własnych siłach.

Lepiej jednak było, kiedy Tom jej pomagał.

Przykrył ją, poprawił kołdrę.

Położył wydruki na szafce nocnej.

Znowu usiadł na krzeselku i wyciągnął książkę.

Nagle coś mu się przypomniało.

Sięgnął do torby i wyjął dwa plastikowe pojemniczki.

- Mam pudding.

Jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

Wzruszyła się.

Przyniósł i sweter i książkę, co ozna czało, że jakiś czas zostanie tu z nią.

A teraz jeszcze buduj...

Pomyślała, że może zostałby dłużej, gdyby to on zjadł oba budynie.

Dotknęła brzucha i powiedziała.

- Kurczak powinien mi wystarczyć, naprawdę.

Postawił pojemniczki na brzegu łóżka.

Otworzył drugi.

- Nie lubisz tapioki?

- Tapioka - westchnęła.

- Uwielbiam indiański pudding, ale jestem najedzona po uszy - powiedzia ła.

- Możesz zjeść obie porcje.

Dopóki Tom jest przy niej i o nią dba, niepotrzebne są jej trzy życzenia.

W piątek rano, dokładnie tydzień po wypadku i nie całą godzinę przed wyjściem ze szpitala, Bree odbyła rozmowę z doktorem Simonem Meade z St.

Johnsbury.

Zbadał ją i zdjął szwy.

Przysunął sobie krzeselko i usiadł przy łóżku.

84

- Z przykrością muszę panią poinformować, że nie będzie pani mogła mieć dzieci - powiedział.

- Po takiej operacji, jaką pani przeszła, zostają blizny po operacyjne, które działają mniej więcej jak środek an tykonceptyjny.

Uniemożliwiają zajście w ciążę.

Ope racja była jednak konieczna.

Wybraliśmy mniejsze zło.

Bez tego nie dalibyśmy rady zatamować krwotoku.

Bree zdziwiła się.

- Żadnych dzieci?

Nigdy?

- Nigdy niczego nie można wykluczyć, ale szansę są bliskie zeru.

Pani nie ma dzieci, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Ile ma pani lat?

- Trzydzieści trzy.

- No cóż, w tym wieku jest już pani mniej płodna niż dziesięć lat temu.

Do tego dochodzą zrosty, więc nie ma pani wielkich szans.

Bree nigdy przedtem nie myślała o tym, żeby mieć dzieci.

Nie słyszała tykania zegara biologicznego, nie martwiła się upływającym czasem.

Sama się zdziwiła, kiedy jej oczy wypełniły się łzami.

- Przykro mi - powiedział doktor.

- Nie lubię in formować pacjentów o takich rzeczach.

To najgorsza część mojej roboty.

Cieszę się jednak, że udało nam się panią uratować.

Gdyby została pani parę minut dłużej w tym śniegu, wykrwawiłaby się pani na śmierć.

Wiedziała o tym i była wdzięczna, że z takim poświęceniem ratowali jej życie.

Pomyślała, że mimo wszystko chciałaby mieć dzieci.

Poczuła straszliwą pustkę, jakby utraciła coś niezmiernie cennego.

- W każdym innym sensie pani zdrowie jest w naj lepszym porządku - mówił lekarz.

- Tu zgadzam się z doktorem Sealy.

Nie ma żadnego powodu, że byśmy mieli dłużej panią trzymać.

Może pani już dzisiaj iść do domu.

Przez parę najbliższych tygodni proszę oszczędzać się.

Najlepsza rada: słuchać swo85 .

jego ciała.

Ono najlepiej będzie wiedziało, co pani wolno robić.

Patrzyła na niego ze łzami w oczach.

Podniósł się z krzesła.

- Muszę wracać do St.

Johnsbury.

Życzę szybkiego powrotu do zdrowia - powiedział z uśmiechem.

Czuła, że przez zaciśnięte gardło nie zdoła wykrztusić ani słowa.

Kiwnęła głową.

- Do widzenia pani.

- Doktor podszedł do drzwi.

- Panie doktorze!

- zawołała.

Zatrzymał się.

- A gdybym cały czas leżała nieruchomo?

- zapytała.

- Czy ten szew nie zagoi się przez to lepiej?

Lekarz spieszył się.

- Tak zupełnie nieruchomo?

- dopytywała.

- To nie pomoże.

Gojeniu się rany towarzyszy za wsze rozrost blizny.

Można powiedzieć, że jest to efekt uboczny wyzdrowienia.

- I nie ma żadnego sposobu żeby temu zapobiec?

-Nie.

Nie mogła wykrztusić ani słowa.

Pomyślała o świe tliczej kuli i przez to poczuła się mniej samotna.

To na trochę mogło pomóc.

Zastanowiła się.

Więc nie było jej pisane zostać matką.

Może w tym był jakiś sens.

Nie miała żadnych wzorców.

Nie dorastała w domu pełnym dzieciaków.

Nigdy nie poznała własnej matki.

Chyba dlatego po została wolna.

Nie chciała z nikim się wiązać.

Nie wiedziałyby, co robić, jak postępować z dzieckiem.

To wszystko wydawało jej się logiczne i całkowicie zrozumiałe.

Tylko ten głupi instynkt...

Wierzchem dłoni przetarła oczy.

Uśmiechnęła się do doktora.

Uniósł dłoń w pożegnalnym geście i odwrócił się w stronę drzwi.

I właśnie wtedy zobaczyła na jego karku znamię.

86

Flash wydał dyspozycje w sprawie śniadania i zaraz potem pojechał do szpitala po

Bree.

Nie powiedziała mu tego, czego dowiedziała się od doktora.

Nie wi działa żadnego powodu.

Poza tym sama musiała

oswoić się z tą myślą.
Na razie nie chciała nad tym się zastanawiać.
Pogoda sprzyjała jasnym myślom.
Niebo było błękitne, powietrze rozgrzane porannym słońcem.
Bree kochała złote jesienne dni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tom nie mógł sobie znaleźć miejsca, kiedy Bree wypisano ze szpitala. Ilekroć tego pierwszego dnia przejeżdżał koło jej domu, widział na podjeździe inny samochód.

Zdawalioby się, że w miasteczku nie rozmawiano o ni czym innym, tylko o tym, kto i w jaki sposób będzie po magał Bree.

Kto będzie przy niej siedział, kto ugotuje obiad, kto posprząta, kto pozmywa.

Każdy mieszkaniec Panamy miał wyznaczoną rolę.

Po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o małym miasteczku, z którego pochodził - tak bardzo podobnym do Panamy.

Mieszkając w Nowym Jorku, nie tęsknił do swoich rodzinnych stron.

Najczęściej był zbyt zajęty, żeby zwracać uwagę na otoczenie i dopiero po kilkumiesięcznym odizolowaniu od świata odczuł przyjemność, obserwując opiekujących się Bree mieszkańców miasteczka.

Plan pomocy dla chorej został ułożony drobiazgowo.

Postarano się, żeby przez najbliższych kilka dni Bree ani na chwilę nie została sama.

Do niego nikt nie zwrócił się o pomoc.

Pominię to go w tej akcji.

Podszedł do siedzącej w zajeździe grupki, która do konywała ostatnich ustaleń.

Były tu przyjaciółki Bree - Jane Hale i Liz Little, LeeAnn Conti, która pracowała tutaj, oraz Doty Hale i Emma McGreevy - obie ze starszego pokolenia.

- Ja też chciałbym na coś się przydać - powie doty.

- Czuję się odpowiedzialny za to, że Bree potrzebuje pomocy.

Spojrzały na niego ze zdziwieniem.

W ich twarzach wyczytał niechęć i obawę.

Było to przykre doświadczenie dla mężczyzny, który jeszcze niedawno miał taką moc, że samym wejściem do pokoju potrafił oczarować obecnych.

- Dziękujemy - powiedziała Emma z chłodnym uśmiechem.

- Poradzimy sobie same.

Przyjął odmowę ze zrozumieniem.

W jakiś sposób czuł, że mu się należała.

To jednak nie powstrzymało go przed następną próbą.

- Też chciałbym pomóc - powtórzył.

Emma spojrzała krytycznie na jego zmęczoną twarz i podkrążone oczy.

- Prawie wszystko jest już ustalone i nie będziemy nic tu zmieniać.

- Wszystko oprócz nocnych dyżurów - rzekł Tom.

Tego jeszcze nie ustaliliście, więc mogę się na coś przydać.

Emma nerwowo kręciła sznur pereł na szyi.

- Nie wiedziałbyś, co zrobić.

- Bree mówi, że on wie, co zrobić - nieśmiało wtrąciła Jane.

Doty od razu zaatakowana córkę.

- W szpitalu może i wiedział.

Dom to zupełnie co innego.

- W domu też mogę się przydać - upierał się Tom.

- Umiesz gotować?

- zapytała Liz.

Emma machnęła ręką.

- Nie ma potrzeby, żeby gotował.

Wystarczy to, co przyniesiemy.

- Przydałoby się, żeby umiał podgrzać.

Dotty potrząsnęła głową.

- To nie ma znaczenia.

On nie może z nią zostawać.

89 .

- Dlaczego nie może?
- ośmieliła się zapytać Jane.
- Mój ty Boże, Jane, chyba jesteś głupia, że pytasz o coś takiego - zezłościła się Dotty.
- To przecież wszystko jego wina.
- To nie jego wina - zaprotestował Flash, który właśnie podszedł do nich.
- Bree mówiła, że nie ma do niego żalu.
- Ale jego widok przypomni jej to wszystko, co przeszła- rzekła kategorycznie Dotty.
- On jest sławny - zauważyła LeeAnn, spoglądając na Toma z nieskrywanym zainteresowaniem.
Emma przywróciła ją na ziemię.
- Myślę, że ma ra czej złą sławę.
Na Boga, dziewczyno - rzekła z obu rzeniem.
- Przecież Dotty pokazywała nam w zeszłym tygodniu te artykuły o nim.
- Naprawdę chcesz, żeby Bree spędziła noc z tym lubieżnikiem?
- zapytała Dotty.
- Pisma brukowe zawsze wymyślają niestworzone historie - bronił się Tom.
- Trudno wierzyć wszystkiemu, co tam się pisze.
Dotty machnęła ręką.
- Nie może z nią zostawać.
To nie byłoby właściwe.
- Dlaczego nie?
- zdziwiła się Jane.
- Ponieważ...-on...
jest mężczyzną.
- A Flash to co?
- zapytała Liz.
- Też będzie spędzał z nią nocę.
- Bree jest dla mnie jak siostra - zapewnił Flash.
- Znamy się już tak długo.
- Straszna z ciebie egoistka - skarciła córkę Dotty.
- Chcesz, żeby pan Gates wyręczał cię w robocie.
- Ja naprawdę chcę pomóc - oburzyła się Jane.
- I pewnie lepiej wyśpię się u Bree.
W domu ciągle mnie budzisz.
- Przecież nie musisz wstawać jednocześnie ze mną.
To nie moja wina, że śpisz tak lekko, że najdrobniejszy
90
szmer cię budzi.
Bój się Boga, Jane, jestem twoją matką.
Ja tobie przeszkadzam, Bree też ci przeszkadza.
Tom widział, że przygląda im się Julia Dean.
Odniósł wrażenie, że chce się włączyć do rozmowy, lecz brakuje jej odwagi.
Nie mógł jej winić za to, że został tak przyjęty.
Tym bardziej że widział, w jaki sposób Dotty traktuje swoją córkę.
- Rzecz w tym, że wy wszyscy macie inne rzeczy, które musicie robić w ciągu dnia, a
ja nie.
Mogę spać cały dzień, jeśli mam ochotę - powiedział na koniec.
Po tem zwrócił się do Liz.
- Ty nie możesz sobie na to pozwolić.

Masz troje małych dzieci.

- Ale Bree jest moją przyjaciółką - protestowała Liz.

- Opiekuj się naszymi kotami, gdy wyjeżdżamy i nigdy nie chce za to pieniędzy.

Jestem jej to winna.

- Ja też jestem jej coś winien...

- zaczął Tom, ale Emma niechętnie machnęła ręką.

Wzięła do ręki długopis.

- W porządku...

Dzisiaj na noc zostaje Liz, jutro LeeAnn...

- zapisywała w kolejności nocne dyżury.

- Flash w niedzielę, Jane w poniedziałek...

Abby prosiła o wtorek.

r

Tom nie mógł tak po prostu trzymać się z boku.

Po stanowił się nie poddawać.

Wyszedł z zajazdu o ósmej wieczorem.

Przejechał koło domu Bree.

Na podjeździe stały dwa samochody.

Wstąpił do supermarketu i wypożyczył kasetę wi deo.

Wracając znowu minął jej dom.

Teraz stał tam tył ko jeden samochód, należący do Liz Little.

Tom nie miał jeszcze sprecyzowanego planu działania.

Na razie ucieszył się, że Bree znajduje się pod dobrą opieką.

Pojechał do siebie.

Włączył magnetowid.

Próbował oglądać film, ale nie potrafił się skupić.

Wziął

91 .

kluczyki do samochodu, zabrał z sobą kasetę i zno wu podjechał pod dom Bree.

Ten wiktoriański budynek zupełnie nie pasował do Bree.

Wysoki, sztywny, surowy.

Czuło się w nim chłód.

Podczas tej ciemnej, bezksiężycowej nocy, mi mo światła palącego się w oknie na parterze, wygląd dał upiornie.

Tom wszedł na ganek.

Delikatnie zapukał.

Czekał dość długo i już zamierzał odejść, kiedy drzwi się otworzyły.

Spodziewał się, że zobaczy Liz.

A tu, ku swemu zdziwieniu, ujrzał Bree.

Jej ciemne oczy na tle bardzo bladej twarzy wydawały się większe niż zwykle.

Otulona ogromnym, wełnianym szlafrokiem, wyglądała żałośnie jak zagubione dziecko.

Tomowi drgnęło serce na ten widok.

- Hej, hej - szepnął. - Nie miałem zamiaru cię bu dzić.

Gdzie jest Liz?

Bree odpowiedziała jeszcze ciszej.

Pomyślał, że musi być bardzo osłabiona.

- Rozmawia przez tele fon z Benem.

Jej dziecko zachorowało.

- Gestem zaprosiła go do środka, po czym zamknęła drzwi i oparła się o nie.

Podszedł bliżej.

- Jak się czujesz?

- Zmęczona...

Ciągle ktoś przychodzi.

Oczywiście jestem za to wdzięczna, ale nie potrafię powiedzieć, że nie mam siły cały czas z nimi rozmawiać.

- Idź do łóżka.

Pogadam z Liz.

Podniosła na niego wzrok.

Odniosł wrażenie, że płakała.

Nie miał pojęcia, z jakiego powodu.

Chciał ją przytrzymać, pomóc dojść do łóżka.

Uznał jednak, że to nie byłoby właściwe.

Zapytał tylko: - Wszystko w porządku?

Skinęła głową i odsunęła się od drzwi.

Weszła na schody.

Tom usłyszał dochodzący z głębi domu głos Liz, i skierował się w tamtą stronę.

92

Po chwili znalazł się w kuchni, starej, ale czystej i funkcjonalnej.

Tam przy aparacie telefonicznym sie działa Liz.

Owinęła wokół ręki przewód.

- ...

Na jego czole - mówiła do słuchawki.

- Ben, trzymaj to płasko na jego czole, dopóki paski nie zmienią koloru.

Widział, że Liz znajduje się na granicy cierpliwości.

- Nie przesadzaj, Ben...

Trzymaj go mocno.

Mu siesz sobie poradzić.

Jesteś silniejszy ode mnie.

Ma się dzieć przez trzy minuty i nie ruszać się.

To chyba nie aż takie skomplikowane.

Zauważyła Toma, skinęła mu głową i dalej mówiła do Bena.

- Dobrze, to wzruszające, że za mną tęskni.

Ale faktem jest, że ja muszę być tutaj.

- Idź - mruknął Tom.

- Ja zostanę z Bree.

Liz zbyła go machnięciem ręki.

- Nie, Ben, to nie jest tak, że on potrzebuje aku rat mnie.

On ma dwoje rodziców i teraz ty z nim je steś.

Możesz zatroszczyć się o niego tak samo do brze jak ja.

- Przerwała.

- Oczywiście, że możesz.

Jesteś wspaniałym ojcem.

Przyjechaliśmy tutaj głów nie ze względu na dzieci...

Ależ tak, kocham moje dzieci.

Jeżeli Joey będzie naprawdę chory, przyjadę natychmiast.

Kiedy wychodziłam, wszystko było w porządku.

Tym razem, kiedy umilkła, Tom słyszał podniesiony głos Bena.

Nagle oczy Liz rozszerzyły się.

- Nie wpadaj w hi sterię - rzekła dość ostro.

- Zrób mu chłodną ką piel.

Będę tam za dziesięć minut.

Odłożyła słuchawkę.

Spojrzała pytająco na Toma.

- Przepraszam, nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, jeśli tobie to na rękę.

- Liczył na to, że Liz chętniej zaakceptuje jego propozycję.

Przyje chała do Panamy dwa lata temu i nie była związana

93 .

z miastem tak bardzo jak inni.

Mogła wykazać więcej tolerancji.

Wiedział też, że nie lubiła zostawiać dzieci.

- Bree położyła się spać - powiedział.

- Po prostu posiedzę sobie tu przy niej.

Liz podeszła do lodówki.

- Jedzenia jest dosyć, że by wyżywić całą armię - powiedziała.

- Uporządkuję moje domowe sprawy i wrócę.

- Nie ma potrzeby.

Zostanę tutaj, dopóki nie pojawi się następna osoba.

- Przyjdzie dopiero o dziesiątej rano.

- Może być i o dziesiątej.

Liz wyjęła z torebki kluczyki.

- Oni mnie zabiją.

- Przyjdź o dziewiątej, to nikt się nie dowie - za proponował Tom.

Zawahała się.

- To oszustwo.

Nie odpowiedział.

Patrzyła na niego bez słowa.

Potem podeszła do drzwi.

- Ty naprawdę piszesz książki?

- zapytała.

Skinął głową.

- Ile ich napisałeś?

- Sześć.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że bym napisała choć jedną.

A co dopiero sześć.

- To jesteśmy kwita.

Bo ja nie wiedziałbym, jak opiekować się chorym dzieckiem.

Uśmiechnęła się.

- To ja będę jutro o dziewiątej.

Dziękuję.

Tom stał na schodach.

Oparł rękę na mahoniowej poręczy.

Z niepokojem patrzył w górę.

Pamiętał, że Bree miała łzy w oczach.

Chciał się upewnić, że nic złego się nie stało.

94

Na górze było ciemno.

Dopiero kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, mógł rozpoznać troje otwartych drzwi.

Czwarte były zamknięte, ale właśnie pod nimi widział jasną smugę światła.

Powoli nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Światło pochodziło od małej lampki, stojącej przy łóżku.

Łagodne, przymglone abażurem, nie przeszkadzało w spaniu.

Wszystko tutaj było w jasnych kolorach - sufit, ściany, draperie i meble.

Sypialnia była mniejsza, niż to się na ogół spotyka.

Mieściło się w niej duże łóżko, szafka nocna i krzesło.

Na ścianach wisiały obrazy, firanki kołysały się na wie trze, na krzesła leżały rozrzucone książki.

Na szafeczce stał wazon z artystycznie ułożonym bukietem.

Wi dać w tym było rękę Julii Dean.

Bree leżała na łóżku, odwrócona do ściany.

Jej noc na koszula wydawała się ciemna na jasnej pościeli, a włosy na białej poduszce wyglądały jak czarne.

Cicho podszedł do łóżka.

Oczy miała otwarte.

Do strzegł w nich ślady łez.

Usiadł przy niej i dotknął jej policzka.

Zamknęła powieki.

Rzęsy były wilgotne.

Czuł ten sam magne tyzm, który odczuwał już wcześniej.

Teraz jednak nie miało to znaczenia.

Nie mógł przekroczyć tej barie ry.

Jednak nie miał wyboru.

Musiał podnieść ją z łóżka i pozwolić jej się wypłakać na swoim ramieniu.

I Bree płakała.

Wtuliła głowę w jego pierś.

Przez cały dzień łzy cisnęły jej się do oczu i wreszcie mogła sobie pozwolić na chwilę słabości.

Ktoś siedział przy niej, opiekuńczy i serdeczny.

To napawało wiarą, że nawet jeśli ona się załamie, świat będzie istniał nadal.

Płacz łagodził napięcie, które narastało od rana, zmywał smutek nieunikniony przy powrocie do domu, który był taki sam jak przedtem, podczas gdy jej ciało nie było już takie samo.

Płacz chronił ją przed światem.

tem, którego się bała, bo nie wiedziała, co jest w nim realne, a co nie.

Jednak jej Izy i pierś Toma na pewno były prawdziwe.

Gdy już się wyplakała, zasnęła snem tak twardym, jaki nie zdarzył jej się od wielu dni.

-

LeeAnn przyjechała do Bree w sobotę wieczorem za raz po pracy.

Tom dotarł trochę później.

Zastał pod drzwiami Gavina.

Widział go już wiele razy w zajeździe, jednak oficjalnie poznali się dopiero tydzień temu.

To właśnie Gavin był tym mechanikiem, który stwierdził, że dzipa nie opłaca się już reperować.

- Co słychać?

- zapytał Tom.

- W porządku - mruknął niechętnie Gavin.

Domyślając się, że chodzi tu o jakieś problemy damsko-męskie, Tom delikatnie zapukał do drzwi.

Otworzyła LeeAnn z groźną miną, gotowa od razu ruszyć do walki.

Kiedy jednak zobaczyła Toma, spojrzenie jej złagodniało.

Wszedł do środka.

- Masz jakiś problem?

- zapytał.

- Nie.

On wie, że mam spędzić tutaj noc.

Moja przyjaciółka miała wypadek i muszę się nią opiekować.

Prosiłam go, żeby nie przychodził.

- Dlaczego ma nie przychodzić?

Zaczerwieniła się.

Domyślił się, że nie chodzi o zwykłą wizytę towarzyską, tylko o seks.

Podniosła głowę.

- Jeżeli chcesz zobaczyć się z Bree, to chodź.

Właśnie je kolację.

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać.

- Mnie wcale nie przeszkadzasz.

Ja już jadłam.

Po prostu dotrzymuję jej towarzystwa.

Spojrzała w stronę uchylonych drzwi.

- Całą noc miał pracować w barze

96

w Ashmont u swojego wuja, a w ostatniej chwili dostał wolne.

Ja to rozumiem, ale nic nie mogę na to poradzić.

Bree jest moją przyjaciółką.

- Chyba zaraz położysz się spać.

- Ale muszę być tutaj, w razie gdyby w nocy źle się poczuła.

Może się obudzić i potrzebować pomocy.

- Spodziewasz się, że tak będzie?

LeeAnn zastanowiła się przez chwilę.

- Chyba nie.

Powiedziała mi, że dobrze spała zeszłej nocy.

- Już znacznie łagodniej spojrzała w stronę drzwi.

- Chodzi mi to...

Wiesz, nie mam tu dużo do roboty...

- ośmieliła się.

- Jak długo chcesz tu zostać?

- Dziesięć minut albo dziesięć godzin.

Powiedz mi, ile trzeba.

Zastanowiła się.

Potrząsnęła głową.

- Nie powin

nam.

Widział już, że połknęła przynętę.

- Matka położyła już spać moje dziecko.

Wolałabym ich teraz nie budzić...

- zaczęła się płatać.

- Muszę jutro iść do pracy.

Lepiej by było, gdybym choć trochę mogła się wyspać...
rozumiesz?

Tom rozumiał doskonale.

LeeAnn szerzej otworzyła drzwi.

Gavin patrzył na nią wyczekująco.

- Mogłabym wyjść na trochę - zwróciła się do Toma.

- To znaczy oczywiście, gdybyś obiecał, że tu zostaniesz.

- Obiecuję - zapewnił Tom.

- Chodzi mi o to, że...

że byłoby naprawdę dobrze, gdybym mogła się troszkę wyspać i przyjść tu dopiero za jakiś czas.

- O której będziesz?

Przechyliła głowę.

- Nie wiem...

godzina...

dwie...

- Ja spałem prawie cały dzień, więc teraz pewnie nie będę mógł oka zmrużyć -
pomagał jej podjąć decyzję.

- Przyniosłem ze sobą kasetę wideo.

97 .

.a

- Dobrze...

- ucieszyła się.

- Jeżeli będziesz oglądał film, mogłabym przespać się trochę dłużej..-!

Może cztery lub pięć godzin.

Sześć byłoby już marze-1 niem.

Chodzi mi o to, że muszę wrócić przed siódmą żeby uniknąć pytań.

Bree nigdy nie wstaje przed siódma.

Nie jest rannym ptaszkiem.

Nigdy nie przycho dziła do pracy przed dwunastą.

Lubi się wyspać.

To dla niej bardzo ważne.

- W takim razie najlepiej będzie, jak wrócisz o siódmej - podsumował Tom.

- Na pewno...

- Przerwała, patrząc na niego po dejrzliwie.

- Czy naprawdę uwiodłeś Courteney Cox i złamałeś jej serce?

- zapytała.

- Jak napisano w tej gazecie?

- Bzdura.

Nawet jej nie znam.

- To dobrze.

Lubię Bree i nie chciałabym, żebyś złamał jej serce.

Nie chciałabym, żeby spotkało ją coś takiego.

Nie zasłużyła na to.

- LeeAnn wzięła torebkę i podeszła do drzwi.

- Powiem Bree, że wychodzę na dwie godziny - powiedziała konspiracyjnym szepem.

- Nie wydasz mnie, prawda?

Tom był bardzo zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

Następnej nocy dyżur przypadł Flashowi.

Już się szykował do wyjścia, kiedy Jillie źle się poczuła i mu siała wcześniej pójść do domu, a zaraz potem ku charz oparzył sobie rękę.

Tom, siedząc przy stoliku, już od pewnego czasu bacznie obserwował rozwój sytuacji.

Flash rozejrzał się po sali i szybko podszedł do niej.

- Wybierasz się teraz do niej?

- zapytał przyciszonym głosem.

Tom skinął głową.

98

- Czy mógłbyś tam pójść i jej powiedzieć, że ja się roczę spóźnię?

Nie mogę tak zostawić całego tego ba-aeanu.

- Wskazał ręką w stronę kuchni.

- To potrwa nie więcej niż pół godziny.

I zaraz tam u niej będę.

I rzeczywiście Flash dość szybko opanował sytuację.

Potem jednak, gdy tylko przyszedł do Bree, poczuł się zmęczony po ciężkim dniu pracy.

Za piętnaście dzieł siata rozsiadł się wygodnie w fotelu, włączył telewizor [i wyciągnął nogi.

l - Przyjdę do was, jak tylko film się skończy - laaruknął do Tbma.

; Bree wyglądała już znacznie lepiej.

Była wyspana i wypoczęta.

Każdego dnia jej twarz nabierała kolo rów.

I chociaż ciągle poruszała się bardzo ostrożnie, jej widok napawał optymizmem.

Kiedy film się skończył, Flash spał w fotelu, głośno chrapiąc.

Bree lekko wzruszyła ramionami.

- Może za parę minut sam się obudzi.

Chrapanie stało się jeszcze bardziej donośne.

Połaskotała szefa w ramię.

- Cicho, sza.

i Flash odwrócił głowę i przez chwilę panowała cisza.

Bree spojrzała na Toma z rozpaczą.

Rozśmieszyło go to.

- Nie patrz tak na mnie.

To nie ja chrapię.

- Dlaczego mężczyźni to robią?

Chrapanie w łóżku to jedna sprawa, ale w pokoju pełnym ludzi?

Mój ojciec miał zwyczaj włączać radio i chrapać przy muzyce.

To było straszne.

- Pochyliła się znowu.

- Flash!

Dała mu kuksańca.

- Obudź się!

Tom współczuł Flashowi, przecierającemu zaspane oczy.

- Co takiego?

- Idź do domu.

Śpij we własnym łóżku.

Zamrugał.

- Nie!

Po prostu pójdę do drugiego pokoju i położę się na sofie.

Tylko na chwilę.

Odrobina .pu powinna mi wystarczyć.

99 .

..ig

- Nie wygłupiaj się, Flash.

Nie ma żadnego powo-1 du, żebyś musiał zostawać u mnie na noc.

I w ogóle I J wasze dyżury nie są już potrzebne.

Bardzo ci dziękun ale już naprawdę dobrze się czuję.

- Nadal cię boli.

- Dużo mniej niż przedtem.

Bez porównania.

- A co będzie, jeśli ci się pogorszy?

Jeśli obudzisz się w środku nocy i nikogo przy tobie nie będzie?

- Nie obudzę się.

Bardzo cię proszę, Flash.

Ko cham cię za to, że chcesz mi pomóc.

Ale naprawdę będę dla mnie najlepiej, jeśli teraz pójdziesz do domu i wyśpisz się.

Poza tym nie będę sama, tylko z Tomem.

Tom wyprostował plecy.

Odetchnął z ulgą.

Flash miał jeszcze wiele wątpliwości.

- Doty do końca życia mi nie daruje, kiedy się dowie, że zostawi łem was razem.

- Masz zamiar jej o tym powiedzieć?

- zapytała Bree.

- Ja?

Oczywiście, że nie.

- Dobrze, Tom na pewno jej nie powie, a ja tym bardziej.

Więc wracaj do swojego łóżka.

- Wyrzucasz mnie?

- Owszem!

- uśmiechnęła się przekornie.

- Je stem zmęczona ciągłą obecnością ludzi i chciałabym wreszcie mieć swój dom dla siebie.

- A Tom zostaje.

- Tom to co innego.

- Dlaczego?

Bree spieszyła się.

Pochyliła głowę.

Tom spojrział na nią z niepokojem.

- Toma nie męczy przychodzenie tutaj - powie działa po chwili.

- On odpoczywa i ja też odpoczy wam.

Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Poza tym jak będę chciała, żeby poszedł, to pójdzie i się nie obra zi.

Idź już.

100

- Ja też się nie obrażę.

Uśmiechnęła się.

Wiem.

I wiem, że naprawdę poafisz mi pomóc w jednej sprawie.

- W jakiej?

- Załatw z nimi, żeby odwołały te swoje nocne [dyżury.

Dobrze?

Bree odczuła ulgę, kiedy tłumy gości się przerzedziy.

Kiedyś marzyła o tym, żeby ją rozpieszczano, ale
-zwykła do samodzielności i polubiła swoją samotność.
Męczyły ją częste wizyty przyjaciół.
Lubiła wygnąć się na sofie tak, żeby nikt nie czynił jej wymówek, że nie poszła do łóżka.
Lubiła wstać wcześniej niż zwykle przy tym nie przepraszać, że nie spała dłużej.
przyjemnością spacerowała po ogrodzie.
Cieszyła się, że nikt nie mówi jej, że jest za chłodno, że zimne wietrze może jej zaszkodzić.
On to rozumiał.
Podobało mu się, jak siadała na gałęzi przewróconego klonu i słuchała dziecięcia stukającego w
drzewo oraz obserwowała wiewiórki ganiające się po drzewach.
On nie musiał o nic go prosić.
Wiedział, kiedy ma ochotę na pogawędkę.
Kiedy była zmęczona, parzył dla niej herbatę.
Nie strofował jej, gdy oglądała telewizję do późna w nocy.
Otwierał książkę, gdy ona chciała być sama.
Nie gderał, nie narzekał.
On? Nigdy nie miała tak wspaniałego przyjaciela.
Z każdym dniem ich związek stawał się coraz bardziej nieptarygodny.
On nie rozmawiał o książkach.
Nie mówili o tym, że ona.
Większość czasu siedzieli razem w milczeniu.
On coś sobie czytał.
Niekiedy spoglądali na siebie i śmiechali się.
Mało o nim wiedziała.
Tylko tyle, co pisał.

miętata z przeczytanych artykułów.
Nie miała pojęcia czego on od niej oczekiwał ani do czego dążył.
Czul się jednak coraz silniej z nim związana.
Łączyła ich d szą.
I wielki spokój.
Podobny do tego, jaki dawała je świetlista postać.
Tom troszczył się o nią, jak o kogo bardzo kochanego.
Był tak doskonały, że wydawał jej się równie nierealny jak jej trzy życzenia.
To także potrafiła zaakceptować.
Coś się zdarzyło tamtej nocy.
Coś się zmieniło w Bree.
Może nauczyła się cieszyć życiem.
Zaczęła za uważać rzeczy, na które przedtem nie zwracała uwagi; A może chodzi tu o coś innego.

1

Co z tego, że Tom nie zostanie na zawsze w Panamie, i że kiedyś wyjedzie do Nowego Jorku?
Co z tego, że je go uczucie zaczęło się od poczucia winy?
Co z tego?

Zakochanie się w Tomie nie było rozsądne.
Ale czuła się z tym cudownie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tom codziennie po południu przychodził do zajazdu na obiad.
Chciał, żeby widywano go jak najczęściej i przyzwyczajono się do jego obecności.
Postawił sobie za punkt honoru zdobycie akceptacji tego śropwiska.
Pragnął przynależać do panamskiej społeczności.
Zabawne.
Zupełnie o co innego mu chodziło, kiedy się przyjeżdżał.
Wówczas szukał miejsca, gdzie mógłby się ukryć, dopóki nie postanowi, jak zagospodarować resztę swojego życia.
Panama była dobra, bo była daleko od Nowego Jorku i z pewnością nikomu nie przyszłoby do głowy tutaj go szukać.
Wychował się w miasteczku, ale wyjechał stamtąd, gdy tylko była się okazja zamieszkać w Nowym Jorku.
Im miasto, tym lepiej - tak wówczas myślał.

; musiał to przemyśleć na nowo.

Mieszkańcy tam wydawali się całkowicie szczęśliwi i zadowolony z życia.
Byli inteligentni i wykształceni nie gorzej niż nowojorczyki.
Czytali prasę, oglądali telewizję, dość dobrze orientowali się, co się dzieje na świecie.
Różni to byli ludzie, jak wszędzie, ale potrafił ich docenić.
Ku swemu zaskoczeniu odczuł ogromną ulgę, że jego tożsamość została ujawniona i nie musi już

103 .

ukrywać twarzy pod trzydniowym zarostem.
Nie mi się siał obawiać, że ktoś go rozpozna.
I na nikim ni zrobiło szczególnego wrażenia to, kim jest.
Czasao ktoś przez chwilę zatrzymał na nim wzrok.
Jego du ma wcale nie została przez to zraniona.
Odniós wrażenie, że mieszkańcy Panamy świadomie go ignorują, obserwując uważnie jego poczynania.
Mu siał czekać.

Kiedy drugi tydzień spędzał noce w domu Bre czas oczekiwania się skończył.
Zaczęto odwiec ich oboje.

if

Zaczęło się dość zwyczajnie.

Sam, Dave, Andy i Jack - przyjaciele Bree, weszli do zajazdu, tłocząc się i przepychając w drzwiach.

Podeszli do Toma i stanęli nad nim.

Wyglądali okazale - czterech do brze zbudowanych mężczyzn.

Grube, ciepłe kurtki, które mieli na sobie, potęgowały to wrażenie.

Patrzyli na Toma z powagą, z poczuciem ważnej misji.

- Słyszeliśmy, że bywasz dużo u Bree...

- zaczął Andy.

Pracował w sklepie, więc częściej niż inni roz mawiał z ludźmi.

To właśnie jemu najłatwiej przyszło pokonać nieśmiałość.

- Bree jest naszą przyjaciółką - mówił.

- Chcemy mieć pewność, że nic złego jej się nie stanie.

Pamiętaj, stary, ona znajduje się pod naszą opieką.

Musisz o tym wiedzieć.

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, odeszli szurając nogami.

Następny był Eliot Bonner.

Po tradycyjnym już wspólnym obiedzie z Emmą i Earlem został trochę dłużej przy stoliku.

Potem zaś wziął swoją kawę i przy siadł się do Toma.

- Wczoraj wieczorem widziałem

104

P twoj] samochód koło domu Bree.

Czy coś się dzieje,

(o czymś powinienem wiedzieć?

Tom był nie w ciemię bity.

Wiedział, do czego może doprowadzić ta rozmowa.

- To zależy...

- odpowieJ dział z namysłem.

- Oglądaliśmy telewizję i graliśmy w warcaby.

Czy istnieją jakieś przepisy, które tego za braniają?

l - Nie.

Nie ma nic takiego.

Masz zamiar często tam

.przychodzić?

: Tom odczekał trochę, stwarzając wrażenie, że zastas nawia się nad odpowiedzią.

- Przez jakiś czas na pewHBO.

Wydaje mi się, że Bree nie ma nic przeciwko temu.

- Może olśniła ją twoja sława.

Uśmiechnął się.

- Szczerze w to wątpię.

- Wątpię.

- Jeszcze ani razu nie rozmawiali z Bree IHjego pracy.

- Planujesz zostać tu dłużej?

I. Przedtem zaplanował sobie, że przyjedzie tu na rok.

" "aż pomyślał, że rok to może być za krótko.

- Kujem tutaj dom - odparł.

- Zobowiązałem się gtoać w tym mieście.

To nie ma znaczenia - rzekł Eliot.

- Chciałbym zięć, w jakim celu przychodzisz do Bree?

Żeby zaiczucie winy?

B poczuł się nieco zaskoczony tym podejrzeniem.

oczątku, owszem, gryzły go wyrzuty sumienia.

lie już o tym zapomniał.

- Nie.

Na pewno nie to.

W- Co zatem?

Pomyślał o tym, jaki komfort czuł w jej obecności.

O spokoju, którego tak bardzo brakowało mu po fenierci matki.

Miał wrażenie, że Bree, chociaż sama osłabiona po wypadku, daje mu siłę.

Może nawet uza leźnił się od niej.

Czuł, że coraz bardziej potrzebuj e j ej towarzystwa.

Seana.

- Lubię Bree - powiedział do Eliota.

105 .

- Do czego to prowadzi?

Sam sobie także zadawał to pytanie.

- Nie wiemi Chyba do niczego szczególnego - odparł.

- Brees będzie potrzebowała jeszcze dużo czasu, żeby dojść do siebie.

- Hm...

Na ile ją znam, za dwa tygodnie wróci do pracy.

Pamiętaj, człowieku, że cię ostrzegałem.

Bądź ostrożny.

- Ostrożny?

- zdziwił się.

- W tym, co robisz z Bree.

Ona jest miłą dziewczyną.

Nie chcę, żeby zdarzyło jej się coś z tych rzeczy...

Wiesz, co mam na myśli?

Nie zasłużyła na to.

- Po trząsnął głową.

- Z jej ojca był kawał drania.

Nie, nie, nie znęcał się nad nią fizycznie...

A najwięcej cier piała przez matkę.

Nie chciała znać ani Bree, ani jej ojca.

Ścigałbym taką, doprowadziłbym ją do sądu.

Oczywiście nie byłem wtedy szeryfem.

- Haywood nigdy nie był rozmowny - opowiadał Eliot.

- Ale jak wrócił z dzieckiem, to już zupełnie padło mu na mózg.

Nikomui nie powiedział, że ma dziecko.

Wydało się dopiero, jak mała zachorowała i musiał oddać ją do szpitala.

- Po co te sekrety?

- Możesz pytać.

Za nim nie trafisz.

Dziwak był i ty le.

To cud, że Bree wyrosła na normalną dziewczynę.

Musiała mieć niespotykaną siłę, żeby to jakoś prze trzymać.

- Uniósł dłoń ostrzegawczo.

- Uważaj, nie zrób jej krzywdy.

Powiedziawszy to wszystko, Eliot rozparł się na krześle.

Spokojnie dopił kawę.

Tom także kończył kawę i zbierał się do odejścia, kiedy przysiadł się do niego kolejny rozmówca.

Tym razem był to prawnik, Martin Sprague.

Zawsze ubierał się trochę inaczej niż inni miesz kańcy Panamy.

Nosił najczęściej ciężki niemodny gar106

nitur.

Zachowywał poważny wyraz twarzy i dbał o to, żeby nie spoufalać się z ewentualnymi klientami.

- Chyba powinieneś wiedzieć, że mam wgląd w jej sprawy majątkowe - powiedział bez żadnych wstępów.

- Proszę?

- zdziwił się Tom.

- Jeżeli jesteś bankrutem, który wydał wszystkie pieniądze i chcesz się teraz bogato ożenić, nie licz na to, że od niej coś dostaniesz - ostrzegł Martin.

- Ona nic nie ma.

- Nie jestem bankrutem - mruknął Tom.

- Nie ty pierwszy uważasz, że jest dziana, ale nic z tego.

Od dawna prowadzę ich sprawy, więc wiem.

1-laywood korzystał z moich usług, a jeszcze wczynie jego ojciec.

Żadnych pieniędzy.

- A kiedyś były?

- Dawno temu.

Osgood Miller miał kiedyś kawał lasu z najlepszym drewnem w okolicy, ale głowy do interesów nie miał.

Założył własny skład drewna.

Wy rzucił pieniądze w błoto.

Niepotrzebnie się za to brał.

Haywood nie był lepszy w biznesach.

Kiedy Bree się urodziła, już prawie nic z tego nie zostało.

Kawałek Nasu, dom.

Na domiar złego w okropnym stanie..

II" Tom pomyślał, że sypialnia Bree i pokój, w którym M(at telewizor, były pogodniejsze, jaśniejsze niż reszta dego smutnego domu.

- Dlaczego w okropnym stanae?

Wcale nie wygląda tak źle.

- Przyjrzyj się temu dobrze - doradził Martin, od chodząc od jego stolika.

- Zniszczony dom, zagrzybione ściany, stare meble.

W to trzeba będzie zainwestować kapę forsy.

Dobrze ci radzę, daj sobie z tym spokój.

Tom nawet nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby nie widywać się z Bree.

Czas, który z nią spędzał, dał mu więcej satysfakcji niż wszystko inne, co robił od lat.

Uśmiech Bree i jej ciepłe spojrzenie znaczyły dla niego tyle, co milion dolarów.

Starał się być z nią

107 .

jak najdłużej.

Już nie wychodził do domu zaraz śniadaniu.

Przedłużał ten wspólny poranek, jak tyli mógł.

Nie czekał też do dziewiątej wieczór, żeby dół niej przyjść.

Jadł późny obiad w zajeździe i potem je chał do Bree.

Kiedy miała dość siedzenia w domu, za bierał ją na przejażdżkę.

Kiedy zapragnęła ruchu, szedł z nią na spacer.

Eliot miał rację, szybko docho dziła do zdrowia

Pod koniec drugiego tygodnia po wyjściu ze szpita la pojechali do zajazdu.

Przyjęto tam Bree jak królo wą.

Każdy chciał się z nią przywitać, uściskać, poroz mawiać.

Zapraszano ją do każdego stolika jak honorowego gościa.

Tom stał zakłopotany i nie bardzo wiedział, co robić.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, ni komu nie był potrzebny.

Dopiero po pewnym czasie podeszła do niego Emma.

- Możemy porozmawiać?

- zapytała.

Wskazała stolik na końcu sali.

Ledwo usiedli, spojrzła mu w oczy i powiedziała bez ogródek: - Martwię się o Bree.

- Czuje się dobrze - zapewnił Tom.

- Nie to mnie niepokoi.

Ludzie zaczynają mówić...

- O czym?

- O Bree...

I o panu.

- Proszę?

- zapytał ze zdziwieniem.

- Spędza pan z nią dużo czasu.

Jej przyjaciele czu ją się odsunęci.

Nie zliczę, ile osób pytało mnie, co się dzieje.

Tom starał się zachować ostrożność.

- I co im pani odpowiedziała?

- Co mogłam odpowiedzieć?

Nie wiem, co się dzie je.

Liczę na to, że pan mnie oświeci.

Tom już nieraz zastanawiał się nad tym.

Sam nie był pewien.

- Nic groźnego - mruknął.

Musiał ostroż nie dobierać słowa.

108

Może nic, ale pańska obecność przyczyniła się do l tego, że pomiędzy Bree a jej przyjaciółmi wyrósł mur.

I to jest tragiczne.

Pewnego dnia pan wyjedzie, a Bree pozostanie samotna.

Ona potrzebuje przyjaciół.

My wszyscy staramy się zastąpić jej rodzinę, odkąd biedny Haywood odszedł z tego świata.

- Przez chwilę pa trzyła w dal, zamyślona.

Machinalnie dotknęła sznura pereł, który miała na szyi.

- Biedny Haywood nigdy nie doczekał szczęścia - szepnęła.

Potem znowu pa- użyla Tomowi w oczy.

- Latawica z niej była, z tej jej matki.

A on zakochał się po uszy.

Kiedy wrócił bez niej, został z niego den mężczyzny.

I - Słyszałem, że już wcześniej miał problemy.

I- Emma skrzywiła się.

- Kto panu nagadał takich fazeczy?

To nieprawda.

Był cichy, ale mocno stał na nogach.

Zawsze zachowywał się jak należy.

Uczestniczył yie wszystkich imprezach organizowanych przez mia.Sto.

Co niedziela chodził do kościoła.

,- Największym łajdakom zdarza się co niedziela liodzić do kościoła - mruknął Tom.

; Biedny Haywood - mówiła Emma, nie zwróciwV uwagi na komentarz.

- Jego matka, Hanna Milobrzydzała mu życie, jak tylko mogła.

Zawsze barisztywno trzymała się zasad.

Można powiedzieć, że łała nowe znaczenie słowom: grzeczny i odpowiedKobiety już dawno zyskały prawo do swobodnego Stroju, ona ciągle chodziła w sukienkach zapiętych pod szyję.

W jej domu panował wzorowy porządek.

Wszystkie rzeczy ustawione na bacność niby w szyku , wojskowym.

Była tego rodzaju kobietą, że potrafili śmy docenić nasze matki.

- Czy pomagała wychowywać Bree?

- Musiała.

Biedny Haywood sam by sobie nie pora dził.

Pracował ciężko, zarabiał na życie.

Wtedy jeszcze nie było przy kościele świetlicy dla dzieci.

A jak umarła,

109 .

wszystkie kłopoty spadły na biednego Haywooda Emma potrząsnęła głową.

- Ileż zła wyrządziła mu ta kobieta - szepnęła ze zgrozą.

?

Tom trochę się pogubił, czy mówiła teraz o Hannie Miller czy o matce Bree. Już miał o to zapytać, kiedy podeszła do ich stolika Dotty.

Emma i Dotty były siostrami i istniało między nimi fizyczne podobieństwo. Dotty jednak, chociaż młodsza, była wyższa, szczuplejsza i bardziej siwa niż Emma, która zawsze pamiętała o wizycie u fryzjera i eleganckiej sukience.

- Co ty mu opowiadasz, Emma - jęknęła Dotty.

- Daję mu lekcję historii - rzekła Emma, wstając od stolika.

- Zawsze wszystko musisz zepsuć.

- To ty ciągle mi mówisz, że za dużo gadam.

- Bo to prawda - mruknęła Emma na odchodne.

Dotty spojrzała za nią.

Potem zwróciła się do Toma.

- Nie pytaj mnie, dlaczego wybraliśmy ją na burmistrza.

Sama tego nie mogę zrozumieć.

Zrobiła się na prawdę nieznośna.

- Od jak dawna piastuje ten urząd?

- zapytał Tom.

Przyjechał do miasta na krótko przed ostatnimi wyborami.

Wtedy jeszcze nic go to nie obchodziło.

Zastanawiał się, czy właśnie w tych wyborach Emma doszła do władzy.

Okazało się jednak, że zajmowała to stanowisko już dużo wcześniej.

- Od ośmiu lat - odparła Dotty.

- I z każdym rokiem robi się coraz gorsza.

Myśli, że może wściubiać nos w cudze sprawy i przesiadywać tutaj codziennie z Earlem i Eliotem.

Świętej pamięci John w grobie się przewraca!

On chciał, żeby jego żona siedziała w do mu.

Gdyby żył, nigdy nie pozwoliłby jej na te rzeczy.

Gdyby nawet połowę tego wiedział, zamknąłby ją w domu na klucz.

- Przysiadła się do stolika.

- O czym mówiła?

- zapytała już znacznie łagodniej.

no

- O biednym Haywoodzie - rzekł Tom.

Dotty wytrzeszczyła oczy.

- Biedny Haywood!

Też ?

ś! - prychnęła pogardliwie.

- Nie był jej przeczony, więc wyszła za męża za Johna.

Ale interesowała się nim aż do końca.

Czy mówiła, że był przystojny?

- Nie.

- To dziwne.

Ciągle o tym mówi.

Choć muszę przyznać, że naprawdę był przystojny.

A poza tym zgorzkniałe, nudny flejtuch.

Sam wiedział, że z nim coś było nie w porządku.

Z całym jego życiem.

Wyjechał do Bo stonu szukać pracy i tam spotkał tę kobietę.

- Matkę Bree?

- A kogóż by innego?

Nigdy nie mówił jej imienia.

Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat.

Haywood dobiegał czterdziestki.

Spotkał ja w barze szybkiej obsługi, jak kupował hamburgera.

I to wszystko, co powiedział.

- Uniosła dłoń.

- Szalał z miłości.

Ale od początku nie miał szans.

Bo co to za związek po między młodą i pełną ducha kobietą i takim mężczyzną jak on?

Więc wrócił sam i przyniósł z sobą dziecko.

- Podniosła głos.

- Czy może pan sobie

wyobrazić taki powrót?

e: . Tom mimo woli pomyślał, że i jemu coś takiego może się zdarzyć.

Nigdy nie próbował osądzić matki

Bree.

Nie znał sytuacji, nie wiedział, co się naprawdę

wydarzyło.

h- Ludzie gadali, kiedy wrócił do miasta - mówiła Dotty.

- Mówili o dziecku do czasu, kiedy było już dostatecznie duże, by wyjść samo na ulicę.

I potem na dal gadali...

więc - spojrzęła mu w oczy ze śmiertelną powagą.

- Jeśli pan ją skrzywdzi...

- A co ja takiego jej robię?

- zapytał.

- To nie ma znaczenia.

Ostrzegam, że jeśli da im pan najmniejszy powód, nie ręczę za siebie.

Ona zasługuje na lepszy los.

111 .

Tom nie mógł nic na to poradzić.

- Może powinna im pani powiedzieć, żeby dali spokój tym plotkom.

Może gdyby mogła dać pani przykład...

Dotty wyprostowała plecy.

- To nie ja gadam.

Nie jestem gorsza od innych...

Mój Boże, gdybym ja nie mówiła, to nawet pan sobie nie wyobraża, jakie bzdury wygadywaliby inni.

Nie ma powodu mnie atakować.

Tylko po przyjacielsku chciałam panu doradzić.

Wstała od stolika.

Jane złapała go na parkingu, gdy wsiadał do samo chodu, by pojechać do Bree.

Rozejrzała się na wszystkie strony, żeby się upewnić, że są sami.

Potem mocniej zacisnęła pasek płaszcza.

- Przepraszam za moją mamę - powiedziała ci chym głosem.

- Jej się wydaje, że postępuje właściwie.

Proszę nie zwracać uwagi na jej złośliwości.

Tom uśmiechnął się.

Lubił tę dziewczynę o łagodnej, delikatnej buzi.

Nawet jeśli nie uważał jej za piękną.

- Nic się nie martw.

Jest w porządku - zapewnił ją.

- Od tygodnia wysłuchuję podobnych rzeczy.

Już trochę do tego przywykłem.

- Oni się o nią martwią.

To wszystko.

Ja też trochę jestem o nią niespokojna.

To moja najstarsza przyjaciółka...

Nie mówię, że jest stara, tylko że znamy się tak długo.

Skinął głową ze zrozumieniem.

Znowu rozejrzała się trwożliwie wokół.

Postawiła kołnierz, żeby uchronić się przed mroźnym listopadowym powietrzem.

- W pierwszej klasie zostałyśmy przyjaciółkami.

Obie czułyśmy się samotne.

Jej babcia trzymała ją z dala od ludzi.

A ja...

dobrze...

Moja matka cały czas siedziała w domu.

Czasami lepiej nie zastraszać przyjaciół.

- Pochyliła głowę.

- Nie skarżę się.

Moja mama mnie kocha.

Chciałabym, żeby Bree też miała matkę, która by ją kochała.

112

- A ojciec jej nie kochał?

- Chyba tak, ale był strasznie nieszczęśliwy.

Może pragnął być dobrym ojcem, ale nie miał dobrych wzorców.

Nie wiedział, jak postępować z dzieckiem.

Matka Bree musiała być barwną postacią.

Bree z pewnością nie odziedziczyła charakteru po nim...

- Urwała nagle.
- Nie powinnam tak mówić - szepnęła po chwili.
- O zmarłych powinno się do brze mówić.
- Zaczerwieniła się.
- Ale ja go pa miętam.

Ponury i zawzięty.

Znajomość z matką Bree była prawdopodobnie czymś najwspanialszym, co mu się trafiło w życiu.

I dlatego przez całą resztę żył ciał martwił się, że jej nie ma.

- Czy Bree też tak myśli?

Jane skinęła głową.

- Często o tym rozmawiały śmy.

Zastanawiała się, kim jest jej matka.

Wyobrażała ją sobie na wszystkie możliwe sposoby.

Najczęściej ją ko piękna i bogata.

- Ojciec nic jej nie powiedział?
- Podobno babka zabroniła mu o tym mówić.

A potem, kiedy pani Hanna umarła, był już zbyt sta ry i zmęczony, żeby zmieniać zdanie.

Na starość zro bił się okropny.

Coraz cichszy i coraz bardziej ponu ry.

Bree, kiedy skończyła piętnaście lat, zatrudniła się w zajeździe na pół etatu.

Zrobiła to, żeby uciec z do mu.

Wiesz, taka forma ucieczki.

Chciała być z ludźmi, którzy rozmawiają i śmieją się, którzy są weseli.

Za jazd bardziej stał się dla niej domem niż dom rodzin ny na South Forest.

- Wcisnęła ręce do kieszeni.
- I teraz plotkuję jak moja matka - zauważyła z zaże nowaniem.
- To wcale nie to samo - zapewnił Tom.

I zaraz wrócił do poprzedniego tematu.

Nie chciał w obecności Jane krytykować Dotty.

- Czy matka nigdy nie próbo wała jej odszukać?
- zapytał.

- Nie.

- A Bree nigdy nie myślała, żeby się tym zająć?

Choćby wynająć prywatnego detektywa?

- Nie.

Po śmierci Haywooda już jej się nie chciało.

Tom pomyślał teraz o tej Bree, którą zna}.

- Ona potrafi wybaczać.

- Tak...

- Jane znowu rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi, tak jakby to było ważniejsze niż to, co miała zamiar powiedzieć.

- Właśnie dlatego ludzie starają się ją ochronić.

- Rozumiem.

- Boją się, że uzależni się od ciebie, a potem ty ją porzucisz.

- Z każdym dniem staje się bardziej niezależna.

- Po tym wypadku może być bardziej podatna na zranienia.

- Po doświadczeniu "życia po życiu"?

Jane skinęła głową.

- Ja też cały czas mam to na względzie - rzekł Tom.

Nagle ostry głos przeszył powietrze.

- Jane!

- To Dotty szukała córki.

Jane westchnęła.

Rzuciła mu błagalne spojrzenie, potem zwinnie i szybko przešli zgnęła się wśród stojących na parking samochodów.

Flash wygłosił mowę kilka dni później.

Przyszedł z wizytą.

Tom czytał książkę, Bree drzemała na sofie.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, otworzyła oczy.

Po tem powoli odwróciła się na drugi bok i znowu za snęła.

Tom dorzucił drewna do ognia płonącego w kominku.

- Śpij, śpij - szepnął.

- Dobrze się składa, że śpi - rzekł Flash chwilę później.

- Muszę porozmawiać z tobą sam na sam.

-

114

Postawił na stole kuchennym starannie opakowane pojemniki z jedzeniem.

- Lasagne z sosem i serem.

Bree musi nabrać sił.

Tom machinalnie poklepał się po brzuchu.

Flash bez przerwy dokarmił Bree, a ona stanowczo odma wiała zjadania wszystkiego.

W rezultacie większość smakołyków przypadła właśnie jemu.

- Jeszcze ciepłe - mówił Flash - ale może lepiej będzie wstawić to teraz do lodówki.

Jutro też będzie dobre.

Wystarczy, że podgrzejesz.

Dziesięć minut w gorącym piecyku najzupełniej wystarczy.

- Oparł się o stół kuchenny i spojrzał na Toma.

- Tu nie chodzi o mnie - zaczął.

- Musisz to wiedzieć.

Nie uważam cię za złego człowieka, poza tym Bree sama wie czego chce i sama decyduje o własnym życiu.

Od pewnego czasu w każdej sprawie ma własne zdanie, więc w tej pewnie również.

Problem polega na tym, że choć ciążę jestem tak blisko Bree, niektórych rzeczy nie rozumiem. Chciałbym cię o coś zapytać.

Tom oparł się o zlew i złożył ręce na piersiach.

- Pytano mnie chyba o wszystko, co tylko możliwe.

Nie ma już żadnych wolnych pytań.

Ale zgadzam się.

Strzelaj.

Odpowiem, jeśli sam będę wiedział.

- Jeśli chcesz zrobić sobie z nas jaja, to postępuj tak dalej.

Ale musisz wiedzieć, że to, co się zdarzyło, nie jest normalne.

- To, że pomagam Bree?

- zdziwił się Tom.

- Przez cież wszyscy w mieście próbują jej pomóc.

Nie widzę w tym nic niezwykłego.

- To nie jest tak.

Pamiętasz, jak kazała mi odwołać nocne dyżury?

Samodzielna, niezależna Bree i taką zna ją całe miasteczko.

Sama decyduje o wszystkich swoich sprawach.

I ona data ci pozwolenie, żebyś mógł u niej zostawać na noc.

To nie jest normalne i nie wmawiaj we mnie, że ona jeszcze potrzebuje opieki.

Już z pewnością

sama potrafi się o siebie zatroszczyć.
Tylko że...
pierw szy raz się zdarza, że u niej w domu jest mężczyzna.
Tom zdziwił się, ale ta wiadomość sprawiła mu przyjemność.
- Nie żartujesz?
- Nie zrozum mnie źle.
Ona nie jest zasuszoną dzie wicą.
Nic takiego.
Miała związki z mężczyznami, ale za den z nich nie spędził w jej domu nawet jednej nocy.
- A już szesnaście razy u niej nocowałem - po liczył szybko Tom.
- Chryste - jęknął Flash.
- Płacisz czynsz?
- Nie - uśmiechnął się Tom.
- Ja śpię na sofie, a ona w swoim łóżku - dodał.
- To nie ma znaczenia - orzekł Flash.
- Bree ce ni sobie przestrzeń.
Chociaż...
może to jest spowodowane tym, że teraz nie chodzi do pracy.
Tam miała dużo ludzi.
W domu mogła czuć się samotna.
Tom nie sądził, że Bree potrzebuje towarzystwa.
Zbyt dużo przyjaciół przychodziło do niej w gości.
- Powiedz mi, z kim się spotykała.
- Z nikim - padła automatyczna odpowiedź.
Po tem jednak Flash zastanowił się.
- Przynajmniej od kąd ja ją znam - dodał po chwili.
- Słyszałem, że w szkole chodziła z Curtisem Lambem.
Ale to nie by ło nic poważnego.
- Z tym Curtisem?
- zapytał Tom.
- Tak, z tym z Panamy.
Tom spojrział na niego z wyczekiwaniem.
- Mężczyźni zawsze przychodzili do zajazdu - mówił Flash.
- Różni.
To trwało tydzień, czasem mie sięć.
Flirtowała z kierowcą ciężarówki, potem z kom puterowcem...
Ale nigdy nie zapraszała mężczyzn do domu.
Nie ciągnęła długo tych znajomości.
Miała ta kie zasady.
Oni byli przystojni, ale to ona chciała być tą, co daje miłość i odchodzi.
- To brzmi, jakby miała serce z kamienia.
116
- Nie.
Po prostu wiedziała, jak chronić własne szczęście.
- Jeżeli wie, jak dbać o siebie, to dlaczego tak się o nią obawiacie?
- Ponieważ złamała swoje zasady i pozwoliła, żebyś z nią mieszkał.
Ludzie zastanawiają się, dlaczego na dal z nią jesteś i jak długo planujesz tu zostać.
- Hm...
- Co znaczy ta odpowiedź?

To znaczyło, że Tom nie zna odpowiedzi na to pytanie.
Nigdy nie czuł tak niewinnej fascynacji kobietą.

Do licha, pomyślał.

Nawet ani razu jej nie pocałował.

Właśnie...

- Co masz na myśli?

- dopytywał Flash.

- Cześć, Flash!

- zawołała Bree, niespodziewanie pojawiając się w drzwiach.

Objęła go w pasie.

Pocałowała w policzek.

- Co słychać u ciebie?

- Nic dobrego - mruknął.

- Muszę sam prowa dzić księgowość.

Wiesz, jak bardzo tego nie lubię.

Nie daję sobie z tym rady.

Powiedz, kiedy wreszcie wrócisz do pracy.

Julia zadzwoniła do Toma do domu.

Przedstawiła się i przeprosiła za kłopot.

- Niestety nie było mnie w zajeździe, kiedy przyjechaliście tam z Bree - po wiedziała nieśmiało.

- Chciałam się dowiedzieć, jak się czuje.

Jedni mówią tak, drudzy inaczej.

Trudno mi było w tym się połapać.

Jedni uważają, że widać po niej, że miała wypadek, drudzy twierdzą, że nikt by się nie domyślił.

Ty widzisz ją cały czas.

Wiesz najlepiej, jaka jest prawda.

Tom słyszał w jej głosie szczerą troskę.

- Szybko dochodzi do zdrowia - powiedział.

117 .

- Naprawdę?

- Tak, możesz się nie obawiać.

Julia odetchnęła z ulgą.

Tom wiedział, że jest szczerą, że lubi Bree.

- To dobrze, niepokoiłam się o nią.

- Bree uwielbia kwiaty, które jej przysyłasz.

- Co tydzień przychodził nowy bukiet.

- Stawia je na biurku w wazonie.

I jak tylko rano otwiera oczy, widzi kwiaty.

Musisz kiedyś wpaść i sama zobaczyć.

Bree na pewno bardzo się ucieszy.

Tom słyszał w głosie Julii nieklamana radość.

- Nie długo wróci do pracy.

Lepiej będzie, jak spotkamy się w zajeździe - powiedziała.

- Dbaj o nią.

Bardzo cię proszę.

I znowu Tom uprzedził życzenie Bree.

Miała wielką ochotę obejrzeć jego dom.

- Chciałbym pokazać ci moją chatkę - powie dział, zanim zdążyła go o to poprosić.

- Nie ma tam zbyt wiele do oglądania - ostrzegł ją, gdy dojeżdżali.

Ona nie była jednak tak surowa.

Podobał jej się kamienny taras, weranda osłonięta przed inwazją owadów siatką.

Z ciekawością weszła do środka.

Sufity były niższe niż u niej.

Obejrzała trzy sypialnie na górze, dwa duże pokoje na dole.

W większym, w którym można było urządzić salon, znajdował się uroczy kominek.

W niemal każdym pokoju stały nie rozpakowane kartonowe pudła.

Od siedmiu miesięcy, kiedy tu się sprawdził, Tom nie rozpakował jeszcze swoich rzeczy.

Nie powiesił żadnego obrazu na ścianach.

Bree rozumiała, że nie zadomowił się w Panamie.

W każdej chwili mógł stąd wyjechać.

Spakować to wszystko w ciągu paru minut, zamówić transport i szybko zniknąć z miasta.

118

Ta myśl nie przypadła jej do gustu.

Przyzwyczyła się już do niego, przywiązała się.

Wiedziała, jacy są mężczyźni.

Przychodzą i odchodzą.

Tom nie był wyjątkiem.

W każdej chwili może stąd wyjechać.

Jest wolny.

Kiedy wyprowadził ją na taras, niemiłe myśli przysły w jednej chwili.

- To miejsce zawsze chciałem ci pokazać - powiedział.

Za tarasem, za kępą krzewów, płynął strumyk sześciu może na metr lub dwa.

Wił się wśród skał, wymywał złoty piasek spod korzeni drzew.

Mienił się zielenią i błękitem.

I chociaż chmury przesłoniły słońce, w wodzie błyszcząły złote iskielki.

Bree złożyła dłonie.

- Magiczne miejsce - szepnęła.

- Zmęczona?

- zapytał.

- Nie, chciałam tylko popatrzeć.

- Sto metrów stąd widok jest jeszcze ładniejszy.

Pójdziemy?

Wstała i podała mu rękę.

To nie było daleko.

Stru myk skręcał, a potem spadał w dół.

To był maleńki wo dospad, ledwo na wysokość człowieka, ale woda hu czała jakby bzyczał rój pszczół.

Lśniły tęczą rozbryzgujące się krople.

Przy brzegu, w miejscu doskonale nadającym się na punkt widokowy, stała ławeczka.

- Kiedy przyjechałem obejrzeć ten dom, obsze dłem posiadłość dookoła i znalazłem to miejsce.

Spójrz na ślady na tej ławeczce.

Wygląda na to, że Hubbardowie często tutaj siadali.

A może ktoś, kto mieszkał tu wcześniej, tak bardzo upodobał sobie to miejsce.

To mogą być bardzo stare ślady.

Bree patrzyła z zachwytem.

Uśmiechnęła się do Toma i usiadła przy nim na ławeczce.

I nagle poczuła się wspaniale, poczuła jak przepelnia ją wiara.

Jest zdro wa.

Tom jest jej tak oddany.

Życie obiecywało miłość i spełnienie trzech życzeń.

119 .

- Dawniej nie lubiłam jesieni - powiedziała.
- Nienawidziłam tego, że drzewa tracą liście.

Uważałam, że to czas umierania.

- Teraz nawet na śmierć możesz spojrzeć inaczej.

- Tak - rzekła niepewnie przez zaciśnięte gardło.

Nie знаła innego mężczyzny, któremu mogłaby o wszystkim powiedzieć.

I który słuchałby jej tak uważnie jak Tom.

Wzruszała ją ta dobroć.

- Czy dużo o tym myślisz?

- zapytał.

- Tak.

Nadal wiele myślała o swoim doświadczeniu wyjścia poza ciało i choć powracała już do dawnych obowiązków - prowadziła Flashowi rachunki, prowadziła sa mochód, spacerowała po lesie - nie było takie samo jak przed wypadkiem.

- Ja też o tym myślę - powiedział Tom.

- Zasta nawiam się, co bym czuł na twoim miejscu.

Przez parę minut walczyła z zaciśniętym gardłem, po czym zapytała: - I co byś czuł?

- Żal.

Żal z powodu nie wykorzystanej szansy.

Nie wiedziała, o co mu chodzi.

O jaką szansę?

Pla nował powrót do Nowego Jorku?

Nie mogła mu tego zabronić.

Pomyślała o nie rozpakowanych kartonach.

Poczuła przeraźliwy lęk.

Nie potrafiła już istnieć bez niego.

- Nie wykorzystałeś szansy?

- Szansy osiągnięcia tego, co się liczy w życiu.

Czuł bym też nadzieję.

Zupełnie tak, jakbym na nowo zaczął życie, tym razem zupełnie inne.

Poczuła, jak coś dławi ją w gardle, gdy na niego pa trzymała.

Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Nie wyjeżdżam stąd - powiedział.

Chciała uwierzyć.

Bardzo chciała uwierzyć.

Za mknęła oczy.

Lubiła zapach Toma.

Czysty, męski i ele gancki.

Już nie obcy.

Ubrany w rozpiętą wełnianą kurtkę i flanelową koszulę oraz wąskie dżinsy, jak

120

większość mężczyzn w miasteczku.

Tylko buty odróżniały go od reszty mieszkańców miasteczka...

- Zostaję tutaj, Bree.

Miała wrażenie, że nagle wszystko pojaśniało.

Otworzyła oczy.

To promień słońca przedarł się przez chmury.

Tylko na chwilę, ale wystarczyło.

Czuła się wspaniale.

Była zakochana w niezwykłym, cudownym mężczyźnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Gdybyście miały wypowiedzieć trzy życzenia, ja kie by one były?
- zwróciła się Bree do swoich trzech przyjaciółek.
 - Siedziały razem przy stoliku - LeeAnn, Jane i Liz.
- Bree już wyłączyła przenośny komputer po kil ku godzinach księgowania.
 - Trzy życzenia - niepewnie powtórzyła Jane.
 - Spełnienie marzeń - szepnęła Liz z nadzieją w głosie.
 - Wiem, o co bym poprosiła - oznajmiła LeeAnn.
- Po pierwsze chciałabym pieniędzy.
 - Och, jakiś milion dolarów.
 - Potem zażyczyłabym sobie jacht.
 - Mam na myśli taki duży, elegancki.
 - Wytworne sypialnie i obsługa do mojej dyspozycji.
 - I jeszcze chciałabym księcia.
 - Jane skrzywiła się - Księcia?
 - Tak.
- Prawdziwego.
 - Nie musi być najważniejszym księciem, ale strasznie bym chciała mieć książęcy diadem.
 - Diadem - westchnęła Liz.
 - To wspaniałe, ale ja życzyłbym sobie czegoś innego.
 - Czego byś sobie życzyła?
 - zapytała Bree.
- Przy glądała się małemu Joeyowi, który gramolił się matce na kolana.
 - Chłopiec uśmiechnął się szeroko, przytulił,
122
a potem odwrócił się i pobiegł szybko na drugi koniec zajazdu.
 - Poprosiłabym o dobrą nianię - powiedziała Liz.
 - Taką jak Mary Poppins.
- Cudowną, fantastyczną, żebym nie czuła się tak okropnie, kiedy z Benem za mykamy drzwi i wychodzimy do pracy.
 - To tylko jedno życzenie - zauważyła LeeAnn.
 - Co jeszcze?
 - Liz zastanowiła się przez chwilę.
 - Piękna wycieczka na Karaiby.
- Abonament na następne piętnaście lat.
 - Bilety na samolot, plaża dla dzieci, to wszystko, czego pragnę.
 - A jakie trzecie życzenie?
 - Liz uśmiechnęła się, lekko zażenowana.
 - Gęste, kręcone włosy.
- Zawsze o takich marzyłam.
 - Bree nie zmarnowałaby życzenia na taką błahostkę.
- Spojrzała na Jane, której gęste, choć proste, włosy by ły wyjątkowo piękne.
 - Ja lubię moje włosy - powiedziała Jane.
- Bree zaśmiała się.
 - O co prosiłabyś, gdyby to mogło się spełnić?
 - O wycieczkę do Disneylandu.
- LeeAnn uniosła dłoń.
 - Ja też.
- Właśnie, doskonały pomysł.

Wycieczka z dziećmi do Disneylandu.

- To na pewno nie byłoby moim życzeniem - oznajmiła Liz.

Wrócił Joey.

Podskakiwał zabawnie z wielką pieluszką między malutkimi nóżkami.

Matka złapała go za rękę.

Wyrwał się, zrobił kilka piruetów i pobiegł dalej.

- Ale chętnie zapłaciłabym Mary Poppins, żeby wzięła tam moje dzieci - dodała Liz.

Bree z fascynacją przyglądała się Joeyowi.

- Dla czego Disneyland?

- zwróciła się do Jane.

- Wydaje mi się, że mogłabym się tam dobrze bawić.

Zawsze chciałam tam pojechać...

- Nie musiała

123 .

dodawać, że mieszkanie z Dotty nie było zabawne.
Ta nieprzyjemna kobieta prawie nigdy nie wyjeżdżała z Panamy.
Bree rozumiała, czym mogła być dla Jane wycieczka.

- Dobrze.

Disneyland - powiedziała Bree.

- A co jeszcze?

Jane opuściła wzrok.

- Chciałabym dostać stypendium na studia plastyczne - szepnęła.

Liz uśmiechnęła się do niej.

- Nie żartujesz?

Bree powinna była się tego domyślić.

Nawet bez studiów plastycznych Jane miała sławę artystki.

W Pa namie ceniono jej zdolności i korzystano z jej usług, gdy trzeba było udekorować kościół albo wykaliografować ozdobne zaproszenie.

- A co trzecie?

- zapytała LeeAnn.

Jane przełknęła ślinę.

- Odwaga.

Chciałabym być odważna.

Zapadło milczenie.

Wszystkie cztery wiedziały, że dla Jane odwaga znaczy wolność.

Bree uścisnęła dłoń przyjaciółce.

- Myślę, że kiedyś spełni się to życzenie - powiedziała.

- Jak lew z krainy Oz - dodał Liz, po czym zwróciła się do Bree.

- A co z tobą?

- Ze mną?

- Co z twoimi trzema życzeniami?

- zapytała Lee Ann.

Przymrużyła oczy.

- Czekaj, przypominam sobie, jak gasiłaś świece na urodziny.

Mówiłaś wtedy, że nie pomyślisz sobie żadnego życzenia.

Upierałaś się, że to wierutna bzdura.

Co się stało, że tak nagle się tym zainteresowałaś?

Bree wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Tak jakoś przyszło mi do głowy.

Po prostu...

taka zabawa.

- To jakie byłyby twoje życzenia?

- zapytała Jane.

- Po pierwsze...

- droczyła się LeeAnn.

- Powin naś życzyć sobie powrotu do pracy.

Bree spojrzała na komputer.

- Już dzisiaj byłam w pracy - odparła.

Umówiła się z Flashem, że codziennie po południu będzie przychodzić na kilka godzin.

- Na razie tylko pracowałam przy komputerze.

Wiem, że wolisz obsługiwać gości - żartowała LeeAnn.

- Lubię swój zawód - zaśmiała się Bree.
Nie wiadomo skąd pojawił się Flash.
- Twoje ży czenie zostało spełnione - zwrócił się do Bree.
- Wprowadziłem cię już do grafiku.
Czy czujesz się na siłach?
Spojrzały na niego z zaskoczeniem.
- Dziękuję - powiedziała Bree.
Wiedziała, że so bie poradzi.
Chodziła już na długie spacer y, prowadzi ła samochód, przyjmowała zamówienia.
Pora więc się całkowicie usamodzielnić.
Obawiała się uzależnienia od Toma.
Flash patrzył teraz na LeeAnn.
- Przypominam ci, że jeszcze nie skończyłaś pracy - upomniał ją.
- Potrzebuję kogoś do roboty.
A ty cały dzień siedzisz i gadasz.
- Już idę - mruknęła LeeAnn.
Podniosła się z krze sła, jednak kiedy Flash się oddalił, rozsiadła się znowu.
Spojrzała wymownie na Bree.
- Czego byś sobie życzy ła?
- powtórzyła pytanie.
- Mogłabyś poprosić o nowy samochód - doradziła Uz.
- Taki, który przez najbliższe dziesięć lat ani razu by się nie zepsuł.
I wtedy mogłabyś pojechać do Kali fornii i poszukać swojej matki.
Mówiłaś, że masz och o tę to zrobić.
Rzeczywiście jeszcze niedawno miała na to ochotę.
Ojciec wspomniał kiedyś, że matka pochodziła z Kali fornii.
Bree nieraz wyobrażała sobie, że jedzie tam i jej szuka, choć nie miała pojęcia, czy matka przeby wa w tej chwili w Kalifornii, czy gdzie indziej.
Teraz .

jednak nie miała ochoty wyjeżdżać z Panamy.

Na pew no nie chciała stąd się ruszać.

- A co z Tomem?

- zapytała Jane.

Intuicja jej nie zawiodła.

- Czy nie życzyłybyś sobie właśnie jego?

- Na twoim miejscu pomyślałabym o tym - wtrąciła LeeAnn.

- Ty jeszcze tu siedzisz!

- huknął na nią Flash.

Za jej rozmową nie zauważyły, że znowu podszedł do stolika.

LeeAnn niechętnie podniosła się z krzesła.

Burknęła, że przerwa na lunch powinna być dłuższa i że poświęciłaby na to jedno ze swoich życzeń.

Zaraz jednak wstała od stolika i szybkim krokiem podeszła do bufetu.

Mały Joey od razu wczuł się na jej miejsce.

I znowu przytulił się do matki.

- I co zdecydowałaś?

- Liz zwróciła się do Bree.

- Tom byłby twoim życzeniem?

Bree zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Lubisz go - powiedziała Jane.

- Dlaczego miałabym go nie lubić?

- mruknęła Bree.

Liz nagle stała się śmiertelnie poważna.

- Krąży o nim wiele plotek - przypomniała.

- Podobno trwo ni pieniądze, jest furiatem i zerwał umowę z wydawcą.

- A skąd ci plotkarze tak dobrze wszystko wiedzą?

- oburzyła się Bree.

Nie chciała tego słuchać.

- Wiem, że wobec mnie dotrzymywał słowa - powiedziała.

- Je śli obiecał przyjść, zawsze przychodził.

Nigdy nie tracił panowania nad sobą ani mnie do niczego nie zmuszał.

I wcale nie szasta pieniędzmi.

Byłam z nim, kiedy kupował swoją furgonetkę.

Zapoznał się z cenami, uważnie studiował kosztorys.

Rozmawiał cierpliwie, ale stanów czo.

Wzbudził mój podziw.

Zresztą nie wyobrażam sobie, jak bym sobie poradziła bez niego przez te ostatnie tygodnie.

126

T

- Jak sądzisz, długo jeszcze zostanie w Panamie?

- zapytała Jane.

Bree nie wiedziała.

- Wracając do sedna sprawy...

- Liz znowu patrzyła na Bree.

- Czy chcesz, żeby został?

- Myślę, że mu zależy na tobie - powiedziała Jane.

Liz zmarszczyła brwi.

- Spędza sporo czasu w twoim domu.

To daje się zauważyć.

Tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagę, kim on jest.

Słynny na całym świecie pi sarz po prostu u ciebie sypia...

- Nagle umilkła nagle i przytknęła rękę do ust.

- To w końcu nie moja sprawa.

Nie powinnam się wtrącać - dorzuciła po chwili.

Bree z przyjemnością przyglądała się Joeyowi, śpiące mu teraz na kolanach Liz.

Cieplutki, śliczny, z kciukiem w buzi i zamkniętymi oczkami.

Poczuła zazdrość.

Podniosła wzrok na przyjaciółkę.

- Nasza znajomość z To mem jest zupełnie niewinna.

- Więc ty nie...

A możesz to już robić?

- Mogę.

W ubiegłym tygodniu przy badaniu doktor wyliczył wszystko, co już mogę robić, między innymi seks.

Ale...

my tego nie robimy - powiedziała.

- Dlaczego nie?

- zapytała Jane cichym głosem.

Liz szeroko otworzyła oczy.

- Nie ciągnie was do siebie?

- zapytała.

- Chyba ciągnie - odparła Bree.

Doskonale wie działa, że tak.

Czuła to za każdym razem, kiedy patrzyła na jego długie nogi, kształtne dłonie, na aksamitne włosy opadające w nieładzie na kark.

Jane zrobiła minę.

- No, dobrze - mruknęła Bree.

Jej przyjaciółki i tak wiedziały, że nie jest zakonnicą.

- To może za brzmi trochę dziwnie w moich ustach, ale chyba po tym wypadku seks przestał być dla mnie szczególnie ważny - wyjaśniła niechętnie.

127 .

Liz uśmiechnęła się wymownie.

- Przypomnij so bie, że już nie jesteś chora.

Powtarzam pytanie.

Gdy byś miała trzy życzenia, czy Tom byłby jednym z nich?

tfr

Bree nie wiedziała.

Tom był czymś najlepszym, co jej się kiedykolwiek w życiu przytrafiło.

Albo czymś najgorszym.

Bała się angażować w ten związek.

Ni gdy nie miała takiego mężczyzny.

Silny, a zarazem wrażliwy, troskliwy, opiekuńczy.

Tak bardzo pasował do jej marzeń.

Wiedziała jednak, że ktoś taki na pewno nie zostanie w Panamie na zawsze.

Po prostu któregoś dnia odejdzie, a ona zostanie ze złamanym sercem.

Wszyscy ostrzegali ją przed tym związkiem.

Liz i Jane nie były jedyne.

Każdy, z kim rozmawiała, dorzucał coś od siebie.

Eliot uważał, że Tom jest przebiegły.

Gładkimi słowami i inteligencją tuszuje brak szczerości.

Emma zarzucała mu próżność i zarozumiałstwo.

Dotty mówiła, że jest nieuprzejmy.

Nawet Flash stał o zakład, że Tom niebawem powróci do Nowego Jorku.

LeeAnn podejrzewała raczej, że pojedzie do Hollywood.

Martin Sprague posunął się jeszcze dalej w swoich oskarżeniach.

Powiedział, że ojciec Bree umarłby po raz drugi, gdyby się dowiedział, że jego córka spotyka się z takim człowiekiem.

- Z jakim człowiekiem?

- zapytała wtedy Bree.

- Zepsutym do szpiku kości.

Siedzi tu próżniak i całymi dniami nic nie robi.

Poza tym jest jeszcze jeden problem.

Bree spojrzała na niego pytająco.

- Zapamiętaj moje słowa.

On jest pisarzem.

Czy wiesz, co to oznacza?

W następnej swojej książce obsmaruje Panamę.

Odnajdziesz siebie w tej powieści

128

i do końca życia będziesz się tego wstydzić.

Musisz to zrozumieć, Bree Miller.

Może cię w ten sposób wykozystać.

Zresztą nie tylko ciebie, nas wszystkich.

Bree nie bała się tego.

Widziała przecież dom Toma i biurko, z którego nawet nie ścierał kurzu.

Nic nie piął.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

Problem tkwił w tym, że im bardziej ostrzegano ją przed Tomem, tym bardziej do niego lgnęła.

Zawsze stawiała w jego obronie, gdyż nie było nikogo innego, kto by się za nim ujął.

Troszczyła się o niego, choć nie ścieliła mu łóżka i nie podawała posiłków, ani też on nie wyrażał pod jej adresem żadnych prośb.

Dawała mu spokój.

Widziała, jak się przy niej odpręża.

Poznała to po ułożeniu ramion, po blasku, który rozjaśniał jego oczy i czynił go młodszym, zupełnie niepodobnym do tamtego faceta, który siedział samotnie przy stoliku ze wzrokiem wbitym w talerz.

Czy to wszystko prawda czy sen?

A on jest darem niebios czy koszmarem piekieł?

- Coś jest nie tak?

- zapytał Tom zaspanym głosem, stając w drzwiach sypialni.

Dochodziła trzecia nad ranem.

Bree nie spała już od pół godziny.

Wyszła do łazienki, a potem już się nie położyła, tylko siedziała na brzegu łóżka.

Tom usłyszał, że nie śpi.

To go obudziło.

- Wszystko w porządku.

Tylko czuję taki dziwny niepokój - odparła.

- Boisz się powrotu do pracy?

- Nie, to nie jest ważne.

- Chcesz ciepłego mleka?

Potrząsnęła przecząco głową.

Mleko nie mogło tu pomóc.

Westchnęła i zapaliła nocną lampkę.

Usiadła

129 .

wygodnie na tóżku, podsuwając sobie poduszkę pod plecy.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Chcesz poroz mawiać?

- Tak.

Miał rozpiętą koszulę, spodnie bez paska i gołe sto py.

Z przyjemnością patrzyła, jak siada krzyżując nogi.

Czy taki mężczyzna może się nią interesować?

- za stanawiała się.

- Skąd ten niepokój?

- zapytał.

- Myślałam o moich trzech życzeniach.

- Aha, o to chodzi...

Więc wierzysz, że to prawda?

- Nie.

Ale miło o tym myśleć.

Nie przestaję się za stanawiać, o co mogłabym prosić.

- I na co się zdecydowałaś?

- Nie wiem.

Nigdy nie były dla mnie ważne takie bzdury jak podróż do ciepłych krajów, telewizor z dużym ekranem albo nowy zegarek.

- To nie są bzdury.

- To są materialne sprawy.

Nie mogłabym na nie zmarnować życzenia.

- Zdecydowała tak jakiś czas po rozmowie z przyjaciółkami.

Nie żeby lekceważyła J ich pragnienia, ale sama chciała czegoś innego.

- A co ty o tym myślisz?

- zwróciła się do Toma.

- Gdybyś miał trzy życzenia, czego byś chciał?

Zamyślił się.

Zmarszczka na czole pogłębiła się.

- Gdybym mógł, cofnąłbym czas, żeby pewne rzeczy się nie zdarzyły - powiedział wreszcie z rezygnacją.

- Jakie rzeczy?

- zapytała, niepewnie.

Mogła mieć obawy, że jego odpowiedź coś zmieni w tej znajomości.

Zastanawiał się przez chwilę, potem podniósł wzrok.

- Zawsze lubiłem być najlepszy - powie dział.

- Już jako dziecko potrafiłem dbać o to, żeby mnie nieustannie chwalono.

W szkole miałem najlepší

sze stopnie, wyróżniałem się w collegeu, a później na studiach prawniczych.

Jako prawnik od samego początku zabiegałem o swoją karierę.

Wybierałem naj lepsze, najgłośniejsze sprawy.

Odbierałem je prawni kom, którzy byli bardzo dobrzy, ale mieli mniejszą siłę przebicia.

I w ten sposób dotarłem na szczyt.

Parłem do przodu po trupach, ale tłumaczyłem sobie, że cho dzi tu o dobro moich klientów.

- Z moją pierwszą książką było podobnie - opo wiadał Tom.

- Miałem już wyrobione nazwisko jako prawnik.

Zgłosiłem się do najlepszego agenta literac kiego.

Nie zadawał zbędnych pytań.

Zorganizowaliśmy konferencję prasową, nim jeszcze znaleźliśmy wydawcę.
Książka, nawet gdyby okazała się knotem, też by się dobrze sprzedawała.
Mieliliśmy dużo energii, doskonałe pomysły i przeprowadziliśmy perfekcyjną kampanię reklamową.

Wydawcy dzwoniли do nas, nie doczytawszy nawet do końca.

- Tamta książka była dobra - powiedziała Bree.

Tom uśmiechnął się ze smutkiem.

- Znam wiele dobrych książek, w tym sporo dużo lepszych od mojej.

Dlaczego ta moja od razu stała się bestsellerem?

Po nieważ zapewniłem jej właściwą reklamę.

Kiedy pierwsza wskoczyła na listę bestsellerów, znalazły się tam i następne.

Wystarczył rozgłos jednej, żeby na stępnę też odniosły sukces.

Byłem na szczycie.

Wywiad i reportaż, zdjęcia w kolorowych magazynach, bankiety i konferencje prasowe w Nowym Jorku, transmitowane przez telewizję.

Byłem bogaty, arogancki i sławny - dokończył z sarkazmem.

Bree siedziała przy nim.

Ujęła jego dłoń.

Patrzyła na jego palce.

- Współczuję tym wszystkim, którzy mieli wtedy ze mną do czynienia - powiedział.

- Czy wiesz, że byłem żonaty?

131 .

- Nie.

- O tym mato kto wie.

Miała na imię Emily.

Cho dziłiśmy ze sobą w collegeu.

Pracowała, żeby zarobić na moje studia prawnicze.

I jak jej się odwdzięczyłem?

Oczywiście skończyłem studia, ale zakopałem się w pracy zawodowej i mato dbałem o żonę.

Trwało to dwa lata.

Kiedy poprosiła mnie o rozwód, zdziwiłem się.

Wydawało mi się, że musi być szczęśliwa w tym związku.

Nie przychodziło mi do głowy, że mogłoby być inaczej.

Taki był ze mnie troskliwy mąż.

Bree nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wkrótce powtórnie wyszła za mąż.

I nic dziwne go.

Ma teraz czworo dzieci.

Z tego, co słyzałem, na prawdę odnalazła szczęście.

Gdybym mógł cofnąć czas, nie powtórzyłbym pewnych błędów.

- Nadal ją kochasz?

- zapytała Bree.

Nie wierzyła w to.

Przecież nie mogło być tak, że umarła, poszła do rajy i wróciła tylko po to, żeby zakochać się w mężczyź nie, który nadal kochał swoją byłą żonę.

Chociaż...

Pra wie nic o nim nie wiedziała.

Nie mogła mieć pewności.

- Nie, tu nie chodzi o miłość.

Raczej o to, że zacho wywałem się po chamsku.

Nawet po rozwodzie.

Przy szła, gdy podpisywałem książki.

Zauważyłem ją, kiedy wchodziłem do księgarni.

Kolejka była aż na ulicę.

Nie podszedłem do niej.

Nie poprosiłem, żeby ją prze puszczo.

Tak bardzo fascynowała mnie moja karie ra, że na nią nie zwróciłem uwagi.

Pomachałem jej ręką i to wszystko.

- Odwrócił wzrok.

- Traktowałem przyjaciół i znajomych jak moich fanów.

Dużo mam na sumieniu podobnych historii.

- Było, minęło - szepnęła Bree.

Tym razem on patrzył na jej rękę.

- Potem miałem dwa dłuższe związki z kobietami - mówił.

- Pierw sza pracowała w mojej firmie.

Byliśmy ze sobą przez trzy lata.

Rzuciłem ją, kiedy kręcono pierwszy film na

132

podstawie mojej powieści.

Po prostu uznałem, że nie pasuje do Hollywood.

Druga kobieta była asystentką reżysera.

Poznaliśmy się podczas kręcenia mojego drugiego filmu.

Ona na pewno pasowała do środowiska.

Wyglądała niezwykle reprezentacyjnie.

Długie nogi, blond włosy, najmodniejszy fason dżinsów...

- Wbił wzrok w ziemię.

- Zaangażowałem się w tę znajomość.

Ale przedtem ostrzegłem ją, żeby nie wyobrażała sobie zbyt wiele.

Powiedziałem, że niczym nie różni się od innych kobiet i żeby z mojej strony na nic nie liczyła.

- Westchnął głęboko.

- Jak widzisz, wcale nie byłem miły.

Bree patrzyła na niego ze współczuciem.

- Ale największym powodem do wstydu jest dla mnie sposób, w jaki traktowałem rodzinę.

Mogłaby temu zaprzeczyć, spróbować znaleźć słowa, które rozproszyłyby jego smutek, ale tutaj liczyła się szczerość.

To była jego spowiedź.

- Pochodzę z małego miasteczka w Ohio - powie dalej.

- Mam pięcioro rodzeństwa.

Czterech braci i siostrę.

Alicja jest z nas najmłodsza, a ja urodziłem się tuż przed nią.

Mój ojciec był drogowcem, i wcale nie pracował w administracji.

Odśnieżał ulice.

Jeździł pługiem i piaskarką.

Nasza rodzina była z klasy robotniczej, dopiero ja się wyłamałem.

Grałem w piłkę nożną w szkolnej drużynie.

Jacy oni byli ze mnie dumni!

Traktowali mnie jak króla, kiedy przyjeżdżałem z wizytą.

Ale to się zdarzało najwyżej dwa razy w roku.

Odwiedzałem ich coraz rzadziej.

Zawsze znajdowałem jakiś pretekst.

Wiosenne treningi, podróż z przyjaciółmi, zaległe egzaminy.

Rodzice przyjmowali te wymówki, niczego nie podejrzewając.

Do głowy im nie przyszło, że wstydzę się swojej rodziny i małego prowincjonalnego miasteczka.

Za wszelką cenę starałem się od nich odseparować.

Moi dwaj starsi bracia przyszli raz do sądu na sprawa wę, którą prowadziłem.
Puszyłem się przed nimi, trak towałem ich z góry.
Chciałem im pokazać, jak trudno przebić się w wielkim świecie, dać im do zrozumienia, jak mato przy mnie znaczą.

- Przygryzł wargę.
- Wyraziłem to w bardzo brutalny sposób.
Patrzył na nią, czekając na krytykę.
Nie odezwała się.
- Tak bardzo sława uderzyła mi do głowy - mówił dalej.
- Przysyłałem im pieniądze.
Głównie po to, że by zagłuszyć sumienie.
Nie przyjeżdżałem do nich na wakacje.
W pewnym momencie zorientowałem się, że nie widziałem ich ani razu przez całe dwa lata.
W tym czasie miałem kampanię reklamową w Cleveland, to zaledwie dwie godziny drogi.
Nie skorzystałem jednak z okazji, żeby ich odwiedzić.
Nie powiedziałem im, że będę tak blisko.
Dowiedzieli się dopiero z telewizji, kiedy już było po wszystkim.
Moja matka bardzo cięż ko to przeżyła.
Zamyślił się.
Wiedziała, że wspomina matkę.
- Była dzielną kobietą - powiedział po chwili.
- Drobnitka jak moja siostra, ale miała bardzo silną wolę.
Gdy byłem mały, myślałem, że to ojciec jest głową rodziny.
Przycho dził do domu z pracy, rozwalał się w wielkim fotelu i cze kał, aż zostanie obsłużony.
Czekaliśmy na niego.
Matka mówiła nam, co dla niego przynieść.
To ona prowadziła dom, płaciła rachunki i pilnowała, żebyśmy odrobili lek cje.
Długo potem, kiedy on już drzemał w fotelu, robiła pranie albo myła podłogę, albo...
strzygła nam włosy.
- Uśmiechnął się.
- Aż do osiemnastego roku życia ani razu nie byłem u fryzjera...
- Umilkł, znów pogrążony we wspomnieniach.
Bree nadal nic nie mówiła.
Dałaby wszystko, żeby mieć właśnie taką matkę.
Dałaby wszystko, żeby mieć kogoś, kto troszczyłby się o nią w ten sposób.

134

Cisza przedłużała się.

Wreszcie Tom rzekł z żalem:

- Nigdy nie pomyślałem, że może być chora.

To do niej zupełnie nie pasowało.

Może właśnie dlatego chciałbym cofnąć czas.

- Co się z nią stało?
- Nowotwór.

Może ona sama nie potrafiła myśleć o sobie jak o chorej.
Bardzo długo zwlekała z pój ściem do lekarza, a potem już były przerzuty do kości.
Pamiętam, jak się o tym dowiedziałem.
Dopiero po trzech wiadomościach na automatycznej sekretarce oddzwoniłem do rodziny.
I chociaż miałem już swoje życie i nie czułem się w żaden sposób od nich zależny, uderzyło mnie to jak grom z jasnego nieba.

- Wes tchnął ciężko.

- Uciekłem od tego.

Próbowałem za jąć się pracą, towarzystwem, odpędzić złe myśli.

Ona tymczasem stawała się coraz słabsza...

- Przełknął ślinę.

- Och, powiedziałem im o tych wszystkich rze czach...

Radziłem wziąć specjalistę z Nowego Jorku.

Dowiadywałem się w Houston o eksperymentalną te rapię.

Ja na jej miejscu chyba chciałbym czegoś takie go.

Ona wołała starych lekarzy, których znała.

Bała się wyjechać z miasteczka.

Wydawało mi się, że zrobi łem wszystko, co w tej sytuacji było możliwe.

I z tym przeświadczeniem powróciłem do mojego wesołego towarzystwa.

Jej już nigdy nie zobaczyłem.

- Nigdy?

- zapytała Bree z niedowierzaniem.

Czuła się rozczarowana.

Nie postąpiłaby w taki spo sób, gdyby tylko miała matkę.

- Odwiedziłem ją raz czy dwa...

Wpadłem zaraz na początku, na krótko.

Wstąpiłem przy okazji, bo jecha łem w tamtym kierunku.

Wolałem trzymać się z dala.

- Znowu spojrzał na Bree z wyzwaniem.

- Odpowia dał mi taki styl życia.

Co jakiś czas zastawałem wiadomości na sekretarce, że z matką coraz gorzej, że są no we przerzuty.

A ja w odpowiedzi wysyłałem

135 .

pocztówkę...

Czasami dzwoniłem do domu, ale coraz rzadziej.
Tak byto mi wygodniej.
Zawsze znajdowałem jakąś wymówkę.
Mówiłem, że pracuję nad książką albo przygotowuję kampanię reklamową.
Żalotne bzdury - rzekł z goryczą.
- Już wtedy nic nie pisałem.
Nie miałem czasu.
Zbyt pochłaniało mnie życie towarzyskie.
Spodobało mi się bycie gwiazdą.
Zmarszczka pomiędzy brwiami pogłębiła się.
- Wyjechałem na wakacje w towarzystwie ludzi takich jak ja, sławnych i bogatych.
Elitarne towarzystwo, błękit Adriatyku.
Pływaliśmy jachtem.
Moja rodzina nie miała pojęcia, gdzie mnie szukać...
I kiedy ja dobrze się bawiłem na morzu, ona umarła.
Zostawiali kolejne wiadomości na mojej automatycznej sekretarce.
Nie odpowiadałem...
Nie mogli dłużej czekać z po grzebem...
- Głos mu się załamał.
- Pokazałem się tydzień później...
.- Och, Tom.
Uniósł dłoń.
- Nie żałuj mnie.
W gruncie rzeczy łatwo poszło.
Unikałem przykrego pogrzebu i tych wszystkich przygotowań.
Przyjechałem już po wszystkim...
- Widziała, jak nerwowo przełknął ślinę.
- Chociaż w tej całej krzątaninie pogrzebowej jest jakiś sens - mówił.
- Jakieś ujście dla bólu...
Natomiast ja próbowałem zwalczyć w sobie poczucie winy, za przecięcie cierpienia.
To wszystko nie miało ujścia.
I na gle ból, poczucie winy i smutek wyparły te wszystkie bzdury, którymi zaprzętałem sobie głowę i jasno zobaczyłem, jakim jestem człowiekiem.
Wesoło żeglowałem po Adriatyku, kiedy moja rodzina kładła matkę do grobu.
Tu tkwiła moja wina.
Dowód na to, jakim jestem parszywcem.
Bez namysłu Bree podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.
Jego cierpienie było tak ogromne, że wywoływało w niej odruch współczucia.

136

- Próbowałem dzwonić do ojca, ale nie chciał ze mną rozmawiać - mówił dalej łamiącym się głosem.
- Podobnie bracia.
Została tylko siostra.
Zawsze byłem z nią bardziej zżyty niż z tamtymi.
Ale nawet z nią nie mogłem się wtedy dogadać.
Kupiłem bilet na samolot, poleciałem tam.
Poszedłem prosto na cmentarz...
- Westchnął.

Widziała łzy na jego rzęsach.

- Widziałem grób, który jeszcze nie zdążył porosnąć trawą.

Patrzyłem na kamień, który położono tak niedawno...

Myślałem...

myślałem...

że to najokropniejszy moment w moim życiu...

Myliłem się jednak.

Najstraszniejsze miało dopiero nastąpić.

- Nie stałem tam dłużej niż dziesięć minut, kiedy zjawił się ojciec.

Szedł z opuszczoną głową i skulony mi ramionami, jakby miał co najmniej dziewięćdziesiąt lat.

Dopiero kiedy był parę metrów od grobu, podniósł głowę.

I wtedy mnie zobaczył.

Zatrzymał się, wyprostował plecy.

Zaczerpnął powietrza i wykrzyczał wszystko, co o mnie myśli.

Potem odwrócił się ode mnie i odszedł.

Bree wstrzymała oddech.

- Nie pobiegłeś za nim?

- Wołałem, ale nie zatrzymał się.

I to może dziwne...

po tych wszystkich latach...

ale nie potrafiłem zrobić matki samej w tym okropnym miejscu.

Stałem przez dłuższy czas, nie mogąc się ruszyć.

Później poszedłem do niego, ale nie wpuścił mnie.

Był w domu, widziałem go w oknie.

Miał prawo.

Pewnie po tym wszystkim co przeżył, myśli, że ma takiego syna, musi być dla niego koszmarem.

Użył czasu teraźniejszego.

- I do tej pory z nim nie rozmawiałeś?

- Dzwoniłem co kilka tygodni, ale nigdy nie chciał rozmawiać...

- Pochylił głowę.

- To stało się dzie sięć miesięcy temu.

Wróciłem po tym wszystkim do Nowego Jorku, ale nie mogłem tam znaleźć dla siebie

miejsca.

Siedziałem samotny w salonie, w mieszkaniu, które uważałem za szczyt luksusu.

I nienawidziłem tej calej sławy i sukcesów.

Pragnąłem być z ludźmi, którzy mnie odtrącili.

Z ludźmi, których przez tyle lat trakto wałem jak przedmioty.

Podniósł głowę.

W jego wzroku było wyzwanie, tak jakby chciał usłyszeć, że jest nędzną kreaturą.

Jednak Bree nie myślała o nim źle.

Nie знаła tam tego Toma.

Ten, którego znała, dbał o nią, starał się spełnić każde jej życzenie.

Opiekował się nią, swoje potrzeby odsuwając na dalszy plan.

- Dla mnie za wsze byleś wspaniały - szepnęła.

Pogładziła go po policzku.

Czuła, jak Tom rozluźnia się.

- Tutaj jest zupełnie inaczej.

Dobrze, że tu przyje chałem - powiedział.

Widziała, że jest zadowolony.

Jego szare oczy pojaśniały.

- A co z pisaniem?

- Teraz już mogła o to zapytać.

- Od czterech lat nie napisałem niczego, co miało by jakąś wartość - rzekł z goryczą.

- Nieprawda.

- Powiedz mi szczerze, która z moich książek jest lepsza, pierwsza czy ostatnia?

Zastanowiła się.

- Trudno porównać...

ostatnia by ła krótsza.

- I bardziej powierzchowna - dodał.

- Fabuła była banalna.

Sprawnie napisane, ale bez zaangażowa nia.

W sumie książka beznadziejna.

Bree na pewno nie użyłaby takiego słowa, ale miał rację co do płytkości fabuły.

- Mimo wszystko podo ba się wielu ludziom - powiedziała.

- Z pewnością.

Była długo na liście bestsellerów, więc wmówiłem sobie, że to wielkie dzieło.

Dopiero dziś mogę przyznać, że to nieprawda.

Wolałbym, żeby moja kolejna książka była lepsza od poprzedniej.

Na to poświęciłbym drugie życzenie.

138

- A to trzecie?

Twarz mu złagodniała, a na ustach pojawił się uśmiech.

- Pocałunek.

Chciałbym cię pocałować.

Zadowolona odwzajemniła uśmiech i palcem do tknęła ust.

- Proszę uprzejmie.

Przemknęło jej przez myśl, że igra z ogniem i przez moment zastanowiła się, czy związek z takim mężczy zną jak Tom musiałby dla niej oznaczać kłopoty.

Ale tylko przez moment.

Takie myśli nie miały żadnych szans wobec tego, co czuła.

- Uważaj się za szczęśliwca - powiedziała, ukła dając usta do pocałunku.

Jednak to nie o jego ustach myślała, a o dłoniach, podtrzymujących z tyłu jej głowę.
Delikatnie gładził jej włosy, pieścił kark.
Drżała pod jego dotykiem.
Te dłonie mogły z nią zrobić wszystko.
Każde muśnięcie było wyrafinowaną pieśczęcią.
Usta też nie próżnowały.
Całował ją delikatnie, ale stanowczo, zawsze o chwilę uprzedzając jej pragnienia.
Za szybko, pomyślała kuląc ramiona i próbując się opanować.
Zbyt jestem rozpalona.
Tom oparł się czołem o jej czoło.
On też był podniecony.
Starając się uspokoić oddech, wydał z siebie jęk mężczyzny, który chce więcej, jednak potrafi się powstrzymać.
Zupełnie inaczej niż poprzedni jej partnerzy.
Wzruszyło ją to.
A jeśli on mnie kocha, pomyślała.
Szybko jednak odrzuciła ten pomysł.
I po prostu cieszyła się chwilą.
Zachwycała ją jego bliskość.
To było dużo więcej, niż kiedykolwiek miała.
Coś bardzo pięknego, nawet je żeli nie mogła nazwać tego miłością.
i?
Listopadowe noce były chłodne.
Piec grzał coraz słabiej.
Zdarzało się, że wyłączał się.
I wtedy trzeba
139 .

było zejść do piwnicy i kopnąć go, aż jakieś stare obłu zowane elementy znowu zaczęły kontaktować.

W pokoju, w którym spał Tom, było znacznie chłodniej niż w sypialni Bree. Któregoś wieczoru wśliznął się do niej pod kołdrę. Odwrócił się na drugi bok i zasnął. Razem było im obojgu znacznie cieplej.

-

Rano Bree otworzyła oczy. Zobaczyła, że leży opar ta na jego ramieniu. Tom jeszcze spał.

Przyglądała się jego twarzy. Dostrzegła żółtawe, blednące resztki siniaków, ślady szwów... Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć szramy. Ale zaraz zawstydziała się i cofnęła dłoń.

Znowu patrzyła na niego. Włosy w nieładzie spadały mu na czoło. Uszy miał drobne, zgrabnie uformowane, baczki średniej wielkości. Karnację miał ciemną bardziej z powodu całodniowego zarostu niż blednącej już opalenizny.

Jego opalenizna wywołała wiele dyskusji. LeeAnn zgadywała, że to efekt podróży do tropikalnych krajów. Rash uważał, że opalenizna pochodzi z solarium. Dotty orzekła z pogardliwym prychnięciem, że na pewno "z plaży dla golasów". Bree zawsze odpowiadała na to, że mężczyzna nie musi być nagi, żeby opalić sobie twarz, szyję i ramiona, a przecież nic więcej żadna nie widziała.

Teraz pod rozpiętą koszulą Bree mogła oglądać opaloną klatkę piersiową. Nic dziwnego - przecież wiele godzin spędzał na powietrzu, pracując w ogrodzie lub strzygąc trawnik.

Sam zbudował taras, który jej się tak podobał. Pewnie przy tej pracy tak wyrobiły mu się mięśnie, choć kiedy tu przyjechał już musiał mieć niezłą muskulaturę.

Ciało miało kształtne, klatkę piersiową owłosioną.

140

Opuszkami palców dotknęła włosów porastających klatkę piersiową. Zdziwiła się, że okazały się tak miękkie i delikatne, natomiast w ogóle nie zdziwiło jej bijące od Toma ciepło.

Piec najwyraźniej znowu się wyłączył, ale i tak było jej ciepło.

Przesunęła dłoń po jego brzuchu blisko rozpiętego guzika dzinsów. To miejsce wydało jej się jeszcze bardziej gorące.

- Przyjemnie?

- zapytał nagle schrypniętym głosem.

Bree próbowała znaleźć przyczynę, dla której nie powinno być przyjemnie.

Nic nie przyszło jej do głowy, oprócz tego, że życie jest za krótkie, by zrezygnować z takich rzeczy.

Przeżyła śmierć kliniczną.

Następnie razem mogła umrzeć na dobre.

Może więc Tom ma swoje wady, może nawet złamie jej serce, ale teraz dzięki niemu czuła się kochana.

I właśnie teraz niczego innego nie pragnęła.

Czy jest jej przyjemnie?

- Owszem - rzekła z uśmiechem.

- A czy ja mogę się włączyć do zabawy?

Już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że nie trzeba żadnych słów.

Wśliznęła się w jego ramiona.

Pasował do niej.

Ręce, tors, nogi...

Wszystko przyci skało we właściwych miejscach tak jak tyle razy przed tem.

Tylko podniecenie było czymś nowym.

Wzniesione pocałunkami, iskrzyło pod pieszczotami dłoni, aż wreszcie ogarnęło ich płomieniem.

Bree obawiała się bólu.

Nic takiego nie nastąpiło.

Pokrywał pocałunkami jej ciało.

Potem pierwszy raz zobaczył bliznę na jej brzuchu.

- Czy to cię boli?

- zapytał głosem zachrypniętym ze wzruszenia, pokrywając bliznę pocałunkami.

Zachwycała ją ta delikatność, podniecał jego rytmiczny oddech.

Jeżeli to miłość, pomyślała Bree, to

141 .

właśnie o czymś takim marzyłam przez całe życie.
Wiedział, jak sprawić jej rozkosz i robił to.
A kiedy umościł się między jej udami, zapytał, czy ma założyć prezerwatywę.
Gwałtownie potrząsnęła głową.
Dawniej zawsze wymagała tego od swoich part nerów, ale teraz nie było potrzeby.
I na pewno nie z Tomem.
Chciała go już czuć w sobie.
Wszedł w nią tak delikatnie, jakby miał do czynienia z dziewczycą.
Emocjonalnie była dziewczycą.
Po raz pierwszy w ży ciu zaangażowała się całym sercem.
Uległa urokowi tego uczucia, oszołomiło ją jego piękno.
Wszystko by to gorętsze i bogatsze niż dawniej.
Wszystko było może liwe, a ona znalazła się na szczycie.
Kiedy nadszedł orgazm, świat stał się tak jasny, że myślała, że znowu umarła.
Tom czuł się tak dobrze jak nigdy.
Siedział w zajeź dzie przy swoim ulubionym stoliku z dobrą książką nad indykiem z frytkami i jasnym piwem.
I miał Bree.
Za wsze lubił patrzeć, jak obsługuje klientów.
Ale teraz, kiedy ich oczy się spotykały, oblewała się rumieńcem.
Wreszcie, kiedy minęła pora lunchu, przysiadła się do jego stolika.
- Nie patrz na mnie w ten sposób - szepnęła.
- Przez ciebie nie mogę pracować.
Trzęsą mi się ręce.
Zapominam, co mam podać.
To mnie kępuje.
- Bardzo dobrze pracujesz.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Jak się czujesz?
- Zdumiewająco dobrze.
- Mnie to nie dziwi - powiedział.
Kochała się z nim tak, że nie mogło jej nic dolegać.
Była bardziej kobieca niż wszystkie dziewczyny, które kiedykolwiek trzymał w ramionach.
142
Spojrzała mu w oczy.
Zwilżyła językiem usta i po zwoliła sobie na chwilę wspomnień.
Potem wstała od stolika i wróciła do pracy.
Patrzył, jak kołysze biodra mi, odchodząc powoli w stronę kuchni.
Jęknął cicho.
Pochylił się nad stołem i pomyślał, że jak na grzesznika, który miał odkupić swoje grzechy, zaznaje zbyt wiele przyjemności.
I nagle pojawiła się koło niego jasna główka.
Zaraz potem Joey Little zwrócił na niego swoje duże oczy.
- Cześć - powiedział Tom.
Joey patrzył na niego.
- Dlaczego nie odpowiadasz?
- uśmiechnął się Tom.
Mały rozejrzał się i usiadł koło niego.
- Jadłeś lunch?

Chłopak skinął głową.

- Co jadłeś?

- zapytał Tom.

Kiedy mały nie odpo wiadał, dorzucił: - Masz wasy z makaronu.

Joey wciągnął makaron do ust.

- Makaron z serem?

Chłopiec skinął głową.

Tom zdjął kapsel z butelki z piwem.

Pobawił się nim przez chwilę, po czym pchnął go leciutko w kierunku chłopca.

Kapsel dotarł na środek stolika.

Tom złapał go, ustawił znowu obok butelki, pstryknął palcem.

Tym razem zabawka zatrzymała się parę centymetrów od krawędzi.

Joey zerknął na kapsel, potem na Toma.

- Teraz ty możesz spróbować - powiedział Gates.

Chłopiec uniósł małą rączkę i gwałtownie chwycił kapsel.

Popchnął najpierw nieśmiało, bardzo delikatnie, a potem z całej siły.

Tom zdążył złapać kapsel, za nim upadł na podłogę.

Zamknął go w dłoni.

Mały czekał.

Kiedy Tom nie ponowił próby, stanął na krzeselku z rękami opartymi o stolik.

Patrzył uważnie.

nie.

Potem szybko zeskoczył z krzesła i przebiegł pod stolikiem Toma, by zabrać z jego dłoni kapsel.

Tom uznał to za dobry znak.

Dzieci są mądre.

In stynktownie odróżniają przyjaciół od ludzi nieżyczli wych.

Joey zaliczył go do przyjaciół.

Dobry początek.

Bree dobrze szła praca, zresztą Flash nie spuszczał z niej oka.

Tom nie mógł cały czas siedzieć w za jeździe.

Dopił piwo i pojechał na West Elm.

Otworzył skrzy nię z narzędziami.

Powiesił w kuchni szafki.

A potem otworzył wielkie kartonowe pudło, w którym były książki.

Starannie ustawił je na półkach.

Potem pojechał po Bree.

Zawiózł ją do jej wikto riańskiego domu na South Forest.

Zrobił jej masaż, by się odprężyła po pracy.

A potem powiedział jej, że ją kocha.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Życie było cudowne.

Tak wspaniale, że brak słów.

Bree szaleńczo kocha ła mężczyznę, który odwzajemniał jej uczucie.

Nawet Więcej.

Mogło się wydawać, że sprawianie jej przyjem ności uznał za cel życia.

Bree bała się, że to tylko sen.

Szczypała się w rękę, ale szczęście nie znikalo.

Tom (fe!

był przy niej i uśmiechał się niczym ucieleśnienie jej t marzeń.

Kilka miesięcy temu nie uwierzyłyby, że coś takiego lzę jej się zdarzyć.

Znalazła mężczyznę, który ją ko ił, a na dodatek był miły, inteligentny i sławny na !
y świat.

Po tym, jak ujrzala świetlistą postać, działy przeróżne rzeczy.

Wierzyła teraz, że wszystko jest Oliwę.

Niezwykły spokój, jaki czuła, patrząc na światłość, Irpewien sposób przypominał to, czego doświadczała obecności Toma.

Zastanawiała się, czy właśnie on Mógł być przyczyną, dla której powróciła na ziemię.

?jEy została przywrócona do życia w odpowiedzi na jeffó modlitwy.

Była dobra dla niego.

Potrzebował kogoś łtorzywdzonego i ona była skrzywdzona.

Potrzebował osoby uczciwej i szczerzej i była taka.

Mimo że pocho dziła z małego miasteczka, okazało się, że czyta te sarine książki co on.

Mieli wiele wspólnych tematów.

145 .

Dała mu stabilizację i spokój.
Tego brakowało mu od dawna.
Tęsknił za ogniskiem domowym.
Potrafiła zadowolić go seksualnie.
Och, tak, nie miała wątpliwości.
Wystarczyło, że delikatnie przesu nęła dłonią po jego piersi i i brzuchu, a już nie mógł powstrzymać westchnień rozkoszy.
Ledwo dotknęła czubkiem języka jego pachwiny, jego ciało ogarniało drżenie.
W chwili spełnienia widziała na jego twarzy tyle miłości, że mogła być pewna jego uczuć.
Nie powiedziała mu, że nie może mieć dzieci.
Liczyło się tylko to, że ją kocha.
I jeżeli miał stąd wyjechać na wiosnę, to naprawdę nic innego nie miało znaczenia.
W każdym razie nie musiała mówić mu tego już teraz.
Zresztą nie chciała robić planów na przyszłość.
Czuła, że raczej powinna żyć dniem dzisiejszym, nie szyc się każdą chwilą.
Kiedy dowiadywała się od świe tlistej istoty o trzech życzeniach, Bree miała wrażenie, że jej życie będzie trwało tylko do momentu, kiedy ostatnie życzenie zostanie spełnione.
To nie zostało powiedziane dosłownie, miała jednak jakąś dziwną pewność, że tak właśnie się stanie.
Ale jeszcze nie była gotowa, by wypowiedzieć te trzy życzenia.
Jeszcze nie teraz.
Od pierwszych dni istnienia miasta mieszkańcy Pa namy wspólnie obchodzili Święto Dziękczynienia.
W dawnych czasach najbogatsze rodziny przygotowy wały obiad z tradycyjnym indykiem i zapraszały na ucztę całe miasteczko.
Z biegiem lat wiele się zmieni ło i każdy gość miał swój wkład w organizowany wspólnie obiad.

146

Bree została zaproszona do domu Nolanów.
Przynio sła dwie wielkie salaterki sałatki i przyprowadziła Toma.
Po zjedzeniu głównych dań obiadowych na deser chodzili od domu do domu, tak jak nakazuje tradycja.
- Najważniejsze, żeby nie padało - zauważyła Bree.
Pamiętała, jaki bałagan zrobił się parę lat temu, kiedy spadł deszcz.
Jednak deszcz był bardzo prawdopodobny.
Od rana kłębiły się na niebie grube, ciemne chmury.
Ale nie padało.
Po obiedzie ludzie wyszli do parku.
Na tle zieleni pojawiły się kolorowe kurtki, ka pelusze.
Bree nie mogła życzyć sobie miłszego dnia.
Od wczesnego ranka do późnej nocy promieniała szczęściem.
Tom nie odstępował jej ani na krok z wyjątkiem kilku chwil, kiedy musiał iść do toalety, albo do szatni po płaszcz, czy też przynieść coś do picia, lub nałożyć je dzenie na talerze.
Przy tym nie zachowywał się zaborczo.
Po prostu był przy niej, jak zawsze delikatny i czuły.
Dla niej miało to jeszcze inne znaczenie.
Po raz pierwszy od wielu lat przyszła na miejską uroczystość w męskim towarzystwie.
Ostatni raz zdarzyło się to jeszcz w szkolnych czasach, kiedy przyprowadziła na im prezę Curtisa Lamba, z którym wtedy się przyjaźniła.

Obecność Toma u jej boku była dla wszystkich nie spodzianką, choć było tajemnicą poliszynela, że spędza u niej noce.

Wiele razy widziano jego samochód koło jej domu, a poza tym przyjeżdżał wieczorami do zajazdu i odwoził ją po pracy.

Wydarzyło się jeszcze coś więcej.

Być może wpłynął na to świąteczny nastrój.

W taki dzień łatwiej było lu dziom wykrzesać z siebie odrobinę dobrej woli.

Nie bez znaczenia było też, że wszyscy bardzo lubili Bree.

Można powiedzieć, że wreszcie, po siedmiu miesiącach, społeczność panamska zaakceptowała Toma.

W każdym razie włączyli go do swoich rozmów.

Co

więcej, zadawali pytania.

Ciekawość przezwyciężyła resztki nieufności.

Pytali go o czasy, kiedy pracował jako prawnik.

I o to, jak się pisze książki.

Interesowa li się jego rodziną.

Co chwila padały te same pytania.

Najpierw u Nolana, potem w innych domach.

Odpowiadał na wszystko z niewyczerpaną cierpliwością.

Tylko Bree wie działa, jak trudno mu mówić o rodzinie.

Pewnie te pytania sprawiły, że poddał się wspo mnieniom.

Kiedy siedzieli przy kominku u Nolanów, powiedział: - U nas w domu zawsze było gwarnie.

Na Święto Dziękczynienia zawsze przyjeżdżało do nas dużo ludzi.

Matka piekła indyka.

Graliśmy w piłkę.

Mój brat grał równie dobrze jak ja.

Po meczu wracaliśmy na obiad...

Było podobnie jak tutaj...

Nie musiał tego mówić.

Bree i tak wiedziała, że cały czas zastanawia się, co teraz robi jego rodzina.

Rano, kiedy myślał, że jest sam w pokoju, podszedł do telefonu.

Podniósł słuchawkę.

Przez chwilę trzymał ją w dłoń, po czym odłożył na widełki.

I teraz też dostrzegła smutek w jego oczach, kiedy patrzył na zgromadzone wielkie rodziny - dziadko wie, wnuki, ciotki, wujkowie...

Gdyby trzy życzenia naprawdę mogły się spełnić, być może poprosiłaby właśnie o to, żeby rodzina odezwała się do Toma.

Zdawała sobie jednak sprawę, że on sam powinien to załatwić.

Nie należało tu niczego przyspieszać.

Najlepsze, co mogła dla niego zrobić, to pomóc mu przetrwać ten trudny okres, okazać zrozumienie.

Zresztą miała własny dręczący problem, o którym nie mówiła Tomowi.

Serce pękało jej z bólu na widok szczęśliwych rodzin, pełnych wesołych, umorusanych dzieciaków.

Pamiętała, że jeszcze niedawno zależała jej wcale na dzieciach.

A jednak ukłucia w sercu nie ustawały.

148

Okazało się, że mały Joey tak bardzo polubił Toma, że przez następne dni, ilekroć spotkali się w zajeździe, od razu podbiegał do jego stolika.

Na początku troszkę się wstydział.

Stawał z boku i przyglądał się.

W końcu podszedł bliżej.

Coraz bardziej nabierał odwagi.

Pewnego razu wślizgnął się na ławkę i usiadł przy Tomie.

Na początku był onieśmienie lony i nic nie mówił.

Potem zaczął chichotać.

Wreszcie zaczął wydawać z siebie wesołe piski i krzyki.

Kiedy wrzaski stały się zbyt głośne, nadbiegła Liz, zaniepokojona, co się dzieje.

Znalazła Joeya opartego o ramię Toma, który poruszał łyżeczką, a chłopiec przyglądał się z uwagą błyskom światła, tańczącym na dobrze wypolerowanej powierzchni.

- Och, Tom!
- zawołała.
- Czy on ci nie przeszkadza?
Tom lekko uściskał Joeya.
- Oczywiście, że nie.
- My teraz jesteśmy kumplami.
 - Możesz mieć kłopot - zaśmiała się.
- Przy nim zawsze ma się pełne ręce roboty.
 - Mam duże ręce - żartował Tom.
- Poradzę sobie.
Lubił bawić się w ten sposób z bratankami, kiedy spotykali się przy rzadkich okazjach.
- Zawsze fascynowały go dzieci - bezpośrednie i nie kryjące uczuć.
Ucieszył się, gdy Liz przysiadła się do niego.
- Jak ci się podobało Święto Dziękczynienia?
 - zapytała.
 - Pewnie zawsze inaczej je spędzałeś.
W tym musiał przyznać jej rację.
- Spędzał Święto Dziękczynienia w Ritzu na lagunie Niguel, w ekskluzywnej posiadłości na Manhatanie, albo na nartach w Aspen.
 - Było inaczej niż przez ostatnie lata - powiedział, dodając po chwili.
- Myślę, że przyjemniej.

- Bree też się dobrze bawiła - zauważyła Liz.

- Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Nie tylko ja tak uważam.

Wiele osób zwróciło na to uwagę.

Domy ślam się, że zawdzięczamy to tobie.

Dawny Tom przyjmował wszystkie hołdy jako coś najzupełniej naturalnego.

Ten obecny czuł się zakłopotany.

- Bree po ostatnich wypadkach - powie dział - jest szczęśliwa, że żyje.

- Tu chodzi o coś więcej - rzekła Liz.

Oparła się wygodnie.

- I co zdecydowałaś?

- zapytała nieocze kiwanie.

- Zamierzasz złamać jej serce i wkrótce stąd wyjechać czy zostajesz?

- Nie złamię jej serca - zapewnił.

Gdyby to zrobił, złamałby własne serce, a nie miał skłonności do masochizmu.

- To nie jest wyczerpująca odpowiedź.

Tom wyczuwał, że Liz jest mu życzliwa.

Lubił jej męża, oboje darzył sympatią.

Pochodzili z Nowego Jorku, ich praca w żaden sposób nie wiązała się z Panamą.

Poza tym oboje lubili bardzo Bree, co na pewno miało duże znaczenie.

- Sam nie wiem - przyznał.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji.

- Martin Sprague twierdzi, że piszesz teraz książkę o nas, o Panamie.

- Nie mam teraz okresu twórczego.

- Martin czułby się bezpiecznie, gdybyś miał okres twórczy.

Obawia się, że rozpoczniesz praktykę prawni czą i złamiesz jego monopol.

Tom odchrząknął.

- Podejrzewałem, że to go drę czy.

Ale nie zrobię tego.

Liz pochyliła głowę.

Pogładziła drobną rączkę Joeeya i schowała ją pod swój sweter.

Mógłbyś rozpocząć praktykę - powiedziała.

- Przydałby się tu dobry prawnik.

150

- Martin zajmuje się tymi sprawami.

- Nie najlepiej mu to idzie - podniosła na niego wzrok.

- Miałam okazję się przekonać.

Bardzo go cenię i wierzę, że przez te wszystkie lata mieszkańcy Panamy nie potrzebowali nikogo innego.

Problem polega na tym, że przybyło do miasteczka wielu nowych.

- Zaczepnęła powietrza.

- My z Benem zajmujemy się reklamą dla małych firm.

Latem przygotowaliśmy projekt prospektu reklamowego pewnej firmy.

Ku na szemu zdziwieniu jej prezes odrzucił nasz projekt i podpisał umowę z inną agencją.

Później okazało się, że wydrukowano prospekt reklamowy dokładnie taki sam, jak my przygotowaliśmy.

Ukradli nam projekt.

- Martin zajął się tym?

- Nawet nie nazwał tego oszustwem.

Określił tylko, że to było nie w porządku.

Powiedział, że takie rzeczy zdarzają się dość często i ostrzegł, że koszty sądowe będą wyższe niż odszkodowanie.

- Nie zajmuje się sprawami procesowymi.

- Nie...

- przerwała, patrząc mu w oczy.

- Ale ty umiesz to załatwić.

Czuł, że wpadł w sieć.

Przebiegła kobieta, pomyślał z uznaniem o Liz.

- Ja nie prowadzę praktyki - po wiedział.

- A może jednak...

Potrząsnął głową.

- Dlaczego nie?

- zapytała.

- Po pierwsze, przez całe osiem lat nie miałem do czynienia z tymi sprawami.

Po drugie, nie należę do miejscowego stowarzyszenia prawników.

Po trzecie, to jest teren Martina.

- A czy zgadzasz się z nim, że powinnam to sobie odpuścić?

- Nie mógłbym tak twierdzić, nie dowiedziawszy się czegoś więcej.

Prawo autorskie i patentowe to nie moja

151 .

specjalność.

Nie możesz znaleźć w Nowym Jorku jakie goś prawnika?

- Myśleliśmy o tym, dopóki nie zadzwoniliśmy z za pytaniem.

Najwidoczniej nie chodzi o dostatecznie duże pieniądze, żeby opłaciło im się tym zająć.

I na swój sposób mają rację.

Nie podpisywaliśmy umowy na ten projekt.

Rozmowy nie zaszły tak daleko.

- Czy macie jakieś dowody, że to wasz projekt?

- Ofertę, którą przygotowaliśmy.

- Coś jeszcze?

- Taśmę z tamtego spotkania.

Tom czuł, że sprawa zaczyna go wciągać.

Wiedział jednak, że nie powinien się tym zajmować.

Istniało zbyt wiele powodów.

- Nic nikomu nie mów - poprosiła Liz.

- Po pro stu zastanów się.

Dobrze?

Znowu pomyślał z uznaniem o jej inteligencji.

Liz rozejrzała się niespokojnie.

- Gdzie jest Joey?

- Spokojnie - zaśmiał się Tom.

- Nie bój się o niego.

Joey spał wyciągnięty u Toma na kolanach, pod blą tem stołu.

Zwinięty w kłębek, rozgrzany snem, mały

słodki chłopczyk.

Za każdym razem, gdy przychodziła do Toma, była czymś zaskoczona.

Jednego dnia na nieskończenie wielu półkach w dużym pokoju pojawiły się książki.

Potem znikły kolejne kartonowe pudła.

Ich zawartość znalazła się w kuchennych szalkach.

Innego dnia Tom zawiesił w salonie olejne obrazy.

Najbardziej wzruszające okazały się jednak oprą wione w ramki fotografie.

Tom wydobywał je z pudeł stopniowo.

Niektóre były wyblakłe, zniszczone przez czas, ale każda z nich miała swoją historię.

152

- To mój najstarszy brat, Carl - wyjaśniał Tom.

- I potem w kolejności starszeństwa: Max, Peter, Dań i ja...

To jest moja siostra, Alicja przebrana na bal szóstoklasistów.

Zauważ, że na żadnym zdjęciu nie ma jej chłopaka.

Bał się nas.

- Niemożliwe.

- No, dobrze - zgodził się Tom.

- Może nie aż tak bardzo.

Mieszkał niedaleko, na tej samej ulicy.

Znali śmy się od dziecka.

Dobry chłopak.

Tylko potem tro chę się popsuło między nimi.

Bree wzięła do ręki inne zdjęcie.

Przeglądała się przez chwilę, po czym zapytała: - Czy to Max?

- Tak.

To on i jego żona, Sandra, w dniu ślubu.

Bar dzo się kochają.

Już w szkole wpadli sobie w oko, a po tem Sandra wyjechała na studia i wyszła za mąż za innego.

Max cały czas na nią czekał.

Nie mógł ożenić się z żadną inną.

I kiedy małżeństwo Sandry się rozpadło, przygarnął ją bez wahania.

To są jej dzieci z pierwsze go małżeństwa.

- Wskazał palcem.

- Teraz mają już dwoje wspólnych dzieci.

Tworzą naprawdę bardzo szczęśliwą rodzinę.

- Wyglądają na zadowolonych - zauważyła.

- Bo tak jest - potwierdził Tom.

- Dużo wnuków mają twoi rodzice?

- Dwanaścioro.

Bree słyszała dumę w jego głosie.

Ze wzruszeniem odłożyła zdjęcie i sięgnęła po następne.

- To mój ojciec - rzekł Tpm, wskazując wysokie go, potężnego mężczyznę, który stał wyprostowany, ze ściągniętymi łopatkami i dłonią opartą na masce chevroleta.

Samochód musiał być nowiutki.

Obok ojca ustawiono pięcioro jego dzieci.

Na ziemi siedziały dwa psy.

- On całe lata oszczędzał na ten samochód.

To by ło pierwsze nowe auto, jakie sobie kupił.

Pamiętam,

153 .

jak siadaliśmy koło jego fotela i przeglądaliśmy ulotki reklamowe.

Parę razy, gdy udało mu się uskładać pieniądze, ceny poszły w górę, i znowu trzeba było czekać.

Ostatecznie udało mu się kupić ten samochód w sześćdziesiątym piątym roku.

Carl i Max już wczynie zrobili prawo jazdy, ale upłynęły całe miesiące, zanim pozwolił im prowadzić.

Max miał pecha.

Pierwszy raz wziął samochód i od razu spowodował wypadek.

Bree wstrzymała oddech.

- I jak ojciec to przyjął?

- Krzyczał i narzekał, aż mama kazała mu przestać.

Max wysupłał wszystkie swoje oszczędności, żeby starczyło na naprawę, i dopiero wiele lat później dowiedział się, że ojciec sam za wszystko zapłacił.

Oszczędności Maksa wpłacił do banku na jego nazwisko.

I zwrócił mu to razem z prezentem ślubnym, gdy Max żenił się z Sandrą.

To coś już mówiło o tym mężczyźnie, uznała Bree.

Chociaż wyglądał na twardziela, miał miękkie serce.

Zastanawiała się, czy pozostało w nim coś z tamtej łą godności.

Przyglądając się zdjęciom, doszła do wniosku, że braćcia Toma odziedziczyli urodę po ojcu.

Tom był podobny do Alicji.

Mieli ten sam kolor włosów i podobny uśmiech.

Powiedziała mu o tym.

- Czy twoja mama jest na jakimś zdjęciu?

- zapytała.

- Tak.

- Masz je gdzie tutaj?

- Na górze.

To było zwykłe, nieduże zdjęcie, oprawione w prostą ramkę.

Dwudziestoletni Tom z kobietą, która wyglądała jak starsza wersja jego siostry.

Bree przez dłuższy czas przyglądała się temu zdjęciu. Kiedy podniosła wzrok na Toma, zauważyła, że on też nie może oderwać od niego oczu.

154

Wtedy zrobiłem dyplom.

- To wszystko, co po wiedział.

- Musiała być z ciebie bardzo dumna.

Skinął głową i schował fotografie.

- Zadzwoń do nich.

Tom - szepnęła Bree.

Włożył ręce do kieszeni spodni.

- Chciałbym.

- Zrób to, nie zwlekaj.

Spojrzał na nią.

Widziała panikę na jego twarzy.

- A jeżeli on odłoży słuchawkę?

- To zadzwoń do Alicji.

Zawsze byłeś z nią blisko.

- A jeżeli i ona nie będzie chciała rozmawiać?

Kontakty z rodziną to problem, z którym sam musi się uporać, lecz Bree wiedziała, że pomogła mu podjąć decyzję.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

Objął ją w pól.

- Masz rację - rzekł i przytulił mocno.

- Mogłabym wypowiedzieć jedno z życzeń.

- Ani się waż - ostrzegł.

- Te życzenia są twoje.

Bree pomyślała, że mimo wszystko miał w sobie coś ze stanowczości ojca.

Twardy głos i łagodne serce.

- A czego innego mogłabym sobie życzyć?

- zapytała z rozbawieniem.

- Jestem zbyt szczęśliwa, żeby mieć jeszcze czegoś chcieć od losu.

Nie potrzebuję absolutnie nic.

- Potrzebujesz nowy piec do centralnego ogrzewania - przypomniał.

- Nie mam zamiaru marnować życzenia na jakiś głupi piec - oburzyła się.

- Twój niedługo zupełnie odmówi posłuszeństwa.

Może po prostu kupię ci nowy - zastanowił się.

- Ani się waż!

- powiedziała teraz ona.

Nie mogła mu na to pozwolić.

Zresztą, jeśli sprawy potoczą się po jej myśli, nie będzie mieszkać na South Forest i na pewno nie będzie potrzebowała nowego pieca.

To było coś, czego mogła sobie życzyć.

Na razie jednak postanowiła z tym poczekać.

155 .

r

Pierwszy tydzień grudnia obfitował w opady śniegu.
Przyszły mrozy, zamarzły z górach potoki.
Życie w Pa namie zwolniło tempo, ale i tak miasto dość dobrze ra dziło sobie ze śniegiem.
Piasku okazało się wystarcza jąco dużo.
Pług jeździły często.

Mieszkańcy Panamy nie zamierzali zapaść w zimo wy sen.
Po prostu tradycyjnie prowadzili zimą trochę inny tryb życia.
Poza tym szykowali się do wielkiego zjazdu z East Main.

Bree w czasie przerwy na lunch przysiadła się do Toma.
Konieczn ie musiała mu wyjaśnić, co to za im preza.
Prawie wszyscy w zajeździe nie mówili o niczym innym.

- W wielkim zjeździe z East Main bierze udział całe miasto.
Každy zjeżdża na czym może ze szczytu wzgórz - na miskach, krzesłach, złożonych karto
nach, pokrywkach pojemników na śmieci...

Są nagro dy dla najszybszych i dla najwolniejszych, za najbar dziej oryginalny
niekonwencjonalny pojazd.

Dla najstarszego i dla najmłodszego.

Wygrywa každy, ko mu uda się zjechać do końca trasy.

- Každy wygrywa?
- zdziwił się Tom.
- W takim razie co to za frajda?

Bree uśmiechnęła się.
Może i Tom jest człowiekiem światowym, ale o Panamie w stanie Yermont wiele jeszcze
musi się nauczyć.

Zadowolona, że może być jego nauczycielką, powiedziała: - Tylko ten wygry wa, komu uda
się zjechać z góry na dół bez zatrzymy wania.

Startujesz na górze, ale potem nie wolno się zatrzymać aż do samego końca.

Jeśli ktoś cię po pchnie albo udzieli pomocy w jakikolwiek inny spo sób, zostajesz
zdyskwalifikowany.

Tak samo, gdy wy padniesz z trasy.

156

Tom zamyślił się.

- Kiedy to będzie?
- zapytał.
- Jeśli śnieg przestanie padać, to jutro w południe.
- Czy každy może startować?
- Každy, kto zechce.
- A na misce, worku i tak dalej może być tylko jed na osoba?
- Niekonieczn ie.

Może być nawet sto osób, jeśli się zmieszczą.

I pod warunkiem, że do mety dojadą wszy scy, którzy zaczęli zjazd.

- A ty?
- zapytał Tom.
- Brałaś kiedyś w tym udział?
- Kiedyś...

już wiele lat temu, gdy kończyłam szko łę.

Wraz z trojgiem przyjaciół wzięliśmy z werandy sta rą ławkę.

Wyrwaliśmy nogi i powoskowaliśmy spód.

Myśleliśmy, że będzie można tym sterować przez przemieszczanie środka ciężkości, balansowanie ciałem...

- Potrzęsła głową.

- I co?

- dopytywał Tom.

- Wypadliście z trasy?

- Niemal natychmiast.

- Nie próbowałaś drugi raz?

- Nie.

Mój ojciec ciągle powtarzał, że oszalałam, że mogło mi się coś stać...

A potem zaczęłam pracować u Flasha i byłam potrzebna tutaj.

Zajazd znajduje się w połowie trasy.

Całe popołudnie parzymy gorącą czes koladę...

- Przez wiele lat spędzała ten dzień w pracy.

Wtedy wydawało jej się to konieczne.

Teraz zabrzmiało śmiertelnie nudno.

- Szkoda - westchnęła.

- Żałuję, że nigdy więcej nie brałam w tym udziału.

W końcu nie jest to aż tak niebezpieczne.

Wypadki zdarzają się sporadycznie.

Pomyślała, że jej się przytrafił wypadek podczas nie winnego spaceru z pracy do domu.

Tom nadal okazywał duże zainteresowanie temą.

- Czy tym razem nie zrezygnujesz z parzenia

157 .

czekolady?

- zapytał.

- Fizycznie jesteś w dobrej formie.

Może byśmy spróbowali.

Bree wyprostowała się.

Tom miał rację, czuła się do skonałe.

Była w dobrej formie fizycznej i nie opuszczała jej świetny nastrój.

W tym roku nie obawiała się żadnego wypadku.

Nie po to pozwolono jej wrócić na ziemię, żeby teraz miało się stać coś złego.

I, do licha, nie zamierzała marnować całego popołudnia na parzenie czekolady.

- Będę wolna.

Masz jakiś pomysł?

Na zrealizowanie tego pomysłu poświęcili cały wieczór i większość następnego dnia.

Odcięli me trowy kawałek pnia wielkiego drzewa, przewrócono go przez wiatr w jego lesie, przecięli na pół, wydrążyli w środku i zrobili otwory na stery.

Pojechali tym na wielki zjazd z East Main.

Nie byli ani najszybsi, ani najwolniejsi, ani najstarsi, ani najmłodsi, ani też najbardziej oryginalni.

Jednak ukończyli zjazd.

Bree bawiła się wspaniale jak nigdy w życiu.

r

Następnego tygodnia Tom mógł przekonać się, jak wygląda zima w Panamie.

Nadeszła burza śnieżowa.

To, co spadło wcześniej, zdążyło zamarznąć.

Drogi były śliskie, a w powietrzu nieustannie wirowały białe śnieżne płatki.

Tym razem jednak służby drogowe zareagowały od razu.

Ulice szybko zostały odśnieżone i posypane piaskiem.

Tom mógł bez problemu zawieźć Bree do pracy.

Było coś przytłaczającego w tak wielkiej ilości śniegu.

Tom poczuł, że nie może tak cały dzień siedzieć w domu i nic nie robić.

158

Odwiózł Bree, wrócił i od razu poszedł do pokoju, który nazywał gabinetem.

Stały tam kartonowe pudła, które już dawno powinien był wypakować.

Włączył komputer i uruchomił program obsługi prawnej.

Wprowadził dane dotyczące sprawy Littleów.

Potem, tak dla zabicia czasu, zapisał na kartce pewne uwagi.

Opracował optymalną strategię.

Naszkirował treść listu, który być może Martin Sprague zechce wysłać do prezesa nieuczciwej firmy.

Włożył to wszystko do koperty, którą wsunął do książki.

Potem, właśnie dlatego, że miał akurat trochę czasu, postanowił załatwić tę sprawę do końca.

Martin zwykle we wtorki i piątki o tej porze jadał obiad w restauracji, do którego Tom i tak miał zamiar pojechać.

Zaplanował wszystko z niezwykłą starannością.

Gdyby Martin był akurat zajęty rozmową, albo gdyby go tam w ogóle nie było, zostawiłby mu po prostu książkę wraz z kopertą.

Tym razem jednak Tomowi dopisało szczęście.

Martin siedział sam przy stoliku.

- Mogę się przysiąc?
- zapytał Tom, zajmując miejsce koło niego.
- Tak, proszę.
- Co u ciebie słychać?

Tom usiadł wygodnie i pomachał dłonią do Bree.

Uśmiechnęła się, ale zaraz musiała zająć się robotą.

- Wszystko po staremu - odparł Martin.

- Mam taką jedną sprawę.

Martin wzmógł czujność.

- Co takiego?

- Rozmawiałem z Liz Little o jej pracy.

Wspomniała o problemie z kradzieżą projektu...

To nie jest, jak wiesz, moja specjalność, ale zainteresowało mnie to tak, że po czyniłem wstępne rozeznanie.

Myślę, że znalazłem rozwiązanie tego problemu.

Liz i Ben mają taśmę...

159 .

LeeAnn podeszła z dzbankiem kawy.

Pokręcił prze cząco głową i przyciszył głos.

- Naszkicowałem wstęp nie list, który można by wysłać do prezesa w celu wy negocjowania korzystnych warunków odszkodowania.

- Myślisz, że to ma jakiś sens?

- Tak mi się wydaje.

Być może się mylę.

Jak już mó wiłem, własność intelektualna nie jest moją specjalno ścią.

Nie należę też do miejscowego stowarzyszenia prawników.

- Wyjął z książki kopertę i wsunął ją Martinowi do ręki.

Podniósł się z krzesła.

- Zechcesz rzucić na to okiem prawda?

Ciekaw jestem, co myślisz meryto rycznie o tej sprawie.

A jeśli chodzi o Liz, zapomnia łem powiedzieć, że ona niczego ode mnie nie oczeku je.

Ale oboje z Benem są porządnymi ludźmi.

Urągałoby sprawiedliwości, gdyby ktoś inny miał za robić na ich projekcie.

Zresztą są twoimi klientami, to twoja sprawa - dorzucił, odchodząc od stolika.

ńW trzecim tygodniu grudnia zajazd udekorowano na święta.

Na stołach położono maty i serwetki z nadrukiem świętego Mikołaja, niosącego patelnię pełną frytek.

Z sufitu zwisały ozdobne łańcuchy.

Koło szafy grającej stała choinka.

Do wazoników Julia wstawiła tym razem gałązki jemioly, przystrojone malutkimi bombkami.

- Jak ci się podoba Panama?

- zwróciła się Bree do Toma.

- Nie razi cię ten kicz?

Obawiała się, że przywykł do bardziej wyrafinowa nych dekoracji świątecznych.

- Lubię ten rodzaj kiczu - uśmiechnął się.

- Wszystko jest ciepłe i miłe.

Bree patrzyła teraz na to nowymi oczami.

Nigdy przedtem tak bardzo nie cieszyła się na święta.

Jej

160

dziadkowie nigdy nie rozumieli związku pomiędzy na rodzinami Chrystusa a dawaniami sobie wzajemnie prezentów.

Spędzali ten czas na modlitwie.

Smutne to były dni.

Gdy Bree była dzieckiem, ojciec dawał jej drobne upominki, usprawiedliwiając się przed swoimi rodzicami.

Mówił, że nie chce, by Bree myślała, że Bóg jej nie kocha.

Zarzucił jednak ten zwyczaj natychmiast, gdy tylko Bree przestała wierzyć w świętego Mikołaja.

Choć nigdy nie narzekała na to, że nie dostaje pre zentów, rozpaczliwie tęskniła za świąteczną atmosferą.

W tym roku wszystko było jak z bajki.

Cudownie ude korowany zajazd, świątecznie przystrojony kościół.

Tom zrobił jej niespodziankę.

Dzień przed Wigilią udekoro wał jej dom.

Surowy i brzydki wiktoriański budynek wy glądał teraz ciepło i uroczo.

Nazajutrz, gdy tylko Tom przywiózł ją do pracy, Flash poprosił ją na zaplecze.
- Zdecydowałem, że dzisiaj nie będziesz pracować.

Daję ci wolny dzień - powiedział.

- Przecież są święta.

Masz dużo roboty - prote stowała.

I wtedy zobaczyła Toma, który ukrył się za rogiem i chichotał, jakby udał mu się przedni dowcip.

I wte dy już wiedziała, skąd Flashowi przyszło do głowy dać jej wolne.

W noc wigilijną wraz z innymi mieszkańcami Pana my poszli z Tomem na pasterkę.

To okazało się dla niej wyjątkowo silnym przeżyciem.

Nigdy nie była przesadnie religijna.

Teraz jednak głęboko czuła błogosławieństwo Boże.

Odniosła wrażenie tej dziwnej przynależności, ja kiej doświadczyła przedtem, widząc świetlistą postać.

Przez cały czas jasna kula znajdowała się blisko niej.

I nieważne, czy to był Pan Bóg, czy święty Piotr, czy zupełnie ktoś inny.

A wieczorem ujrzała pod choinką mnóstwo staran nie zapakowanych prezentów.
Aż krzyknęła z radości.
Podbiegła do drzewka i od razu zaczęła rozwiązywać kokardy, rozdzierać kolorowy papier.
- Może zostaw kilka prezentów na rano - śmiał się Tom.
- Święta są dopiero jutro.
Ona jednak nie chciała czekać.
Dostała naprawdę wspaniałe rzeczy.
Książki, o które ryczała, płyty kompaktowe, a także rzeczy praktyczne, jak kaszmirowy sweter czy opiekacz do tostów.
Najwspanialszy prezent Tom wręczył jej na samym końcu.
To była para diamentowych kolczyków.
Błyszczą tak pięknie jak prawdziwe.
- Czy one może...
- szepnęła, nie mając odwagi dokończyć zdania.
Tom skinął głową.
- Tak.
Są prawdziwe.
To trwało jakiś czas, zanim drżącymi rękoma zdołała je założyć.
Bree nie musiała wypowiadać trzech życzeń.
Tom sprawił, że każdy następny dzień był jak z bajki.
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
Wracali z przyjęcia organizowanego przez Littleów.
Szli w milczeniu.
Tom trzymał ją za rękę.
- Czy wierzysz w postanowienia noworoczne?
- zapytała Bree.
- Nie wiem...
- zastanowił się.
- Kiedy byłem mały, co roku obiecywałem sobie różne rzeczy.
Postanawiałem nie kłócić się z braćmi, sprzątać pokój bez przypo minania...
Potem, gdy już poszedłem do szkoły, postanowiłem, że będę miał lepsze stopnie, a na studiach musiałem już mieć nie tylko dobre, ale najlepsze noty.
Mówił z wyczuwalnym lekceważeniem, ale Bree nie zwracała teraz na to uwagi.
- I co?
Udawało ci się dotrzymać tych postanowień?
- zainteresowała się.
- Miałem najlepsze oceny, ale wtedy dostawałem wszystko, co chciałem, więc...
- W jego spojrzeniu było wyzwanie.
- Zachowywałem się strasznie arogancko.
- Zachowywałaś się - powtórzyła jak echo, usatysfakcjonowana, że w końcu użył czasu przeszłego.
- Powiedz mi teraz, czy w to wierzysz.
Czy sądzisz, że robienie takich postanowień może mieć jakąś moc?
- Uważam, że wypowiedzenie życzenia powoduje większą koncentrację - rzekł z namysłem.
- Wzrasta dzięki temu siła woli.

- Powiedz, co sobie postanowiłeś w tym roku?

Zwlekał z odpowiedzią.

- Ty mów pierwsza.

- Ja ciebie pierwsza zapytałam - zaprotestowała.

- Ale ja prowadzę i muszę patrzeć na szosę - mruknął bez przekonania.

- Ty powiedz.

- Tylko jedno - odparta.

- Chcę się cieszyć pełnią życia.

- Patrzyła na niego, ciekawa, jak zareaguje.

- To mi się podoba - rzekł z uśmiechem.

- A ty co sobie postanowiłeś?

Skręcił na West Elm.

Na chodnikach leżały zwały odgarniętego śniegu.

Mijali pojedyncze letnie domki, teraz puste i ciemne.

- Tom?

- Właśnie się nad tym zastanawiam.

Słyszała w jego głosie rozdrażnienie.

Milczenie przedłużało się.

Nie trzeba było geniusza, żeby się do myślenia, że myśli o przyszłości.

Czegóż innego mogą dotyczyć postanowienia noworoczne?

Wiedziała, że jej szczęście nie może trwać wiecznie.

Czas płynął miło.

Przyjęła w prezencie diamentowe kolczyki jako dowód sympatii.

I mogła dalej żyć z dnia na dzień, niczego więcej nie oczekując.

Przyglądała się, jak pracuje, mogła być przy nim i to jej dawało zadowolenie.

I teraz nagle, po raz pierwszy przestraszyła się, że Tom zechce wyjechać z nią steczką.

Otworzył drzwi furgonetki.

Wysiedli.

Rzucili kurtki w kuchni koło pieca.

Potem Bree poszła za nim do salonu.

Obserwowała, jak rozpala ogień.

Kiedy płomień rozjaśnił mrok, patrzyła, jak jego światło tańczy na grzbietach książek.

Skierowała wzrok na jedną z górnych półek, na powieści, które napisał.

Sześć książek, stojących rzędem obok siebie.

Wyróżniały się spośród innych.

Bree czuła się boleśnie świadoma ich obecności.

164

- Czy chcesz pisać?

- zapytała.

Przykucnął, dorzucając drewna do ognia.

- Nie wiem.

Te moje wcześniejsze książki nie były takie złe.

Przeglądałem je niedawno.

Skrzyżowała ręce na brzuchu.

- Masz jakiś nowy pomysł?

- Kiedy tu przyjechałem, wydawało mi się, że napiisałem już wszystko, co miałem do powiedzenia.

Po tem zmieniłem zdanie.

Dość łatwo jest znaleźć pomysły, wystarczy sięgnąć po gazetę.

- A co sprawia ci największą trudność?
Pisanie?

- Też chyba nie.

Warsztat mam opanowany perfekcyjnie.

- Co w takim razie jest najgorsze?

- To, co przychodzi potem.

Tryb życia taki jak kie dysz.

Sława.

- Wsunął ręce do kieszeni dzinsów.

Pa trzył na Bree.

- Nie mam do siebie zaufania.

Nie wiem, czy wytrzymałbym to wszystko.

- Jak alkoholik zamknięty w pokoju z butelką - za żartowała.

- Coś w tym rodzaju.

W każdym razie wiem, że po trafię pisać, ale nie mam pewności, czy zależy mi na tym.

- I jeszcze się nie zdecydowałaś?

- zapytała.

Podrapał się w głowę.

- Nie wiem - powtórzył.

Chcesz żyć pełnią życia.

Ja tak samo.

Wiele razy odnosiłem wrażenie, że styl życia, jaki prowadziłem, oznaczał pełnię szczęścia.

A teraz wydaje mi się, że mój ojciec miał rację.

Marnuję swoje zdolności.

- Oparł rękę jej na ramieniu.

- Muszę być użyteczny.

Nie mogę siedzieć tu cały dzień i czekać, aż wrócisz z pracy.

Ty pracujesz, a ja nic nie robię.

Nie powin no tak być.

- Ale ja nie mam nic przeciwko temu - powie dziła Bree.

Teraz naprawdę miała powody do lęku.

- Lubię swoją pracę.

I nie potrzebuję żadnych drogich

rzeczy.

Mogłeś dać mi kamyki znad morza, to nie mu śiały być diamenty.

Jeśli to sprawa pieniędzy...

- Nie chodzi o pieniądze, tylko o zasadę.

Mężczyzna z zasadami, pomyślała.

Bała się.

Od początku wiedziała, że szczęście nie może trwać wiecznie.

Tylko przedtem nie chciała się nad tym za stanawiać.

Lecz przecież miała trzy życzenia i mogła wykorzystać jedno, by rozkochać w sobie Toma.

W połowie stycznia Tom wybrał się do Nowego Jorku.

Umówił się tam na lunch ze swoim agentem, a potem na kolację z prawnikami, z którymi kiedyś pracował.

Bree zdawała sobie sprawę, że ten wyjazd jest konieczny.

Tom musiał pilnować swoich interesów.

Nie znaczy to wcale, że nie poczuła podenerwowania natychmiast, gdy dowiedziała się o wyjeździe.

Tom nalegał, żeby jeździła jego autem.

- Nie ufam twojemu staremu samochodowi - powiedział.

- Ciągle mówię, że powinnam kupić sobie coś nowego.

Ale ty mnie nie słuchasz.

- Nie potrzebujesz nowego auta.

Masz moją furgonetkę.

- To twoja furgonetka - upierała się.

- Ja chcę mieć własny samochód.

Nie lubię być zdana na ni czyją łaskę.

Sama była zła na siebie, że wygaduje takie rzeczy, ale irytowało ją, że gdy on jedzie do Nowego Jorku, ona musi zostać w Vermont.

To w końcu były dwa zupełnie różne światy.

Zaczęła się zastanawiać, czy na prawdę mogło mu się podobać w Panamie.

Pamiętała, że zanim poznała Toma, też była szczęśliwa.

Miała wrażenie, że niczego nie brakuje jej do

166

szczęścia.

A teraz, zupełnie niespodziewanie, uzależniła się od mężczyzny.

W dodatku od takiego, który przewyższał ją na każdym kroku.

Bała się tego wyjazdu.

- Mogę wziąć pożyczkę na samochód - powtarzała z uporem.

- Już kiedyś brałam i nie było żadnego problemu.

- Poczekaj - błagał.

- Zajmiemy się tym, jak wrócę.

Myśl o jego powrocie sprawiła, że poczuła się lepiej.

Kiedy jednak zobaczyła go w garniturze, gotowego do drogi, powróciły najczarniejsze przecucia.

Wpały trwała się w niego tak długo, że w końcu sam zaczął się sobie przyglądać.

Poprawił kłapy w marynarce, dotknął krawata, sprawdził kieszenie.

Potem spojrział na nią, jakby czytał jej myśli.

- Dziw nie wyglądam, prawda?

Sam sobie wydaję się obcy.

Od szyi w górę wszystko było w porządku.

Może tyl ko trochę staranniej niż zwykle zaczesał włosy do tyłu.

Pomyślała, że muszą teraz być dłuższe niż kiedykol wiek wcześniej.

Uwielbiała tę wąską bliznę na policz ku.

To był mężczyzna, którego znała i kochała.

Gorzej było z tą częścią od kołnierzyka w dół.

- Wyglądasz elegancko - powiedziała.

I nie skła mała.

Z takim wyglądem mógł zdziałać wszystko, na wet zatrzymać ruch uliczny w Nowym Jorku, gdyby mu to było do czegoś potrzebne.

Bóg jeden wie, jak wiel kie możliwości tkwiły w tym człowieku.

A to oznacza ło, że on już tu nie wróci.

- Wyjeżdżam tylko na dwa dni - zapewnił ją ko lejny raz.

- To nie tak długo.

Z całego serca pragnęła w to uwierzyć.

Wiedziała jednak, że w Nowym Jorku czyha na niego wiele pokus.

- A jeśli przytrafi się coś, czemu nie będziesz mógł się oprzeć?

167 .

- Nic takiego się nie zdarzy.

Po prostu muszę omówić kilka spraw.

Zorientować się, co się tam teraz dzieje.

- A kobiety?

- Nie będę na nie patrzeć.

- Ale one będą patrzeć na ciebie.

Uściskał ją.

- Kocham cię.

To nieuleczalne.

- Chyba wypowiem życzenie, żebyś wrócił.

- Bree...

- Nadal trzymał ją w objęciach.

- Nie marnuj życzenia.

Może się przydać na coś naprawdę ważnego.

Ja i tak wrócę.

Kupiłem bilet powrotny.

Wiesz o tym.

Bree wzięła głęboki oddech.

Znowu wyobrażała sobie świetlistą postać.

To musiało się zdarzyć na prawdę.

Simon Meade rzeczywiście miał na karku znamię.

Ta jaśniejąca kula, która mogła być Bogiem, nie pozwoli jej utracić Toma.

Starła się w to uwierzyć.

W najgorszym razie miała trzy życzenia.

Czuła się samotna i sfrustrowana.

Może za często rozmyślała o trzech życzeniach.

To z pewnością przy czyniło się do nieprzewidzianego rozwoju wydarzeń.

Obudziła się następnego ranka dużo wcześniej niż zwykle.

W sypialni panował przenikliwy ziąb.

Z rozpa czą uświadomiła sobie, że znajduje się w swoim starym domu i to w dodatku bez Toma.

Wygrzebawszy się spod kołdry, wsunęła do kapci lo dowate stopy.

Trzęsącą się ręką sięgnęła po szlafrok.

Zacisnęła pasek.

Spojrzała na zegar.

Dochodziła szó sta.

Bree wiedziała, że już nie zaśnie.

Było jej potwór nie zimno.

Tęskniła za Tomem.

W domu panowała ciemność, jednak Bree dobrze znała drogę.

Doskonale mogła trafić i po omacku.

168

Szybko zeszła na parter, przemknęła przez kuchnię, aż wreszcie dotarła do niewielkiej piwniczki z cemen towymi ścianami.

Tu było zimniej niż w mieszkaniu, choć wydawało się, że już zimniej być nie może.

Piec centralnego ogrzewania znajdował się na samym końcu piwnicy.

Teraz wszędzie, gdzie szła, zapalała światło.

Od ra zu dorzuciła do pieca koksu.

To jednak w niczym nie zmieniło sytuacji.

Oddech jej zamarzał, gdy otworzy ła usta, by wyrzucić z siebie przekleństwo.

Tom ostrzegał ją, że tak się stanie.

Flash mówił jej o tym od dawna.

Nie chciała ich słuchać.

Nawet te raz nie chciała o tym myśleć, bo inwestowanie w ten dom to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła.

Nie chciała tu mieszkać.

Pragnęła być razem z Tomem.

Tylko że Tom pojechał do Nowego Jorku, gdzie wesoło się bawi ze swoimi przyjaciółmi, a może planuje powrót do dawnego życia i zastanawia się, jak jej to powie dzieć.

Potrzebowała cudu.

Właśnie tutaj.

Właśnie teraz.

Zamknęła oczy.

Z całej siły zacisnęła powieki.

Splo tła dłonie.

Próbowała przywołać obraz świetlistej po staci.- Życzę sobie, żeby zrobiło się gorąco - powie działa.

Widziała światłość piękną jak we śnie.

Ale kiedy nic się nie wydarzyło, powtórzyła życze nie.

Tym razem mówiła znacznie głośniej.

- Życzę sobie, żeby zrobiło się gorąco.

Otworzyła oczy.

Skrzyżowała ręce na piersi.

Patrzy ła na piec i czekała, aż się włączy.

Nic takiego nie nastąpiło.

Usiadła na piętach.

Czekała, ściskając kciuki, ale nic się nie wydarzyło.

Czuła się straszliwie przemarznięta. W końcu wstała i poczłapała schodami na górę i rozpała ogień pod kuchnią węglową.

Okryła się pledem i zaparzyła gorącej herbaty.

Tłumaczyła

169 .

sobie, że na spełnienie życzenia pewnie potrzeba trochę czasu.

Przyszła do zajazdu o dziesiątej, dwie godziny wcześniej niż powinna.

Miała na sobie trzy swetry i dwie pary skarpet.

No cóż, w swoim domu nawet w tym stroju nie mogła wytrzymać.

Flash na jej widok parsknął śmiechem.

- A co?

A nie mówiłem?

Gdybyś mnie słuchała, leżałabyś so bie spokojnie w ciepłym i miłym łóżeczku.

Bardzo jest zimno?

- pokpiwał z niej.

- Bardzo - mruknęła.

Podejrzewała, że na jej na strój wpłynęło w takim samym stopniu przemarznięcie, jak i rozczarowanie.

Czekała w domu prawie cztery go dziny, a jednak jej życzenie nie zostało spełnione.

Trud no, wyda pieniądze na naprawę pieca.

Nowy samochód może poczekać.

No cóż, miło było żyć złudzeniami.

Flash wcisnął jej w dłoń gorącą bułeczkę, prosto z pie ca.

- Siadaj i jedz.

Zaraz się rozgrzejesz.

I już o nic się nie martw.

Wrightowie zajmą się piecem.

Powinni przyjść dzisiaj na lunch.

Poprosimy ich, żeby go zreperowali.

{?

Wrightowie przyszli w południe.

To właśnie oni przynieśli nowe wieści.

- Nie będę teraz jadł - rzu cił Ned od progu.

- Przed chwilą otrzymałem wiado mość o pożarze.

Wrightowie należeli do ochotniczej straży pożarnej.

W tej samej chwili gdzieś z góry dobiegł wszystkich dźwięk syreny alarmowej, wzywającej strażaków.

Ktoś powiedział.

- Pożar na South Forest.

170

Bree przeraziła się.

- Na South Forest?

- Nie wiem, czyj dom - rzekł Ned.

Zobaczyła śpieszącego do drzwi Eliota.

Ich spojrzenia spotkały się.

Narzuciła kurtkę i wybiegła za nim.

- Wsiadaj!

- otworzył drzwi samochodu.

W ciągu paru minut znaleźli się na miejscu.

Nie po zostało jej nic innego jak tylko stać i patrzeć.

Nie było widać płomieni.

Z dachu buchał czarny dym.

Piętro spłonęło całkowicie.

Parter ciągle się palił.

Czuła się bezradna i przerażona.
Ogarnęło ją poczu cie winy.
Ze zgrozą patrzyła na mieszkańców Panamy - hydraulików, stolarzy, elektryków, którzy jako członkowie ochotniczej straży gasili pożar.
Mężczyźni skie rowali teraz potężny strumień wody na okno.
Pękły szyby, woda wdarła się do środka.
Powietrze wypełnił kwaśny odór spalenizny.
Nie chciała myśleć o bezmiarze zniszczeń, o puszczo nym z dymem dorobku wielu pokoleń Millerów.
Była ostatnią z rodu.
Nie miała nic oprócz tego domu.
- Nie o to mi chodziło, kiedy chciałam, żeby się zrobiło gorąco - łkała, patrząc na pożar.
W trzasku ognia, w syku i huku wody nikt nie słyszał jej skargi.
Nie mogła nikogo winić.
Przecież sama spowodowała tę tragedię, pochopnie wypowiadając życzenie.
Gdy tylko wieść rozeszła się po Panamie, zjawili się przyjaciele, by okazać jej wsparcie.
Gdy ogień dogasał, przy pogorzeliisku zgromadziła się niemal połowa miasteczka, jednak Bree czuła się przerażli wie samotna.
- Odbudujesz ten dom.
Nie martw się, Bree.
- Nowy dom będzie jeszcze lepszy.
- Możesz zamieszkać z nami.
Nasz pokój na pod daszu jest naprawdę przytulny i wygodny.
- Weź sobie pokój nad naszym garażem.
Jest twój.
171 .

Nie mogła oderwać wzroku od pogorzelniska.

Płakała.

Jane objęła ją ramieniem i rzekła cicho.

- Za mieszkasz u Toma?

Bree skinęła głową.

Praktycznie już u niego mieszkała.

Mogła tam być zeszłego wieczoru, gdyby nie to, że pojechał do Nowego Jorku.

Wtedy nie musiałyby spać u siebie w domu, nie obudziłyby się samotna i przemarznięta.

Nie śmiałyby wzywać światłości i prosić o spełnienie życzenia.

Życzenia, które spełniło się w tak przewrotny sposób.

W domu Toma na pewno było ciepło.

i?

W wiele godzin później, rozgrzana jak bułeczka w piecu, wylegiwała się w łóżku

Toma.

Żołądek ścisnął jej się z bólu na wspomnienie zgliszczy domu.

Dwu krotnie myła głowę, żeby usunąć z włosów swąd dymu.

Wykąpała się w olejkach aromatycznych.

Potem znowu zaczęła się niepokoić, że Tom nie za dzwonił.

Sam jej to przecież obiecał, nawet go nie prosiła.

Bała się, że nowojorskie sprawy wciągnęły go tak bardzo, że zupełnie o niej zapomniał.

Była przerażona, naprawdę przerażona.

Usiadła na łóżku, ściskając kolana.

Mimo ciepła nie mogła opanować drżenia.

Wiedziała, że dostanie pie niądze z ubezpieczenia.

Jeśli ją porzuci i wróci do dawnego życia w Nowym Jorku, mogłaby za odszkodowanie kupić ten dom.

Zawsze jej się podobał.

Mo głaby zamieszkać tu sama i powrócić do swojego życia, które było zupełnie dobre zanim poznała Toma.

Tak, zanim poznała Toma.

Elektroniczny zegar wyświetlił północ.

Tom nadal nie dzwonił.

Sięgnęła z łóżka po słuchawkę telefonu i zadzwoniła do informacji.

Podawała nazwę hotelu

172

i zapisała na kartce numer.

Połączyła się z recepcją.

I po chwili poinformowano ją, że Thomas Gates wy meldował się z hotelu późnym popołudniem.

Nie wiedziała, co to może oznaczać.

Nie chciała o tym myśleć.

Wyobrażając sobie świetlistą kulę, próbowała odzyskać spokój, jednak teraz nie czuła z nią emocjonalnej więzi.

Nie potrafiła połączyć się z tym niezwykłym zja wiskiem, które dawało jej siłę.

Przypomniało jej się wcześniejsze życie.

To, co przed tamtą październikową nocą wydawało się wspaniałe, teraz zionęło nudą.

Czuła pustkę, dojmującą samotność.

Nie mogła się obronić przed natłokiem smutnych myśli.

Wstała z łóżka, zapaliła światło i zaczęła przechadzać się z pokoju do pokoju.

Wreszcie wyj rzała przez okno.

I nagle zobaczyła, że podjeżdża jakiś samochód.

Serce przyśpieszyło rytm, kiedy rozpoznała taksówkę, która w dodatku zatrzymała się przed domem.

To był Tom.

Przyjechał z Nowego Jorku dzień wcze śniej, niż planował.

Zastanawiała się dlaczego.

Czy Nowy Jork okazał się tak dobry, że chciał jak najszyb ciej uporządkować sprawy w Panamie i wrócić do swe go dawnego życia?

Obserwowała, jak wysiada z taksówki i kieruje się w stronę ganku.

Zbiegła po schodach, otworzyła drzwi właśnie w chwili, kiedy sięgał ręką klamki.

Cofnęła się nerwowo, gdy.

wrzucał swój bagaż do sie ni, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

Ścisnęła go tak mocno, jak ni gdy przedtem.

Zdała sobie sprawę, że cały czas trzęsie się jak gala reta.

Tom też objął ją mocno.

- Przejeżdżałem koło twojego domu - rzekł tak cicho, że ledwie go słysza ła.

- Co się stało?

173 .

- Ogień...

- Tylko tyle zdołała powiedzieć, zanim zamknął jej usta pocałunkiem.

Dla niej ten pocałunek miał smak strachu i rozpaczliwej potrzeby znalezienia oparcia. Tego on także potrzebował.

Kiedy oderwał od niej usta, ujął jej twarz w dłoń.

- Kiedy to się stało?

Kciukami ścierał łzy z jej policzków.

- Dzisiaj koło południa - pogładziła jego twarz.

Musi się dowiedzieć, co sprowadziło go do Panamy o cały dzień wcześniej.

- Dzwoniłam do hotelu.

Po wiedziano mi, że już tam nie mieszkasz - szepnęła.

- Dojazd zabrał mi dużo więcej czasu, niż mogłem przewidzieć - wyjaśnił.

- Byłaś w pracy, kiedy to się zdarzyło?

- dopytywał.

Skinęła głową.

Łzy znowu gwałtownie popłynęły po jej policzkach.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Próbowałem, ale było zajęte.

- Przytulił ją mocniej.

- Kiedy jadłem obiad, było zajęte.

Później się działo w samolocie, który stał dwie godziny na pasie startowym i nie mógł lecieć, bo nawaliły cholerne komputery pokładowe.

Musieliśmy czekać.

Nie płacz kochanie, bardzo cię proszę, nie płacz.

Próbowała się uspokoić.

Mówiła sobie, że to dobry znak, że Tom ma pod płaszczem dzinsy i sweter, a nie ten obrzydliwy garnitur.

Nic jednak nie pomagało.

- A ja się denerwowałam - rzekła z wyrzutem.

- Ja też.

- Przytulał ją, głaskał jej włosy.

- Mu siałem wrócić jak najszybciej.

Nie mogłem tam wytrzy mać.

Kocham cię, Bree.

Rozpłakała się jeszcze bardziej.

Chciała, żeby już nigdy nie wyjeżdżał.

Nigdy więcej.

Trzymał ją w objęciach, tulił.

Mówił, jak bardzo ją kocha.

Prosił, żeby przestała płakać.

Nadal stali na ganku.

Dopiero po dłuższym czasie Tomowi udało się wprowadzić ją do środka.

Za174

mknął za sobą drzwi.

Znowu objął Bree.

- Zobacz, co ci kupiłem.

Odsunęła się.

- Nic nie chcę.

Tylko ciebie.

- Przecież mówiłem, że wrócę.
- Tak?
- Tak.

A kiedy byłem w Nowym Jorku, też cały czas powtarzałem te same słowa.

Nic nie chcę oprócz ciebie.

Nie cierpię Nowego Jorku, korków na ulicach, nienawidzę tłumów, nie znoszę Nathana, który cały czas usiłuje mnie przekonać, że powinienem napisać kolejną książkę.

Uważa, że mógłby mi wynegocjować niebotyczne honorarium i nie może mi darować, że przestałem pisać.

Nie mogę znieść moich kolegów prawników, którzy już liczą dolary i centy od klientów z branży filmowej, których mógłbym przyciągnąć do firmy.

Hotel był pretensjonalny, w restauracji droży zna, zatrute powietrze.

Cały czas zadawałem sobie pytanie, jakim cudem wytrzymałem tam tyle lat, sko ro pragnę tylko ciebie.

Bree podniosła głowę.

- Tak było?

- zapytała nie śmiało.

- Miałem zamiar spotkać się jeszcze jutro z Nathanem.

- Oczy mu błyszczały, a w głosie brzmiała tęsknota.

- Odwołałem spotkanie.

Chodziłem ulicami i myślałem o ludziach, z którymi zamierzałem się zobaczyć.

Zupełnie przeszła mi na to ochota.

Chciałem tylko znaleźć ten sklep.

Sięgnął do kieszeni i wyjął małe kwadratowe pudełeczko, błękitne, przewiązane elegancką białą ko kardką.

Bree spojrzała na prezent, potem znów na Toma.

- Otwórz - poprosił.

Wzięła od niego pudełeczko.

Rozwiązała kokardę i uniosła wieczko.

W środku znajdowało się jeszcze jedno pudełeczko.

Znowu spojrzała na Toma.

175 .

- Otwieraj dalej - zaśmiał się.

Trzymała to w ręku przez chwilę i otworzyła.

Na czarnym aksamicie leżał przepiękny diament w kształcie gruszki, oprawiony w platynę. Powoli jaśnie światło powracało do jej życia, promieniując blaskiem klejnotu, ogrzewając jej serce ciepłem miłości.

- Czy to...?

- Nie miała odwagi dokończyć tego pytania.

- Tak.

Podniosła wzrok na niego.

- Czy ty prosisz...?

- Tak.

- Mój Boże - szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

Później znowu patrzyła na pierścionek.

Nigdy nie miała czegoś takiego.

Nawet o tym nie marzyła.

- Kupiłeś go w Nowym Jorku?

- Jedyna ważna rzecz.

Jedyny naprawdę istotny powód mojej wyprawy.

Bree czuła, że brakuje jej tchu.

Trzymając pudełeczko z pierścionkiem, jeszcze raz uściskała Toma.

- Dzięki jej - szepnęła.

Pocałowała go w policzek.

Potem znowu zerknęła na pudełeczko.

Pierścionek nadal tam był.

- Przymierz.

Już prawie wkładała pierścionek na palec, gdy jedyna myśl zgasła uśmiechem na jej twarzy.

Bez wahania, ponieważ wiedziała, że musi to powiedzieć, wypaliła:

- Ja nie mogę mieć dzieci.

Tom.

Nie mogę mieć dzieci - powtórzyła.

- Po tej operacji...

- Po wypadku?

- zapytał.

Skinęła głową.

- Chcę mieć dziecko i wiem, że to bież też na tym zależy.

Słyszałam, jaki byłeś dumny ze swoich bratanków.

Widziałam, jak bawisz się z Joeyem.

Potrząsnął głową.

- Możemy adoptować.

- To nie to samo.

- To samo.

- Wyjął pierścionek i wsunął go na jej palec.

Uniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował.

Spoj176

rżał jej w oczy.

- Nie myślałem o dzieciach, kiedy spacerowałem ulicami Nowego Jorku.

Marzyłem o tobie.

- Ale ty pragniesz rodziny.

To za tym tęsknisz.

- Racja, ale podstawą rodziny są kobieta i mężczyzna.

Gdy brakuje tej podstawy, cała reszta jest już nie taka.

- Uśmiechnął się do niej, wzruszony.

Nie chcę innej kobiety, tylko ciebie.

Znowu łzy popłynęły jej po policzkach.

- Wyjdiesz za mnie, Bree?

Nie miało znaczenia, że miała na palcu pierścionek z brylantem.

Najważniejsze były te słowa.

- A ja myślałam, że kochasz Nowy Jork, że będziesz chciał tam zostać.

Bałam się, że piękny sen dobiegł końca.

Szlachetny kamień błyszczał na jej palcu.

Jego blask obiecywał spokój i szczęście.

- Wypowiedziałam życzenie, żeby zrobiło się gorąco - opowiadała mu o trzeciej nad ranem.

Kochali się, potem jedli pizzę, potem znowu się kochali.

Teraz leżeli spoceni obok siebie.

Bree oparła po policzki o jego klatkę piersiową.

Zgięła serdeczny palec, żeby od czasu do czasu spoglądać na pierścionek.

- Wypowiedziałas takie życzenie?

- zapytał.

- Zamknęłam oczy, przywołałam obraz światłości i wypowiedziałam życzenie.

Nic się nie zdarzyło.

Czeakałam, czekałam, aż w końcu poszłam do pracy.

I na krótko przed dwunastą dom stanął w ogniu.

Tom zachichotał.

- Teraz znajdujesz się w domu, gdzie jest dużo ciepła i tu zostaniesz.

Życzenie zostało spełnione.

- Tak myślisz?

- Uniosła głowę.

- Życzyłam sobie gorąca i wybuchł pożar.

Mogłam wypowiedzieć

177 .

bardziej konkretne życzenie, na przykład poprosić o nowy piec.

W pewnym sensie życzenie się spełniło.

- Nie powinnaś czuć się winna.
- Nic nie mogę na to poradzić.

To był mój dom.

- Każdą rzecz materialną można zastąpić czymś innym - powiedział.
- Spoważniał i pogłodził ją po policzku.

- Przykro mi, że nie możesz mieć dzieci, Bree.

Przykro mi, że tak długo dusiłaś to w sobie.

Gdybyś mi powiedziała, po mógłbym ci dźwigać ten ciężar.

- Pomogłeś.

Przyszedłeś do mnie tamtej nocy i trzymałeś mnie za rękę, gdy płakałam.

- Powinnaś była powiedzieć, dlaczego płaczesz.
- Czuję się tylko jeszcze bardziej winna, że spowodowałeś ten wypadek.

Nie chciałam, żebyś się martwił, tak samo jak nie chciałam, żebyś myślał, że musisz dać mi pierścionek.

- To raczej chodzi o mój egoizm.

Jesteś czymś najlepszym, co mi się trafiło w życiu.

Ofiarowanie ci pierścionka to wstęp do wspólnego życia.

Możemy się pobrać w przyszłym tygodniu albo w przyszłym miesiącu.

Może na przykład w walentynki.

Bree pochyliła głowę i uśmiechnęła się, wtulona w jego pierś, starając się zachować w pamięci tę piękną chwilę.

- Zdecydujemy się później.
- Kiedy?
- Nie za szybko.

Nigdy przedtem nie byłam zaręczona.

Chciałabym mieć trochę czasu, żeby się tym nacieszyć.

A tej nocy śniła jej się, że miała dziecko.

Malutkiego chłopczyka, miniaturową wersję Toma.

Podobny do tego, którego widziała na zdjęciu z dzieciństwa.

Od ra178

zu umiał mówić i był bardzo mądry.

Duma rodzicielka tak rozpierała Toma, że aż urósł kilkanaście centy metrów.

A Bree była przepiękna tak wielką miłością, że zdawała się płonąć.

Obudzony się, nadal czuł tę miłość.

I zmartał się, że to okazało się tylko snem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- I kto by pomyślał - westchnęła Jane po wszystkich zachwytach nad pierścieniem. Szczerze cieszyła się szczęściem przyjaciółki.

Jej ekscytacja była niekłamana.

Jane marzyła o tym, żeby spotkać kiedyś mężczyznę swego życia i poślubić go.

Patrząc na radość przyjaciółki, zaczynała nabierać nadziei, że i do niej los się uśmiechnie.

- Tak się cieszę - szepnęła, obejmując Bree.

- Zupełnie jakby sen stał się jawą.

Bree zerknęła na salę.

Nie było nowych gości, a na ekranie nie pojawiły się żadne nowe zamówienia.

- Chciałam się cię poradzić - powiedziała, ciągnąc przyjaciółkę na zaplecze.

- Boję się, że niewiele ci się przydam - odparła Jane.

- Nie mam żadnego doświadczenia w dziedzinie zaręczyn i ślubów.

- W tej chwili chodzi mi o coś innego - rzekła Bree.

- Na to mam jeszcze trochę czasu.

Ale...

po wiedz mi...

Jestem osobą trzeźwo chodzącą po ziemi.

Znasz mnie tak dobrze jak nikt inny.

Jane z przekonaniem skinęła głową.

- Czy wierzysz, że doświadczyłam eksterioryzacji?

Wierzyłaś mi, jak o tym opowiadałam?

180

Jane otworzyła usta, ale zamknęła je bez słowa.

Do piero po chwili namysłu szepnęła.

- Nie mówiłabyś, że przeżyłaś coś podobnego, gdybyś nie sądziła, że to prawda.

- A ty uważasz, że to jest możliwe?

- Mogłabym wątpić, gdyby ktoś inny mi o tym mówił, nie ty.

Do ciebie mam zaufanie.

Wiem, że nie kłamiesz.

Bree zacisnęła wargi.

Zastanawiała się, jak to po wiedzieć.

Później, nabrawszy powietrza do płuc, opo wiedziała Jane o trzech życzeniach.

Oczy przyjaciółki stawały się coraz większe.

- Sądzisz, że to się zdarzyło po prostu dlatego, że wypowiedziałas życzenie?

- Nie wiem...

Nie wiem - powtarzała nerwowo Bree.

- Nie wiem, czy ja to spowodowałam.

Na tym polega problem.

- Jaki to problem?

- uśmiechnęła się Jane.

- Masz ciepło i nawet lepsze miejsce do mieszkania niż przedtem.

Nigdy nie lubiłaś swojego domu.

- Ale on należał od pokoleń do mojej rodziny.

Nie chodziło mi o to, żeby się spalił, kiedy opowiadałam życzenie.

- Oglądałaś dziś rano pogorzelnisko?

- Nie.

Jestem zbyt wielkim tchórzem.

Tom tam poszedł.

Mówił, że to makabryczny widok.

Nalegał, żebym nie chodziła, dopóki nie ochłonę po szoku.

Powinnam zobaczyć, czy coś z tego da się ocalić.

Ale, z drugiej strony, nie chcę zajmować się niczym, co mogłoby zburzyć moje szczęście - mówiła Bree.

- Ma przyjechać inspektor ze straży pożarnej St.

Johnsbury.

Muszę mieć jego opinię, żeby dostać ubezpieczenie.

Co będzie, jeśli on uzna to za podpalenie?

Mogą mnie o to oskarżyć?

- Podpalenie oznacza użycie zapalek i benzyny.

Nic litego nie robiłaś.

181 .

- Nie.

Po prostu wypowiedziałam życzenie.

Jane zastanawiała się przez chwilę.

W końcu po trząsnęła głową.

- To musi być zbieg okoliczności.

- Nie wierzysz, że życzenia są prawdą.

Jane spoglądała z powątpiewaniem.

Bree jednak uparcie obstawała przy swoim.

Przecież Simon Meade miał pieprzyk na karku.

Mogła to widzieć tylko podczas operacji.

To potwierdzenie, że opuściła swoje ciało.

Trzy życzenia także mogły być prawdą.

- Może powinnam zapytać Verity - szepnęła.

- Nie pytaj.

Verity to wariatka.

- Żadna wariatka.

Najwyżej ekscentryczka.

- Ona wierzy, że burza to gniew Boga.

- Ja też w to wierzyłam w dzieciństwie.

- Niech ona też wreszcie dorośnie.

Najwyższy czas.

Czy Verity nie dorosła?

Jeszcze niedawno Bree bez wahania zgodziłaby się z tą opinią.

Zanim zdarzyła jej się rzecz, o której mogłaby przysiąc, że jest niemożliwa.

- Może ja też jestem wariatką: Ale przysięgam.

Powiedziano mi, że dostałam trzy życzenia i że tylko po to wracam na ziemię.

- To spróbuj wypowiedzieć następnego życzenie - do radziła Jane.

- Coś konkretnego, żebyś wiedziała, czy to na pewno działa.

Powinnaś życzyć sobie jakiejś rzeczy.

- Nie chcę żadnej rzeczy.

- To jedyny sposób, żebyś się dowiedziała, czy te życzenia mogą się spełnić.

- Ale jeżeli okaże się, że tak?

To będzie moje drugie życzenie.

A co potem?

- Potem masz jeszcze jedno.

- I co potem?

- Trzy strzały i po wszystkim...

Co dalej?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiała.

- Potem wieczne szczęście - mruknęła Jane.

Na gładzie uśmiech zamarł jej na ustach.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

182

- Jane!

- wrzasnęła Doty.

W jej oczach widoczne było cierpienie.

- Jane!

Dwadzieścia minut czekałam na parkingu.

Jeśli chcesz potem wziąć auto, musisz mnie teraz odwiedzić do domu.

O ile dobrze sobie przy pominam, potem jedziesz do Ashmont Community Center.
Znowu będą narzekać, że czekali na ciebie.

- Nie byliśmy tu długo - mruknięła Jane i szybko pobiegła do wyjścia.

Bree wiedziała, że Dotty nie czekała dwudziestu minut.

Zanim zaciągnęła przyjaciółkę na zaplecze, pa trzymała na parking, czy nie nadjeżdżają nowi goście.

Rozmawiały zaledwie parę minut.

Jednak nie było sensu sprzeczać się z Dotty, bo w niczym nie pomogło by to Jane.

- Mogę zobaczyć pierścionek?

- zapytała Dotty.

Bree w tej chwili wolałaby ukryć swój cenny dar, ale to też nic by nie dało.

Z westchnieniem wyciągnęła

rękę.

Dotty lekko obróciła pierścionek najpierw w jedną stronę, potem w drugą stronę.

- Wygląda dość przyzwoicie.

- O Boże!

- jęknęła Jane.

Dotty spojrzała na córkę.

- Co takiego?

- To przecież prawdziwy klejnot.

- A skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- prychnęła Dotty.

- Nie jesteś jubilerem.

Prawdopodobnie ten diament ma jakąś skazę.

Jest porysowany albo wy szczerbiony.

O ile w ogóle nie jest fałszywy.

Nie wszystko złoto, co się świeci.

Siedź cicho i nie wymą drzaj się!

Gdybyś nie była głupia, sama miałabyś pierścionek.

Bree cofnęła rękę.

- Jane nie jest głupia.

Wybiera się partnera, diament się nie liczy.

Ward Hawkins jest obleśny - mruknięła pod notJane.

183 .

Bree też tak uważała.

Hawkins już cztery razy był żonaty.

Oferował Jane stabilizację i nic ponadto.

Dotty machnęła ręką.

- Ale chciał dać ci pierścionek zaręczynowy.

Nikt inny nawet na ciebie nie spoj rzał.

- Zerknęła na zegarek i szybko wyszła z pokoju.

- Idź!

- ponagliła Bree przyjaciółkę.

- Później pogadamy.

- Bardzo się cieszę, że ułożyło ci się z Tomem - zapewniła Jane i zaraz pobiegła za matką.

W drzwiach pojawił się Flash.

- Dlaczego Jane po zwala się tak traktować?

- zapytał.

- Powinna wreszcie wyprowadzić się od niej i zacząć własne życie.

Bree też tak myślała.

Już wiele razy pytała o to przyjaciółkę.

Odpowiedziała Flashowi w ten sam sposób, w jaki zawsze odpowiadała jej Jane.

- A dokąd może odejść?

- Wszystko jest lepsze niż mieszkanie z tą jędzą.

- Nie jest łatwo wynająć pokój.

I nie tak tanio.

- Gdyby brała pieniądze za dekoracje wnętrz i za to wszystko, co robi dla miasta, wystarczyłoby jej.

- Gmina nie będzie jej płacić.

Przywykli, że ona to robi społecznie.

- A ja tobie nie zapłacę, jeśli nie wrócisz na salę - zaśmiał się Flash.

Bree zerwała się z krzesła.

- Ktoś czeka?

Są goście?

- Na razie nie ma nikogo, ale wszyscy chcą obejrzeć twój pierścionek.

Wreszcie Tom doczekał się tego, że przyjęto go w poczet obywateli miasteczka.

Bree cieszyła się w Pa namie dużą popularnością i to chyba przeważało.

Te raz wszyscy, podekscytowani zaręczynami, składali Tomowi gratulacje.

Podchodzili do niego ludzie na

184

poczcie, gdzie wstąpił, żeby wysłać list.

Wieszano mu w banku, gdzie deponował przywiezione z Nowego Jorku czekolady, w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego, w którym kupował farbę.

Na ulicy przechodnie poddawiali go podniesioną dłoń.

Kiedy znalazł się w pobliżu spalonego domu, miejscowi, którzy pomagali w pracy inspektorowi, podbiegli do niego z gratulacjami.

- Wiesz, jak szybko rozchodzi się plotka?

- zapytał Tom Eliota Bonnera.

Siedzieli w zajeździe, na wyśokich barowych stołkach, i pili piwo.

Tom czekał, aż Bree skończy pracę.

Eliot parsknął śmiechem.

- Szybciej niż błyskawica.

To naprawdę piękny pierścionek.

Bree przeszła koło nich.

Tom zauważył błysk pierścionka na jej palcu.

To nie był największy brylant, jak widział u Tiffanyego tego dnia, ale duży nie zawsze bywa najpiękniejszy.

Tego zdążył się już nauczyć, by nie popełniać dwa razy tego samego błędu.

Przez wie le godzin szukał w sklepach jubilerskich odpowiednie go kamienia.

Ten, na który się zdecydował, miał blask, prostotę i elegancję.

- A więc wżenisz się w Panamę - zauważył Eliot.

- Domyślam się, że zostajesz.

Tom uśmiechnął się.

- Też mam takie wrażenie.

Nie podejmował tej decyzji z pełną świadomością.

Znalazł dużo przyjemności w wybieraniu pierścionka dla Bree.

Podczas krótkiego pobytu w Nowym Jorku tęsknił za Panamą.

Chciał jak najszybciej wrócić do swojej dziewczyny.

Czuł, że ją kocha, że lubi jej przyjaciół.

Odpowiadało mu świeże powietrze i spokojny rytm życia.

Polubił nawet wysiłek fizyczny.

Dwa razy w tygodniu odśnieżał ulicę koło swojego domu i nawet nie zło mu do głowy, żeby na to narzekać.

185 .

Na pewno trudniej było tutaj zachować prywatność.
Plotki, jak zauważył Eliot, rozchodziły się z prędko ścią błyskawicy.
Jednak po zsumowaniu plusów i mi nusów tych ostatnich okazało się dużo mniej.
Małe miasteczko stanowiło coś w rodzaju wielkiej rodziny.
Każdy był tu kimś ważnym, kimś bliskim.
I to się mo gło Tomowi podobać.
Pomyślał, że trudno o lepsze miejsce do założenia rodziny...

- Co będziesz tutaj robił?

- zapytał Eliot.

- Skończę rozpakowywać rzeczy.

Pomaluję poko je...

Może zbuduję garaż.

Tom czuł, że to mu daje satysfakcję, choć pewnie nie był jeszcze tak użyteczny, jakby pragnął tego je go ojciec.

- Postaraj się być miły dla Bree - poprosił Eliot.

Zabrzmiało to prawie jak rozkaz.

- To porządna dziewczyna i zasługuje na dobry los.

Źle się stało z jej domem - dodał z troską.

- Był stary, ale wcale nie taki zły.

I co ona planuje?

Odbuduje dom czy sprzeda?

Tom pomyślał, że nawet miejscowe jasne piwo smakuje wyśmienicie.

Pociągnął duży łyk.

- Decy zja należy do niej.

To jej dom.

- Dostanie pieniądze z ubezpieczenia.

Może roze brać budynek i sprzedać grunt.

- Eliot spojrział na Toma.

- Najgłupsze, że ...

Wyobraź sobie, inspektor ze straży pożarnej nie potrafił określić, co było przy czyną pożaru.

Wszyscy wiemy, że instalacja elek tryczna wymagała remontu, ale Bree wyłączyła prąd, gdy szła do pracy.

Mogła to być iskra...

Tyle że wokół kuchni była betonowa podłoga...

Nic takiego, co mo głoby się zająć...

Inspektor nie znalazł żadnej rzeczy bardziej spalonej niż inne.

Czegoś, od czego zaczął się pożar.

To wszystko bardzo dziwne...

Inspektor określił, że to był jakiś rodzaj eksplozji.

Jakby ogień uderzył w dach.

186

- Dziwna sprawa - mruknął Tom.

Potrafił wy obrazić sobie tę eksplozję.

Świetlistą kulę, buchającą ogniem, podobną tej, którą widziała Bree.

Nie wierzył, że jej życzenie mogło spowodować eks plozję, ale i nie zaprzeczał temu.

Ostatnio działo się w jego życiu tyle niepojętych rzeczy.

Jeszcze pięć lat temu nie wyobrażał sobie, że znajdując się u szczytu sławy, osiadzie w małym miasteczku i ożeni się z miejs cową dziewczyną.

Nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, że coś takiego może dać szczęście.

Mimo poczucia winy, że to jego dżip potrącił Bree.

Pragnął teraz uczynić jej życie bogatszym, wspanialszym, miłszym, niż było kiedykolwiek przedtem.

- Cześć, chłopaki!

- zawołała Bree, przecierając kolorową szmatką sąsiedni stół.

Patrzyła na Toma.

Poczuł, że rozpiera go duma.

Dziwił się, że niespełna rok temu, gdy po raz pierwszy pojawił się w zajezdni, niemal nie zauważył Bree.

Teraz wydało mu się to niemożliwe.

A jednak wówczas świat zewnętrzny nie docierał do niego w całej pełni, tak bardzo zasklepił się w swoim bólu.

Owszem, dostrzegł jej urodę.

Podobały mu się jej czarne, długie włosy i ciepłe miodowe oczy.

Lubił widzieć uśmiech na jej twarzy.

Fascynowała go jej figura, biodra, nogi...

Lubił patrzeć na nią, kiedy przychodził do zajazdu.

Jednak dopiero po wypadku, kiedy przesiadywał przy niej godzinami, kiedy oparła się na nim w drodze do łazienki, dał się ponieść silniejszym emocjom.

To nie był zwykły pociąg seksualny, tylko coś znacznie więcej.

Nie musiał na nią patrzeć.

Wystarczyło, że wyobraził sobie jej ciało, piersi, brzuch...

Teraz też, gdy spojrzał jej w oczy...

Eliot głośno odchrząknął.

- Przepraszam was, moi

Tom podskoczył nerwowo.

Zupełnie zapomniał o obecności Eliota.

Bree oblała się mmieńcem.

Spojrzała na Eliota z zakłopotanym uśmiechem, mrugnęła do Toma i skierowała się w stronę bufetu.

Tom odetchnął głęboko.

- Porządnie cię wzięło - zauważył Eliot.

Tom patrzył teraz na panele z nierdzewnej stali.

Od bijał się w nich bufet.

Widział postać swojej dziewczyny.

Zamglony, niewyraźny obraz, ale dziwnie piękny.

- Przepraszam.

Czy możesz przypomnieć, o czym rozmawialiśmy?

- O pożarze.

- Eliot uśmiechnął się znacząco.

- Powiem ci coś jeszcze.

Martin uważa, że pomogłeś mu w prowadzeniu sprawy.

Tom spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Chodzi o Littleów - mówił Eliot.

- Dostaną to odszkodowanie.

A już prawie zrezygnowali.

Wydawało się, że zupełnie nie ma na co liczyć...

- Hej, Tom!

- zawołała LeeAnn, przechodząc koło nich.

- Jaki piękny pierścionek!

Tom uśmiechnął się do niej.

- Martin powiedział ci, że mu pomogłem?

- zwrócił się znowu do Eliota.

- Hm...

tak.

Mnie też to zdumiało.

Zastanawiałem się, co skłoniło Martina do skorzystania z twoich po rad.

Czy to, że były dobre, czy też obawiał się, że weźmiesz sprawę w swoje ręce?

Najważniejsze, że Littleowie dostali te pieniądze.

- Pociągnął łyk kawy.

Skrzywił się lekko.

Oparł kciuki na krawędzi kubka.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

Tom pomyślał, że w żadnym wypadku nie powinien Martinowi wchodzić w drogę.

- Dostałem telefon...

To w zasadzie prywatna sprawa...

- zaczął mówić Eliot.

- Nie bardzo wiem, co z tym zrobić...

188

Pierwsze, co Tomowi przyszło do głowy, to że odna leźli go dziennikarze.

- Prasa?

- zapytał przestraszone.

Może przecenił dyskrecję mieszkańców Panamy.

- Nie.

Tu chodzi o co innego.

Telefon dotyczył pewnej osoby, która stosunkowo niedawno sprowadziła się do tego miasta.

- Eliot rzucił Tomowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Mogę ci zaufać, że nikomu nie powiesz?

Tom poczuł tak wielką ulgę, że obiecałby wszystko, o cokolwiek by go poproszono.

- Tak, oczywiście.

Eliot pochylił się ku niemu.

Mówił bardzo cicho.

- Dzwonił syn Julii Dean.

Podejrzewał, że jego matka ma jakieś problemy.

Śmieszna sprawa, sądzi, że może ktoś ją szantażuje, trzyma jako zakładniczkę.

- Zakładniczkę?

- zdziwił się Tom.

- Szczerze w to wątpię.

Przecież widzę ją, jak wchodzi i wychodzi.

Nikt jej nie pilnuje.

- Powiedziałem mu to samo.

On uważa, że chodzi o ubezwłasnowolnienie.

Ktoś narzuca jej swoje zda nie, a ona nie potrafi się przeciwstawić.

Poprosił mnie o dyskretne przeprowadzenie śledztwa.

Wstąpiłem do kwiaciarni, żeby z nią porozmawiać.

Wydaje mi się całkowicie w porządku.

Zadzwoiłem do jej syna, że by mu o tym powiedzieć.

Myślałem, że będzie zado wolony...

- Eliot potrząsnął głową.

- Tymczasem on poprosił mnie, żebym oskarżył ją o kradzież.

- Kradzież czego?

- zapytał Tom ze zdumieniem.

Eliot spojrział w stronę drzwi.

Zanim Tom zdążył się odwrócić, usłyszał.

- Hej, szefie, czy to ten człowiek?

Stańto przy nim czterech potężnie zbudowanych mężczyzn.

Rozpoznał w nich kierowców ciężarówek, którzy często zatrzymywali się tutaj na obiad.

- Tak, to on.

Poznajcie się.

Tom Gates, a to John Hagan, Kip Tucker, Gene Mackey i T.J.

Kearns.

Cztery silne ręce wyciągnęły się do niego.

Wymienili uścisk dłoni.

189 .

- Dostałeś wspaniałą dziewczynę - usłyszał Tom.
- Bree jest najlepsza ze wszystkich.
 - Ledwie na nią spojrzałem i od razu widziałem, że jest zakochana.
 - Sam bym się o nią starał, gdybym nie był żonaty.
 - Dbaj o nią, człowieku.

Tom obserwował, jak odchodzili do swojego stolika.

Uśmiechnął się.

Podobało mu się to środowisko.

Czuł się, jakby należał do wielkiej rodziny.

Po chwili znowu nachylił się do Eliota.

- Kradzież pieniędzy - szepnął mu do ucha poli ciant.
 - TU chodzi o pieniądze ze spadku zostawione go jej przez męża.
- Wygląda na to, że on zamierzał w coś zainwestować, a tymczasem ona pozwoliła sobie zabrać spadek i wyjechać.

Powiedziałem mu, że Julia ma kwia ciarnię i że kupiła sobie mały domek.

Zdziwił się.

Sądził, że po prostu pracuje u kogoś w kwiaciarni i że wynajęta mieszkanie.

Myślałem, że to go uspokoi, skoro pieniądze nigdzie nie przepadły i są dobrze ulokowane, ale wprost przeciwnie.

To rozzłościło go jeszcze bardziej.

- Jak to możliwe, żeby nic nie wiedział o własnej matce?
- zastanawiał się Tom.

Jednak gdy tylko pyta nie zostało wypowiedziane, zdał sobie sprawę z jego absurdalności.

I od razu pomyślał o swojej rodzinie.

Znali jego adres i numer telefonu.

To wszystko.

Nie mieli pojęcia, co się u niego dzieje.

Po raz drugi Eliot wyrwał go z zamyślenia.

- Jej syn i córka mieszkają w Des Moines.

Julia odwiedza ich dwa razy w roku, ale widocznie nie mówi wiele o tym, co robi.

Chyba tak samo, jak nam nie opowiada o swoich dzieciach.

Najwyraźniej jej się podoba prowadzić dwa oddzielne życia.

- W tym nie ma żadnego przestępstwa.
- To samo ja mu powiedziałem.

On na to, że mam rację, ale że chodzi o pieniądze.

190

Tom nie wiedział wiele więcej o sprawach spadkowych niż o prawie autorskim.

- Gdzie jest spadek, tam jest i wyrok sądu rozporządzający majątkiem - powiedział.

To stanowiło podstawową zasadę.

- Nie pokazała im testamentu.
- Z tego wynika, że właśnie ona musi być spadkobierczynią.

Ona, nie jej dzieci.

Mąż musiał mieć do niej zaufanie.

- Tak też mówił jej syn.

Tylko uważa, że ona zmieniła się po śmierci męża.

W tym cała rzecz - rzekł Eliot, prostując plecy.

- Powinienem powiedzieć Julii o tych telefonach, ale nie śpieszę się z tym.

To miła kobieta.

Nie chcę sprawiać jej przykrości.

Co o tym myślisz?

Tom też ją lubił.

Była spokojna i życzliwa.

Pracowała ciężko i na pewno miała zdolności artystyczne.

Przyjechała Bree do szpitala i potem do domu cztery duże piękne bukiety.

Poza tym widywał ją, jak układała w zajeździe kwiaty w wazonikach.

Flash mówił, że Ju lia bierze za to śmiesznie małe pieniądze.

Nie traktowała tego jak wielki biznes.

Potrzebowała pieniędzy na przetrwanie.

Poza tym lubiła swoją pracę.

Jeśli nawet zainwestowała pieniądze ze spadku, nie popełniła przestępstwa.

- Czy syn może wystąpić przeciwko niej do sądu?

- zapytał Eliot.

- Nie wiadomo.

Nie znamy umowy spadkowej.

Mogła zawierać jakieś zastrzeżenia.

W najgorszym razie zajmą się tym władze Des Moines.

My i tak nie mamy na to żadnego wpływu.

Eliot skinął głową.

- Powiedziałem mu to samo.

Chciałem jednak upewnić się, czy nie powinienem zrobić czegoś więcej.

Nie chciałbym się spotkać z zarzutem opieszałości.

Flash podszedł do nich.

- Tom, spójrz na Bree.

191 .

Obsługiwała właśnie stół, przy którym siedzieli Sam, Dave, Andy i Jack.

- Jest w siódmym niebie - śmiał się Flash.

Tom przyglądał się narzeczonej.

Puściła do niego oko.

Kiedy poszła do kuchni.

Tom znowu zwrócił się do Eliota.

- Prawdopodobnie nie ma się czym przejmować.

Niewiele możesz tu pomóc.

Wtrącanie się oznaczałoby pogwałcenie wolności osobistej tej kobiecie.

Eliot odetchnął z ulgą.

- To dobrze, że też tak uważasz.

Lubię Julię.

I cieszę się, że to ona sprowadziła się do naszego miasta, nie ten jej synulek.

A w tej sprawie najbardziej uderzyło Toma to, że za równo Julia, jak i jej syn niewiele tu zawinili.

Ich problem, a więc brak porozumienia był przecież tak powszedni.

Takie rzeczy zdarzają się w rodzinie.

Niepotrzebne słowa, gniew, zraniona duma.

Och, by wa tak również między przyjaciółmi.

Gdzie uczucia są gorące, kłótniom towarzyszą silniejsze emocje.

I potem ludzie zrywają kontakty.

Następuje milczenie, tak trudne do wytrzymania.

To był też jego problem.

Cierpiał z tego powodu przez wiele miesięcy.

Na szczęście teraz miał przy sobie Bree.

Spała, sypiąc głośno, kiedy wymknął się z sypialni.

Poszedł do swojego gabinetu.

Podniósł słuchawkę.

Dochodziła jedenasta, a w Ohio była teraz dziesiąta.

Spodziewał się, że ojciec już śpi.

Wykręcił numer i czekał.

Trzymał palec na widełkach, gotów szybko rozłączyć rozmowę.

Odetchnął, kiedy usłyszał głos Alicji.

- Cześć, Alicjo.

Tu Tom.

192

Zapadła cisza.

Potem siostra odezwała się nieśmiało, łagodnym głosem.

- Wiem, że to ty.

Poznałam cię.

Zresztą nikt inny do mnie nie dzwoni.

Nie był pewien, czy to skarga, czy komplement.

- Już trochę czasu minęło od naszej ostatniej rozmowy - powiedział.

- Trochę - przyznała.

Nigdy nie była szczególnie wylewna.

Raczej próbują określić jako mało mówną.

- Co u ciebie?

- zapytał.

- Dobrze, a u ciebie?

- Nieźle.
Mogę powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwy.
- Wróciłeś do Nowego Jorku?
- Nie.
Zostaję tutaj, w Vermont.
Znowu nastąpiło kłopotliwe milczenie.
- Zosta jesz...
to znaczy...
na stałe?
- Śmieszne, prawda?
Tak się śpieszyłem, by poznać świat, a wylądowałem w małym miasteczku.
- To ma swoje zalety...
- zawiesiła głos.
- Poznałem tutaj dziewczynę - wyjaśnił.
- Ma na imię Bree.
Jesteśmy zaręczeni.
- Zaręczeni?
Chcecie się pobrać?
- Tak.
- Jesteś tego pewien?
Rozumiał jej zdziwienie.
Wiedział, że pamiętała z jaką dumą pokazał jej, że w "People" wymieniono jego nazwisko wśród dwudziestu pięciu najbardziej atrakcyjnych kawalerów.
- Bree to wspaniała dziewczyna.
Bardzo ją polu bisz.
Chciałbym, żebyście się spotkały.
- Macie zamiar tu przyjechać?
- zapytała twar dym, nieprzyjemnym głosem.
Pragnął tego z całego serca.
Na to jednak było zde cydowanie za wcześnie.
- Najpierw muszę przetrzeć Szlaki - powiedział.
193 .

- To rozsądne z twojej strony.

- Nadal się gniewają?

- Chyba im się nie dziwisz.

Nigdy nie zapomną twojego zachowania, Tom.

I to chodzi nie tylko o to, kiedy mama umarła.

- Wiem.

- Ojciec nie chce twoich pieniędzy.

Tom o tym też wiedział.

Wszystkie czeki, które wy słał do domu, pozostawały nie zrealizowane.

Zapytał cicho.

- Jak on się czuje?

- Na zdrowie bardzo nie narzeka, ale jest coraz starszy, jeszcze bardziej uparty i zdziwaczały.

- Bardziej niż zwykle?

- zdziwił się Tom.

- Bo ja wiem...

- zawahała się Alicja - trudno powiedzieć...

Bo ze mnie też nie jest zadowolony....

Popęłniłam rzecz niewybaczalną...

Tom mógł pomyśleć tylko o jednej rzeczy, która by ła niegodna córki Harrisa Gatesa.

- Jestem w ciąży.

Od razu poczuł ekscytację.

Potem jednak ogarnęły go wątpliwości.

- W ciąży i niezamężna - powiedziała cicho.

- To i tak wspaniale.

Kim jest ten człowiek?

- Pracuję z nim.

- I wyjdiesz za niego?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie kocham go.

- Poprosił cię o rękę?

- Tak.

Odmówiłam.

- Chcesz mieć dziecko?

- Przestań mnie wypytywać jak świadka na przesłuchaniu!

- krzyknęła.

Rozumiał, że nie jest jej łatwo.

- Przepraszam.

Po prostu chcę wiedzieć, czy jesteś szczęśliwa.

194

fSk. Bardzo.

Chcę mieć dziecko.

Kocham dzieci.

ktym starzeję się.

Niedługo już będzie za późno.

Masz dopiero trzydzieści osiem lat.

W przyszłym miesiącu skończę trzydzieści dzieN?

ć.

Tom pomyślał, że jego siostra nadal mieszka w do li oica.
Podobnie jak Bree, która mieszkała z ojcem ; o jego śmierci.
Teoretycznie mogło to świadczyć i o wielkiej sile, albo o słabości.
W pewien sposób do siebie podobne.

- Kiedy termin porodu?

W kwietniu.

kwietnia brakowało trzech miesięcy.

Z tego wy że jego siostra już od sześciu miesięcy jest , a on nawet o tym nie wiedział.
wał wyobrazić sobie swoją malutką sióstrę z okrągłym brzuchem.

To okazało się za Za to doskonale mógł sobie wyobrazić niezaię ojca.

- Przyjedź do nas, Alicjo - powie; zastanowienia.

- Możesz mieszkać u nas.

ićić moje miasto?

- zapytała ze smutkiem Nie mogę tego zrobić.

Tom.

Ty wyjechałeś liateś osiemnaście lat i nie czujesz się tak sany z tym miejscem.

Nie mogę stąd wyjechać zrobić tego sobie ani ludziom, którzy ają.

Ojciec tak ci uprzykrzy życie, że nie wytrzymiesz czy później będzie musiał się do tego ić.

On kocha swoje wnuki.

Gdybyś bywał tu odziałbyś o tym.

tkrotnie widział ojca z bratanekami.

Dopiero Aie sprawę, że ojciec traktuje wnuki znaczpobłaźliwie niż swojego czasu własne
dzieci.

I po prostu wpadniesz do nas z wizytą?

- lał zobaczyć się z siostrą, pragnął poznać

195 .

ją z Bree i pokazać jej Panamę.

Wiedział, że spodoba łyby jej się tutaj.

- To mogłoby być trudne.

- Z powodu pracy?

- Alicja pracowała w lokalnej gazecie i nie narzekała na brak obowiązków.

- Z powodu ojca....

I Caria, Maksa, Petera i Dana.

Nie mógł bagatelizować opozycji.

Postanowił walczyć, krok po kroku odzyskiwać dawną pozycję.

-

A przyjedziesz na mój ślub?

- zapytał.

- Kiedy to będzie?

- Wkrótce, mam nadzieję.

- Nic nie mogę obiecać.

Tom.

Pomyślał, że nie odłożyła słuchawki na dźwięk jego głosu.

To już wskazywało na jakiś postęp.

- Cieszę się bardzo z twojego dziecka, Alicjo.

Będiesz wspaniałą matką.

Może czegoś potrzebujesz?

- Masz na myśli pieniądze?

- zapytała z sarkazmem.

Miała rację.

Zawahał się.

- Wsparcie każdego rodzaju - rzekł po chwili.

- Mam wszystko, czego potrzebuję.

- Ale powiesz mi, jeśli coś się zmieni?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Mogę jeszcze kiedyś zadzwonić?

- zapytał.

Wydawało mu się, że całą wieczność czeka na odpowiedź.

- Dopóki ojciec się nie dowie - szepnęła.

I zaraz potem odłożyła słuchawkę.

Bree obudziła się, kiedy Tom wrócił do łóżka.

Myślała, że wychodził do łazienki i ze zdziwieniem zauważyła, że ma zimne dłonie.

Zadrżała, gdy się przytulił.

- Gdzie byłeś?

- mruknęła.

- Telefonowałem - szepnął w jej włosy.

- Dzwo niłem do mojej siostry.

196

, otworzyła oczy.

- Naprawdę?

- Oparła się na niego, chociaż było za ciemno, żeby zobaczyć jego twarz.

- I jak to przyjęła?

"ao.

Nie odłożyła słuchawki?

chichotał.

Rozumiała, jak bardzo jest zadowolony.
piero na końcu.
Powiedziałem jej o tobie.
Zaproia na ślub.
Obiecałem, że zadzwonię podać tero o tym myślisz?
fce zarzuciła mu ręce na szyję.
- Wspaniale!
Jeciebie dumna.
Zrobiłeś pierwszy krok.
iskał ją.
- To może ustalimy już datę ślubu.
[ie chcę.
Muszę przyzwycząić się do tego, że je-ęczona.
Opowiedz mi o Alicji.
Bardzo się z twojego telefonu?
;ej tak.
=ej?
ijduje się w trudnej sytuacji.
Pomiędzy młowadłem.
aiędzy twoim ojcem a tobą?
jeszcze moi bracia, pamiętaj o tym.
Nielatwo
e powrócić do łask.
chcesz tego.
Trzymam kciuki, żeby się udało.
łowił się przez chwilę.
- Nie wypowiedziałaś
Może to ty sprawiłaś, że się udało?
s, nie ja.
- Kiedy się nie odzywał, dodała: -
m, że nie ja.
Ale jeśli chcesz, mogę wypowie;enie.
To na pewno jest tego warte.
iyła, że odetchnął z ulgą.
- Przedtem nie
m, że rodzina jest taka ważna.
S
o mi, że nie miałem szczęścia poznać twojej
się nie martw - odparła szybko.
Jej dziad;dy nie zaakceptowałyby mężczyzny z taką
197 .

reputacją jak Tom.

Ojciec zamordowałby cię w biały dzień siekierą.

- A co z twoją matką?

- zapytał.

- Co ma z nią być?

- Myślisz o niej czasem?

- Owszem - przyznała.

Ostatnio myślała o matce znacznie więcej niż dawniej.

- A nie próbowałaś jej odnaleźć?

- Zastanawiałam się nad tym wiele razy.

Ale potem zajęłam się czym innym i trochę o tym zapomniałam - powiedziała z goryczą.

- Mogłabym wykorzystać na to jedno z moich życzeń.

To dobry pomysł, prawda?

- Chyba tak - rzekł bez przekonania.

- Wiem, wiem.

Ty się boisz, że włożę całe serce w to życzenie, a kiedy się nie spełni, przeżyję ogromne rozczarowanie.

- Nie chcę, żebyś się martwiła.

- Chyba tak zrobię - rzekła, zapalając się coraz bardziej do tego pomysłu.

To jest tak konkretne jak prośba o coś materialnego.

Jeżeli życzę sobie zobaczyć moją matkę, to albo mi się pokaże, albo nie.

Nie ma innego sposobu.

W ten sposób się przekonam.

- Znowu zastanawiasz się, czy naprawdę dano ci te życzenia.

- Muszę to wiedzieć.

- Przytuliła się do niego.

Znowu poczuła się śpiąca.

- Cieszę się, że ci się po szczęściu z Alicją - szepnęła.

Pomysł, żeby zażyczyć sobie spotkania z matką, co raz bardziej jej się podobał.

Może to był tylko kaprys, ale Bree koniecznie chciała powiedzieć -zaginionej matce, że się zaręczyła.

O ile, oczywiście, jeszcze żyła.

Był teraz dobry czas, żeby ją odnaleźć.

198

rano parzył kawę.

Podeszła do niego.

- Zro- powiedziała.

- Wypowiem życzenie, żeby ; moją matkę.

srwał parzenie kawy.

- Wypowiesz drugie żyjel?

- upewnił się.

.lak.

Jeżeli naprawdę dostałam ten dar niebios.

iwsypał kawę i nalał wody.

Włączył ekspres.

Witroskę na jego twarzy.

Wyraźnie obawiał się teystu.

(takiego?

- zapytała.

może okazać się niezbyt przyjemne.

Jakiego powodu?

Dlatego że życzenie się nie Czy że matka nie spełni moich oczekiwań.

rteży wziąć pod uwagę jedno i drugie.

Nie chcę, ?

Q to sprawiło ból.

zdażyła już to przemyśleć.

- Jeżeli życzenia d się przyśniły, pomysł odnalezienia matki tu nie zmieni.

A przynajmniej będę wie ży naprawdę dostałam dar niebios.

Wszystyjaśni w jedną stronę lub w drugą.

Przyczyturu mógł być zepsuty piec centralnego śia, a zbieg okoliczności sprawił, że doszło

akurat wtedy, kiedy wypowiedziałam żytym razem będzie zupełnie inaczej.

Szansa twtaśnie teraz pojawi się ta kobieta, której lałam przez całe życie, jest naprawdę nieie -
mruknał Tom.

ła się Matty Ryan - mówiła Bree.

- Oj ją w Bostonie i pojechali razem do Chicaurodziłam.

Nigdy nie przywiózł jej do Pa; ona nie wie, gdzie mnie szukać.

tezyt na nią ze współczuciem.

la - przyznała Bree.

- Gdyby chciała mnie pewnie nie miałyby z tym kłopotu.

Zresztą

199 .

ona też może się tym denerwować.

Może bać się tego spotkania jeszcze bardziej niż ja.

- Czy masz pewność, że ona jeszcze żyje?

- Nie wiem.

Miała dwadzieścia lat, gdy się urodzi łam, to znaczy że teraz musiałyby mieć pięćdziesiąt trzy.

To nie jest dużo.

Tom nie dał się przekonać.

Nadal miał wątpliwości.

- Sądzisz, że powinnam dać sobie z tym spokój?

- za pytała.

- Przecież niczym tu nie ryzykuję.

Najgorsze, co może się zdarzyć, to że ona się nie pokaże.

I wtedy mogę zapomnieć o wszystkich swoich marzeniach.

Od razu ją skorygował.

- Najgorzej będzie, jeśli przyjedzie i okaże się zupełnie inna, niż to sobie wyobrażałaś.

- Pogładził ją po policzku.

Jego ręka pachniała kawą.

- Musisz być tego świadoma.

Chwyciła go za nadgarstek.

Powinien mieć pewność, że zdążyła to dokładnie przemyśleć.

- Dziadkowie mówili mi, że ona mnie odrzuciła, a ojciec nigdy temu nie zaprzeczył.

Cały czas żyłam ze świadomością, że moja rodzona matka mnie nie chciała.

Niczego gorsze go nie umiem sobie wyobrazić.

- Twarz jej złagodnia ła.

Pozwoliła sobie ujawnić podekscytowanie, które sta rała się utrzymać w ryzach.

- A jeżeli to wszystko nieprawda?

Czytałam historie o kobietach, które dały dziecko do adopcji, a potem spotkały je po latach i bar dzo pokochały.

Mnie również może zdarzyć się coś po dobrego.

Mogła mieć jakiś powód, żeby mnie zostawić.

Mój ojciec ją kochał.

Widziałam w jego oczach taki wy raz, którego nie mogłam zrozumieć, dopóki nie spotka łam ciebie.

Nigdy nie przestał jej kochać.

A jeżeli ona go nie kochała?

Jego miłość mogła być dla niej zagrożeniem, mogła ją upokarzać." Nawet jeśli to śmiesznie brzmi, istnieje wiele takich sytuacji.

Może nie miała ani grosza i uznała, że przy ojcu będzie mi lepiej.

Może my ślała, że przeleje na mnie tę miłość, którą do niej czuł.

200

tak się nie stało - rzekł Tom ze smutkiem.

Nie byłam nią, a ona powinna być wyjątkowa.

też jesteś wspaniała.

- Wziął ją w ramiona.

ta, gdy ją obejmował.

Z jego ramion czerpała

Zależy mi na tym, Tom.

jej twarz w dłonie i pocałował.

adze sobie - powiedziała.
- Marzyłam o tym cle lat, ale nie miałam odwagi tego zrobić.
Brami siły.

Nie chciałam ryzykować.

Teraz mam

liła się do niego z całych sił.

Jej życie stało się pełne, bogate.

Westchnęła z zachwytem.

jeśli to będzie drugie życzenie?

- zapytał.

-

-Tł

będę miała więcej żadnych życzeń.

dało na to, że ta odpowiedź go zadowoliła.

B mięśnie, wyprostował się.

Z jego twarzy niepokój.

Wiedziała, że odniosła zwycięstwo.

jaki sposób wypowiadasz życzenie?

Wiąże się is rytuał?

zaczerwieniła, tak bardzo czuła się podekscyt6 - Nie dostałam do tego żadnej
szczegółowej m.

Chyba mogę to zrobić tak jak poprzednio.

S palce i zamknęła oczy.

I zaraz znowu je

l. - Nie będziesz się ze mnie śmiał?

iwiście, że nie.

kogoś, kto w to nie wierzy, cały ten rytuał

ądać strasznie głupio.

itań, kochanie.

zaczisnęła powieki.

Splotła palce.

Przycisnę zobaczyć moją mamę - powiedziała.

Zo"etlistą postać.

Ogarnęło ją ciepło.

Odczei powtórzyła te same słowa.

201 .

Otworzyła oczy.

Tom patrzył na nią z wyczekiwanym.

Opuściła ręce.

Wzięta głęboki oddech.

Milczeli przez dłuższą chwilę.

- I co teraz?

- szepnął Tom.

- Teraz pozostaje nam czekać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

czasie śniadania siedziała jak na szpilkach, próbowała skupić się na pracy.

Razem z Tomem walczyli ze ścianą szarą, brudną farbą.

Na stół, na każdy najmniejszy nawet dźwięk z zerwali głowy i patrzyli wyczekująco w stół nie przyszedł.

dała się zniechęcić.

- To może wymagać zacząć się sześć godzin po tym, jak wyproszysz.

Może powinnam być w pracy tak Wiesz, żeby myśleć o czymś innym.

dziękuję, kiedy podwiózł ją do zajazdu.

nią do środka.

Zajął stolik w rogu, wyjął [O obecność dawała Bree poczucie bezpieczeństwa jak pierścionek na palcu.

nie przychodzili i odchodzili.

Nie zjawiał się już na pewno żadna kobieta.

pora lunchu.

Bree denerwowała się coraz - Co o tym sądzisz?

- zapytała Tom.

Spróbowała się bardzo daleko w chwili, kiedy dawała życzenie.

Może musi odbyć daleką to zawsze wymaga trochę czasu.

"la kpiny w jego głosie.

Traktował sprawę, jakby chodziło o coś zupełnie

zwyczajnego, nie zaś o wypowiedzianie życzeń.

Kochała go za to jeszcze bardziej.

- A jeżeli to zajmie jej kilka dni?

- zapytała, teraz bardziej zniecierpliwiona.

Uśmiechnął się do niej serdecznie.

- Będziesz musiała poczekać.

Tak. Parę dni nie robiło żadnej różnicy.

Przypomniała sobie tamte lata, jak tęskniła za matką, jak próbowała ją sobie wyobrazić, jak wypytywała ojca.

Zupełnie nie mogła się skoncentrować.

Zapomniała, że Carl Breen lubi jajecznicę porządnie wysmażoną.

Nie podała Travisowi Fitchowi sera do chilli.

Nagle pewna myśl wpadła jej do głowy.

- Mleko kipi dopiero wtedy, kiedy się odwrócisz - powiedziała do Toma.

- Kiedy patrzysz na garnek, nigdy się nie zagotuje.

Może będzie lepiej, jeśli pójdziesz do domu - dodała z wahaniem.

Tom potrząsnął głową.

- Zostanę z tobą.

- A jeśli ona czeka na mnie w domu?

Zastanowił się nad tym, co powiedziała.

- Myślisz, że to możliwe?

- Nie wiem - rzekła Bree nerwowo.

- Nic nie wiem.

- Odgarnęła z policzka kosmyk włosów.

Spoj rzała na drzwi.

- To strasznie stresujące.

Zamknęła książkę.

- Co mogłoby ci poprawić nastrój?

Rozważała przez chwilę, czy lepszy jest komfort bycia razem z nim, czy pewność, że ma obstawione wszystkie miejsca, gdzie matka mogłaby jej szukać.

- Jeżeli pojedzie na Forest South, zobaczy, że dom spłonął i nie będzie tam na niego czekać.

Zapyta ludzi, którzy mogą ją skierować do ciebie.

Albo sama jakoś będzie wiedziała, że powinna pójść do ciebie - dodała Bree.

Nie było żadnego rozsądnego powodu, żeby tak się miało stać, ale ostatecznie i dla samych trzech żyjących też nie było racjonalnego wyjaśnienia.

204

ile - rzekła z namysłem - że powinniśmy uważać każdą ewentualność.

Tak po prostu, fć pewność.

głową.

- Pojadę i sprawdzę.

Zajrzą też na Forest, czy tam nikt cię nie szuka.

- Wstał od - Dasz sobie radę?

Trzymaj się, skarbie.

Brnęła ślinę.

Przycisnęła twarz do jego ramienia, a gdy dotknęła do płuc wspaniały męski zapach.

Wszystko, czego nie zrobiłaby tego wszystkiego, ale bez jego wsparcia.

On dawał jej poczucie leństwa.

On przynosił jej radość.

Nawet gdyby ta swoich trzech życzeń, niewiele więcej po nią do szczęścia.

...dzą sobie - szepnęła.
- Będę siedzieć u terze i patrzeć na drzwi.
Niedługo goście chodzić na obiad.
...iję wrócić jak najszybciej - powiedział Tom ;edł.
Bree usiadła w kantorku.
Z tego miej obserwować zarówno jadalnię, jak i parking.
1-do czwartej słońce chyliło się już ku zachodowi") się chłodno.
Śnieg leżący przy drodze był ary.
Niemal wszystko w polu widzenia było onem, drzewa, okna, samochody stojące na
jednak nie dopuścili do tego, by świat stał a brzydki i bury.
Bree obserwowała grupkę kolorowych czapek i kurtkach ozdobionych odbiaskami.
Chłopcy, śmiejąc się iąc, wstąpili do zajazdu kupić kanapki.
Poi pracownicy drogowi w jaskrawopomarańirkach.
Zamówili gorącą kawę i sandwicze.
w restauracji ciepło zaróżowiło im odmrożod.
Ohver i Jack, w zwyczajnych, prostych kurtkach czapkach, rozsiedli się przy stole.
Po205 .

tem przyjechała Julia Dean żółtym samochodem, za ładowanym świeżymi kwiatami.

Bree zawsze podziwiała pracę Julii, szczególnie w te szare zimowe miesiące. Kwiaciarka potrafiła dostrzec barwy tam, gdzie inni widzieli jedynie szarość. Space rowała po lesie i wracała z gałązkami jodły, z podsu szonymi koralami jarzębiny, z jemiolą.

Ze wszystkich rachunków, które Bree płaciła w imieniu Flasha, ten jeden sprawiał jej największą przyjemność.

Julia za swoje piękne bukiety nie żądała wysokich cen.

I za wsze przyjmowała wynagrodzenie cicho i z pewnym zakłopotaniem.

Auto zjechało z East Main.

Bree nie spuszczała wzroku z okna.

Auto zatrzymało się przed zajazdem na miejscu dla inwalidy.

Oznaczenia zasypał śnieg, ale miejscowi i tak wiedzieli i nigdy nie parkowali w tym miejscu.

To była pierwsza rzecz, która wzmogła czujność Bree.

Poza tym zainteresował ją samochód.

Nie wielki sportowy mercedes, dziwnie czysty, jakby przed chwilą opuścił myjnię.

Ponadto uwagę Bree przyciągnęła kobieta, która wysiadła z samochodu.

Była średniego wzrostu, w eleganckiej garsonce koloru indygo.

Włosy miała krótsze niż Bree, ale bardzo podobne, też ciemne i piękne.

Kiedy chwilę później wiatr zaczął jej targać fryzurę, szybko zamknęła drzwi i przytrzymując żakiet, wbiegła na schody.

Bree czuła, jak mocno bije jej serce.

Obserwowała kobietę wchodzącą do zajazdu, wyprostowaną, z podniesionym kołnierzem, z torebką na ramieniu.

Nieznajoma przeszła koło Bree.

Nie, nie zatrzymała na niej spojrzenia.

Usiadła parę stolików dalej.

Po prawą apaszkę i z uwagą czytała menu.

Bree czuła, że braknie jej tchu.

Nerwowo przyglądała się kobiecie.

Kolor włosów pasuje, uznała.

Nie dostrzegła siwizny, ale od czego są farby do włosów.

206

na szyję.

Dobre kosmetyki mogą zatuszować, a szyja nigdy nie kłamie.

Nieznajoma mogła mieć trzy lata.

To było możliwe.

in wyszła zza lady.

Bree szybko machnęła do i dając znak, że sama obsłuży nowego gościa.

ii dłońmi wzięła notes, w którym zapisywała nią, i wyjęła z kieszeni fartucha długopis.

en dobry - rzekła nieswoim głosem.

Próbną uśmiechnąć.

- Witamy w naszym zajęciu mogę służyć?

zakładała za ucho niesforne kosmetyki włożona miała tak nieskazitelną fryzurę, że
ee czuła się nieuczczona.

Kobieta wyglądała

gancko ubrana, pachniała dobrymi perfumami przyjemnością wciągnęła do płuc ten
zapach.

łącznie z garsonką w kolorze indygo, sportowym i szmaragdowym pierścieniem na

(dało na drogie i starannie dobrane.
spojrzała na Bree bez cienia uśmiechu.
lak była przestraszona, onieśmielona.
to nie tak łatwo spotkać po trzydziestu
ch swoją córkę.
no do zajazdu i w ogóle do miasteczka nie
nikt tak dobrze ubrany.
jęła z kieszeni ściereczkę i przetarła stolik.
tdała odwlec konfrontację.
ierwszy raz w Panamie?

- zapytała w końcu.

gHHście.

li tu coś do załatwienia, czy tylko jest pa sm?

-

przypadek - kobieta machnęła wypielęgą.

Potem wskazała na menu.

- Chciałaić coś do picia.

Czy mogłaby mi pani podać

I poproszę jeszcze o coś do jedzenia, gorą" sm lekkiego.

Co mogłaby mi pani polecić?

207 .

Ona musi być szefem jakiejś wielkiej korporacji, zdecydowała Bree.

Pasuje do tego stanowiska.

Bezsą w wątpleniach zatrudnia setki albo tysiące pracowników. To można było poznać po stanowczym, władczym, sposobie mówienia.

Z pewnością ma kilka biur i do mów.

I dlatego musi dużo podróżować, to łączy się z jej pracą.

Odwiedza egzotyczne miejsca i spotyka ciekawych ludzi.

Bree zastanowiła się teraz, czy to ambicja spowodowała, że ta pani porzuciła swoje dziecko.

Ale może, gdyby zdecydowała inaczej, życie nie ułożyłoby jej się tak pomyślnie?

Jednego była pewna.

Ta kobieta, wolna i niezależna, mogła porzucić Haywooda Millera.

- Przepraszam - rzekła kobieta.

- Czy pani jest tu po to, żeby mnie obsłużyć?

Bree upuściła długopis.

Schyliła się, żeby go podnieść.

- Tak, przepraszam.

Pani chciała jakiś sok i coś gorącego i zarazem lekkiego.

Czy oglądała pani kartę dań firmowych?

- Nie.

A czy jest tam coś odpowiedniego?

Bree wbiła wzrok w blat stołu.

Kobieta patrzyła na nią z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Domowa zupa ziemniaczana, sałatka jarzynowa Flasha.

Lekkie, smaczne i zdrowe - wyrecytowała Bree, opanowując drżenie głosu.

- Brzmi nieźle - rzekła kobieta i sięgnęła do torebki, skąd wyjęła okulary, notes i grube wieczne pióro, które wyglądało niezwykle ekskluzywnie.

Zdjęła skuwkę, po czym znowu spojrzała na Bree.

- Czy ma pani jakiś problem?

- Nie, nie, zaraz podaję jedzenie - zapewniła Bree.

Pospieszyła po wodę.

Cały czas powtarzała sobie, że jeżeli nawet nieznajoma kobieta trzyma się w ryzach, i tak musi być strasznie zdenerwowana.

Na wet najbardziej utalentowany szef wielkiej firmy

208

ma okropnie w sytuacji takiej jak ta.

Biznes to zecz, a delikatna sprawa rodzinna to coś zuyanego.

Bree nie mogła sobie wyobrazić niczego delikatnego i subtelnego niż spotkanie z matką i córką.

3szą bardzo - postawiła przed nieznajomą wydankę z wodą i karton z sokiem.

Znowu zwlekała się.

- Zupa zaraz powinna być gotowa.

ona skrzywiła się.

- Poproszę o cytrynę.

podszła.

Ukroiła kilka plasterków cytryny, położyła na talerzyk i zaniósła nieznajomej.

Wyglądała ; Ten nieświadomy gest miał uwolnić napięcie

a-

Kspojrzała na swoją dłoń i pomyślała, że może kobieta zauważyła jej pierścionek.

To dawało dosłownie do nawiązania rozmowy.
Bibieta nie skorzystała z tej szansy.
Czy pani przyjechała?
- ostrożnie zapytała Bree.
Bibieta patrzyła ze zniecierpliwieniem.
- Z NoIricu - odparła.
Odłożyła pióro.
Włożyła do dwóch plasterki cytryny i wycisnęła je łyżeczką.
Ignęła kilka łyków.
Czy jak pani teraz jedzie?
Bibieta potrząsnęła głową.
- Do Montrealu.
Bibieta sięgnęła po pióro.
Czy w służbowych?
Bibieta rzedziała skinieniem głowy.
Pomyślała, że na miejscu tej kobiety czułaby się niepewnie.
Postanowiła jej pomóc.
Czy ojciec kiedyś przyjaźnił się z jedną dziewczynką?
- To było coś więcej niż przyjaźń.
On ją o szaleństwa.
Opowiadał mi o tym...
I tak myślę, że pani pasować do opisu tamtej dziewczyny...
Bibieta całkiem zgadzała się z prawdą.
Pomimo tego ojciec bardzo niewiele mówił o swojej

wielkiej miłości.

To jednak dawało doskonały pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

- Hm...

- mruknęła kobieta, jakby ten temat wcale jej nie interesował.

Bree zastanowiła się, jak można tak dobrze maskować uczucia.

- Czy była pani kiedyś w Bostonie?

- dopytywała.

Kobieta z westchnieniem odłożyła pióro.

- Pocho dzę z Bostonu.

- Naprawdę?

Nie z Kalifornii?

- Nie.

- A czy kiedyś mieszkała pani w Kalifornii?

- Nie.

- Nieznajoma spojrzała w stronę kuchni.

Po tem zwróciła się do Bree.

- Czy zupa jest już gotowa?

- Sprawdzę.

Bree przebiegła przez kuchnię do łazienki dla personelu.

Stała przed lustrem.

Ułożyła włosy, przypudrowała policzki, poprawiła makijaż.

Strzepnęła mąkę z czarnych dzinsów.

Potem umyła ręce i poszła po zupę.

Kiedy podeszła z zupą do stolika, kobieta rozma wiała z telefonu komórkowego.

Bree wyłapała kilka słów: sąd, rozprawa, prokurator.

Nie chciała przeszkadzać, ale kobieta właśnie skończyła rozmowę i schowała telefon do torebki.

- Przepraszam, niechcący usłyszałam parę słów - powiedziała Bree.

- Czy może pani jest prawnikiem?

- Chciała dodać, że jej narzeczony też jest prawnikiem, co dałoby jakiś wspólny grunt porozumienia.

Jednak nieznajoma rzuciła z niechęcią: - Nie, nie jestem prawnikiem.

Ale mam za sobą długi i męczący dzień.

Jestem zmęczona i głodna.

- Wzięła łyżkę i pochyliła się nad zupą.

Bree zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Przepraszam.

Tom ostrzegł ją, że jej matka może okazać się nie tak miła, jak to sobie wyobrażała.

Oczywiście, nie

210

ta że rzuca się sobie w ramiona i staną się gnę.

Nie chciała tego.

Na pewno nie.

Nie poła tego.

Miała swoje życie.

Była szczęśliwa,

"j; matki.

S w ogóle ta kobieta naprawdę była jej matką.

ic przerażającą niepewność, wróciła do kuchni podeszła do służbowego telefonu.

Zadzwoniła.

- Ona jest tutaj - szepnęła z przejęciem-Przynajmniej tak myślę, że to ona, ale nie jestem na pewno.
Tak, piękna i bogata.

Inna niż Dżasmina, jacy się tu zjawiają.

I nie wiem, jak ją nakłonić, żeby powiedziała, że wiem, kim ona jest.
aa teraz robi?

me. Ale to może nie ona.

Niczego nie powiedział. Nawet nie zachowywała się przyjaźnie.

Nie powiedziała.

Wiesz, kochanie, zaraz do ciebie przyjadę.

Idź do kuchni, pobiegła do drzwi i otworzyła na salę.

Nieznajoma nadal siedziała.

Wyglądała tak elegancko, że zasłoniła do tego miejsca.

a, że zupełnie nie może skoncentrować się i szczęście LeeAnn spisywała się doskonale.

Wyszła na kuchnię, która kończyła układanie ?

„Będąc z wilgotną ściereczką znowu wyszła wzięła stoliki i rozglądała się.

odłożyła notatki i kończyła jeść zupę.

Znowu wzięła telefon i dzwoniła do kogoś.

Wzruszyła ramionami.

Bree obserwowała ją ostrożnie, ?

nie wzbudzać podejrzeń.

A ją coraz większy strach.

Czas mijał nieKobieta kończyła zupę.

Zaraz zapłaci i wyjdzie?"

nie nigdy się nie dowiedzieć, czy jej życzenie zostanie.

Bardzo chciała wiedzieć, czy to jest jej

211 .

Próbowała przywołać na pomoc świetlistą postać.

Uzyskać spokój i siłę.

Ale nie dostała odpowiedzi.

Powiedz mi, że to ona - błagała w myślach.

- Daj na jakiś znak.

Tak po prostu, żebym wiedziała.

Chcę wie3 dzieć, że moje życzenie się spełniło.

Potem modliła się, żeby Tom przyjechał tu jak naj szybciej.

- Boże, spraw, żeby już tu był.

On na pewno pomoże.

∴

Jednak ciągle go nie było i musiała zdać się na wła sne siły.

Próbowała się nie denerwować.

Mówiła sobie że kobieta, która porzuciła ją w dzieciństwie, nie jesf warta tyle zachodu.

ft

To jednak była ostatnia szansa, żeby poznać praw dę.

I musiała doprowadzić rzecz do końca.

Odniosła ściereczkę pod ladę i znowu podeszła det nieznanjomej.

- Chciałabym o coś zapytać - rzekła!

ze ściśniętym gardłem.

Kobieta wyjęła z torebki portfel.

- Ile płacę?

- Czy nazwisko Haywood Miller coś może pani mówi?

- odważyła się Bree.

Kobieta otworzyła portfel.

- Niestety nie.

Czy mo- głabym dostać rachunek?

Bree sięgnęła po notes.

- Trzydzieści pięć lat temu Haywood Miller pojechał do Bostonu szukać pracy.

Tam spotkał tę dziewczynę.

Nazywała się Matty Ryan;

I tak myślę, że może to właśnie pani.

- Ja?

- Kobieta wzruszyła ramionami.

Wskazała na notes, który Bree trzymała w ręku.

- Ile jestem winna?

Pięć...

sześć dolarów?

Proszę powiedzieć?

- Kochali się, ale coś się wydarzyło i musieli się roz stać.

On nigdy jej nie zapomniał.

Kochał ją aż do śmierci.

Kobieta wyjęła banknot z portfela.

- Daję dziesięć dolarów.

To powinno wystarczyć.

- Proszę poczekać - błagała Bree.

- Ja muszę wiedzieć.

To może być moja jedyna szansa.

przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła
drzwi.

łapała ją za rękę.

- To może brzmi dziwacznie może jest pani moją matką.

i) o ją spojrzenie zimnych oczu.

- Pani matprzepraszam.

Nie znam żadnego Haywooda na pewno nie nazywam się Matty Ryan.

Nie n, żeby moja córka zachowywała się tak mię, zaczepiając nieznajomych.

A teraz...

- groźnie na Bree, która nadal trzymała ją za rękaw.

- Jeżeli pani mnie nie puści, weilniła uchwyt.

I patrzyła ze łzami w oczach, Mną wychodzi z zajazdu, wsiada do samoljeżdza.

;iudem tłumiała płacz.

Btko w porządku - usłyszała łagodny głos i.

- Ona nie jest twoją matką.

Przepraszam, li wszystko słyszałam.

Kłjrzała na Julię, a potem rozejrzała się po (fcgla do stojącego w rogu stolika.

Oparła bit i rozplakała się.

ideszła do niej energicznym krokiem.

fcrządku...

- wykrztusiła Bree przez łzy.

- ?...

Nie wiem, czego się spodziewałam.

Ta Wisiała być bez serca, jeżeli porzuciła nowo e dziecko.

Musiała być potworną egoistką, rc i nawet do niego nie zadzwonić...

nie od.aawet nie wysłać kartki.

Musiała być bez serk po prostu zniknąć - wyrzuciła z siebie tosem.

- Zawsze w dniu moich urodzin la nią.

Liczyłam na to, że nie zapomni tej zapomniała.

Nigdy, ani razu nie dała znaku em myślałam, że może po śmierci ojca.

Ale nie miało dla niej żadnego znaczenia, że on

umarł.

- Spojrzała błagalnie na Julię.

- Jaka o:

mogła mi to zrobić?

Julia nie odpowiedziała.

Wyglądała na tak sa zboląą jak Bree.

Delikatnie pogłaskała Bree po ramieniu.

- Na pewno istniał jakiś powód - rzekła po chwili.

„Może nie zrobiła tych wszystkich rzeczy z wyboru.?”

Może tak musiała postąpić.

Jestem pewna, że bardzo cię kocha i nawet, jeśli o tym nie wiesz, interesuje twoim życiem.

Bree chciała w to uwierzyć.

Głos Julii koł ból...

I dal jednak tęskniła za zapachem kobiety, która odjęć ła czerwonym mercedesem.

- Ta kobieta tak wyglądał ła, jakby jej to nic nie obchodziło - poskarżyła się.

- Ona nie była twoją matką.

- Skąd wiesz?

Jak możesz być tego pewna?

- Twoja matka nie mówiłaby do ciebie w ten spo sób.

Nie chciałaby cię zranić.

Ta kobieta po prostA wstąpiła tu na obiad.

- Skąd wiesz?

- Bo ty nie jesteś taka - powiedziała Julia, ści jąć ją serdecznie.

- I wszyscy w mieście mówią, ż odziedziczyłaś po matce łagodność charakteru.

Bree westchnęła.

- Nikt tutaj jej nie znał.

- Ale to ma sens, prawda?

- Chyba tak.

- Nie miała charakteru po ojcu, to pewne.

Tom wszedł energicznym krokiem do zajazdu.

-. Nikogo nie spotkałem.

Bree pochyliła się ku niemu.

- Rozmawiałam z nią.

Straszna kobieta.

- To nie była twoja matka - powtórzyła Julia i odeszła, zostawiając ją z Tomem.

- Nie?

- Tom zwrócił się do Bree.

- Zaprzeczyła temu.

214

coś więcej o tym.

aprawdę piękna, jak w moich marzeniach, nieprzyjemna.

Chociaż...

może potrakto2a ostro.

Może ją jakoś odstraszyłam.

e Julia ma rację, że to nie była ona.

te. Ale skąd ja mam to wiedzieć?

Tom, gubię (wszystkim.

;orem wracali do domu, Tom wypytywał ietę.

On też nie znajdował odpowiedzi na dl pytanie.

Bree opowiedziała mu wszystko, udało jej się przypomnieć.

Nawet takie szorstkie różowe lakiery na paznokciach.

Nie pamiętała numeru rejestracyjnego jej samochodu.

Tym zgodził się z nią, że w Nowym Jorku będzie odnalezienie czerwonego Mercedesa, tak elegancką kobietę w garniturze koloru indygo dodać do tego przewieszoną przez ramię i telefon komórkowy.

Stękała.

I sprawa trzech życzeń pozostała niewyjaśniona - szepnęła Bree.

Tym mógł pozwolić na to, żeby sprawdzała na koniec już z tym, proszę - powiedział.

- Tak.

Nie więcej.

iii to nie było spełnienie życzenia.

i było?

Nie darowałbym sobie, gdyby ci

nic się nie stało?

Nie mogę zmarnować

cię, skarbie - powiedział stanowczo, po łowach.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby pałała w ten sposób.

- To nie tylko twoja sprawa, czy?

potrzebuję cię.

Chcę spędzić z tobą

215 .

resztę życia.

To także moja szansa, nie tylko tw Trzy miesiące temu może było inaczej, ale teraz dajemy o wszystkim razem.

Proszę cię, Bree.

Za mnij o tych życzeniach.

Wypowiedziałaś już dwa.

możemy sprawdzić, czy są prawdziwe.

Nie chcę, żel próbowała z trzecim.

Nie po tym, co powiedziałaś w szpitalu.

Że zostałaś odesłana na ziemię tylko na długo, dopóki nie spełni się trzecie życzenie.

Bree nie mogła się z nim spierać.

Słyszała w je głosie troskę i miłość.

- Chodź, ustalimy datę - zaproponował, i Spojrzała mu w oczy.

Być może świat był szary o t porze roku, ale szare oczy Toma podobały jej się IM zwyczaj.

I mogła wyczytać w nich miłość.

I zaraz za a ła się zastanawiać, jak ułoży się to małżeństwo, j(nie będą mieli dzieci.

Tom zasługiwał na wszystko, najlepsze.

Powinien mieć dzieci.

- Musisz jeszcze nad tym zastanowić - zasugerowała.

- Nie ma się nad czym zastanawiać.

- Dzieci.

- Już to przemyślałem.

To zostało postanowi Podobnie jak sprawa trzech życzeń.

To już skona i nie ma potrzeby więcej o tym mówić.

Adoptuj dziecko.

- Pomyśl o tym, Tom.

- Mam dużo czasu na rozmyślanie - powiedział.

- A co mam innego do roboty, kiedy ty jesteś w pracy?

- Możesz malować ściany, czyścić meble, wiórkowa podłogę.

- I myśleć o tobie - dodał.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcesz wyjść za mnie?

- zapytał ostro

- Na Boga!

Przecież cię kocham.

- Ale mi nie ufasz.

- Skądże!

Oczywiście, że ufam.

Nigdy w życiu nie ufałam nikomu tak bardzo jak tobie.

216

,ego nie wierzysz, że mam na myśli domówię?

Oczywiście bardzo lubię dzieci.

; jest dla mnie najważniejsze.

isz z dużej rodziny i bardzo chcesz mieć ny do twojego rodzinnego.

rodzina czy duża to nieważne.

Najważniejszą kochała.

- Uniósł dłoń ostrzegawczo.

- e adopcja to nie jest to samo, bo ja się z tym .Powtarzałem to wiele razy, ale ty nie chcesz k: jakby tobie samej chodziło o coś innego.

ty lepiej, gdybym wiedział, co to takiego.

gwarzy złość mieszała się z urazą.

Po raz początku znajomości miał jej coś za złe.
się z nim klócić.

To byłoby nie do wytrzymała jakoś z tego wybrnąć.

Zmienić temat

 ała czasu, żeby nad tym wszystkim raz istanowić.

Być może urodzenie dziecka żyło dużo więcej niż dla niego.

Zresztą e niezupełnie doszła do zdrowia, choć scytacji niewiele o tym myślała.

Jej życie le tak wspaniałe, że niczego więcej nie i do szczęścia.

Ekscytacja Tomem, pierzed wypadkiem była realistką.

Trzeźwo yde i bardzo rzadko się zdarzało, że daeść marzeniom.

 dawnego realizmu pozostało w niej i tę piała się, czy Tomowi wystarczy taki niek, bez
dzieci.

Poza tym dobrze pamięta ny człowiek, przyzwyczajony do zupełnie Bała się, że Tom
wyjedzie, że w końcu ją

 (żuła się niewiarygodnie szczęśliwa.

Czy ować?

Może lepiej adoptować dziecko

217 .

i cieszyć się tym bajkowym światem, który oferuje Tom?

Bree pomyślała, że tylko jedna osoba w mieście, głąby jej doradzić.

WZIAŁ DWUNASTY

iętał, kiedy Verity Greene przyjechała mogło być jakieś dwadzieścia lat temu.
spacerującą po lesie lub wybierającą diotece.

Spotykano w supermarkecie

g z dala od innych.

Nie wtrącała się do v.

Przychodziła na obiady w dziwnych w zajeździe nie było wielu ludzi.

Tylko ta pewna, że znajdzie dla siebie wolny ?

nie siadała przy barze.

;się wtedy, kiedy to było konieczne.

Móuowym akcentem, który od razu podbił iestety w innych wzbudził nieufność i

poJśmiechała się do ludzi, ale to niewiele ;.

Nie zdobyła sobie popularności.

Uchoczkę.

Nikt nie potrafił zrozumieć, w jaki pnuje jej umysł.

I jakoś nikt nie widział f się nad tym zastanawiać.

żała ją za osobę wrażliwą i bardzo saabało jej się, że mieszka w lesie, daleko 3d
początku chatka Verity owiana była b miało swój urok.

Żeby się tam dostać, jechać drogą przez las.

Nikt przedtem ;o miejsca.

Zanim zamieszkała tam

219 .

Verity, nikt nie wiedział, że istnieje skryty drzew mały domek.

Nowo przybyła od początku ubierała się d;
nie. W stylu cyganerii lat sześćdziesiątych.

Nosiła gie, jaskrawe spódnice, szydełkowe karni i ogromne luźne bluzy.

Długie, ciemne włosy - wało się, że bez śladu siwizny - przewiązywała na chustką, która zakrywała jej czoło.

Trzeba przyznać, że zawsze wyglądała i schludnie.

To przemawiało na jej korzyść, tym dziej że wszyscy w miasteczku wiedzieli, iż w d nie ma bieżącej wody ani kanalizacji, nie mówi o czymś tak naturalnym jak elektryczność.

Veri dowala zioła i warzywa.

Znała wszystkie na gdzie rosły czarne jagody.

Najwyraźniej nie miał nego źródła dochodów i nawet nikt nie wierzytws podaje swoje prawdziwe nazwisko.

Wokół jej ; krążyło wiele szokujących plotek.

Jedna z nich gi że została wykluczona z hipisowskiej komuny z mont; druga, że jest nieślubną córką milionera z dnia; trzecia, że czarownicą.

W to ostatnie Bree nigdy nie wierzyła.

ROZDG ła z Verity wiele razy i choć ta miała rzeczywiście typowe podejście do różnych spraw i wcale się nie kryta.

Bree uznawała ją za nieszkodliwą.

Co cej, Verity wydała jej się przeraźliwie samotna;?

podzieliła się swoimi odczuciami z mieszkań miasteczka, parę osób przyznało jej rację.

Wiek jednak uznała, że Verity po prostu żyje tak, jak j podoba.

Eliot należał do tych nielicznych, którym zdi się zawędrować do tajemniczej chatki.

Opowi Emmie, jak tam się idzie.

Emma podzieliła się formacją z Dotty, która z kolei opisała to swojej córce.

Bree dowiedziała się od Jane.

220

tam przed południem.

Wzięła furgo.tekstem, że chce kupić trochę ubrań.

że Bree nie cierpi kupować ciuchów, ale .

W ogóle niewiele mówił od chwili, gdy ślubu.

Patrzył na nią z bezgranicznym n, przygotowywał śniadanie, chodził pysznie i kochał się z nią, jednak nie móa też niewiele mówiła.

Cieszyli się, że są paie były potrzebne.

wstąpiła na chwilę do zajazdu, żeby ić jedzenie.

Wzięła ze spiżarni jakieś iosła do samochodu.

na drogę, prowadzącą za miasto.

Po och mil zawróciła, potem jechała barhiie się rozglądając.

Wreszcie spostrzey drodze zwaloną brzozę, widoczną tylmy.

W tym miejscu zaczynała się leśna wśród drzew, prawie niewidoczna

tutaj półmrok, mimo że dzień był sło włączyła światła drogowe.

Samochód ł na wybojach, koła ślizgały się w koleczuła, jak dudni jej serce.

ła dokąd dojedzie.

Nie miała pojęcia, czeWahała się, czy nie zawrócić.

Nie zatrzynek.

Musiła dotrzeć do celu.

Chciała poVerity.

To mogło wydawać się śmieszne, ale je, że właśnie ona pomoże jej zrozumieć zaawę trzech
życzeń.

droga skończyła się.

Bree zobaczyła stoją?

pie sosen pomarańczowego volkswagena oznaczało, że tam, w gąszczu, znajduje się ka.

tukała do drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

"""" czas, trzymając w ręku bagaż, i już

221 .

była gotowa zapukać jeszcze raz, kiedy ujrzała w zdziwioną twarz Verity.

Kilka sekund później otworzyły się.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - działa Bree.

Widząc zdziwioną minę Verity, nowiła się, kiedy po raz ostatni ktoś tutaj pn w gości.

Wyciągnęła rękę z jedzeniem.

- To dla ciebieA Verity wyglądała, jakby nadal dręczyła ją co sprowadziło na to odludzie kobietę z Ubrana była jak zwykle porządnie.

Tylko wt przewiązała chustką.

- To nie jest dużo - mówiła Bree.

- Zupa i i jakieś zimne przekąski.

Przyniosłabym to, co ale bałam się, że źle zniesie drogę - dodała z z wym uśmiechem.

Verity najczęściej żarna1 hot-doga, frytki i colę.

Pod tym względem przeja zadziwiający brak fantazji, szczególnie jako osobą wszechnic uważana za dziwaczkę.

Verity odwzajemniła uśmiech.

Z jej twarzy :

nęła podejrzliwość.

Przyjęta od Bree paczuszki dniem.

- Wejdz, proszę - powiedziała.

Poszła do kuchni.

Bree głęboko wciągnęła trze do płuc i ruszyła za nią.

Wsunęła się do powoli, niepewnie.

Zamknęła za sobą drzwi.

mała się.

Omiotła niewielkie mieszkanko wzrol Pokój, wnęka kuchenna i na poddaszu malutka S} nią.

Ściany z grubych belek.

Pod kuchnią pł(szczapy drewna.

Bree spodziewała się, że zobaczy tu coś niezwo.

Suszące się mięso leśnych zwierzątek.

Może pełzający po podłodze.

Albo jakieś-dziwaczne rei zyty, coś do odprawiania czarów...

Myślała, że jakieś tajemnicze odgłosy...

Tymczasem chatka

222

zwyczajnie.

Umeblowana prosto i gus, miła i przytulna.

jrity.

Chodziła w grubych skarpetach

aL Okryła się długim wełnianym szalem.

nie zakrywała włosów chustką, wyraży pasemka siwizny.

ięła rękę do kieszeni.

- Podoba mi się mię - powiedziała.

- Nie wiedziałam, iatło...

- Rozejrzała się.

Zauważyła loeor.

- Musisz mieć własny generator...

et telewizję satelitarną - pochwaliła się

ta z południowym akcentem.

Świadczy o tym, jak mało o sobie wiemy

ła się Bree.
(Cjrzała się po chatce.
Milczała.
krząknęła.
- Prawdopodobnie zastanaaco tu przyszłam.
łaś jedzenie.
ka. Potrzebuję twojej porady.
sła brwi ze zdziwieniem.
n, czy jestem odpowiednią osobą do rad - rzekła rozbawiona.
e już wiedziała, że tylko Verity potrafi jej aala korzystać z okazji.
Teraz albo nigdy.
dała wyczuć jej determinację.
Spojrzała
hni. - Napijesz się herbaty?
- zaprot, że ma zimne ręce.
Może od chłodu, jana dworze.
Raczej jednak z nerwów.
ie. - Chętnie, oczywiście jeśli nie sprao tu.
ferity do kuchni.
Siadła przy drewnianym ipodyni podgrzała wodę i naszykowata Otworzyła puszkę z liśćmi
herbaty.
W pó dl się słodki, egzotyczny zapach.
Gdy
223 .

wsypała herbatę do czajniczka i zalała wodą stał się niezwykle intensywny.

- Jakiej to rady mam ci udzielić?

- spytała siadając naprzeciwko Bree i krzyżując ręce na pi

Bree zastanowiła się, co ma powiedzieć.

Była doma własnej niezręczności.

Próbowała sobie przenieść coś ze scenariuszy rozmowy, jakie w myśli dała po drodze, wszystkie one jednak okazały się bezużyteczne.

Nie mogła przewidzieć, że domek wygląda tak.

- Przydarzyły mi się dziwne rzeczy, a ty jesteś ekspertką od dziwnych rzeczy - powiedziała.

Verity skrzywiła się lekko.

- Jestem tylko ołtuską.

Na pewno nie ekspertką.

- I wierzysz, że widziałaś UFO?

- Chyba tak - mruknęła.

;

- Czy wierzysz w eksterioryzację, życie po życiu:
tego rodzaju rzeczy?

- zapytała Bree.

- W coś takiego, co spotkało ciebie?

T...

tak jęknęła się Verity.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Ponieważ nie ma żadnego sposobu, żeby udowodnić, że to prawda.

To zdarza się ludziom w czasie padku, w trakcie operacji chirurgicznej...

I potem już jest wszystko dobrze, sami nie wiedzą, co o tym myśleć.

Większość moich przyjaciół uważa, że ja wszystko sobie wyobraziłam.

Verity wstała, wyjęła z szafki filiżanki i talerz. Postawiła je na stole.

To była prześliczna chińska celana.

Na białym tle delikatne zielone liście.

Złoty brzośki.

Strumień herbaty wypełnił jedną, potem drugą filiżankę.

Zapach stał się jeszcze bogatszy, intensywny.

224

I znowu zajęła miejsce przy stole.

Wyglądała nad czymś się zastanawia.

Popatrzyła na liście.

Potem nagle podniosła głowę

i powiedziała:

- ...

... z pojemnika z ciastkami, wyjęła kilka

ciastek i położyła je na talerzu. Ciasto do herbaty - powiedziała.

- To ciasteczka.

Jabłka z drzew.

a głodna.

Wzięła ciasteczko tylko żeby urządzić gospodyni.

Na szczęście nie mu. Ciasto okazało się takie, jakie powinno być: słodkie i pyszne.

Powiedziała to Verity i wielką sprawiła jej tym przyjemność.

chwilę jadły w milczeniu.

Bree zaczęła , jak wrócić do nurtującego ją prohlelogta jej w tym.

Upiła kilka łyków herafa tonem stosownym do spotkania to-.Twoi przyjaciele myślą, że łbie to wszystko, ponieważ nie są otwar to wymiaru.

igała powiekami.

- Inny wymiar?

A jż1 twarta?

ba, którą wychowali twoi dziadkowie ale ta, która lubi stać wśród drzew

Bree ze zdumienia nie mogła znaleźć

stów.

I cię.

Ja też lubię spacerować po lesie.

Haki miałaś wyraz twarzy.

sposobu, żeby temu zaprzeczyć.

Bree nie srać się teraz z Verity, nawet gdyby to nie prawdą.

- Co to znaczy: inny wymiar?

-

225 .

- Kanał energetyczny.

Krok ponad poziom nego życia.

Czysta myśl i uczucie.

- Trzeba się znaleźć na granicy śmierci, żeby doświadczyć?

- Nie.

Psychika potrafi to osiągnąć bez tego już przeżyć, ale niewiele osób jest do tego zdolna

Większość ludzi przytłacza świat fizyczny i nigdy w stanie ponad to się wznieść.

- Ale ja zawsze mocno stapałam po ziemi - lała się Bree.

Verity wypita łyk herbaty.

Uśmiechnęła błazniwie.

- Dobrze - przyznała Bree.

- Czasem lu marzyć, ale czy przez to różnię się od innych?

- Wierzysz w rzeczy pozytywne - mówiła V Jesteś optymistką.

To pozwoliło ci przez te wszystkie lata wytrzymać z ojcem.

Zbudowałaś sobie w końcu własne życie.

Tylko ci się wydawało, że jesteś re:

To zaledwie połowa twojej osobowości.

- przerwała na chwilę.

- Czy pamiętasz, jak ogień przysypany śniegiem?

Świat jak z bajki.

tały śniegu na kolorowych, jesiennych liściach.

Bree szeroko otworzyła oczy.

Verity uśmiechnęła się.

- Nie potrafisz u swoich myśli.

Twoja twarz nie kłamie.

Ulegasz ur natury.

Zauważasz w życiu więcej niż inni ludzie i ja nie ograniczamy się do spraw codziennych.

"Ty i ja", powtórzyła sobie Bree w myśli.

A Verity mówiła dalej.

Powoli i łagodnie.

- Ty rządzisz w świecie możliwości.

Nie każdy w to wierzy.

którzy twoi przyjaciele tego nie potrafią.

To jest czyną ich problemów.

Nie chcą uwierzyć w to, i doświadczyłaś.

I poza tym są zazdrośni.

- O Toma?

O pierścionek z diamentem?

O co?

- O spokój wewnętrzny, który znalazłaś.

226

!?! - krzyknęła Bree.

- Jestem totalnie w życiu zawsze było poukładane i szczęsem wypadku już nic nie jest takie samo.
gorzej?

nie mogła się skarżyć.

10 lepiej, że czasami myślę, że za dobrze, riprawdziwe.

oglądała jej się z namysłem.

- Thomas nęła.

złiła głowę.

Irthomas Gates.
Już prawie zapomniałam, Li do jakiego świata należy.
Ale teraz pa mogę uwierzyć, że on mnie kocha i je się szczęśliwy.
iż jest szczęśliwy.
A co będzie, gdy zmieni
 uerzasz odtrącić to, co masz, tylko dlatemoże zmienić?
 gła coś mówić, potem przerwała.
Przecież Sbyła oczywista.
Nawet jeśli to nie wyczeratu.
- Gdyby to mi się zdarzyło przed tym fcprzed wypadkiem, chyba łatwiej przysłówierzyć.
A tak...
eksterioryzacja, potem te Ł.
I do tego wszystkiego Thomas Gates.
tym wszystkim.
jrzała pytająco.
- Trzy życzenia?
hała się.
Ilekoć o tym mówiła, nikt jej nie ciąż przecież...
Przypomniała sobie, że ko pyta, widziała ją zapatrzoną w zimową bajkę.
Iziała o trzech życzeniach.
Wszystko, co ie przypomnieć.
Mówiła o ogniu i o kobieizie.
 rozumiesz, dlaczego się boję?
Czasami wy że jedyna przyczyna, dla której wróciłam,
 227 .

to te trzy życzenia i po spełnieniu ostatniego tff tlista postać znowu wezwie mnie do siebie.

- Mój Boże - jęknęła cicho Verity.

- A ci tak myśleć?

- Nie wiem.

Może ta postać mi o tym powL A może to były tylko halucynacje.

Dostałam si ki.

Ludzie na ogół boją się śmierci.

To natural.

też się boję, mimo tego, czego doświadczyłam.

ślisz, że ta sprawa z życzeniami to prawda?

- To zupełnie możliwe.

- Czy ta kobieta mogła być moją matką?

Verity lekko wzruszyła ramionami.

Bree zadała kolejne pytanie.

- Myślisz, że trzecim życzeniu?

- Nie mam pojęcia.

- Czy powinnam ryzykować?

- To zależy od tego, jakie to będzie życzenie i j le będzie dla ciebie znaczyć.

- Zastanawiała się i chwilę.

- Ja prawdopodobnie zaryzykowałabym, "i

- Nawet gdyby to oznaczało śmierć?

ł

- A jeżeli to będzie oznaczało życie?

- Masz na myśli szczęśliwsze życie?

- Wolność.

Szczęśliwsze, bezpieczne życie.

szość ludzi żyje na tym poziomie - zakreśliła poziomą linię.

- Niektórzy na takim.

- Zakr linię trochę wyżej.

- Na ogół różnią się stop,

otwartości umysłu i gotowością podjęcia ryzyka!

Bree rozejrzała się po pokoju.

I znów pomyślał zdziwieniem, jak zwyczajnie urządzone był3 mieszkanie.

- W twoim przypadku to chyba nici ło duże ryzyko.

"

- Teraz to tak wygląda.

Kiedy tu przyjechałam, było jeszcze elektryczności, a ja miałam tylko tyle na sobie.

Nigdy wcześniej nie mieszkałam sama.

umiałam się o siebie zatroszczyć.

228

;ego przyjechałaś do Panamy?

- zapyMechnęła się.

- Na pewno nie z powodu aż myślę, że naprawdę mogło tutaj wylajym uciekałaś?

giSnił z jej twarzy.

- Przed mężczyzną, i mnie zabić, jeśli odejdę.

inęła.

machnęła ręką.

- To stara historia, nie kby się mogło wydawać.

I nie aż tak nieplotki na mój temat, krążące w Panamie.

z tego jest prawdą?

rawdę to niewiele.

Kiedy jechałam do uradziły mnie dziwne światła i wierzę, ?

FO. Ale nigdy nie stanęłam twarzą ;osmitami.

Za to miałam spotkanie Itppnia z niedźwiedziem.

Tak się prze;sparaliżowało mnie ze strachu.

Niedźrzył na mnie.

Potem znudziło mu się sraz ludzie mówią, że potrafię wydawać izkazy dzikim zwierzętom.

W gruncie ,się, że w to wierzą.

9 i to daje mi wolność.

Dzięki temu mogę

Kiedyś bardzo przejmowałam się tym,

de myślą.

Zmęczyło mnie to.

tło tak sensownie i zwyczajnie, że Bree

lawiać się jeszcze nad czymś innym.

-

iałaś, zanim tu przyjechałaś?

- zapytała.

[e.

tyś mieszkałaś w Kalifornii?

tniata możliwość, że ojciec pomylił się pomyślała Bree...

Albo świadomie

229 .

został wprowadzony w błąd.

- Czy byłaś w Chicago?

- Raz.

Pięćdziesiąt lat temu.

Miałam wtedy lat.

Pojechałam z rodzicami z wizytą do krewnych

To w sumie dawało jej sześćdziesiąt lat, pięćdziesiąt trzy, ile powinna mieć matka Bree, Verity jest jej matką, to Haywood Miller musi pomylić albo skłamać.

- Czy miałaś kiedyś dzi

- Nie.

Aż tak wiele nie łączyło mnie z moim Nie musiała mieć dziecka z mężem.

Próbując zachować spokój, Bree zapytała.

czego przyjechałaś akurat do Panamy?

- Zamknęłam oczy i wskazałam palcem.

- Palcem?

- Musiałam wyjechać z Południa, więc otwo mapę Północy, zamknęłam oczy i zaznaczyłam

-1 nie znałaś tutaj nikogo?

Verity spojrzała na nią ze współczuciem.

- N stem twoją matką.

Bree zaczerwieniła się.

- Przyznałabyś się do gdybyś nią była?

-Tak.

- A jakie jest twoje prawdziwe nazwisko?

- To jest moje prawdziwe nazwisko.

Możesz s{ dzić w mojej metryce.

Z dokumentem urzędowym Bree nie mogła się S] rac.

To ją musiało przekonać.

- Czy naprawdę ślisz, że burza oznacza gniew boga?

- zmieniła te

- A czy wiesz, że tak nie jest?

- Kiedy gorące powietrze spotka się z zimnym, wstają błyskawice.

- A co robi taki hałas?

Chmury?

- Naukowcy twierdzą, że tak.

- Czy to ma sens?

Bree rozumiała jej punkt widzenia.

230

S."

oij sobie - mówiła Verity.

- Czyjakieświtam, że jestem pewna, że to gniew boriko rozważałam tę możliwość? o możliwość - przyznała Bree po na.nęła się szeroko.

- Widzisz?

Ty też Fumysł, podobnie jak ja.

Obie doświadczył czegoś niezwykłego i to nas wyzwoliło.

obłąd to nie to samo, pomyślała Bree.

jest rzeczą względną - mówiła Verity.

- sęście.

Każdy potrzebuje w życiu czegoś i chce mieć spokój i pragnie cieszyć się E.

My szukamy szczęścia w podejmowaniu wszystkiego jest względne.

Nie można zdefiniować.

Nie wiadomo, gdzie kończy się rzeczywistość człowieka ma swój świat, odrębny inny.

Każdy buduje własną rzeczywistość.

.i Tom ma inną rzeczywistość?

A jeżeli jest inną osobą?

- zastanawiała się Bree.

 podskakiwał na wybojach.

Bree czuła się godnie.

Gdy wyjechała z ciemnego lasu jasne światło słoneczne.

Pomyślała, że tak.

Zatrzymała na chwilę samochód.

Początkowo przyzwyczajają się do światła.

Wjelić.

Chciała teraz jak najszybciej zobaczyć.

 tak cicho, gdy podjechała, aż ogarnął ją Pomyślała, że może za długo zwlekała decyzji

i Tom zniknął...

Po sprawdzeniu pośpieszyła na piętro.

- Tom?

- wołała.

 231 .

- Jesteś tam?
- Jestem tutaj z końca korytarza.
odpowiedział wreszcie
Był w swoim gabinecie.
Stały tam jeszcze ods pod ścianę, nie rozpakowane kartony.
Tom si przy biurku.
Pracował przy komputerze.
Obok stała nowa lampa, t
Widziała, jak bardzo pochłania go praca.
W;
gestem, by poczekała chwilę.
Na ekranie pój jakiś napis.
Tom szybko coś zanotował i komputer.
Wyprostował się.
Spojrzał na nią z miłym niem w oczach.
- Hej!
Jak zakupy?
- Miał dziej seksowny głos, jaki kiedykolwiek słyszała.
Podeszła do niego.
- Witaj!
- Zarzuciła na szyję i zaczęła go całować.
Objął ją w pól.
- Wiem, jak nie lubisz robić
Odwzajemniła uśmiech.
- Zaraz ci o gdzie byłam.
A co ty robiłeś?
- Badałem sprawę farmy Allworthych.
- Ktoś prosił cię o poradę?
- domyśliła się.
Lekko wzruszył ramionami.
- Tak, to wygląda ciekawie.
Cieszę się, że mogłem się tym zająć.
- Kocham cię - powiedziała.
Wziął głęboki oddech.
- Miałem nadzieję, że mi to powiesz.
- Słyszała w jego głosie wzruszeni
- Weźmy ślub.
Otworzył szeroko oczy.
- Pobierzmy się już w ten weekend - spre Powoli wyprostował się.
- Czy naprawdę m to, co mówisz?
-Mhm.
- Do tego weekendu mamy tylko trzy dni pomniał.
Czuła, jak bardzo jest podekscytow Nie zdążymy zaprosić gości.
232
tebuiemy drukowanych zaproszeń - popewna?
:owanych zaproszeń?
icie.
- Chciała swój świat związać ze ,a.
Dała mu jednak ostatnią szansę yba że ty uważasz, że lepiej byłoby tro skać.

jej pocałunkiem, bardziej namiętnym niż ios potem poczuła się wolna i swobodna. i włosy z twarzy i zaczęła się przyglądać, deiczy z nim dawnego egocentryka, sławnego k książek, które stały u niej na półce.

Ale to ibm.

Przystojny, a jednocześnie taki dobry, Kochała szramę na policzku, jego długie ta teraz w świat możliwości.

Wszystkie masze fantazje mogły zostać spełnione.

anialszego od ciebie nie zdarzyło się au - powiedział głosem schrypniętym myślała o nim podobnie.

/ości okazał się ogromny, niezbadany.

ani nawet rok pieszczot nie wystarczy ło do końca.

Jednak Bree próbowała.

[B po policzku.

Dotknęła jego szyi.

Odszuli.

Potem rozsunęła suwak dzinsów.

ciało, klękając przed nim.

mał, gdy poczuł dotyk jej warg.

szystko w świecie jest możliwe, dawała jej j wolności, i to z kolei dawało jej moc.

i

pfeobiety, którą kochał, dodała mu sił.

Naranka Tom pomyślał, że jest wystarczająco

233 .

silny i że przyszła pora, żeby spróbować j Zadzwoił do ojca.

Usłyszał stary męski głos.

- Halo.

Mocniej przycisnął słuchawkę.

- Tato?

To ja.

Tom.

Cisza.

- Tato?

- Serce biło na alarm, ale na drugi:
cu linii nikt się nie odzywał.

Spróbował jeszcze raz.

- Co u ciebie słyhać? Nie doczekał się odpowiedzi, ale szybko zac wić.

- Tato, tu się coś zdarzyło, coś niezwykle cytującego.

Ja...

od dłuższego czasu chcę ci o tj wiedzieć...

- Wydawało mu się, że słyszy odkładanej słuchawki.

- Tato?

- zapytał petea Odpowiedziała mu cisza.

ńKiedy Bree ustalała z Tomem datę ślubu, żała sobie cichą, skromną uroczystość.

Tym rzeczywistość przekroczyła jej najśmielsze oca nią.

Flash, który dowiedział się pierwszy, nale;

by to właśnie on mógł przygotować przyjęcie.

która zgodziła się być druhną, upierała się, że p na to być impreza otwarta dla całego miasta, i
waż całe miasto kochało Bree.

Jane zadzwoni Dotty, która od razu powiedziała Emmie, a co za idzie, zaraz dowiedzieli się
Eliot i Eari.

I za c wiedziała już o tym cała Panama.

Pastor przejął się i obiecał dostawić w kościele setka.

Obiecał jej najpiękniejszą mszę.

Organista prosił, żeby wypisała mu wszystkie swoje ulubione lodie.

Zwołał chór i przez całą noc trwały p;

Emma załatwiła, żeby wesele mogło się odbyć w szu w prześlicznej sali balowej.

234

.U wydzwaniać do Flasha, oferując gotowaniu przyjęcia.

Do grona sponso- jli się właściciele browaru.

Piekarnia l przykład.

Ogromny czteropiętrowy tort liejscowych cukierników.

Ha do kwiaciarni Julii Dean, która przyanówione przez różnych ludzi bukiety.

- arczająco dużo zieleni, żeby udekorować gz - oznajmiła z satysfakcją.

- Musisz i, jakie kwiaty lubisz, to przygotuję ci je Wstawiła do wody zielone gałaz W co
będziesz ubrana?

- zapytała.

lienіłasię.

- Jeszcze nie wiem.

Nic jeszi.

Nie przepadam za robieniem zaku; się, że tak późno uda mi się kupić lię ślubną.

Ale przynajmniej jakąś ładpowinnam znaleźć...

Może kostium...

chwilę przyglądała się Bree w milczeniu.
de, którą mogłabyś włożyć - szepnęła wnie.
a, jak podskoczyło jej serce.

- Suknię
ją pokazać?

na, by odmówić, Bree weszła za nią do jej małego domu Julii.

Na piętrze w jej szafie wisiała suknia z marzeń Bree.
i słoniowej, w wiktoriańskim stylu, z wyiem, długimi rękawami i mocno zaznaczoną
suknie zdobiły delikatne perełki.

oięła ślinę.

- Ma taką wąską talię.

zupła.

la - westchnęła Bree.

sz.

mogła oczu oderwać od sukienki.

- Naogę?

235 .

Julia skinęła głową.

Wyglądała na zadowoloni

- Teraz?

- To oszczędzi ci robienia zakupów.

Bree wiedziała, że mogłaby szukać po si przez wiele tygodni i nie znalazłaby niczego w połowie tak pięknego jak ta suknia.

Szybko i kusji ściągnęła dżinsy i koszulę.

Nie przejmę tym, że Julia zobaczy bliznę na jej brzuchu.

Ostrożnie zaczęła nakładać sukienkę.

De wygładziła spódnice.

Zapięła suwaki.

Suknia w ła na niej, jak szyta na miarę.

Julia zapinała z fr ne guziczki.

Poprawiła materiał na ramionach i ła przed nią.

Potem się lekko cofnęła, dla lej zbadania efektu.

Bree wstrzymała oddech.

Julia miała łzy w oczach - Gdy szłam do myślałam, że ta suknia jest tylko dla mnie i kogo więcej.

Myślałam się.

- Czy dobrze leży?

- Och - westchnęła Julia.

- Lepiej niż dób:

I Bree czuła, że naprawdę wygląda fantasty

Suknia leżała, jakby ją szyto na miarę.

Zarówno!

gość, jak i fason były doskonałe.

- Kiedy sprzedawałam dom w Des Moines i pi chałam tutaj - mówiła Julia, jakby trochę nieć na, zatopiona we wspomnieniach - myślałam, jej się pozbyć, ale nie potrafiłam tego zrobić.

dzień ślubu był cudowny.

Kiedy moja córka l ślub, chciała czegoś innego.

I tak ta suknia cały wisiała u mnie w szafie i ani razu nie pomyślałam może się przydać.

Musiałam mieć jakieś przeci że ją tu z sobą przywiozłam.

- Julia podni wzrok.

Chociaż oczy pozostały wilgotne, głos byi sty i dźwięczny.

- Będzie to dla mnie zaszczytem, żeli zechcesz ją sobie wziąć, Bree.

To będzie zna ło dla mnie bardzo wiele.

236

, powtórzyła Bree ze zdziwieniem.

czarni.

- To dla mnie ta suknia będzie

o wiele.

"a sobie, jak idzie do ślubu tak przesłiczjak trzyma Toma pod rękę, jak tańczy lej na ratuszu.

Aż tchu jej zabrakło z wrażeńeli coś się podrze albo poplami?

- zaze strachem.

liała się i otarła jej z twarzy łzy.

- To się

dczyści.

ta się okropnie, gdyby coś się stało.
eimuj się - powiedziała Julia.
Odwróciła Wyjęła z szafy jakieś pudło.
Otworzyła męła do środka.
Wydawało się, że magii Wyjęła welon, i podeszła z nim do Bree.
rasznie potargana - jęknęła Bree, śmie" Izyzerknij, czy ci będzie do twarzy - nalegała a welon
na włosach, potem cofnęła się parę miechnęła z dumą.
Podała Bree lusterko.

mogła oderwać oczu.

6? - zapytała Julia.

tak.

(dasz na oszołomioną.

unrze z wrażenia.

nadzieję, że nie umrze.

(dam jak panna młoda.

steś panną młodą, a przynajmniej będziesz

a dni.

Och, Boże...

sądzisz, że za szybko?

- zapytała Bree.

- To yło tak szybko, że się czuję, jakbym biegła bez y nie zanadto się z tym pośpieszyłam?
pewno nie, jeżeli kochasz Toma, iam.

237 .

- Więc na co miałabyś czekać?

Stare dobre obyczaje - pomyślała Bree, ale wiedziała tego głośno.

- Ja byłam zaręczona tylko przez tydzień - minęła Julia.

- Mój mąż dostał powołanie do\ Postanowiliśmy wziąć ślub od razu.

Nie chci czekać.

- Żałujesz tego?

- Miałabym żałować, że wyszłam z Ted Skądże znowu!

Uwielbiałam go bezgranicznie.

my razem wspaniałe życie.

Umarł trzy lata te dał mi go brak.

- Czy dlatego wyjechałaś z Des Moines?

- To tylko jeden z powodów.

Rzeczywiście \ tam przypominało mi Teddyego.

Ale też moje dorosły.

Przestałam być im tak bardzo potrzebny-, ją swoje życie, swoje dzieci.

Byłam za blisko nich.;

sialiśmy od siebie odpocząć.

- Tęsknisz za nimi?

- Nie tak bardzo, jak się obawiałam - roześ;

się. - To może brzmi strasznie, ale taka jest prs Tutaj jestem znacznie bardziej zajęta niż dawniej, sami zdarza mi się czuć tak, jakby to właśnie Pal., była moją rodziną.

Tak jak twój ślub.

To będzie cot prawdę niezwykłego.

- To nie pierwszy ślub w Panamie, na który j zaproszona.

- Ale najważniejszy.

Jesteś tu bardzo lubiana i dzo ważna dla wszystkich.

Bree znowu dostrzegła w oczach Julii łzy.

ABree ostrzegła Toma, że musi włożyć smoking, ona wystąpi w pięknej sukni, ale i tak zaskoczył

238

lok kroczącej ku niemu panny młodej.

yały ją od szyi do stóp, ale układały jA piękny, że wzroku od niej nie mógł fon zakrywał jej twarz, ale poprzez tiul oczu i czuł jej miłość.

Kiedy podeszła dosta, welon, poczuł jeszcze większe

mu przez myśl, że gdyby jeszcze rok tepowiedział, że poślubi dziewczynę z protóewjej miasteczku, wyśmiałby go z pewk teraz czuł, że w życiu nie widział ślubu.

pełen ludzi, podobnie sala balowa w raie przygotowane nie tylko przez Flasha

Iwyśmienite.

Miejscowy zespół muzyczny xnale.

Świętowali przy błyskach fleszów.

ibiło zdjęcia, znalazło się też kilka kamer cy wokół życzyli im szczęścia.

Tom nigdy tzul się tak dobrze.

I wszystko dzięki kokochał.

rtko, że zabrakło przy nim jego rodziny.

poznali Bree, żeby stali się integralną nowego życia.

Jednak ojciec nie chciał wiać.

Tom prosił siostrę, żeby przyjechała.

lub to niezwykle wydarzenie.

Odparła na ;eb matki też już się nie powtórzy.

Ostaaal ją przekonał, ale potrzebowała więcej iekły gniew jeszcze w nich pozostał i ten iał się wypalić.

itka pokochałaby Bree.

Wiedział to, i ta Wymywała go na duchu.

Współczuł Bree, że miała matki.

ia jednak panna młoda nie martwiła się octwem.

Całe miasto było dla niej jak wielila rodzina.

Jej twarz jaśniała w uśmiechu.

239 .

Czuła się szczęśliwa, gdy wkładał jej na palec kę i gdy później jechali do Bostonu.
Polecieli tem na Karaiby, na cate siedem dni.

Tom wynajął jacht z kapitanem i kucharzem.
że spojrzenie Bree dodało wyspom nowego i Obojgu im śmiały się oczy na widok morza.
Od ich słone powietrze i wiatr.

Cieszyli się, że zimą jasne słońce i ciepły piasek na plaży.

Wrócili opaleni i bardzo szczęśliwi.

.DZIAŁ TRZYNASTY

w Panamie nie było przyjemną porą.
woda spływała z gór.

Po trawnikach te strumyczki, ulice tonęły w błocie.

ości okazywały się nieprzejezdne.

rch miejscach leżał jeszcze śnieg, szary jak na początku zimy.

W parku miejscze nie odrodziła się do życia.

Samoiwały brudną wodę albo grzęzły w btotrudno było się poruszać, nawet

lodził na ulicę, mało kto uruchamiał kańcy Panamy zamykali się w swoich i,
zniechęceni do życia.

Ostatnie tygoze wydawały się wyjątkowo uciążliwe.

asie nie wierzył w nadejście wiosny.

ie pojawiały się na gałęziach zielone sownie Panamy organizowali wielki bal.

ijących imprez.

ie wypatrywała tych dni.

Nie dlatego ?

biona czy też znudzona.

Wręcz przeesie szczęśliwa i chciała się bawić.

Miapamięci ślub i wesele oraz karaibskie sprawiły jej taką radość.

I cieszyła się, Aknął po ślubie, że nadal jest przy niej

241 .

rzeczywisty, prawdziwy.

Tak samo jak p kochający, opiekuńczy, cudowny.

Ador i troszczył się o nią.

Bree czuła się nieprz szczęśliwa.

Sama się zdziwiła, że ma taką ochotę na w miejskich imprezach.

Tym bardziej że wic dzin z małymi dziećmi powodował te same n nie, co w listopadzie.

Wydawało jej się, że poi się z tym, iż nie będzie miała dzieci, a zape Toma, że to dla niego zupełnie nic nie zna winny jej dać pewien komfort psychiczny.

sem stało się inaczej.

Obserwowała męża obiadów, na tańcach, jarmarkach, bankietu był już tylko obserwatorem, bawił się ze wszy I przede wszystkim lgnął do dzieci.

Zaczął od wspólnych żartów z małym Joey chłopczyk miał przyjaciół, którzy wkrótce od:

Tom może być wspaniałym kumplem.

Wykazy ograniczoną cierpliwość i już wkrótce chmary ków gramoliły mu się na ramiona.

Wspinały sSi niego, a on, wysoki i dobrze zbudowany, podrze do góry, robił karuzelę.

Dzieciaki chichotały, a śli, którzy patrzyli na to, uśmiechali się ze wzi niem.

Tom nie tylko bawił się z maluchami, ale dbał o nie, poprawiał ubranka, wycierał noski.

widziała, jak bardzo lubi dzieci.

Nie musiała o n tac.

Doskonale wiedziała, co czuje.

Nie chciała już pytywać Toma.

Postanowiła, że najpierw, tak os(nie, jak tylko potrafi, porozmawia o tych sprawac swoimi przyjaciółmi.

Najpierw zaatakowała Flasha.

- Żałujesz, że masz dzieci?

- zagadnęła go któregoś dnia w ku kiedy przygotowywał mus jeżynowy..

- Jak mógłbym mieć dzieci?

- zapytał.

- Sam stem jak dziecko.

242

czerwoną masę.

Przekładał na przetdekorował to wszystko kremem wanipoważnie.

(źnie odpowiadam.

Jak mógłbym mieć

; radzę sobie z samym sobą.

iwda - zaprzeczyła od razu.

Później

wiała się nad tym.

Nie była pewna, jak

stówa.

ta do wniosku, że musi zobaczyć się wa przyjaciółka z całą pewnością poitroszczyć się o siebie.

Nie była jak

."sobą kawałek tortu.

Pamiętała, że Veri; wyszła z wesela i ominęły ją słodkie przya-obiłam, że nie siedziałam długo

- po inty.

Szydełkowała z taką szybkością, że

[ązała śledzić jej kolejnych ruchów.

-
ić psuje atmosferę.
Nie lubię kłótni.
Po łę czuję w takim tłumie.
lu dzieci?
chwile przestała szydełkować, choć nadal
oją robótkę.
i o to pytasz?
ibią dużo hałasu, nie pozwalają na spona prywatność.
isz trochę racji.
Spokój i cisza są mi nieircia.
Tylko to pozwoliło mi przetrwać tyle eństwie.
- Jej ręce wróciły do aktywności.
z tym dużo trudniej, gdybym miała dzieci.
z się tym, że nie masz?
ze nie mam dzieci?
- Znowu przerwała "W mojej sytuacji na pewno było to niemozz kimś innym...
może w innym wcieleniu...
243 .

- zastanowiła się.

- Teraz za późno na podt cyzji.

Żaden lek ziołowy ani kosmita nic na może.

Ale, jak już mówiłam, lubię spokój i nie sobie swoją niezależność.

Inną kobietą, która także cenila sobie nie była Julia.

O niej wiedziała Bree jeszcze L o Yerity.

Ale ta piękna suknia ślubna, ofiarow, ką serdecznością, stworzyła więź między nimi.

wało pewną nadzieję.

Poza tym Bree lubiła stwo kwiaciarki.

I teraz w drodze powrotnej do niej na rozmowę.

Zupełnie przypadkowo tak się złożyło, że.

kowala właśnie ogromny bukiet z kryzą, z r i białych tulipanów, zamówiony dla żony fryzji ra parę dni temu urodziła córeczkę.

Bree prz lę obserwowała, jak powstaje artystyczna koń kwiatów, po czym zapytała.

- Czy kiedy wył zamówienie takie jak to, wracasz myślami do dzieci, do czasów, jak były malutkie?

- Zdarza mi się, że wracam do tych wspan odparła Julia.

Zgrabnie zakręciła wstążeczkę, l zała na kokardkę i ozdobiła nią bukiet.

- Czy to jest trudne?

- Cięża?

- Julia uśmiechnęła się.

- Nie.

A towarzyszy temu oczekiwanie, a to jest ważne i pię pomaga przetrwać.

- A poród?

Julia machnęła ręką.

- To najgorsze, ale chodzi dopiero na końcu, a medycyna zna które pomagają to przetrzymać.

Nie mów, szkodzi dziecku.

W każdym razie wydaje mi to nie miało złego wpływu na żadne z moich Matki dawniej nie paliły się do tego, by d przychodziło na świat siłami natury.

Czasami ignorancja może być prawdziwym błogosł"

244

a na świat dziecko.

Najpiękniejsza

biety.

nagroda za trud przetrwania ciąży?

bardzo lubiłam być w ciąży.

Już wteje dzieci.

- Spojrzała na wiązanę,

Bree.

Ja przekonać samą siebie, że nie chce

Słyszałam okropne historie.

tś z okropnymi ludźmi - zaśmiała się ytała cicho.

- Czy jesteś w ciąży?

iero od niedawna jestem mężatką, to y mieć dzieci.

Zresztą tyle wydarzyło w tak krótkim czasie.

Potrzebuję czaitosować.

Poza tym lubię swoją pracę, una z Tomem.

On jeszcze nie zdecyzał.

Nie mogę mu w tej chwili

plotów.
żeby dziecko stanowiło dla niego proJulia.
tła, że Julia ma rację.
Ufała jej, ale muQO przemyśleć od nowa.
m temat z Jane, kiedy minęła pora
gości znacznie się przerzedził.

Prze sz ladę.

- Czy niepokoi cię to, że się
itanawiałaś się kiedyś nad zegarem
eta. - Cały czas o tym myślę.

Ale co

ie mam takiego powodzenia jak ty.

Nie

la.

ie spotkałaś swojego przeznaczenia - Iree.

- Któregoś dnia poznasz swojego szystko się ułoży.

- Szczerze w to wierartościowa osoba jak Jane nie może
ie przez życie.

Zasłużyła na szczęście.

powtórzyła z westchnieniem Jane.

245 .

- Do tego czasu mogę być za stara, żeby
- Możesz zaadoptować.

Samotne kobiety ściej tak robią.

Na przykład Michelle Pfeiffer ODonnel.

Doskonale wychowują swoje dzie na matka nie musi być chodzącym nieszczęści

- Samotna matka - usłyszały niespodziew Dotty, która podeszła do nich nie zauważona (wtrąciła się do rozmowy.

Jane spojrzała na Bree z wyrzutem.

Prq powinna być ostrożna, gdy matka pojawia si ryzoncie.

Bree jednak, pochłonięta rozmo nie dostrzegła.

- Słyszałam, że mówicie o dzieciach przechodząca obok LeeAnn.

- Chciałam pomnieć, że ja też jestem samotną matką.

Odeszła, zanim zdążyły cokolwiek odpowii

- Tylko, na Boga, nie bierz z niej przykładu - nęła Dotty.

- Żeby samej wychowywać dziecko, mieć na to odpowiednie warunki.

Na to może zwolnić jakaś śliczna aktoreczka z Hollywood, musi troszczyć się o płacenie rachunków.

- Ja też mogłabym mieć dziecko - szepnęła - Nasze rachunki nie są aż tak duże.

Dotty aż się cofnęła, zaskoczona.

f

- Nie martw się, mam.

Nie jestem w ciąży - pewniła Jane.

- W ciąży?

Mam nadzieję, że nie.

Dobry Boże!

szę się, że nie zamierzasz zostać samotną matk jedna sprawa.

I jeszcze muszę powiedzieć...

- Dotty zwróciła się do Bree.

- A ty też lepiej pocz z ciążą.

Nie wiesz przecież, czy twoje małżeń przetrwa próbę czasu.

- Oni zawsze będą szczęśliwi - oznajmiła Jane

- Głos doświadczonej kobiety!

- prychnęła z gardą Dotty.

- Akurat ty znasz się na tym najłepi

246

ysiy o adopcji.

ż... wychowywać cudze dziecko...

Też

f aż kipiała z oburzenia.

- Ja ci w tym

to było moje dziecko?

;ty nawet gotować nie potrafisz.

Nie mo; wszystkim cię wyręczać - złościła się

ratować sytuację.

- Verity powiedziała...

Dotty odwróciła się gwałtownie w jej kobieta nie ma nic do powiedzenia.

dużo z nią rozmawiasz, Bree.

Wręcz

iej przyjeżdżała do miasta.

Niech soi w lesie w swojej norze i do nas nie przymożemy jej zabronić, ale żeby wręcz zaiparsknęła z oburzeniem.

- A tych jej tak nikt nie kupi, nie musi się fatygować.
tkich irytuje.

Ciekawe, po co pokazywan weselu?

Uważam, że powinnaś zrobić

k. Nie zadawaj się z tą wariatką, Bree.
comu nie szkodzi - rzekła Jane, zanim
ją przed tym powstrzymać.

/jak się na tym znasz.

Wysłuchujesz tych

nic cię w tym nie razi.
wi te rzeczy, żeby nas zaszokować.
żby? Kto ci powiedział?
rąciła Bree.
tchnęła.

- Bree, dlaczego opowiadasz rzeczy?

Ona w to wierzy.

matce prosto w oczy, Jane powiedziała: - się z nią rozmawia, sprawia wrażenie, że i.

247 .

- Tak?

I ten pomysł adopcji też wziął mój z tą wariatką?

Boże chroń nas pn.

ludźmi.

- Niecierpliwie podniosła się ze Ja już wychodzę.

Pośpiesz się, Jane.

Czeka bie przy samochodzie.

Gdy Dotty odeszła, Bree lekko dotknęła przyjaciółki.

Jane szepnęła drżącym głosem.

- Pewnej doprowadzi do tego, że zrobię coś strasznego widzę jej.

∴

- Ona nie zrobi ci krzywdy - pocieszyła ją Jest twoją matką.

Jane nagle objęła ją serdecznie.

- Przepras Wiem, że nigdy nie miałaś matki.

Rzeczywiście, że mnie egoistka.

- Gdybyś choć trochę myślała o sobie, już byś się stąd wyprowadziła.

Złóż wniosek o pl do studium grafiki artystycznej.

- Grafiki artystycznej?

- Jane wyglądała ni rażoną.

- To tylko marzenia.

- Może się spełnią.

Złóż podanie.

Czuję, że staniesz.

3

- Nigdy przedtem tak nie mówiłaś, f

- To źle, że wcześniej o tym nie pomyślałam.1

- Mam trzydzieści pięć lat.

Będę najstarsza w j

- Na pewno nie będziesz najstarsza.

A naw byś była, to co z tego?

Potem będziesz wolna.

- Jane!

- zawołała Dotty, stojąc w drzwi.

Bree przytrzymała przyjaciółkę za rękę.

Dyplom.

Zawód.

Praca.

Możesz mieć to powtórzyła.

- Będziesz wolna.

Jane wyglądała na przestraszoną.

- Pomyśl o tym.

Jane skinęła głowa i pobiegła do Dotty.

Na, wróciła w połowie drogi.

- Nie słuchaj tego,

248

- rzekła z gniewem.

- Musisz Będziesz najlepszą matką na

mię miał dzieci, bo nie chciał żegnać feieciństwem.

Ten powód nie trafiał ania.

Pomyślała teraz, że przy suroi jakie odebrała w swojej rodzinie, lat musiała być dorosła.

Ja bezdzietna, bo tak ułożyło jej się szczęścia.

Bree uznała, że ten powód BI nie ma zastosowania.

Jej szczęście miejsce były wymarzone do rodzenia t okazał najlepszym mężem, jakiego abrazić.

Kochali się i nie mogli narzeliędzy.

się to, co powiedziała Julia, która r ciąży.

Bree nasłuchiwała się od innych asznych rzeczy o porodzie.

Dla Julii problemu.

Kwaciarka miała też rację n z pewnością przyjmie ojcostwo jak o.

Pragnął rodziny bardziej niż czegocie.

chciała.

Jane miała rację.

Byłaby docha dzieci.

Kocha Toma.

Umiałyby .

To brzmiało sensownie.

ae wyglądało tutaj dobrze, to realizacja lia.

Jeżeli doktoysię nie pomylił, natuv ciążę mogło być niemożliwe.

Jedyną wypowiedzenie życzenia.

mogła traktować poważnie obietnicę, świetlistą postać?

Nadal nie wiedziała, są prawdą.

Ogień mógł być dziełem

249 .

przypadku.

Kobieta spotkana w zajeź Dwa życzenia spełnione?

Czy może za

Bree pomyślała, że i tak warto spróbować dzieć życzenie i poczekać.

Jeśli nic się nie będzie pewna, że tylko jej się przyśniło, że (taką obietnicę.

Wtedy będzie mogła adopt

Ale jeżeli życzenia są prawdą i pozostało j ko jedno?

Co wtedy?

Może potem żyć z Tomem i jego dzieckiem i codziennie dzi gu, że miała odwagę podjąć ryzyko.

Albo i

Tego nie da się przewidzieć.

Nie ma żadn , nienia obawy, że umrze po spełnieniu trzeciego Nawet nie wiedziała, skąd jej to przyszło do, siała jednak rozważyć tę możliwość.

Dać żyi wydawało się czymś pięknym, ale skazanie n sierocy los mogło graniczyć z okrucieństwem.

stała bez matki, wiedziała, jak to jest.

Chociaż...

miała w Panamie wielu przyjaciół.

cudowny ślub był tego najlepszym dowodem.

Tom, silny i zaradny, w niczym nie przypominał da.

Gdyby musiał samotnie wychowywać dziec by liczyć na pomoc i życzliwość.

Oczywiście nie chciała umierać.

Pragnęła mem, patrzeć, jak jej maleństwo się rozwija.

nie podejmie ryzyka, może wcale nie mieć dzi

Co mam robić?

- zapytała światłości, ale stała odpowiedzi.

- Czy te życzenia są praw znajdę dość odwagi?

- pytała.

W końcu dojrzała w niej decyzja.

Miłość bez wydała jej się niekompletna, niedoskonała.

Im b próbowała wyperswadować sobie ten pomysł, tymdziej pragnęła mieć dzidziusia.

Któregoś dnia wybrała się z Tomem na zebr gdzie jej mąż zabierał głos w dyskusji na temat no\ systemu służb komunalnych.

Mówił, stojąc z ręk

250

ruszał palcami, żeby zabawić dwoje ców, które akurat siedziały za nim. yinna omówić z nim tę sprawę.

Ale jęto decyzję.

Miała dość przesadnej tkiwania najgorszego.

Nie chciała żyć

is. w ostatnich dniach przepełniała ją najpiękniejsze chwile w jej życiu.

Pan-zez różowe okulary.

f dać Tomowi dziecko, stało się jej obla je sobie, ilekroć zamknęła oczy.

Wi ężień tak wyraźnie jak na jawie.

I wtęsię ryzyka.

dnia, kiedy wrócili z zebrania.

Zanim .

Toma w łóżku, weszła do łazienki.

d brodą.

Mocno zacisnęła powieki mieć jego dziecko.

- Widziała jasne ta te słowa: - Chcę dać mu dziecko.

ro czasu, a ona stała w łazience, drżąc e tłukło się w jej piersi jak oszalałe.

Baidnak stało się.

Życzenie zostało wypomogła tego cofnąć.

łbie, jak unosi się ponad sufit na spot.

Luminescencja stała się tak silna jak dnak stopniowo rytm serca wracał do zastąpił spokój.

Wzięła głęboki odła włosy, wygładziła koszulę nocną do łóżka.

ńtej nocy.

Ich ciała płonęły szczęściem.

s powiedziała.

Ani wtedy, ani nawet tygodniu, kiedy wykonany w domu test

251 .

potwierdził jej nadzieję.

Wiedziała, że życzenia zaty się prawdą.

I nie czuła już niepokoju.

Pe decyzję, której nie można było cofnąć.

Tom miał dużo pracy.

Cały czas był czymś zaji Przygotowywał teren pod garaż, pracował w o dzie...

I w tym natłoku przeróżnych zajęć dop po miesiącu zapytał ją o miesięczkę.

Wyliczyła bie, że mniej więcej w tym czasie powinien o te pytać.

Zawsze opiekował się nią, kiedy czuła się i najlepiej.

- Jak mogłem tego nie zauważyć?

- Bo nie było - powiedziała podekscytował Opóźnia się.

Nagle wzmógł czujność.

- Jak bardzo?

- Dwa tygodnie.

- Słyszał w jej głosie podnie nie.

- Co o tym myślisz?

- Powinnaś zrobić test.

- Zrobiłam.

Wyszedł dodatnio.

Ale przecież le mi mówił, że to niemożliwe.

Tom nie próbował ukryć ekscytacji.

- Lekarze czasem się mylą - powiedział.

To śnie pragnęła od niego usłyszeć.

- To nie była pierwsza pomyłka tego rodzaju.

Dzwoniłaś już swojego lekarza?

Skinęła głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Co mówił?

- Wyzaczył wizytę za dwa tygodnie.

Wtedy l dzie już mógł ustalić na podstawie badania.

Nie n wiłam, bo nie chciałam na próżno robić ci nadzieLI Paul Sealy uważa, że może być jakąś inna przyczyna.!

Twierdzi, że byłby to prawdziwy cud, gdybym w ciąży.

252

[ja w ramiona.

- Jeśli test wyszedł pozytywnaczy, że Sealy się myli.

ła głową, uśmiechając się szeroko.

A dłoń na jej brzuchu.

- Czy odczuwasz to isposób?

- zapytał.

gała, że podjęła słuszną decyzję.

Tom miał taką kby dostał najpiękniejszy prezent na świecie.

dęła jego dłoni.

- To jest jeszcze za małe, ac.

Ale od samego początku mam wrażenie, niało we mnie w środku jakieś dużo cieplejsce.

czego mi o tym nie powiedziałaś?

- zapytał

byłam pewna.

Czułam szczęście, miłość.

Tu [lodzić o coś innego niż ciąża.

Bzytulił ją.

- Bree, sprawiłaś, że moje życie tak ię odmieniło.

Nie wiem, czy kiedykolwiek potra odwdzięczyć.
się deszcze.

Tom i Bree spędzali razem i.

Często siedzieli na ławeczce przy wodo" Słuchali plusku wody, wdychali mocno zallżając się do życia ziemi.

Obserwowali ptaki ące z ciepłych krajów.

była szczęśliwa już przedtem, ale te dwa tyISadały jej szczęściu nowy wymiar.

Tom rozit ją jeszcze bardziej, co wydawało jej się zuliemożliwe.

Dzieliła z nim radość spełnienia.

{ Oczywiście Bóg stworzył mężczyznę i kobieiu prokreacji, to uśmiechał się do nich.

Teraz Mnę życie było tak bogate i piękne, że Bree fchciała kłuć się szpilką, żeby sprawdzić, czy

Tom nie wątpił w ciążę ani przez chwilę.
W wydarzyło się od tamtego październikowego było nieoczekiwane.
I dziecko było jeszcze downą niespodzianką.

Ale jakież to było wspaniałe!

Kiedy Tom br;

dawało mu się, że jest najszczęśliwszym m świecie.

Widział ją w kościele, piękną jak mai żył jej na palec obrączkę.

Byli małżeństwem miesiące i znali się tylko pół roku.

A teraz to.

Dziecko.

Ukochana dziewczyna i ich wspólne dzi szczęście okazało się jeszcze większe.

Aż było uwierzyć.

Paul Sealy nie posiadał się ze zdumienia.

jąć do biurka po zbadaniu Bree potrząsał i mruczał pod nosem: - Jak to wyjaśnić?

I możliwe.

- Od dwudziestu lat specjalizuję się w ginei - zwrócił się do nich.

- Oczywiście pojaw wiele nowych spraw.

Ale tego typu problei pojawił się u pani, znamy już od dawna.

Taka ej a zawsze powoduje, że na narządach rodny wstają blizny.

To daje efekt podobny do ani cecpcji.

W niektórych przypadkach pc interwencja chirurgiczna, ale rzadko.

- Przy;

się Bree.

- Gdybyśmy sądzili, że u pani to po zasugerowalibyśmy to.

Nigdy nie narażałbym na męczarnie świadomości, że jest pani bezpł gdyby szansę na zajście w ciążę były większe niż mek procenta.

254

m iedną z bardzo niewielu kobiet, iżę mimo takich zrostów?

,da.

pewien, że to ciąża?

- zapytał Tom.

że chciał znowu usłyszeć zapewnieJcie, że jestem pewien - rzekł dokitrząsnął się ze zdumienia.

- Występtomty.

Sześć tygodni ciąży...

Hm...

napędziłem państwu stracha....

Naroi.

fe, pomyślał Tom.

Mało brakowało, żeAała za niego wyjść.

I to tylko dlatego, tawili złą diagnozę.

Miał ochotę im podać do sądu.

Wiedział jednak, że cliłaby na nic takiego.

Teraz stała się godności.

ty już martwić się o przyjście na świat ta pogodnym głosem.

f z nią ten optymizm, gdyby tylko wie li.

- To nie działało jak środek antyzapyał doktora.

liej nie w takim stopniu, jak się tego Myślę, że możemy planować cesar!

a przecięta i nie miała dość czasu na ac.

Nie chcę, żeby podczas wysiłku po biła się przepuklina albo coś jeszcze sarskie cięcie nie jest teraz żadnym "fie dajemy całkowitego znieczulenia.

ręgosłup załatwia sprawę doskonale.

które rodzą...

- Przerwał.

Wrócił do - A ja byłem taki pewien...

- Poi mówił dalej.

- Wygląda na to, że

255 .

wszystko tutaj jest w porządku.

Pani w najlepszym porządku.

Zdumiewająco konwalescencja.

Bree spojrzała z wdzięcznością na Toma zawdzięczała tak szybki powrót do zdrowia.

Sealy sięgnął po długopis.

- Codziennie brać witaminy, zdrowo się odżywiać.

Będ dzieć się raz na cztery tygodnie, a od ósmej ca trochę częściej.

Spojrzał na jej dane i w) darz.

- Możemy się spodziewać...

Czubkiem długopisu liczył tygodnie ci za dużo - powiedział, śmiejąc się.

Podniósł;

- Wyliczyłem, że dziecko przyjdzie na światu Bożego Narodzenia.

Powiedziałbym, że jest jakaś magia.

Powiedziałbym, że jest w tym jakaś magia...

wtarzał sobie w myśli te słowa, gdy jechali z Asl do domu.

I ogarniała go coraz większa obawa.

Nie mógł zapytać o to Bree.

Całą drogę papli nakręcona, śmiała się, promieniała szczęściem. się podobało.

Ale te słowa nie dawały mu S] "Jakaś magia".

Musiał to wiedzieć.

- Bree?

- A jeśli będzie chłopiec...

- odezwała się ro;

rzonym głosem.

Musiał się uśmiechnąć.

- Tak?

- Będzie podobny do ciebie.

- Może też być podobny do ciebie - przypoi

- Nie - jęknęła, potrząsając głową.

- Chcę ti go małego Toma.

Maty Tom.

Myśl ta wbiła go w dumę.

Ale zaraz wu wrócił strach.

- Bree?

256

eo Tboomas, dobrze?

Thomas Gates,

lepiej, gdyby miał własne imię.

U mo je często powtarzało się imię Wyatt.

wwtórzyła Bree.

- To piękne imię.

ie dziewczynka, to nazwiemy ją Chloe.

czyją cześć?

i po prostu podoba mi się to imię.

ładnie brzmi.

Kiedyś marzyłam o tym, imię na Chloe.

Ale nie mogłam zre.

To jedna z bardzo niewielu rzeczy, jej inamie.

że od zdarzenia w zajeździe jeszcze o inatce.
- To ona nazwała mnie dla mnie to imię.
Moi dziadkowie nie nienia.
To była jedyna rzecz, w jakiej ojciec zawsze uważał, że Bree jest musiało być jakieś
zdrobnienie...
od cze..
Brianna albo Brittany.
A może Bridt wyobrazić sobie mnie jako Bridget?
trzyinał się na poboczu.
! stało?
- zapytała z niepokojem.
ik i odwrócił się do niej.
- Muszę kodyć.
Bree, czy wypowiedziałaś życzenie dziecku?
Soczami, zaskoczona.
- Oczywiście, że się raz powtarzałam to życzenie.
To nę najbardziej na świecie.
iedziałaś życzenie?
Przesłaś przez ten denerwował się
co powiedział doktor Sealy.
To, co mi }o nieprawdopodobne.
Nie miałam in257 .

- Och, kochanie - jęknął, czując paniczny Objął ją.

Przymknął oczy.

- Dlaczego, Bree?

Dla go to zrobiłaś?

Zacisnęła palce na jego flanelowej koszuli.

Mc teraz tak szybko, jakby próbowała także przekonać ją siebie.

- Ponieważ ty będziesz najlepszym ojcem (a ja chcę mieć dziecko.

I jeżeli miałam dane trzy życie, to musiałam je wykorzystać.

Zresztą nie wiem, mam pewności, co będzie, gdy spełni się trzecie życie nie.

Wcale tego nie wiemy.

W każdym razie im wii o tym myślałam., tym bardziej wydawało mi się, że nieprawda...

Zaszłam w ciążę, bo oboje bardzo tego chcieliśmy.

Bo tak się kochamy, że ta moja operacja mogła powodować bezpłodności.

Bo nasza miłość jest silniejsza niż skutki operacji...

Tom parsknął śmiechem.

- O Chryste, medycy wysiada przy tak logicznym myśleniu.

- Ja to mówię poważnie.

- Ja też.

- Tom przestał się śmiać.

Zawładnął nim przeraźliwy zwierzęcy strach.

- A jeżeli się mylisz?

Jeżeli te życzenia są prawdą?

Jeżeli to, co mówiłaś o trzech życzeniach, okaże się prawdą?

To co wtedy?

Jeżeli to naprawdę znaczy...

- Nie mógł skończyć tego zdania

- Nie zamierzam umierać - powiedziała cichym głosem.

Brzmienie tego słowa znowu wyzwoliło w nim lei Objął ją.

Wtulił twarz w jej włosy.

- Jeżeli coś się zdarzy, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nie chcę żyć bez ciebie.

Nie potrafię.

Jesteś moim największym szczęściem.

-3

- Nie myśl tak - potrząsnęła głową.

Jednak on wierzył w to, co mówi.

- Jesteś moim szczęściem i moją drugą połową.

Moim sercem i duszą.

Moją świadomością.

Przy tobie czuję spokój, którego przez całe życie nie mogłem zaznać.

258

zostań!

- krzyknęła.

i to mówię szczerze.

Kocham ciebie, a nie dziecko; potrzebuję dziecka.

Gdybyśmy mogli żyć razem chociaż ostatnie miesiące, byłbym szczęśliwy.

Dziecko istniało u ciebie.

(epchnęła go gwałtownie.

Oczy jej rozblęły gniewnie Nie mów tego.

Nie myśl w ten sposób.

To za to przypomina mi mojego ojca.

On zawsze mi wyłał, że kochał moją matkę, a zamiast tego miał nie chcę, żeby moje dziecko dorastało w takiej ferze...

ś z niej wyparowała.

Teraz Bree patrzyła na ToBpło i błagalnie.

- Czy nie widzisz?

Ono będzie (a eady nas obojga nie będzie już na świecie.

Wszysizemy, Tom.

Wcześniej czy później, ale wszyscy.

kiął łzy w jej oczach i musiał się poddać.

Wszyscy kiedyś umrzemy - powtórzyła.

de chciałbym, żeby to nie było już teraz.

b będzie później.

łałuję, że przedtem ze mną nie porozmawiałaś.

łysiał, że mógłby jej zasugerować, że może zająć ?

bez wypowiedzania życzenia.

I znowu poczuł czywiście kochali się od listopada wiele razy.

f nie zakładał prezerwatywy.

I ona też w żaden się nie zabezpieczała.

Nie brała żadnych środków!

sobie teraz z tego sprawę.

ie zgodziłbyś się - powiedziała Bree.

piyba nie.

I musielibyśmy się kłócić.

Tom, przemyślałam to idnie.

Wzięłam pod uwagę wszystkie możliwe arBty.

Zastanawiałam się, co będzie dla nas naj?

Czy próbować, czy nie.

A może z tym poczeMe może się zdarzyć, że czas minie i potem ; już za późno.

Poza tym - uśmiechnęła się - s ciało.

259 .

Chciał być na nią zły, ale nie potrafił:
kochał.

Westchnął tylko.

- Trudno, już steś w ciąży.

"

Znowu spojrzała na niego rozświetlonymi - Taka jestem szczęśliwa - powtórzyła.
Tom był człowiekiem myślącym.

Mało człowiekiem rozważającym wszystko wszech Jako prawnik odnosił dzięki temu wiele s

Potrafił spojrzeć na sprawę z różnych punktu;

nią. Rozważyć każdy argument, przyjmując odp strategię.

Teraz też próbował analizować fakty.

MusiałH czy trzy życzenia są prawdą.

Zeznanie inspektora dotyczące przyczyny nie mogło świadczyć ani za, ani przeciw.

Podofc zdziwienie doktora, że pacjentka zaszła w ciąży(konującym dowodem mogła tu być
kobieta z z Tom postanowił odnaleźć ją za wszelką cenę.

dowiedzieć się, czy istotnie była to matka Bree.j

ZIAŁ CZTERNASTY

I jak najlepsze intencje.

Znał dobrą agencystyczną.

W czasie kiedy jeszcze pracował gk, wielokrotnie korzystał z jej usług.

Za; przedstawił sprawę.

go samego dnia otrzymał pierwszą porcję

ane o matce Bree, pochodzące ze szpitala w Chicago, prowadziły donikąd.

To je albo kobieta podała fałszywe nazwisko,

prótko mieszkała pod tym adresem.

agencji dalsze poszukiwania.

Kazał łowym Jorku kobietę, która prowadziła mercedesa, która podróżowała do l celach
służbowych i być może była

ak działało się tyle różnych rzeczy, że Tom Htrial o tej sprawie.

Przede wszystkim zroaiła pogoda.

Był środek maja.

Kwitły ja/a znowu stały w zieleni, trawa przybrała

ay kolor, l roboty.

Musieli zbudować garaż na dwa

wstawić w pkna siatki zabezpieczające ą owadów.

Podciąć gałęzie, które rozrosły y światło.

Czekały na nich pierwsze pra?

Koszenie trawy.

Rok temu te wszystkie .

zajęcia wydawały się Tomowi najlepszą terapią.
zaś były przyjemnością.

Drugim powodem, dla którego przestał myśleć (tęsknił o matce Bree, była właśnie jego żona.

mógł martwić się o przyszłość, gdy ona cały czas] mieniała szczęściem.

Nie mógł pogрузić się w cza:

rozpaczy, gdy oczy Bree błyszczały radością.

Jego 3 na chodziła roześmiana - pomimo porannych nt ności, potem pomimo zmęczenia.

Skróciła czas pr do czterech godzin.

Dzięki temu prawie cały dzień!

ła przy nim.

I nie pozwoliła mu się martwić.

Nie d mu myśleć o tym, że może zdarzyć się coś złego.

Px bała mu się taka radosna i ożywiona.

Ich miłość ro z każdym dniem, jeżeli to w ogóle było możliwe.

Trzecią rzeczą, która odciągnęła od poszukiwa matki Bree, okazał się...
telefon.

Dzwonił coraz cz ciej.

Zgłaszali się ludzie nie tylko z Panamy, ale r nież z pobliskich miasteczek.

Znajomi, ich rodź i przyjaciele, a także niewielkie prywatne firmy.

Pro o poradę prawną.

Najczęściej przychodzili do Toma sprawami, z którymi miejscowi prawnicy nie dawali s bie rady.

Ich problemy stanowiły ciekawe wyzwank Tomowi coraz bardziej podobało się rozwiązywani tych intelektualnych zagadek, tak bardzo związanyd z życiem.

Czasem od razu udzielał porady.

Niekiedy ja kas sprawa wymagała głębszego zaangażowania.

Wów-1 czas siadał do komputera, opracowywał plan działania, notował pomysły, które mogły okazać się skuteczne.!

Następnie odsyłał klienta do Martina Sprague.

Martin mile go zaskoczył.

Pracował jak mrówka.

Można było na niego liczyć we wszystkim, co nie wy magało kreatywności.

Tom był bardzo zadowolony z takiego podziału pracy.

Trzeba jednak dodać, że ni gdy nie brał od klientów pieniędzy za porady.

I w każ dej sytuacji dbał o to, by nie podważać autorytetu

ia. Należał teraz do społeczności Panamy, ,zkańcy miasteczka zawsze sobie wzajemnie poi.

Robił teraz dużo dla ludzi, a wiadomo, jak) pragnął stać się użytecznym.

rartą rzeczą, która odciągnęła jego myśli od / trzech życzeń i próby odnalezienia teściowej, Kiego rodzina.

Pragnął gorąco powiedzieć im ?

i o dziecku.

Bał się jednak panicznie, że ojciec i odłoży słuchawkę.

I wtedy wpadł na pomysł pilistów.

rwsze były bardzo krótkie i rzeczowe.

I kupił aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia.

e wkładał do listów.

Pisał do ojca mniej więcej raz eń.

Nie oczekiwał odpowiedzi.

Po prostu miał nadzieję, że któregoś dnia ojciec odezwie się do niego.
W atografiach była Bree.

Na jednej nad strumyną, a na drugiej przy świeżo odnowionej werandzie.
-w którym mieszkali, panorama miasta...

I zamieszczał pozdrowienia dla swoich braci i listy dla Alicji.

z siostrą rozmawiał od tego czasu kilka razy chłopca.

I, co najdziwniejsze, ojciec przyjątkowo dobrze.

Może rzeczywiście złagodstarość.

Podziękowała Tomowi za wielką kolekcję ubrań, którą wysłał, ale nie zago na
chrzciny.

Winniej za to.

Byłaby to świetna okazja, by pojechać z rodziną.

Jeśli jednak Alicja obawiała się, że musi czekać.

koniec czerwca detektyw poddał się.

Nic już nie mógł zrobić.

Zdobył informacje o kościele w Nowym Jorku, która miała czerwonego .

mercedesa, ten sam model.

Bree jednak nie TOZ{ znała jej na zdjęciu.

Detektyw spodziewał się tej porażki.

- Nic dzi nego - powiedział.

- Ten samochód mógł należeć do jej męża albo do szefa.

Mógł być wypożyczony, i Sprawdziłem hotele w Montrealu.

Nie znalazłem da- i nych o samochodzie tej marki.

Niestety w droższych hotelach nie podają w tej chwili żadnych tego typu in- formacji.

Klienci bronią się przed ingerencją w ictf prywatne życie.

Czasy zmieniają się.

Tom, i teraz co-!"

raz trudniej coś wywęszyć, i

Tom nie rozczarował się tak bardzo, jak się tego oba- i wiał.

Raczej próbował wytłumaczyć brak informacji na swoją korzyść.

Wyglądało na to, że kobieta w zajeździe j była przypadkowym gościem.

W takim razie drugie ży czenie Bree nie spełniło się.

To oznaczało, że do ciąży doszło w sposób naturalny.

Pożar mógł powstać przy padkowo.

Nie musiał mieć nic wspólnego z wypowie dzeniem życzenia.

Trzeźwo myślącemu człowiekowi znacznie łatwiej było przyjąć taki punkt widzenia.

Nadal jednak zachowywał ostrożność.

Zebrał opinie wybitnych specjalistów z Nowego Jorku.

Zgodzili się z Sealym i Meadem, że szansę, choć bardzo nikłą, jednak jakieś były.

Obejrzawszy uważnie wyniki badań, orzekli zgod nie, że Bree jest zdrowsza niż wiele innych ciężar nych.

Zapewnili Toma, że jego żona ma silne i zdro we serce.

Nie widzieli żadnych powodów, żeby poród musiał odbyć się w Nowym Jorku.

I Tom chyba w jakiś sposób odrzucił teorię trzech ży czeń.

Znacznie łatwiej przyszło mu przyjąć naturalne wyjaśnienia tego, co się zdarzyło.

Poza tym bał się tego, co miało nastąpić po spełnieniu trzeciego życzenia.

Wo lał w to nie wierzyć.

Kochał Bree i chciał z nią spędzić całe życie.

Myśl o rozstaniu napawała go przerażeniem.

264

iTferaz prawie cały czas byli razem.

Nawet gdy Bree ; do pracy.

Tom z trudem wytrzymywał w pustym BU.

Wpadał do zajazdu kilka razy dziennie, tam t obiad, a po posiłku czekał na żonę, żeby ją przyzeć z pracy.

Już teraz rzadko się zdarzało, żeby siejał sam przy stoliku.

Przysiadali się do niego przy jcie Bree, a także jego nowi znajomi.

Często ono go o poradę prawną.

Był już z tego słynny, no go, zadawano wiele pytań.

Na te łatwiejsze yia dał od razu, zadowolony, że może komuś się ać.

Trudniejsze notował na serwetkach.

Bree znalazł bratnią duszę.

Teraz oboje całym cm byli związani z miasteczkiem.

Mieli podobny b myślenia, cieszyli się tym samym.

Bree już iniej odnalazła spokój i własny styl życia.

Uczył go od niej.

 itynktownie wyczuwała jego pragnienia.

Nigdy item nie czuł z nikim takiej więzi duchowej.

chciał zatopić się w lekturze, wyciągała książki.

Kiedy czuł głód, ona też chciała jeść.

Gdy pomyślał, żeby wybrać się na spacer do lasu, yalo się, że Bree już wkłada buty.

A kiedy po wiła wyjść na dwór opalać się, zanim pisnęła tówko, on już wystawiał leżaki.

Chodzili boso wie i całowali się wśród kwitnących krzewów.

"rozmawiali, śmiali się, poznawali się wzajemzadko się zdarzało, żeby nie zgadzali się w jawawie.

Miał wspaniałą żonę i potrafił to doce

 sc przyniósł cieplejsze dni i bogatszą zielen.

ięto niepodległości kolorowe fajerwerki zdobiły ad Panamą, dając początek nieskończenie wielu

265 .

imprezom.

W parku organizowano koncerty niebem.

Panamianie, usadowieni na trawie i kocach, słuchali szkolnej orkiestry albo kwar rów.

Były też gry zespołowe na szkolnym b grill w parku na tyłach ratusza.

Nawet wówczas planowano żadnej imprezy, Panamianie grom:

w parku, ciesząc się latem.

Tom kupił profesjonalny aparat fotograf w jego rękach potrafił zdziałać cuda.

Fotogr, z profilu przy wschodzie słońca, z ręką na po brzuchu.

Potem znowu Bree z rozmarzonymi w dązowej sukience.

Sama przyznała, że trochę śnie zaczęła ubierać się w tego rodzaju rzeczy, alei je były już trochę za ciasne.

Poza tym czuła się dum go, że jest w ciąży, i chciała pochwalić się caiemul Tom fotografował ją w każdej możliwej pozie i w k miejscu.

W zajeździe z Flashem i LeeAnn.

Na w ogrodzie z Jane i Julią...

Zajazd oferował latem świeżą lemoniadę, ir jogurty i cappucino z lodem.

Dania firmowe składały się teraz z zimnych sałatek i przekąsek.

wiono stoliki na zewnątrz i rozpięto nad nimi kolorowe parasole.

Słychać było pracujące li zraszacze trawników i wesołe pokrzykiwania ków.

Pachniała rozgrzana trawa i kurczaki piecza różnie.

Jednakże dla Tbma największą atrakcją se był kolorowy samochód, w którym sprzedawano) naście rodzajów lodów.

Sygnal dźwiękowy tego pój:

wywabiał z domów chmary dzieciaków.

Mniej więcej w połowie sierpnia zadzwonił M!

Sprague i zaprosił Toma do swojego biura.

Fretek do spotkania była sprawa, którą prowadził Mi

266

Tom podsunął ciekawe, skuteczne rozprozycji wspólnego omówienia tematu może nic dziwnego, ale Martin nigdy ie zapraszał Toma do siebie.

i adwokacka mieściła się na piętrze buicego do banku.

Zajmowała dwa nieduże

wszy z nich powinien być przeznaczony

a, przynajmniej tak wydawało się TomoMartin urządził swój gabinet.

Okna wyirk.

W biurze czuć było stęchlizną, staryi kurzem.

Panował tu upał, widocznie

klimatyzacja.

Szumiał umieszczony pod rłator.

Tylko komputer, stojący na sza ntę, wyglądał na coś nowego.

iział przy biurku, zawalonym stertami

r. Był bardziej zapracowany i zmęczony, się spodziewać.

Wskazał gestem jedno Iniośl się zza biurka.

Wyjął chusteczkę ola.

Potem schylił się i otworzył szafecziterem.

Okazało się, że jest to niewielka Fapijesz się czegoś zimnego?

niewiele pomagał.

Wszystkie cztery arte, ale powietrze stało w miejscu.

bie podkoszulek i drelichowe krótkie sm mężczyźni w Panamie zawsze tak rko Martin nosił garnitur niezależnie Tego dnia na szczęście nie miał na soi, lecz koszulę z krótkim rękawem.

6 piwo?

- zapytał.

butelki, jedną podał Tomowi.

Wziął do

dokumentami.

- To sprawa Ulricha -

- Mam tu zapisane twoje sugestie.

MuCi rację.

To standardowy przypadek dyspowodu wieku.

Klasyczny przypadek.

267 .

Ale ja dalej nie mogę prowadzić tej sprawy.

Nie jestem kompetentny, żeby bronić go w sądzie.

M powinienem zadzwonić do Herricka, do Montgon ry.

To jednak nie ma sensu.

Przecież mieszkasz w I namie i wyglądasz na to, że zamierzasz tu pozostać. Chyba się nie mylę?

Tom widział, że Martinowi niełatwo jest prowadzić tę rozmowę.

A jednak nie był to już ten sam mężczyzna, który ostrzegał go parę miesięcy wcześniej.

I razem jego lęk ustąpił czemuś, co można nawet nazwać życzliwością.

- Zostaję w Panamie.

Martin odsunął dokumenty dotyczące sprawy Ucha.

Wziął teraz jakąś inną teczkę z papierami.

Natomiast patrząc na Toma, rzekł szorstko: - Zebrałem o tobie trochę informacji.

Masz na swoim koncie ponad pięć?

lat praktyki w Nowym Jorku.

Nie musisz robić żadnych dodatkowych uprawnień, żebyś mógł pracować w Panamie.

Miejscowe stowarzyszenie prawników przyjmie cię bezwarunkowo.

Jesteś uzdolniony i przez ostatnie trzy miesiące umiałeś pokazać się od najlepszej strony.

- Oparł się wygodnie.

Podniósł butelkę z piwem, ale nie wypiłszy ani łyka, postawił ją z powrotem.

Oparł łokcie na leżącej przed nim papierowej teczce.

- Co zatem zamierzasz zrobić?

- zapytał, nadal odwracając wzrok od swego rozmówcy.

Tom poczuł się ogłuszony.

- I nie wmawiaj mi, że nie znasz lokalnego prawa - burknął Martin.

- Przez te parę miesięcy odwaliłeś dla mnie kawał dobrej roboty...

Lokalne prawo...

- skrzywił się.

- Do licha z tym.

Prawo obowiązujące w Stanach Zjednoczonych staje się coraz bardziej ujednolicone.

Tym się nie wykręcisz.

I nie pleć bzdur, że coś tam nie jest twoją specjalnością, bo przez ten czas wykazałeś szeroki wachlarz zainteresowań.

Dałeś

radę z prawem patentowym, uratowałeś firmę płaceniem zawyżonych podatków...

na pił zimne piwo.

Czuł, jak szybko bije mu serce.

- ; przyjechałem tu z zamiarem prowadzenia praktyki okackiej.

To ty tak twierdzisz.

Nie chciałem ci w niczym zaszkodzić.

W końcu machnął rękę z rezygnacją.

- Wolisz się ować ciekawszymi rzeczami.

Ludzie nadal przyją do mnie z testamentami, podatkami i problemami z ratami za dom.

Ale jeżeli nie będę umiał pomóc im w innych sprawach...

- Spojrzał yopotaniem na leżące przy komputerze papiery.

I jasne, że wtedy pójdą do kogoś innego.

- chwilę patrzył Tomowi w oczy, po czym znowu rucił wzrok.

- Miałbyś u mnie udział i mógłbyś mieć swoje.

Wiesz, co mam na myśli?

I Wydaje mi się, że tak.

Do licha, jeżeli ten pomysł nie wypali, ktoś inny rzysta sytuację.
Zdecydowanie wolałbym widzieć miądze u nas w kieszeni.
Oczywiście zyski będą du(dejsze, niż miałbyś w Nowym Jorku.
I co ty na to?
lie myślałem o tym, żeby prowadzić tu praktykę Irtórzył Tom.
irtin znowu machnął ręką.
- Już mówiłem, co (sądzę...
Ani razu za nic nie zażądałeś pieniędzy...
Się robiłem tego dla zysku.
R) nie jest najmądrzejszy pomysł.
Powiedziałem ie możemy zawrzeć umowę.
Wypełnisz aplikację Ipiisz do lokalnego stowarzyszenia prawników.
esz moim współpracownikiem.
Otrzymasz ae pieniądze, które zarobisz, po odliczeniu v.
uśmiechnął się z ulgą.
Propozycja Martina s przypadła mu do gustu.

Martin otarł pot z czoła.

- Możesz pracować w i koju obok.

Celię przeniesie się do aneksu biurowi na dole.

--

- Mam biuro w domu.

Mogę tam pracować i pr słać dane pocztą elektroniczną.

- Spojrzał na ko puter.

- Czy jest sprawny?

Martin zawahał się.

- Komputer tak.

Ja nie.

obiecuję, że poradzę sobie z tym urządzeniem.

ufam tym nowoczesnym sprzętom.

Zobacz, to pięćdziesiąte piętro drapacza chmur.

To pierwsze puj tro w budynku bez klimatyzacji.

W miasteczku, gda" nawet nie ma zawodowej straży pożarnej, tylko o dział ochotników.

Klienci nie dbają o modę, nie da im się żadnego wyboru.

Jeśli chcą zjeść obiad, to nu gą u Flasha albo nigdzie.

Może nie jest tu najlepiej ale tu też potrzebują prawników.

- Oczywiście, że tak - rzekł Tom z wyraźną ulgą.

Martin wyglądał na zdumionego.

- Nie myślałeś o tym, żeby coś zrobić w tym kierunku?

1

- Nie.

- A nie zastanawiałeś się nad założeniem własnej sa-l modzielnej kancelarii
adwokackiej?

Jestem niekompe- tentny, mogę d przeszkadzać.

Powinieneś mnie wyklu-;

czyć ze spółki, bo mam już sześćdziesiąt sześć lat.

Choć jeszcze nie tak prędko wybiorę się na tamten świat...

- Mam nadzieję, że nie - roześmiał się Tom.

- Ostatnia rzecz, jaką chcę się zajmować, to testamenty, pożyczki i wynajem nieruchomości.

Wolę trudniejsze sprawy.

- Czyli jesteś zadowolony z naszej umowy?

- Tak.

Martin wstał tylko po to, żeby uścisnąć Tomowi dłoń.

W ten sposób przypieczętowali umowę.

Nieoczekiwanie Martin uśmiechnął się.

To był dziw ny uśmiech, ale na pewno miły.

Odłożył na miejsce

kę Ulrichta.

- Istnieje coś jeszcze, czym powinieie zająć - powiedział.

Wypił łyk piwa.

Odstawił fcę.

- To dość drażliwa sytuacja.

Chce mnie za lić kobieta w Des Moines, której matka mieszka aie tutaj.

To Julia Dean.

yszawszy o Des Moines, Tom od razu skojarzył,)dzi tu o Julię.

iiiot wie o tym.

Jej syn nie tak dawno dzwonił do , Eliot podobno rozmawiał z tobą o tej sprawie.
n skinął głową.

- Mówiłem mu, że syn musi znaleźć kogoś z Des Moines, jeśli chce udowodnić jej liewierzenie spadku.

Decydował się poczekać z tym, dopóki nie zbierzemy swojej matce wystarczających dowodów Eywił się Martin.

- Dowody przeciwko własnej t - powtórzył.

- Nie wygląda to ładnie.

Stanoijej córki jest takie, że należy zatrudnić tu kogoś, ebrałby dowody jej niepoczytalności.

IShoroba psychiczna?

- Tom wybuchnąłby śmieL gdyby Martin nie mówił tego z taką powagą.

- Iprzyjaźni się z Julią.

Z tego, co widzę, jest najszą osobą na świecie.

p też zawsze tak myślałem.

Obawiam się jednak, p odmówię, jej córka zatrudni kogoś innego, kto jwyrządzić dużo zła.

Be jesteśmy psychiatrami.

6rce nie zależało na tym.

Chodziło jej raczej Łeby ktoś zobaczył, co tu siedzi ej e.

Powiedziała l mogę zatrudnić kogo zechcę do pomocy.

Dała ny wybór.

była miasteczku lubiana.

Nie tylko Flash zasię jej pracą, choć to właśnie on wypłacał jej .

regularną pensję.

Pracowała sumiennie.

Tom nie szał, żeby ktoś powiedział o niej coś złego.

Nie zażył niczego, co sugerowałoby chorobę psychiczną.
chciał jej zranić.

Zaczął od tego, że zatelefonował do jej córki z dzieją, że ją jakoś przekonana, by zaniechała tej s] wy.

Ale ona powtarzała z uporem to, co jej brat ni Eliotowi.

Twierdziła, że matka przestała być sobą.

częła się dziwnie zachowywać, odkąd umarł ojciec.

- Kiedy zapytałam ją, czy dzieje się coś złego, s tychmiast zaprzeczyła.

Ale ja znam moją matkę, pa Gates.

Ona całe życie nie znosiła podróży.

Zawsze biła siedzieć w domu.

I nagle po śmierci ojca spab ła swoje rzeczy i pojechała do miasta, w którym i go nie zna.

- Teraz zna tutaj bardzo wielu ludzi - powici Tom.

- Prawie wszyscy ją znają.

Może po prostu trzebowała odmiany.

- Przy jej konserwatywnych poglądach?

To niemoż liwe.

- Może śmierć męża zmusiła ją do tego - zgai wał Tom.

Nie próbował usprawiedliwić Julii, szukał kiegoś sensownego wyjaśnienia.

- To możliwe, j wszystko tam przypomina jej człowieka, którego b dzo kochała.

- Nie.

TU chodzi o coś zupełnie innego.

Była t zdeterminowana, jakby wyjeżdżała w jakimś określo nym celu.

I wzięta pieniądze ze spadku.

- Czy są państwo teraz w kłopotach finansowych?

Czy o to chodzi?

- Nie.

Ale co będzie, jeśli któregoś dnia będziemy potrzebować tych pieniędzy?

Ojciec zostawił je dla nas.

Mamy wystarczająco dużo, żeby nie musiała" za kładać własnej firmy.

Mogłaby w ogóle nic nie robić.

To nie jest główny powód mojego niepokoju.

272

słyszał w jej głosie rozzalenie.

Czuła się obrażolcoczona.

Nie mogła zrozumieć, co tu się dzieje.

e ma powodu do niepokoju - zapewnił.

- Pani prowadzi tu spokojne, uporządkowane życie.

.. kwiaciarnia?

u to także do niej nie pasuje?

akurat tak.

Zawsze kochała kwiaty.

Dużo cza[zała w ogrodzie.

Nie o to chodzi.

Pan chyba sgo się obawiam najbardziej?

łomyślał o Bree, która też bardzo lubiła kwiaty.

j ona ma tam jakiegoś mężczyznę?

- dopytyrka Julii.

- Tego obawiam się najbardziej, że g; za tym jakiś mężczyzna, któremu zależy na pieniądzach.

ego, co wiem, nie ma nikogo takiego.

Byłyby lotki, to małe miasteczko.

A może porozmapani z nią o tych pieniądzach? mogę.

Będzie myślała, że chodzi nam tylko materialne.

A tak nie jest.

Naprawdę chodzi

E

tgo pani ode mnie oczekuje?

Czy mogłaby pa lić to dokładniej?

ię o to, żeby wziął ją pan pod obserwację.

ji palcem nie kiwnął w tej sprawie, więc zden zapłacić za wykonanie tej roboty.

Chciała ktoś śledził ją i ustalił fakty.

iczego pani sama tego nie robi?

Mogłaby Tostu wpaść z wizytą?

ieliśmy o tym zaraz po jej wyjeździe, jednak mnie od tego zamiaru.

Miałam wrażenie, że i na rękę.

Gdy tylko o tym wspominałam, ta, że łatwiej będzie, jeśli ona wpadnie do jakby coś tu ukrywała.

nawet ma jakąś tajemnicę, nie musi to być z prawem.

273 .

- Albo wręcz przeciwnie.

Chcemy wiedzieć, dl go zdecydowała się na ten wyjazd.

Tom podejrzewał, że szczerza rozmowa matki ii łatwo rozwiąże te problemy.

Wiedział jednak,!

w sprawach rodzinnych różnie bywa.

Nie trzeba dl ko szukać.

On sam nie mógł zatelefonować do dól bo jego własny ojciec odkładał słuchawkę.

Relacje między dziećmi i rodzicami nie zawsze są proste.

sto towarzyszy temu zbyt wiele emocji.

- Muszę pani powiedzieć, że Julia ma w tym ście wielu przyjaciół - ostrzegł panią

Andersc Dała się poznać jako utalentowana kwiaciarka, o uprzejma i zycziwa.

Nie sądzę, żeby znalazła pani goś, kto podejrzewałby ją o zaburzenia umysłowe...

Tom zdawał sobie sprawę, że jeśli kategorycznie odn wi śledzenia Julii, Nancy

Andersen gotowa zwrócić fl) o pomoc do kogoś innego.

Postanowił zyskać na czasie.!

Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy - obiecał, i Mam jednak prośbę, żeby zechciała się

pani zastano Może pani Dean po prostu potrzebowała jakiejś odmiz

Tom odwiózł Bree do pracy i zaraz potem wsta]:

do kwiaciarni.

Z wiszącej na drzwiach kartki wynikałc że Julia jest w ogrodzie.

Istotnie znalazł ją pochyloną nad rabatą.

Miała na głowie dosyć już zniszczony sło miany kapelusz.

Julia Dean była atrakcyjną kobietą, szczupłą, śred- niego wzrostu.

Miała ciemne włosy lekko przyprószo ne siwizną, ale na pewno gęste i piękne.

Teraz spięła je klamrą, żeby nie przeszkadzały przy pracy.

Najpew-1 no nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat.

Tom uśmiechnął się na jej widok.

Lubił Julię, a co więcej, utożsamiał się z nią.

Podobnie jak on, przyby274

lamy, nie znając tu nikogo.

Tutaj ułożyła soVe.

Rozchwiana psychicznie?

Do licha, w tej feyglądała kwitnąco.

przywitaniu Tom wskazał na niebo.

- Będzie t Nie boisz się, że zmokniesz?

! icstem z cukru - zaśmiała się.

- Na pewno ożpuszczę.

A poza tym o tej porze roku lepiej té w pochmurny dzień.

, mamy wyjątkowo upalne lato.

się czuje Bree?

- zapytała Julia.

Nad stomapeluszem latała pszczoła.

lconale.

Właśnie zawiozłem ją do pracy.

riła mi, że poranne mdłości już się skończyły.

szcie tak.

iła krążyła teraz nad głową Toma.

nusiało być dla ciebie jeszcze gorsze niż dla eę to sobie wyobrazić.

Mężczyźni zawsze cierich żony są w ciąży.

?ki za zrozumienie.

isunęła kapelusz, żeby nie zasłaniał jej oczu.

szyedłeś po kwiaty?

I sprawę do ciebie.

- Odgonił natrętną pszczy możemy spokojnie porozmawiać?

wiecie - powiedziała.

Odłożyła narzędzia ?

e i zdjęła rękawice.

Głos jej zadrżał.

- Czy

oś złego?

ił koło niej na ziemi.

- Martin Sprague

MI od twojej córki.

inęła głową.

- Dlaczego to mnie nie dziwi?

t;? westchnieniem.

nie może zrozumieć, co cię skłoniło do przyhPanamy?

P chciała od Martina?

V wydał bezstronną opinię o twoim stanie Bym,

275 .

- W jakim celu?

- oburzyła się Julia.

Zaraz dodała.

- Nie, nie, odpowiadaj mi.

- Zsunęła lusz na ramiona.

- Poświęciłam moim dziecku lepsze lata.

I teraz nie mogą zrozumieć, że mam wo do własnego życia.

- Dlaczego tak się stało?

- Zawsze byłam nadopiekuńczą matką.

Ale Q] już dorosli.

Oboje dobiegają trzydziestki.

Żal własne rodziny, mają swoje dzieci.

Nie jestem ju;

tak bardzo potrzebna.

- Twoja córka mówi, że bardzo zmieniłaś się śmierci męża.

- Niewątpliwie.

Teddy umierał długo.

Męczył w bólach.

Miał zaledwie pięćdziesiąt dwa lata.

Koc łam go.

Poznaliśmy się jeszcze w szkole.

Miałam v dy dziesięć lat.

Po jego śmierci chciałam wyjechać jakiegoś miasta, z którym nie łączą mnie żadne wśj
mnienia.

- Dlaczego akurat Panama?

- Nie było tu żadnej kwaciarni.

- Sprawdzałaś w innych miastach?

- Nie zdążyłam.

Przyjechałam tutaj i od razu mi spodobało.

- Pszczoła podleciała do niej.

Ju z wdziękiem machnęła ręką.

- Moje dzieci sądzą, to była z mojej strony nagła decyzja.

Nie rozumieją, siedząc długie godziny przy mężu przykutym do łóźl zdążyłam wszystko
przemysleć.

Bardzo cierpiał, m siałam jakoś to wytrzymać, dodawać mu otuchy.

Jed nym sposobem było wyobrażanie sobie czegoś zupeł) nie innego.

Studiowałam mapę i zbierałam informacj o różnych miejscach.

Kochałam go całym sercem W pewnym sensie umarłam razem z nim.

Ponieważ fN zycznie tak się nie stało, musiałam coś ze sobą zrobić.

Postanowiłam wyjechać.

Czy brzmi to tak bardzo dzi wacznie?

276

nie widział w tym nic dziwnego.

lyiesz mi, jeśli będzie chciała zrobić coś więcej lawie?

głową.

naprawdę musi ich bardzo gnębić.

Oczywiście nada i nie powiedzą mi tego w oczy.

Czy to aż rkowne zaczynać prowadzenie własnej firmy ieku?

Jakbym była już jedną nogą w grobie - - Pewnie to wszystko moja wina.

Kiedy już ny, że Teddy jest umierający, pozwoliłam im ; są głównymi spadkobiercami.
Tego też nie zrozumieć.

a jest prawda?

r postanowił, że mogę wziąć tyle pieniędzy, i.

Dał mi to na piśmie.

Dokument jest i, ja mam kopię.

Dzieci nie pójda do niego, Z jest moim dobrym przyjacielem.

Będą pewna moją stronę...

Ten dom tutaj - wskazałam za to, co dostałam za posiadłość)ines.

- Na sklep musiałam wyłożyć pieniądka.

Ale nie sprzeniewierzyłam wszystkiego toęła się.

- Z tego naprawdę sporo zostało !

dzieci.

Przez wszystkie lata dawałam im, co Nawet to, co sama chciałam mieć dla siebie.

stawiałam je na pierwszym miejscu.

Teraz

wiedziałaś to Nancy?

trochę delikatniej, ale i tak nie chciała słurat podburza ją przeciwko mnie.

chciałabyś, żebym ja z nią porozmawiał?

Wyi sprawy się mają?

tch Julii rozbłysła nadzieja.

- Mógłbyś sprówspomnieć o testamencie, który zostawił

277 .

- Jeżeli musisz - uśmiechnęła się z cichą wdzięcznością.

- Jesteś dobrym człowiekiem Bree ma szczęście, że spotkała takiego człowieka. Ty.

Jej ojciec też by cię lubił.

Z tego, co świat poza nią nie widział.

- Podobno nie było jej łatwo z takim okropnym cmem.

- Rozczarowanym...

Z tego, co słyszałam.

- Chorym z tęsknoty.

Wiem, że nigdy nie zd matki.

Julia zachmurzyła się.

Jakby w jej sercu przes rzą.

- Może gdyby był silniejszym człowiekiem:

zaczęła.

Znowu spojrzała na Tom'a.

- Albo gdyby ona była silniejszą kobietą - za kawał.

- Ciekaw jestem, co sprawiło, że tak odeszła i nigdy nie chciała tu powrócić.

- Musiała mieć jakiś powód.

- Powód?

Julia sarkastycznie wygięła usta.

- Nie zawsze tak, jak nam się wydaje.

Tom.

Spójrz na siebie. miałeś jakieś swoje powody, żeby tu przyjechać.

Je dzieci nie mogą zrozumieć, że je zostawiłam.

widzisz, że nie chodzi o żadną chorobę psychiczną. Wszystko, co się wydarza, ma jakąś swoją przyczynę. Podobnie mogło być z matką Bree.

Machnął ręką.

- Dobrze, dobrze.

Trudno jednak przyjąć taką sję, która robi z niej świętą.

- Nikt z nas nie jest święty.

Prawda zawsze leży w środku.

Przysiadł na piętach.

- Co może być w środku?

Je usprawiedliwia kobietę, która zostawia dziecko i opuszcza je i znika z powierzchni ziemi.

Julia wyglądała na zakłopotaną.

- Zgoda, te;

nie wiem.

278

to nie znalazłabyś żadnego wytłumaczenia.

ta się.

- Mogła mieć inne zobowiązania - uszając ramionami.

Te zobowiązania nie są tak silne jak więź z dzieckiem.

Chyba że już miała swoją rodzinę.

, to po co wdała się w romans z Haywoodem

Widać ludzi pochopnie - odparła Julia ze - Mówisz teraz jak moje dzieci.

i prawda, że oceniam ją za surowo.

Złości neta.

Wyrzuciła Bree wielką krzywdę.

Je ta kogoś, to dlaczego związała się z Haywoodem?

Jeśli była mężatką, to dlaczego oszukała męża?

to tylko tak wyglądać z pozoru.

Nie znamy

as próbuję poznać szczegóły - rzekł Tom Iosem.

- Próbowałem ją odnaleźć, ale nie .ę.

Zrobiła diabelnie dobrą robotę, zacieraślady.

latach nie trzeba zacierać śladów.

ićjej rację.

Trzydzieści trzy lata to dość nie stosowano powszechnie komputeczasie rzeczywiście trudno było coś ustalić.

Julii szalała burza.

- Skoncentruj się na sz - powiedziała wreszcie podniesionym Zobacz, czy znajdziesz w tym jakiś sens.

10 wiemy tylko to, że ta kobieta pochobmii.

Spotkała Haywooda w Bostonie, rkę w Chicago.

yli razem przez cały czas, gdy chodziła

głosi, że tak.

zatem w tym czasie był jej mąż?

ął. - Podpowiedz mi.

279 .

Julia spojrzała na niego z przebiegłą miną.

bywał gdzie indziej.

Przynajmniej tak mi się Mógł żeglować po ciepłych morzach.

Albo zalał jakieś sprawy służbowe.

- Skrzywiła się.

stało się w latach sześćdziesiątych?

- Wczesne lata sześćdziesiąte.

- Pierwsi z naszych mężczyzn zginęli w Wiet w 1962 roku - rzekła zboląłym głosem.

Tom wzruszył się wyrazem jej twarzy.

- Wyda mi się, że to się później zaczęło.

- Nie.

Początek był właśnie wtedy.

- Uśmiecla się smutno.

- To żaden sekret, Tom.

Mój mąż był j nym z pierwszych wysłanych do Wietnamu.

Nie n żesz sobie wyobrazić.

Brak wiadomości, niepoł Znam kobietę, której mąż zginął podczas akcji.

Ca się samotna, zdruzgotana.

- Wolna i chętna?

- podsunął Tom.

- Czy to w śnie sugerujesz, że taka młoda wdówka wsco(pierwszemu lepszemu w ramiona?

- To możliwe.

Nie sądzisz?

- Jeśli nawet tak...

- upierał się Tom.

- Jeśli nav straciła męża na wojnie, znalazła pocieszenie w ramis nach innego mężczyzny, to dlaczego potem zostawił dziecko?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Chciałai tylko powiedzieć, że oceniasz ją pochopnie.

Podoi nie jak moje dzieci oceniają mnie.

Od razu zakła dasz najgorsze.

I to właśnie przypomina mi konflil z moimi dziećmi.

Może istnieje wiele rozwiązań.1 Może da się to jakoś wyjaśnić.

- Machnęła ręką.

- Nie wiem.

Ale idąc dalej tą drogą...

- Zawahaiał się.

- To może być kobieta, której powiedziano, żej jej mąż zginął na wojnie.

A potem się okazało, że to pomyłka, że wcale nie jest martwy i przyjeżdża dój domu.

Jak w filmie.

Wiesz, w życiu zdarzały siei

sze rzeczy niż w filmach.

Czy nadal byś ją

lie dał się tak łatwo przekonać.

- I tak nic jej łączy, że przez trzydzieści trzy lata milczała.

w do punktu wyjścia.

Nawet jeśli miała powód, sechać, potem powinna naprawić swój bład.

[jdnęła głową.

- Masz rację, znaleźliśmy się wyjścia.

Istnieje nieskończenie wiele możliwości, że całe dni rozstrząsać ten proki nie znamy szczegółów, nie dowiemy się, ona zostawiła swoje dziecko.

- Umilkła, Ipólcucia.

Z dziwną zaciętością gotowa była K kobiety.

- Czy wziąłeś pod uwagę, że to nie być jej decyzja?

Może ojciec Bree zabronił jej z dzieckiem.

Może kazał jej odejść.

ikiego powodu mógłby tak postąpić?

- zdziw.

ftiony w swojej dumie, rozgniewany...

Ty mi , Jesteś mężczyzną, łatwiej ci będzie go zrozuwood umarł trzy lata temu - zauważył Tom.

fcgo do tej pory nie dała znaku życia?

te też nie żyje, a może była tutaj.

t, ta kobieta w zajeździe.

Ale przecież słuchaKmowy.

I twierdziłaś z przekonaniem, że ona natką Bree.

b nie ona.

Ale, zobacz, cały czas przyjeżdża li obcy.

Pamiętasz, jaki panuje tu tłok w czaicji.

Może po prostu wpadła popatrzeć na ajechała.

ujawniając się?

emu nie?

Po tylu latach to dość ryzykowne.

sz?

wodu Bree?

Przecież to najlepsza dziewczynońcem.

Nie powiesz, że się bała.

- Nie widziałeś jej z tą kobietą.

Tom - powiła Julia z powagą.

- Była zdenerwowana, a ja nie znałam jej takiej.

- Winisz ją za to?

- Nie, ani trochę.

Ona tęskni za matką.

Ma p:

być zła.

Tom nie zdążył odpowiedzieć, kiedy spadły nimb pierwsze ciężkie krople deszczu.

Szybko pniósł się z ziemi, i

Julia wstała, otrzepując spodnie.

- Nie zadręczała tej kobiecie.

Znajduje się w trudnej sytuacji, j prawdę...

- Schyliła się, żeby podnieść motykę.

Tom wziął torebkę z nasionami.

Krople deszczu dały coraz gęściej.

Przyśpieszyli kroku, a w końcu, biegli.

Kiedy już byli pod dachem, oboje wybuchł śmiechem.

- Spójrz, jaka ulewa - powiedziała Julia, otrząsała się z deszczu.

- Ale to dobrze, rośliny potrzebują deszczu.

Mam w tym tygodniu wesele w Montgom Chcę, żeby lilie wyglądały jak najpiękniej.

- Interesy idą dobrze?

- Doskonale.

- Lubisz to?

- Tak, zawsze kochałam kwiaty.

Tom przez chwilę wyobrażał sobie Julię tan w ogrodzie.

Potem przypomniało mu się, po co przyszedł.

- Zadzwoń do Nancy i powiem o czym rozmawialiśmy.

A potem musicie się spotkać i spokojnie pogadać.

Jeżeli brat zadręcza jej:

śli, potrzebuje kogoś, kto przedstawi jej drugą stronę medalu.

Kiedy ty się do niej wybierasz?

- Na Święto Dziękczynienia.

- Nie chcesz spotkać się z nią wcześniej?

Julia potrząsnęła głową.

- Powiedziałam jej, w tym roku nie spędzimy razem Bożego Narodzenia

282

zanim do nich co roku, ale teraz muszę być dy urodzi się wasze dziecko.

znowu o świętach Bożego Narodzenia, Tom [ę podekscytowany i zarazem przerażony.

- Izie miała cesarskie cięcie.

Myślałem, że dokby sam wyznaczyć datę, ale on chce, żeby począł się w sposób naturalny.

To może się Nie chcesz jeszcze tego przemyśleć?

Muszę być tutaj.

się Julii brzmiała taka stanowczość, że Tom się z nią spierać.

i?

.o wrócił do domu, od razu zadzwonił do lerson.

Opisał jej wizytę u Julii, starając się ić matkę w jak najlepszym świetle.

Nancy Ae wspomniała o spadku.

Powiedział o dopodpisany przez jej ojca.

Wydawało się, prawo ulgę.

Tom pomyślał, że może Nancy wdzięczna, że ma dla swojego brata jakiegoś prawnika, który nigdy nie angażuje się osobiście [klienta].

To podstawowa zasada.

Lecz Nancy nie była jego klientką.

Nie wziął od niej żadnej opłaty.

Zaoferował się zatem, że będzie na ; na lotnisku w Bostonie, gdy Nancy zdecyduje się na matkę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Drogi ojcze, pisał Tom na początku września.

Trudno uwierzyć, że Święto Pracy tak K) przeminęło.

Bawiliśmy się razem z mieszkańcami Panamy na wielkim polu dyni.

Zrobiłem kilka zi Nie miało znaczenia, że dynie jeszcze nie dojr.

Mimo to były dla wszystkich symbolem dostojności a zarazem doskonałej zabawy.

Pierwsza fotografia przedstawia Bree z jej pr.

zacięciem małżeństwem Littleów i ich dziećmi.

drugiej możesz zobaczyć Bree z trzema najważniejszymi osobami w mieście - ten z lewej to szef policji, pośrodku kierownik poczty i dalej pani Ł mistrz.

Na trzeciej Bree ze swoimi znajomym Angusem, Olwerem i Jackiem.

Obok Jacka, ostatni z prawej to Flash, jej szef.

Porządny człowiek, r pewno byś go polubił.

Ostatnio patrzy na Bree z mniejszym niż dawniej zachwytem, bo ona pracuje, je tylko kilka godzin dziennie.

Nie chciałem, żeby spędzała w pracy całe dnie.

Mam wystarczająco dużo pieniędzy i gdyby chciała, mogłaby rzucić pracę.

Bree mówi, że czwarte zdjęcie nie podoba jej się.

Uważa, że wyszła na nim, jakby była bardzo gruba.

Powiedziałem jej, że wygląda jak piękna dziewczyna w szóstym miesiącu ciąży.

Wtęczała P1?

0 kilogramów i czuje się doskonale. Nie słuchać, jak bije serce naszego s Doktor obawia się, że będziemy za często dziać na wizyty tylko po to, żeby skorzystać z ultrasonografii.

Ale rytm serca własnego dziecka tnie wyjątkowego.

mię z ruchami.

Teraz już wyczuwa się je w.

Domyślałam się, że dla Ciebie nie jest to wyjątkowe dla mnie.

Wiem, że masz już sześć ząbów.

Dla mnie jednak to pierwsze dziecko.

Wiesz zadowolony, jak sądzę, że znowu prai prawnik.

Współpracuję z miejscowym em.

To jest dla mnie korzystne, tym bardziej jeszcze nie jestem członkiem vermonckiego szenia.

Złożyłem wniosek i spodziewam się ciągu najbliższych kilku miesięcy zostać v poczet członków.

W tym mieście tutaj znacznie różni się od nowojorku. Już nie gry i strategię, tylko prawdziwi ludzie i konkretne problemy.

W tym sensie daje to satysfakcję.

Poza tym praktyka tutaj pozwala na spokojniejszy styl życia.

Biuro mojego wspólnika znajduje się pięć minut drogi od mojego domu.

Widok nie wymaga ode mnie wychodzenia z domu.

W ten sposób większość czasu spędzam z Bree.

Lubię obserwować, jak rośnie dziecko.

Chcę być dla niego dobrym ojcem.

dy w końcu rozpakowałem kartonowe pudełko stały w moim gabinecie, znalazłem zdjęcia, ? z ostatnich lat temu oprawiłem w ramki.

Wśród nich Jan fotkę z uroczystości ukończenia szkoły.

Wszyscy razem.

Czy to pamiętasz?

Stalil w drodze gotowi do wyjścia, kiedy Minna z sąsiednich drzwi i zrobiła nam zdjęcie.

sób znaleźliśmy się na nim wszyscy, łącznie .

z mamą.

To i kilka innych zdjęć, na których też j, śmy cała rodziną, postawiłem u siebie na biurku.

Mam nadzieję, że mój list zastanie Was w brym zdrowiu.

Kochający Te

Droga Alicjo, napisała Bree w połowie wrześ:

Dziękuję ci przeogromnie za przystanie zdj\ da malutkiego Jimmyego.

Bardzo podobny Ciebie.

Ale Tom też jest do Ciebie podobny.

Pi głdat się temu zdjęciu przez dłuższy czas.

Teraz na nie patrzy.

Sama więc widzisz, jak wiele dla i znaczy, że przysłałaś nam to zdjęcie.

Nam zostało jeszcze trzy i pół miesiąca.

W{ dam w zmienne nastroje.

Albo niecierpliwie się i i pełnie nie mogę doczekać się porodu, albo wr\ przeciwnie, panicznie się tego boję.

Nie chcę mó\ o tym Tomowi.

To głupie, prawda?

Chodzi mi o to, lekarze znają się na porodach i na pewno wszyst pójdzie gładko.

Zrobiliśmy badania, wiemy, że dziec ko jest zdrowe.

Nie pytaliśmy lekarza opleć dziecka Chcemy, żeby to było dla nas niespodzianką.

Przygotowujemy teraz pokój dla dziecka.

Torw wiórkuje podłogę.

Niedługo zacznie lakierować.

Pw malował sufit na biało i ściany na żółto.

A ja kupiłam watek z matrycą i zrobiłam śmieszny wzorek.

Użyłam koloru niebieskiego, białego i czerwonego, także będzie pasowało zarówno dla chłopca, jak i dla dziewczynki..

Może nie uwierzysz, ale Tom stał na dole drabiny przez cały czas, gdy malowałam.

Bał się, że upadnę.

Zaczęliśmy już kupować rzeczy z myślą o dziecku.

Dzięki Ci za poradę.

Kupiliśmy ten wóktóрым pisałaś.

I jeszcze łóžeczko, wybraliate.

Wzruszam się do teź, jahna to patrę.

fciem, że Tom już Cię o to prosił, aleja także i bym chciała, żebyś nas odwiedziła.

Jestem \czka.

Strasznie podoba mi się pomysł, żeby wagierkę.

Możesz nocować u nas.

Mamy sofę.

Wiem, że Wasz ojciec nie byłby zaw taką wizytą.

Jeżeli jednak znajdziesz j a\6b, żeby wpaść do nas, proszę, zastanów tym.

Chciałabym poznać Cię, zanim uroiecko.

Dla Toma też to jest bardzo ważne.

f tylko i kupimy bilety.

Możesz przylecieć do on albo do Bostonu.

Wyjedziemy po Cieitnisko.

Tu jest naprawdę pięknie.

Proszę, przyjeźdź.

Kochająca Bree

fathanie, napisał Tom na początku października za liścik, który mi przysłałeś.
Jestem poza głównym nurtem, więc Twoje informacje dla mnie szczególnie cenne.
Nie wiem, że mój ulubiony wydawca został zwolniony bardziej że wydawnictwo zmieniło
kierunek.

Wierzyłem, że na bestseller roku wybrano Harpsa.
Jest młody, utalentowany, posiada też doskonałą warsztat.
Myślę, że jeżycie z Hollywood ułoży się jak najlepiej.
Mówiłem Ci, że znowu myślę o opisaniu.
Wciąż nie teraz.
Może kiedyś, za parę lat.
Przysyłaj mi, co chcesz.
Nie wzbudzisz
287 .

we mnie zazdrości o osiągnięcia Bena czy i wiek innego.

Wróciłem do zawodu prawnika.

Tak, tutaj.

Nie bądź taki zdziwiony.

Traktuję to wrót do korzeni.

Daje na pewno dużo satys Bree pod koniec grudnia spodziewa się roś nią.

Mam dużo zajęć, I jestem szczęśliwszy n dykolwiek przedtem, czego i Tobie życzę,

Twój ThwnaA

Drogi ojcie, pisał Tom w połowie październ

Bree i ja spędziliśmy weekend w Nai Zdjęcia są wiośnie stamtąd.

Jedno z nich zosti bione przez właściciela domku, w którym się j maliśmy.

To było czarujące miejsce, mała, chatka na prywatnej drodze prowadzącej do Spędziliśmy wiele godzin, spacerując i oglądając te sklepiki.

Bree nigdy tam nie była.

Udzieliła n jej ekscytacja.

Sam czułem się, jakbym znała.

w Nantucket pierwszy raz.

Zdarzyła się ciekawa rzecz.

Rozpoznała dziennikarka, która dwa lata temu przeprowadom ze mną wywiad dla "Vanity Fair".

Od razu pod do nas i zarzuciła mnie gradem pytań.

Być i zraniłem ją odmową, ale nie będę się tym prze wal.

Czułem się oburzony, że przeszkadza mi, i jestem z moją żoną.

Ułożyłem już sobie życie t chcę tego zmieniać.

Bree jest wspaniała.

Już tak wygląda, że nie ma wątpliwości.

To sprawia pewne problemy, chciałyby nadal prowadzić aktywne życie, a ty czasem musi się oszczędzać.

Jest najmilszą kobie jaką znam, najbardziej kochającą i najlepszą.

Nie zasłużyłem na nią, ale próbuję się zmienić

fnowód, żeby świętować w Nantucfrwsza rocznica wypadku, który nas ykoi mnie, jak blisko była wtedy od i umarła tamtej nocy, nigdy bym nie idzaju miłości.

Oczywiście, gdybym ze coś takiego istnieje, nie tęskniłbym zmusza do myślenia.

"swojego czasu potrafił zrozumieć, co ny, nigdy bym się tak nie zachował.

wmieć, jak wielki sprawiłem Ci ból.

I tak samo, gdyby coś się stało Bree aecko postąpiło podobnie.

Ale wtedy ttego pojąć.

Przykro mi z tego powodu.

p malutki obrazek wykonany przez wtystę.

Te właśnie wydmy widzieliśmy .Mam nadzieję, że to płótno sprawi, ; nastrój.

Kochający Tom ny się, a zarazem bardzo się denervieć tygodni przyjdzie na świat na5.

Bree jadła śniadanie na werandzie.

jna i rozleniwiona.

elefon.

Odłożyła gazetę i wstała, żeby

apytał ktoś bardzo nieśmiało.

- Mówi

I z wrażenia.

Alicja!

Tylko jedna ze znała to piękne imię.

- Alicja!
- zawoć własnemu szczęściu.
- Co słychać?
tk zdrajca, ale poza tym dobrze.
Przyję to na seminarium do Bostonu.
Wylą" ae minut temu.

- Jesteś w Bostonie!

- Bree krzyknęła z radością Ależ Tom będzie podekscytowany.

Czy mo z tobą zobaczyć?

Przyjedziesz do nas?

Gdzie ciebie przyjechać?

Jak długo tu będziesz?

- Trzy dni.

Dziecko jest razem ze mną.

- Mój Boże, Tom padnie z wrażenia, jak się o wie.

Właśnie wyszedł spotkać się z prawnikiem, rym współpracuje - gorączkowała się" Bree. dzwonię do niego.

Za kilkanaście minut tu Szkoda, że nie zadzwoniłaś wcześniej.

Przyjecha na lotnisko.

- Nie wiedziałam, czy starczy mi odwagi, że dzwonić.

Nie byłam pewna, czy powinnam to rc

- Oczywiście że powinnaś.

- Mój ojciec nie byłby z tego zadowolony.

- Przecież nie zmuszasz go do przyjazdu.

- Chyba muszę kończyć.

- Nie żartuj!

Tom marzy o tym od kilku mieś Wpadniesz do nas?

Bree też marzyła, żeby mieć okazję poznać su Toma.

a

- Jeśli nie sprawi to wam kłopotu.

-

- Ani trochę.

Gdzie i kiedy możemy się z spotkać?

Spotkali się w Bostonie, w hotelu, w którym wało się seminarium.

Alicja siedziała w holu drobniutka, jak Bree to sobie wyobrażała.

Oczy!

i ciemne włosy jak u Toma.

Dziecko spało w nos ku na kolanach.

Tom patrzył na siostrę z miłością, tęsknotą i zacięciem.

Na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

I wó Alicja wstała i ruszyła ku nim.

Podbiegł do niej.

aa ją i dziecko.

Długo nic nie mówił.

Trzymał w serdecznym uścisku.

iii razem dwie doby.

Alicja przyjechała z nimi ny.

W miarę jak oddalali się od Bostonu, zniśmienie.

Niezręczność pierwszego spotkała już do przeszłości.

Więc wizyty Bree czuła się tak, jakby znała iawną.

niecznie chciał pokazać siostrze park miejścióół, w którym on i Bree brali ślub.

Musiał jego biuro w banku na pięterku.

Bree la ją po ratuszu, gdzie odbyto się wesele;

też supermarket i zajazd.

gafaciała obejrzeć ich dom, ławeczkę nad stru li pole, na którym rosły dynie - miejsce, etowano Święto Pracy.

ę pójść wszędzie.

Pogoda dopisała.

Słońce B kolorowe liście.

Mieszkańcy miasteczka ; dłońmi albo podchodzili, żeby się przywiMiął z dumy.

Alicja pełna była entuzjazmu.

iła zazdrości, tak bardzo polubiła swoją

Izili czas w domu.

Poszli do zajazdu na t zajmował się malutkim Jimmym jak naj śc.

I został z dzieckiem, kiedy Bree poszła

Julii, a także później, gdy pojechały obie do chatki w lesie.

Alicja była rozbawiona B-Bree zachwyciła się szwagierką.

A dzieciadką uśmiechnięta buzię.

Nie potrzeboięcej niż sucha pieluszka i mleko matki.

zając na to, jak Tom leży na podłodze się maluszkowi, też czuła dumę.

Wiedziała, że decydując się na trzecie życzeni mężowi to, za czym tak bardzo tęsknił.

Wszystko za szybko się skończyło.

Czas wi biegł końca.

Gdy odwozili Alicję do Bostonu, mieli już gorszy nastrój.

- Powiesz ojcu, że się z nami widziałaś?

- Tom.

- Jeszcze nie.

Ale muszę przyznać, że już się zmienił.

Czyta twoje listy.

Często do nich z Długo przygląda się zdjęciom.

- Czy będzie chciał rozmawiać, jak zadzwonię

- Nie wiem.

Chodzi na cmentarz dwa razy w dniu.

Potem wraca do domu zawzięty i zagni Ale ja nad nim dużo pracuję.

Nic więcej, niest mogę wam obiecać.

Uściskali się serdecznie na pożegnanie.

- Dziękuję - szepnęła Bree.

- Twój przyjazd u;

śliwił Toma.

Ja też strasznie się cieszę, że cię pozn

Bree wiedziała, że Alicja będzie fantastyczną ką.

Odczuła ulgę, że dziecko będzie miało wspa opiekę, bez względu na to, co się z nią stanie.

Pod koniec października Bree przestała pra jako kelnerka.

Przychodziła do zajazdu codzii ale tylko siedziała przy komputerze lub przy teleft A potem zwykle zostawała dłużej i rozmawiała z { jaciółmi.

- Zostały dwa miesiące - powiedziała Jane.

działy razem przy stoliku i jadły babeczki, popij herbatą.

- Jak to wytrzymujesz?

Chyba już nie żesz się doczekać.

- Ledwie wytrzymuję, to prawda.

- Wyglądasz dobrze.

292

iię się dobrze.

- Naprawdę była silna, eneriszcześnie.

Czasami nawet płakała z radości.

ge się każdego dnia u boku Toma wydawało m.

Ale świadomość, że jest w ciąży, potęgou szczęście tak, że niemal było nie do wytrzymała słusność, kiedy mówiła, że cudownie w ciąży.

Bree doszła także do wniosku, że Iwst to, kim jest ojciec dziecka.

Tom kochał, co dotyczyło jej ciąży, jej ciała w odmiennym zadko się zdarzało, by noc minęła bez pieszsjmował z niej koszulę nocną, by pogłaskać jej sony brzuch.

Całował jej pełne piersi, wybrzupek i linie rozstępów.

Z lubością przykładał brzucha, starając się usłyszeć, jak bije serce sBree obejmowała go wtedy.

Lubiła obserwoojciec i dziecko są razem.

nie to, że tamten lęk przychodził i odchodził, y cudowny.

Mała zadra, której nie mogła się hodziła do lekarza dwa razy w miesiącu.

Zaże wszystko jest tak jak powinno być, w najorządku.

Dziecko rosło i stawało się coraz saktywne.

Zbliżał się grudzień.
Chciałabym, żeby wszystko poszło dobrze - po-
do przyjaciółki.

Eego miałyby nie pójść dobrze?
- zdziwiła się
i
czymś bawiła się okruskami na talerzu.
Czasz, co ci mówiłam o trzech życzeniach?
Widziała głowę.
I je mi się, że to jedno z tych życzeń.
Czy ktoś?
Spadku doktor powiedział mi, że nie będę
matką dzieci.
Bree, nie powiedziałaś mi tego!
293 .

- Nikomu nie mówiłam.

Nie chciałam o Powiedziałam tylko Tomowi przed ślubem., zdenerwował, gdy się potem dowiedział, działałam życzenie, aby mieć dziecko.

- Dlaczego?

Czy mogłaś sobie życzyć nialszego?

- To mogło być moje trzecie życzenie.

Jane patrzyła na nią pytająco.

- Nie wiem dlaczego, ale cały czas mam że zostałam odesłana na ziemię z powodu T trzech życzeń - wyjaśniła Bree.

- Kiedy stanie spełnione, umrę.

- To bzdura - zaprotestowała Jane.

głos.

- Nie mów tak.

Staraj się myśleć o 023

- Nic nie mogę na to poradzić - pos Bree.

Cały czas próbowała sobie wmówić, i w ciążę w sposób naturalny, lecz nie mogła mi ści, że trzecie życzenie nie miało z tym nic ws(

Wpiła palce w ramię przyjaciółki.

- Obie pomożesz Tomowi i dziecku, gdyby coś się

- Nawet o czymś takim nie wspominaj.

- Obiecuj mi, Jane.

Jesteś moją najlep ciołka.

Chcę, żebyś się zgodziła.

- Zgadzam się, oczywiście, ale nie bęc trzebne.

Nic się nie wydarzy.

Wszystko \ z płatka.

Potem siądziemy sobie obie tutaj i śmiać się z twoich obaw...

- Skrzywiła n spokój, Bree, to jest okropne.

Jednak Bree z obietnicą Jane poczuła się Ciemne obrazy znikły, jasne pozostały.

Uśr się.

- Teraz wszystko jest ze mną w porz wiedz, co wymyśliłaś z tą imprezą?

Jane z ulgą przyjęła zmianę tematu.

Pi cześć ciężarnej odbędzie się u Abby.

Nolanov wielki dom, a przy tym przytulny i miły.

- W

.e"? - zapytała.

- Wszystko przygotov na ciebie.

Nic nie musisz robić.

Li nie musicie sobie robić kłopotu.

nie odwołasz.

Wszystko dopięte na

"Wybiera się pół miasta.

lala za sobą jakieś kroki.

Odwróciła się.

lawołała Bree.

- Przysiądziesz się do "więcej babeczek.

. toać na LeeAnn, kiedy Veńty odsunęła się.

Ść - powiedziała cicho.

- Ciekawa tylko kwiecie, czy to będzie chłopiec czy dziewczewm pomóc w przygotowaniu wyprawki.

dzięki - szepnęła Bree ze wzruszeniem.

tea inny kolor, inny dla dziewczynki -

iVerity.

, . (mile z twojej strony, ale me znamy pici

a głową.

- W takim razie dam takie isują i dla chłopca, i dla dziewczynki.

alika i odeszła bez zbędnych słów.

tóa jej pośpiech, kiedy zobaczyła zbliej nie powiedziałaś.

To ostatnia rzecz,

iedzieć.

edziała, na pewno nie ukrywałabym tezaprotestowała Bree.

- Cieszę się, że awkę.

Veńty wspaniale robi na drutach.

zyjaciółką.

Zaprosiłaś ją na imprezę.

ciła się do Jane.

scie.

Umówiłaś, że jej tam nie będzie - obu.

- Nic nie obiecywałam.

Po prostu nic nie odziałam na twoje żądanie.

- Zrobiłaś się nieznośna - prychnęła Dotty, szła od nich wyraźnie zde gustowana.

- Nie jesteś nieznośna.

Jesteś wspaniała - szata ją Bree.

- Złożyłam podanie - niespodziewanie powiła Jane.

Bree musiała się chwilę zastanowić, zanim miała, o czym mówi jej przyjaciółka.

- Do studium grafiki artystycznej?

To cudokrzyknęła z entuzjazmem.

- Jeszcze nie wiem, czy się tam dostanę.

- Dostaniesz się.

Jane westchnęła cicho.

- Mam nadzieję.

O tak nie marzę.

- Nie musisz się martwić.

Wszystko doskon ułoży.

Jak się cieszę!

Kiedy będziesz znała decy

- Po piętnastym grudnia.

Bree ucieszyła się z tego.

To miało być przed dziewanym terminem porodu, więc zdąży pomóc jaciółce, gdyby jej matka robiła jakieś trudności.

Matka Jane była wyjątkowo niemila i trud współzyciu.

Bree pochyliła się ku przyjaciółce i szepnęła ucha.

- Może twoja mama ma na piątek jaki plany?

Dotty przyszła na imprezę, ale na próżno Bree głądała Verity.

Następnego dnia zaniepokojona chała do ukrytej w lesie chatki.

Verity początkowo zachowywała się dziwnie.

nie otwierała, jakby była czymś przestraszona.

296

ak otworzyła drzwi i zaprosiła Bree do środka.

ia herbaty, ale z uporem odwracała wzrok.

akowało nam ciebie wczoraj na imprezie.

Dia nie przyszłaś?

- zapytała Bree.

[ie skończyłam jeszcze tego kocyka, który chciałam w prezencie - mruknęła Verity, nadal nie patrząc w - Nie mogłam przyjść z pustymi rękoma.

; musiałaś przynosić prezentu.

y mieszała herbatę.

tty coś ci nagadała - domyśliła się Bree.

y wrzuciła do herbaty cienki plasterek dyni.

.czego jej słuchasz, Verity?

Ona należy do tych których mówisz, że mają zamknięty umysł.

położyła na talerz kanapki.

Bree nawet się .szyła.

Nie miała ochoty na jedzenie.

iedziała mi, że nie chcesz, żebym przychodziróedziała wreszcie Verity.

Siedziała z pochylo.

- I że ty mi sama o tym nie powiesz, bo jegrzeczna.

I to prawda - podniosła wzrok.

- ft uprzejma.

dam, żebyś przyszła.

Mówiłam o tym Dotty.

, że się przyjaźnimy.

Przykro mi, Verity.

To a wiedźma.

zaśmiała się.

i po chwili Bree zdała sobie sprawę, że właśnie łowiono, że jest wiedźmą, i też parsknęła śmiech, to ona jest wiedźmą, a nie ty.

Naprawdę zatem, by ludzie wiedzieli, że się przyjaźnimy.

znowu posmutniała.

- Nie - pokręciła głowę się, że i o tobie zaczną źle mówić.

nie przejmuję tym, co ludzie mówią.

Wybieprzyjaciół tak jak chcę.

mąż mógłby...

Och, nie!

- uśmiechnęła się.

- Zapytał, dlanie ma.

Kiedy mu wspomniałam, że pewnie

297 .

Dotty coś ci nagadała, to on...

Nie powtórzę tego, powiedział, bo to zbyt okrutne.

I znowu Verity, jak elegancka dama, piła herbi w filiżance z chińskiej porcelany.

Używała eleganckie serwetek.

I chociaż miała wygląd osoby z cyganerii a raczej tystycznej, była delikatna i wrażliwa.

- Tu nie chodzi tylko o jedną Dotty - powiedział - Wiele osób myśli tak jak ona.

Może ona ma rację. Może dziecko będzie lepiej spało pod kocykiem zrobionym przez kogoś innego.

Bree wyciągnęła rękę.

Ujęła dłonie Verity.

- Dla mnie będzie to zaszczyt, jeśli moje dziecko będzie spało pod kocykiem zrobionym przez ciebie.

To przynieś mi szczęście.

Verity wyglądała tak, jakby próbowała w to uwierzyć

- Może dziecko będzie potrzebowało szczęścia - powiedziała cicho Bree.

- Jeżeli to jest moje trzecie życzenie, nie wiem, co się wydarzy.

Żałowała, że Verity nie potrafi wróżyć z listkowi herbaty.

- Postąpiłaś właściwie - powiedziała Verity.

Widziałam, jaki szczęśliwy jest twój mąż.

- A co będzie, jeśli umrę?

- zapytała Bree.

Nike mu innemu nie potrafiła bez ogródek powiedzieć o swoich obawach.

- Już raz umarłaś - rzekła Verity.

- Przypomniał sobie, jak to było.

- Cały czas próbuję, ale mi nie wychodzi.

- Ziemskie obrazy przysłoniły ci tamte wydarzenia.

Często tak się zdarza.

Tak musiało być.

Wciągnięta przez radość życia, oddała się od świetlistej kuli.

Poza tym bała się tych niezwykłych, niezemskich rzeczy.

Chciała czuć się normalnie.

- Weź głęboki oddech - doradziła Verity.

- Zamknij oczy.

Oczyść swój umysł.

298

I pree zamknęła oczy.

Wciągnęła głęboko powietrze łódeczki.

Jej umysł oderwał się od codziennych spraw.

Bo chwili Verity mówiła znowu bardzo łagodnie "aż przypomnij sobie, co zdarzyło się tamtej nocy.

o Tamtej nocy...

I Bree znowu brnęła przez śnieg, yf.

iaia, jak dżip podjeżdża pod górę.

Patrzyła w stronę Au.

Później z nadmierną prędkością sunęła w jej one furgonetka.

Znowu poczuła strach.

Tak samo wtedy.

I zaraz straszliwy ból uderzenia.

Obszarywała siebie na stole operacyjnym.

I na parę sekund dla przytomność.
Coś wzięło teraz górę nad ,ei lami.
Zapanowało nad nią w sposób od niej niza.
y. Czowała, jak opuszcza swoje ciało i unosi się g,od lny sufit.
Oczy jej duszy patrzyły w górę.
arnął ją spokój i wielkie nieziemskie szczęści, e.
3tem na pewno czowała się silniejsza.
Zniknął mig.
6j. Zamiast tego pojawiło się wspomnienie śieej postaci.
Wszystko było możliwe.
I niezależnie tego, jaki los ją czekał, nie mogło przytrafić si .
nic

3.
ciągnęła głęboko powietrze do płuc i otworzyła .
- Dzięki - szepnęła do Verity.
Uśmiechnęła się.
nogi ojczce, pisał Tom w nocy, w Święto Dzierży.

ia.
Siedzę teraz w salonie przy kominku.
Bree sryi yakmnie na sofie.
Mamy za sobą cudowny dzie tPanamie wszyscy świętują razem, tak że nikt nfg ł się samotny.
To nie znaczy, że zapomniałem o Tobie.
Przykro mi, że nie chciałeś spędzić z nami teo Va.
Nie pozwoliłeś nam przyjechać do Ciebie nuję fakt, że jeszcze nie jesteś gotów, żeby się 9A
spotkać.
Mimo to trudno z tym żyć.
Bree koi.
I ósmy miesiąc ciąży.
299 .

Teraz już lekarz nie pozwala jej latać samolotem.
Tak że z wizytą, nawet jeśli nas zaprosisz, będziemy musieli poczekać.
Żałuję, że nie będziemy mogli spotkać się wcześniej.
Bree nie ma żadnej roszczenia oprócz mnie.
Bardzo jej tego brakuje.

Boję się, że masz za złe Alicji to, że nas odwiedziła.
Chciałbym, żebyś wiedział, że jeśli mówiliśmy o Tobie, to tylko z szacunkiem i z miłością.
Nikt nie powiedział o Tobie złego słowa.
Alicja ani razu nie wspomniała, że boi się Twojej reakcji.
Nie myśl, że zapraszając ją, miałem na myśli coś złego.

Tęsknię za Wami wszystkimi.
Bree bardzo ucieszyła się z przyjazdu Alicji.
I oboje mamy nadzieję, że to nie była jej ostatnia wizyta.
Bardzo chcemy się zrewanżować, ale niestety z wyjazdami musimy teraz poczekać do
porodu, a dokładniej: do chwili, kiedy dziecko będzie mogło znieść podróż bez szkody dla
zdrowia.

Gdybyś Ty, tato, zmienił zdanie i zechciał do nas przyjechać, kupię bilety i będę
czekał na lotnisku.
Nasz dom jest duży i wygodny, a Panama to naprawdę piękne miasto.

Popełniłem błąd, wiem o tym.
Zachowałem się bardzo źle podczas choroby mamy.
I zdaję sobie sprawę, że istnieją rzeczy, które trudno wybaczyć.
Mama umarła.

Nie wszystkie błędy można naprawić.
Ale bardzo bym chciał, żebyś był z nami.
Nie musisz niczego wybaczać.
Tylko nie odwracaj się od nas.

Dziecko nie ma żadnego innego dziadka oprócz Ciebie.
Kochający Tom
i-
Ipowa tygodnie później Bree była spokojna.
Po prostu postanowiła niczym się nie przejmować.
Poza tym aktor zapewnił, że jej zdrowiu nic nie zagraża.
Ważyla teraz znacznie więcej.
Cieszyła się, że pierwszy raz w życiu może pozwolić sobie na lenistwo.
Oglądali razem z Tomem coroczny zjazd z East Main.
Oboje czytali.
Z przyjemnością spędzała czas z nimi, choć najbardziej.
Oczywiście Tom był tu najważniejszy na pierwszym miejscu.
Potem Jane.

I może ze Liz i Abby.
iżo czasu spędzała Bree w zagubionej w lesie e.
Jej przyjaźń z Verity stawała się coraz silniejsza- Bree próbowała nauczyć się robić na drutach
tańskie rzeczy jak Verity.

r
Igo dnia siedziała w kawiarni przy stoliku.
Obserwowała Julię, układającą bukiety w wazonach.
zrezała skrzący drzewo i domyśliła się, że wchodzą klienci.
Ale czuła się gruba i ociężała i nie do niej się odwracać.

Poza tym była zajęta obserwoem Julii.
Nagle ujrzała, że ręce Julii zawisły nieruBO nad kolorową gałązką.
Źrenice rozszerzyły się.
l; pobladła.
Kwiaciarka powoli opuściła rękę.
- niemożliwe - szepnęła.
Szybko wstała od stołu.
piero wtedy Bree odwróciła się.
Osobą, która i do zajazdu, była kobieta około trzydziestki.
i zaróżowione policzki, gęste, ciemne włosy i na s wełnianą czapkę.
Julia uściskała ją, potem t za rękę.
Stała przez chwilę niepewnie, następ?
prowadziła nieznaną do stolika, przy którym la Bree.

Bree nigdy przedtem nie widziała Julii tak bardzo3 zdenerwowanej.

- To Nancy Andersen, moja córt a to jest Bree Miller - powiedziała Julia.

Tom spędził popołudnie w Montepelier.

Rozmawiał z władzami federalnymi w związku ze sprawą swojego klienta.

Miał przy sobie telefon komórkowy.

Umówił się z Bree, że gdyby coś się działo, natychmiast do niego żal dzwoni.

Jednak tego dnia nie chciała zwracać mu głowy

Gdy wrócił do domu, zastał Bree siedzącą przy sto le.

Podszedł do niej.

Od razu wstała.

Zarzuciła mu rę- ce na szyję.

- Nigdy nie zgadniesz, co się wydarzyło;!

Przyjechała córka Julii.

To spadło na nią jak grom z ja?

snego nieba - zaśmiała się.

- Nikt jej się tutaj nie spodziewał, a już najmniej sama Julia.

Pobladła tak bardzo, jakby ujrzała ducha.

Tom nie kontaktował się z Nancy od czasu, kiedy jej zasugerował, by odwiedziła matkę.

- Córka Julii?

To, bardzo miło.

i

- Trochę potrwa, zanim się dogadają.

Julia na po czątku bardzo się bała.

- Bree uśmiechnęła się do;

Toma i uściskała go na powitanie.

Roześmiał się.

Ucałował ją.

Dotknął jej brzucha.

Jaki twardy - powiedział z dumą.

I zaraz zapytał.

- I jak?

Wszystko w porządku?

Nic;

cię nie boli?

- W porządku.

Tom, one przyjdą do nas na kolację.

,

- Kto?

- zastanawiał się przez chwilę.

- Nie ma- my czym ich poczęstować.

Musimy coś przygotować.

- To samo mówiła Julia, ale nie ma problemu.

Wszystko możemy wziąć od Flasha.

Trzeba tylko przy wieźć, podgrzać i podać.

- Ja się tym zajmę.

302

Wiedziałam, że tak powiesz - rozwiązała mu rawat.

Rozpiął górny guzik koszuli.

- Jaka jest ta jej córka?

- Bardzo miła.

- Czy to cię dziwi?

Tak...

bo, wiesz, chyba byłam zazdrosna.

Do tej lory miałam Julię dla siebie, a tu nagle ona się pojawiła.

Nancy, podobnie jak Julia, wyglądała na okropie zdenerwowaną.

Może nawet jeszcze bardziej.

Rozawiałyśmy przez chwilę w zajeździe.

Teraz pojechały

miasta.

Będą u nas o siódmej.

Coś tego wieczoru wywarło na Tomie wielkie wrażenie, choć nie do końca był pewien, o co chodzi.

Ani t, ani Nancy nie wspominali swoich wcześniejszych tanów.

Rzeczywiście córka Julii okazała się miła.

Iljwyraźniej zrozumiała, że z Julią nie dzieje się nic go.

Julia wydawała się szczęśliwa.

Bree była w siódmym niebie, że może coś dla Julii zrobić.

iały się i rozmawiały we trójkę.

Spędziły naprawroczy wieczór.

on oczywiście wyjął aparat fotograficzny.

Nancy jjechała na krótko.

Zdjęcia z jej wizyty będą miały "ogólne znaczenie.

piero po tygodniu Tom skończył ten film.

Zrobił K-e fotografie Bree z wielkim brzuchem, najciężI najkochańszej.

Oddał film do wywołania, a po ""UŻ pochłoneły go przygotowania do świąt.

I tak

się złożyło, że nie zdążył obejrzeć odbitek.

Po ""iu z zakładu odłożył je na półkę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

4

JTO

Dwudziestego pierwszego grudnia spadł śnieg.

Pła ki były wielkie i prawie tak ciężkie jak tego fatalnejB dnia przed czternastoma miesiącami.

Tym razem jec nak miasto zdążyło przygotować się do zimy.

Ulice cc dziennie odśnieżano i posypywano piaskiem.

Szczt gólnie dbano, by na małych uliczkach prowadzących do West Elm nie zrobiła się ślizgawica.

Wszyscy wii dzieli, że Bree niebawem będzie rodzić.

I nikt nic chciał, żeby stało się nieszczęście.

Tym bardziej teras gdy już udało jej się donosić.

Tom miał zamiar jak najmniej jeździć po świeżym śniegu.

Ale tego popołudnia Bree miała ostatni umówioną wizytę u Paula Sealy.

Musieli tam poje chać.

Mogło się zdarzyć, że Paul Sealy będzie chcia(zostawić Bree w szpitalu już teraz, i

Paul ze spokojem stwierdził, że jeszcze nic się nie dzieje, rozwarcia szyjki macicy nie ma.

To zaniepoko- iło Toma.

Znalazł niedawno w internecie stronę o po- rodach.

Podano tam kilka przykładów kobiet, które umarły na skutek nieprawidłowej akcji porodowej,!

między innymi z powodu niedostatecznego rozwarcia! szyjki macicy.

Potem przypomniał sobie, że te przy padki dotyczyły kobiet z krajów trzeciego świata.

Poza .f tym nie zdarzały się często.

304

stko w porządku?

- zwrócił się do Paula przyi głosem.

Starał się nie niepokoić Bree, chociaż : wyglądała na dużo spokojniejszą od niego.

ie ina powodu do zmartwienia - odparł Paul.

- tawsze znamy dokładnie datę.

Poród często się jua, niekiedy nawet dziesięć dni.

Każda kobieta ia.

Każda ciąża jest inna.

i pomyślał, że dziecko jest już dość duże i Paul eraz zaproponować cesarskie cięcie.

Pozwoliłomiknąć niepewności i kolejnej jazdy po zaśniei ulicach.

Ale świadomie o to nie poprosił.

Nie zcze gotów na przyjęcie na świat tego dziecka.

I jeszcze trochę czasu być sam z Bree.

kcając ze szpitala, znowu powoli i ostrożnie proI samochód.

Przejeżdżali przez centrum.

Tam, iśniegu, zaczynał się już zimowy bal.

Przygototto też wiele innych atrakcji.

Nie zatrzymali się t.

Woleli być sami.

I rozpałił ogień w kominku w salonie.

Zjedli Potem chrupali prażoną kukurydzę i słuchali ti.

Kołysali się w objęciach w rytm melodii.

Pózzeli razem na sofie, przytuleni, roześmiani, zani w płomienie.

eluszki już mamy - powiedziała Bree, przegląX) raz trzeci tego dnia listę niezbędnych rzeczy.

K?ka, szampon, mydełko...

Zasyпка, kaftaniki...

f książki o pielęgnacji niemowląt, ubranka i fotesamochodu...

Kombinezonik...

Kilkanaście padżywki...

To wystarczy w razie...

sowi nie podobały się te słowa.

- Ciii...

- szepnocniej się do niej przytulił.

f razie gdybym nie miała wystarczająco dużo po1 - wyjaśniła.

ędziesz miała pokarm - zapewnił ją.

Jakże miamieć.

Była tak bardzo kobieca.

Jej ciało dobrze

305 .

przygotowało się na przyjęcie dziecka.

Powie piersi, okrągły brzuch...

Przez kilka ostatnich tygodni, kiedy zbliżenia się niewygodne, zadowalali się wzajemnie w sposób.

Tom właśnie przeżywał intensywny org;

a po dźwiękach, jakie wydawała Bree, mógł się myśleć, że ona także osiągnęła szczyt rozkoszy.;

słodsza istota na świecie, seksowna, cudowna i cza.

Aparat fotograficzny nie mógł uchwycić duszy, choć Tom starał się ze wszystkich sił.

Fotoj fie wychodziły naprawdę piękne, jednak on nie z siebie zadowolony.

Cały czas jeszcze się zastanawiał, czy nie powi był nalegać, by rodziła w Nowym Jorku.

Ona jej czuła się szczęśliwa tutaj.

Darzyła Paula zauf, Zresztą już teraz oboje go znali i wierzyli mu.

- Kocham cię - szepnęła.

Uściskał ją bez słowa.

Tak bardzo się o nią bał.

dło miał zaciśnięte ze strachu.

Dwudziestego drugiego grudnia Bree pomagała mówi dekorować choinkę.

Nie napracowała się przy zanadto, bo nie pozwolił jej się przemęczać.

Spierała ale tym razem pozostał nieugięty i nie dał się przekoi Nalegał, żeby nic sama nie robiła i ograniczyła się t) do wydawania poleceń, jednak ona zawieszała ozd na dolnych gałęziach.

Tom zajmował się górnymi.

zwoił jej jedynie, wspartej na jego ramieniu, uroczy umocować na czubku drzewka wielką gwiazdę.

N drzwiami wisiąta jemioła.

Słodki zapach dotarł (wszystkich pokoi.

Wzruszała melodia Tcołęd.

Wpadali przyjaciele złożyć życzenia i skosztow gorącego jabłecznika.

Zapanowała cudowna świąt

306

,tmosfera.

Bree z przyjemnością siedziała przy ace, słuchała kolęd i wdychała zapach lasu, prze grany z wonią przygotowywanych smakołyków.

Jej ;enia o gwiazdce spełniły się, choć przed czternaia miesiącami nie uwierzyłaby w takie szczęście.

tego październikowego wieczoru, kiedy wracała i pogrążona w marzeniach, takie Boże Narodzeydawało się mało realne.

Teraz miała bogate, liałe życie.

Przepęlniała ją radość.

Dostała ;ko, czego pragnęła.

iała się tak jeszcze wcześniej, zanim dostała od ten prezent.

Podarował jej duży, wygodny czerisamochód.

Jej własne wymarzone cztery kółka.

/ środku znajdziesz fotelik dla dziecka - powieTbm z prawdziwą dumą.

i patrzyła z zachwytem na malutki fotelik przylasami do tylnego siedzenia.

Aż stów jej brakło, azić, co czuła.

Ostatnio nie oglądali samochoi nawet nie rozmawiali o tym.

Po prostu zabrano czasu.
Zresztą nie potrzebowali tego aż tak .
Wszędzie jeździli razem i furgonetka Tama im wystarczała.
Nie marzyła, że tak piękny samógłby należeć do niej.
Stała jak ogłuszona.
oba ci się?
 łowny!
- zarzuciła mu ręce na szyję.
Przytutak mocno, jak tylko pozwalał jej na to ogrom(ch).
I zaraz potem siadła za kierownicą.
Wyciąkę.
- Daj mi kluczyki, przejadę się kawałek.
potrzęsnał głową.
aa, kochanie, daj kluczyki - prosiła.
; teraz.
Dopiero po urodzeniu dziecka.
ecku nic się nie stanie.
Będę jechała ostrożnie.
z za duży brzuch.
Nie dosięgniesz kierownicy.
ęgnę.
- Usiadła na fotelu kierowcy i wyciądo kierownicy.
Łokcie musiała wyprostować.

To jednak nie miało znaczenia.

- Tylko do kc podjazdu i z powrotem - błagała.

W końcu dał jej kluczyki.

Dojechali do końca Bree była w siódmym niebie.

r

Rano dwudziestego trzeciego grudnia Tom obi.

się zlany potem.

Śniło mu się, że Bree jest zimna lód.

Od razu wyciągnął rękę w jej stronę.

Przyciąg ją bliżej siebie.

Nie spała już.

Miała gładką, górną skórę.

Nie było powodu do obaw.

- Cały się trzęsiesz - szepnęła.

- Co się stało?

Ona jest tutaj, mówił sobie w myślach.

Nie ma wodu do obaw.

Jest tutaj i zawsze będzie.

- Od dawna nie śpisz?

- zapytał.

- Przed chwilą się obudziłam.

Przyglądałam się,!

ty śpisz.

Pogładził ją po brzuchu.

- Jak się miewa dzidziu

- Bardzo dobrze.

Jest mu jak u pana Boga za pk

- To dobrze.

- Co ci się śniło?

- dopytywała.

- Nic takiego - machnął ręką.

Niepotrzebnie się denerwował.

W ciągu dnia przygotowywania ś teczne tłumiły strach, w nocy dużo trudniej było i nim zapanować.

Bree dotknęła jego twarzy.

- Wszystko pójd dobrze.

- Wiem.

Oczy jej rozbłyły.

- W przyszłym tygodniu już dziemy rodzicami.

Pocałował jej dłoń.

Przytrzymał przy ustach.

- Zrobiliśmy wszystkie badania. Serce, płuc krew...

Wyniki są bardzo dobre.

Żadnego powodu niepokoju - mówiła.

- Z samym porodem też

308

mino być problemu.

Wiem o tym.

Wszystko pój; dobrze.

- Położyła rękę na sercu.
;o Tom mógł na to powiedzieć?
Nie chciał móo złych przecuciach.
Czternaście miesięcy tei kiedy czekał razem z Flashem pod salą operaną, "na dziwne
przeświadczenie, że będzie M-ze.
Teraz czuł się zupełnie inaczej.
Obawiał się gorszego.
yc może wówczas znajdował się w innej sytuacji.
liniał tak wiele do stracenia.
Teraz jednak dręczyły koszmary i nie mógł o tym powiedzieć Bree.
Postani zmienić temat.
- Wyatt dla chłopca, a Chloe dziewczynki?
- zapytał.
Ijimięchnęła się i skinęła głową.
- Chcę wyprawić pnę chrzciny.
Julia zostanie matką chrzestną.
Ejulia?
Nie Jane?
Jane wybiera się do studium grafiki artystycznej.
t powiedziała jeszcze o tym matce, ale już podjęła zję.
Będzie wspaniałą ciotką, ale Julia...
Julia jest , ma czas i szczere serce.
To dla niej znaczyłoby
dużo...
I jeszcze myślę, żeby sprzedać ten plac
nku na South Forest.
steś tego pewna?
Czekaliśmy już tak długo.
Nie
ym pośpiechu.
estem zupełnie pewna.
Sprzedajmy to i niech
ize będą dla dziecka.
I zadzwonimy do Alicji,
to dziecko się urodzi.
Ona powie ojcu i on do
izwoni.
Wiem, że tak będzie.
słałaś im bardzo miłe prezenty.
niała się.
pdołączyłaś listy - przypomniał.
wo innego mogłam robić?
Nie pozwoliłeś mi nic
Miałam czas, żeby wszystko przygotować.
-
I ustami jego wargi.
Oczy jej błyszczały ze
ła. - Cudowny ten samochód, Tom.
Dziękuję
309 .

- powiedziała.

- Nie mogę się doczekać, aż ty, niesz prezent ode mnie.

::

- Co to takiego?

,

- Niespodzianka.

I to niejedna.

Dowiesz się im czasie - zachichotała.

- Daj mi jakąś wskazówkę.

- Nic nie powiem, bo zgadniesz.

- Nie zgadnę, obiecuję.

Śmiała się.

Dotknęła kciukiem jego podbity przesunęła dłoń po policzku aż do blizny, pofici czoła przez brwi i na włosy.

Często tak i Uwielbiał te pieszczoty.

Cieszył się, że znała wspaniałą dziewczynę.

Czuł, że rozpiera go Bree nigdy go nie zawiodła.

Mógł na niej po Zanim przyjechał do Panamy, jego życie było] bezsensowne.

A teraz czuł się bezgranicznie liwy.

Dwudziestego czwartego grudnia nadszedł pr od Bree.

Ogromna kosiarka, którą Tom kiedyś b;

chciał kupić, ale w końcu o tym zapomniał.

- Wyobrażam sobie, że kosisz trawę i trzymasz kona rękę - mówiła Bree, zadowolona z siebie i j ekscytowana.

- Obiecuj mi, że tak kiedyś zrobisz.

Tom obiecał.

Nie miał wyboru.

Podobał mu prezent i wiedział, że to był dobry pomysł, żeby l kazać dziecku, jak się kosi trawę.

Znowu jedl ogarnęły go złe przeczucia i nic nie mógł na to p(S dzieć.

Nie lubił, jak Bree tak mówiła.

Przerażało!

kiedy ustalała, kto będzie chrzestną, decydow o sprzedaży domu.

Robiła to w tak-i sposób, jakbył sala testament.

Wymogła na nim wiele podobny obietnic.

310

zrób tego - szepnął błagalnie, pieszcząc jej

t?t

UW ją.

Przycisnął tak mocno, na ile pozwalał

[brzuch.

opytywała, co ma na myśli.

Przywarła do nien oczach błyszcząły łzy.

- Po prostu kocham

rdzo.

L tzy, pieszczoty...

To powodowało, że bat się jardziej.

- Wszystko pójdzie dobrze - po isz determinacją.

- Sama tak mówiłaś.

Badatfy dobrze.

Musi się udać.

- Przycisnął jej swojej piersi.

ciężko mi czekać - poskarżyła się nagle.

- aogę wytrzymać.

Chcę mieć to już za sobą.

uedługo, mój aniele.

Już niedługo.

"

imadszedł i przeminał.

Bree wpadała w zmien ne- Albo była spokojna, albo wręcz przeciwnie, istrachu.

Co chwila przepakowywała rzeczy dla SPotem swoje własne.

Przeprała to, w czym chonem poprzedniego dnia.

Wytała kurz ze stofcwydawał się zupełnie czysty.

Zmyła naczynia.

wala pościel.

Po raz dziesiąty sprawdziła loseby upewnić się, że jest pełna jedzenia.

Zat do Flasha.

Potem do Julii i do Jane.

I nawet do ;już nie pozostało do zrobienia, a dopiero zbliotudnie.

Bree siedziała w swoim pokoju, zasta się, co robić.

; teraz otworzymy prezenty - zaproponował aty pod choinką, elegancko opakowane.

Dla [niego, nawet dla dziecka.

aowiła się przez chwilę, potem potrząsnęła Nie teraz.

Mogę poczekać do rana.

311 .

- W zeszłym roku nie chciałaś czekać.

Pa Objęła go w pół.

- W zeszłym roku to pierwsze święta.

Teraz jestem już doświadczona

- Zachichotała.

- Czy pójdziemy do zajazdu na

To był dobry pomysł.

Lunch zajął im jakieś (h dziny.

Poszli jeszcze do kina, potem na spacer, wracali do domu, zapadał już zmierzch.

Drzewa ku stały ozdobione światełkami.

W oknach wii udekorowane choinki.

Kościół stał skąpany w wietrze nasyczone było wonią dymu i sosen.

Ś wał się nierealny, jak z bajki.

I kiedy przechi parku, Bree odczuła to szczególnie mocno.

Kiedy wrócili do domu, Bree położyła się ntf i zapadła w drzemkę.

Obudziła się ze strachem. się ciężka, jakby ważyła tonę.

Nie wiedziała, dli tak jest.

W zajeździe prawie nic nie jadła.

Zu nie miała apetytu.

Planowali pójść o północy na pasterkę.

Całe steczko wybierało się do kościoła.

Bree wzięła { nic i stanęła przy szafie, zastanawiając się, czy większa ciężowa sukienka będzie na nią pasowa brzuch stał się ogromny, znacznie większy niż godzin temu i bardzo jej przeszkadzał.

I nagle poczuła, że odchodzą z niej wody.

Stała sparaliżowana, patrząc w dół.

Wiedziała, co się dz" ale nie mogła się ruszyć.

Potem nagle ożyła.

W;

głęboki oddech.

- Tom!

Tom!

- zawołała.

\Toma zaalarmował ton Bree, zanim jeszcze uj kałużę na podłodze.

Bree drżała ze strachu.

- Co czujesz?

- zapytał.

- Mokro.

- Żadnych skurczy?

- Jeszcze nie.

312

kojnie.

Nic się nie bój - powiedział.

Wierobić.

Wielokrotnie powtarzał to sobie w ciąitnich dni.

Przeprowadził ją do łazienki.

Posa da sedesie i kazał się nie ruszać.

Pobiegł onić do Paula Sealy.

dy wrócił od telefonu, zastał ją siedzącą bez ruoczyma szeroko otwartymi ze strachu.

t jej twarz.

- Paul już wie i przygotowuje, co trzeiraz jedziemy do szpitala.

- Pocałował jej oczy - Pomogę ci się ubrać.

lęła głową.

Sama chyba nie dałaby sobie rady, rdzo trzęsła się ze strachu.

i miał teraz energii za dwoje.

- Lewa noga...

ręka...

A teraz pochyl głowę - komenderował.

nał jej włosy.

- Już włożone...

O tak, grzeczna zynka.

- Możemy jechać?

iwulsyjnie skinęła głową.

- Tak.

310 zapiął pasy bezpieczeństwa.

W tym czasie ta już odczuwać skurcze.

- Czy to będzie szybko?

ipokoila się.

- A jeżeli nie zdążymy dojechać?

)ojedziemy.

Nie martw się.

pjedź szybciej.

fczymając jej rękę przez całą drogę, całując ją raz az, prowadził tak szybko, na ile starczyło mu odł.

Nie miałby nic przeciwko temu, żeby zostać za danym przez policjanta i dalej jechać pod eskortę. Wątpił jednak, czy jakiś patrol w ogóle wyjechał miasto.

Ludzie cieszyli się już świętami, siedzieli omach.

Wyjdą dopiero na pasterkę.

Teraz ulice puste.

ledy ostatni raz Bree jechała do szpitala, bał się, na umrze.

Dzisiaj też dręczyły go koszmary.

- Kocham cię, Tom - szepnęła drżącym głosem.

- Wszystko będzie dobrze, Bree.

Urodzisz nasze ;ko.

Najpiękniejszy prezent na Boże Narodzenie.

313 .

- Prezent świąteczny - powtórzyła drżą sem.

- Ostatni raz możemy zabawić się w 21 kę.

Wyatt czy Chloe?

- Będę kochać dziecko niezależnie od tego chłopiec czy dziewczynka.

- Zgadnij, Tom.

Założmy się.

Tak po pr zabawy.

- Ja mówię, że Wyatt.

- Ja tak samo.

I co teraz?

- Oboje wygramy - zdecydował Tom.

mógł już więcej o tym myśleć, bo dojeżdżali przyjęć.

I znowu, jak wtedy, żałował, że nie s wym Jorku, gdzie miałyby najlepszych lekai już Paul Sealy wybiegał im na spotkanie.

Ot go pielęgniarka z wózkiem przygotowań Bree.

Tomowi pozwolono zostać przy żonie.

Cały c przy niej.

Trzymał ją za rękę, kiedy siadała na wniósł ją na schodki.

Skurcze następowały jd drugim i oboje coraz bardziej się bali.

Pochylił nią i szeptał ciepłe słowa.

To wszystko działo się za szybko.

Przewieziono ją do sali operacyjnej.

Anast przystąpił do pracy.

Zrobiono zastrzyk w krę, Podłączono do monitorów.

Tom nie mógł się wszystkim połapać.

Mimo woli buntował się, że żoną robią coś dziwnego.

- Kocham cię - szepnął.

Ich oczy się spotkały.

Bree zaczęła płakać.

wał jej łzy.

- Jesteś piękna.

I taka silna - powiedział.

- Dziecko wychodzi na świat - powiedzia chwili.

Odgarnął ciemne pasmo włosów z jej po bladego, ale cudownie rozgrzanego.

- Nie czuję tego.

314

iętasz, co ci mówiłem?

Nic nie będziesz czustrzyk w kręgosłup tak działa.

iam cię.

- Rozpłakała się jeszcze mocniej.

usłyszeli głos pielęgniarki.

- To chłopiec.

yo ukształtowany.

Wygląda na zdrowego.

zaraz...

usłyszycie...

ko krzyknęło.

Głos miało silny i donośny.

iechnęła się szeroko.

Tom całował jej zapłapoliczki, szyję.
Czuł tak ogromną ulgę.
mają dziecko, a on jest taki szczęśliwy.
uc - szepnął.

ę cieszę - śmiała się Bree przez łzy.

śmiech przeszedł w serię krótkich, urywa;hów, tak bardzo się wzruszyła, gdy pielęgnióska jej dziecko.

; był czerwony i pomarszczony, ale Tom ysiąc, że nigdy w życiu nie widział tak pięknej totki.

Ręce mu się trzęsły, gdy wziął malusz?

gniarki.

Jego kilkuminutowy syn wydał mu wym cudem.

A drugą wspaniałą rzeczą było, położyć w ramiona swojej kochanej żony.

m śmiała się i płakała.

A on czuł się tak icial skakać z radości.

Bree nie umarła.

Iwięcej o północy, kiedy zaczynała się pasterIZostała przewieziona do pokoju, który był zuyipodobny do tego, w którym przebywała rok an razem to był odświętny pokój.

niej, w malutkim łóżeczku, spał synek.

Bree udzona, pełna energii.

Nic jej nie bolało

taka szczęśliwa.

Przeżyła poród.

Kochała

iecko.

315 .

Życie było cudowne.

Pomyślała, że gi raz musiała umrzeć, odeszłaby z tego świ, i uśmiechnęta.

Julia i Jane przybyły już przed pierwszą.

Gdyl zało się, że Bree i Tom nie przyszli na pasterla pobiegły do telefonu.

Kiedy w mieszkaniu Gat nie odpowiadał, domyśliły się i od razu zjawiły i mont.

Przysięgły dyżurującej pielęgniarce, że a szymi przyjaciółkami rodzącej, i pozwoliła im w

- Jaki piękny.

Uroczy - powtarzała Jane.

Julia nic nie powiedziała.

Wyraz jej twarzy oczu zdawały się mówić więcej niż słowa.

Poctói Bree, wzięta ją za rękę i mocno uściśnęła.

Brefe ła, jak bardzo Julia cieszy się ich szczęściem.

Z mą patrzy na dziecko.

Już wcześniej Bree post że poprosi Julię, żeby została matką chrzestną Nie miała żadnych wątpliwości.

W domu Julii ła prezent gwiazdkowy - malutką paczuszkę, miała zostać otworzona pierwszego dnia świąt.

3 czyta do tego liścik, w którym zawarła swoją proi

Wkrótce przybył Flash, a z nim Liz i Abby.

?1 przejmował się tym, że to środek nocy.

Były święta milszego nie mogło się wydarzyć.

Bree leżała szc wa, nie czując bólu.

Przy łóżku siedział jej kociał mąż, a obok stało małe łóžeczko, w którym spał jej

O drugiej w nocy pielęgniarka wyprosiła z wszystkich oprócz Toma.

O trzeciej Bree pop męża, żeby poszedł do domu.

- Ty też potrzebujesz snu - powiedziała.

- Nie potrzebuję - zaprzeczył z "przekonanie Trzymał żonę za rękę i było jasne, że nie chce stąd ruszyć.

316

, ale jestem śpiąca.

I zostaną i będę siedział przy tobie.

asnę, jak będę wiedziała, że tu jesteś.

A jeżez nas się nie wyśpi, to kto jutro zajmie się m?

Ja wiele nie zrobię.

Czuję się okropnie.

ty będziesz niewyspany, nie będziemy mogli ać się Wyattem.

syta dziecko do piersi, chociaż jeszcze nie miała i; Tom pierwszy raz w życiu zmienił pieluszkę.

Rawycali się maluszkiem, każdym kawałeczkiem jeUsta odziedziczył po Bree, oczy po Tomie, rude ; wiadomo po kim.

- Wyśpij się - powiedziała rano zadzwoń do Alicji i twojego ojca.

Włóż no) aparatu i przyjdź o ósmej.

Może potem pozwoić.

Pomożesz mi pójść do łazienki...

jak w daw nych czasach - uśmiechnęła się słabo.

mawet nie drgnął.

iskała jego dłoń.

- Nie bój się.

Będę tutaj.

się i będę na ciebie czekać.

chnął z ulgą.

- Nigdzie mi nie uciekniesz, praw)całował ją, potem podszedł do łóżeczka i pocałował ją.

Odwrócił się, by jeszcze raz dać buziaka

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie - Kruszony.

- Czy wiesz, co teraz sobie wyobrażam?

złapała głowę.

starzejemy się razem.

Obserwujemy, jak dorasta dziecko, potem wnuki.

I my, dwoje starszych idziemy powoli na spacer.

Siadamy na ławce.

panie, bo nasze stare kości potrzebują ciepła.

.., że piękny obraz?

fr

e było cudowne.

Bree obudziła się w nocy.

Pomyślała o tym, co mówił jej Tom.

Uśmiechnęła się.

317 .

Zobaczyła nad sobą świetlistą postać.
Od tego zaczęło się jej szczęście.
Czy życzenia byty naprawdę darem od wierzyła, że tak.
Dzięki temu urodziła dziecko wata, że nie może mieć więcej dzieci.
No cóż, Wyatt i tak jest najpiękniejszy na świecie.
Ma Toma i śliczne, wspaniałe dziecko.
DOZE szczęśliwych chwil.
To zaczęło się od świetlistej Bree czuła do niej głęboką wdzięczność.
Zamki i połączyła się ze światłością, "tym razem na zał
Postać rozłożyła ramiona w serdecznym p Patrzyła na Bree z niezwykłą, nieziemską
mi Bree odwzajemniła uścisk.
ZDZIAŁ SIEDEMNASTY
F
nie mógł zasnąć.
W ogóle nie chciało mu się (óbował tylko dlatego, że Bree go o to prosiła.
Ślą zerkał na zegarek.
Płonał z dumy.
Czuł się radośnie.
Tak się cieszył, że wszystko poszło
ył się na bardzo krótko.
Potem doszedł do i, że nie uda mu się zasnąć.
Wstał.
Chodził w ką, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca.
natychmiast wracać do szpitala, wiedział jedBree potrzebuje snu i że nie powinien jej przełć.
szcie zaczął przygotowywać aparat fotograficzczrobić synowi pierwsze zdjęcia.
I wtedy przyposobie o ostatnim filmie.
Odebrali go od fotogra; w nawale zajęć nie zdążyli obejrzeć odbitek.
Ignął fotografie.
pierwszym zdjęciu, które wyjął, była Bree z durzuchem pod koniec ciąży.
Nie mógł powstrzyI uśmiechu.
Teraz oboje z Bree zostali rodzicami.
Iżył się na myśl, że już wkrótce będzie mógł sfotobwać i matkę, i dziecko.
ótem wyciągnął zdjęcia zrobione podczas wizyty iicy Andersen.
Przejrzał kilka, odłożył...
I nagle Orzał się uważniej jednemu z nich.
Następnie po319 .

równał trzy zdjęcia.

Na wszystkich były B] i Nancy.

Trzy kobiety tak bardzo podobne Niemal identyczna figura, ten sam uśmiech w okamgnieniu wszystko nabrało nowego ;

lia, która dobrze wiedziała, że kobieta w nie była matką Bree.

Julia oddająca Bree s sną suknię ślubną...

Julia w ogrodzie, ro szczęśliwa.

Matka z...

córkami.

Julia, która la podtrzymać Bree na duchu, tak troskliwie wała się nią przez całą ciążę.

Poczuł w sobie gniew.

Jak mogła to ukryw nak dobre uczucia szybko wzięty w nim górę.1 czas wybaczenia.

Chciał jednak, żeby Bree den ta się o tym jak najszybciej.

Podniósł słucham tem jednak zmienił zamiar.

Bree potrzebował;

Poszedł na górę wziąć prysznic, ubrał się.

Za pojechać do szpitala i posiedzieć przy niej w Już prawie wychodził, kiedy zadzwonił telefonu wiło go trochę, kto może dzwonić o tej porze.

siał, że to na pewno jego wspaniała żona.

To jednak nie była ona.

- Panie Gates - usłyszał niespodziewanie głos, niepewny i zdenerwowany.

- Mówi dokt ber z centrum medycznego...

Prosilibyśmy, żeby przyszedł tutaj do nas...

Tom poczuł chłód.

- Czy coś złego?

- Wolelibyśmy porozmawiać osobiście.

- Co się stało?

- zapytał z przerażeniem.

- Niestety, mamy poważny problem.

- Jakiego rodzaju?

- Pańska żona miała zawał serca.

Tchu mu zabrakło z przerażenia.

- Zawał ser powtórzył.

- Tak.

- Och, Boże!

- wykrzyknął.

- Czy ona żyje?

320

powinien pan tutaj przyjechać.

we? - krzyczał.

pza.

odpowiedział po dłuższym czasie mężczy teraz bardzo cicho.

- Nie mogliśmy nic larła we śnie, na długo wcześniej, zanim ją r.

Przykro mi.

ze strachu.

i przyjdzie?

- zapytał doktor.

itknął ślinę.

- Tak, będę za piętnaście miA słuchawkę.

Przez chwilę patrzył tępo na ilefoniczny.
Podrapał się po głowie.
Za życzenia - powiedział do siebie.
- Ciepło, atem dziecko.
Ostatnie życzenie.
I co potem?
ae mogło być prawdą.
To niesprawiedliwe, Bywał sam siebie.
Przecież niedawno sama po iła, że wszystko w porządku.
Zresztą nie mo;ć zawału.
Wszystkie wyniki miała dobre, żadtopotów z sercem.
I miała tylko trzydzieści trzy
 wu przełknął ślinę.
Czuł ból.
Zastanawiał się, mógł być żart?
Niemożliwe, nie żartuje się sposób.
Tym bardziej nie w święta Bożego Nainia.
 żeli to nie żart, to może być jakaś pomyłka, mówił iiebie.
Wziął z kuchennego stołu kluczyki.
Już był imochodzie, kiedy pomyślał, żeby wrócić i zadzwodo Julii.
Ale mimo wszystko to mogła być pomyłMoże to nieprawda, może Bree żyje i wcale nie ;ba
zawiadamiać Julii.
 Tom jechał teraz dużo szybciej niż poprzedniego ia razem z Bree.
Teraz już ostrożność nie była koiczna.

Paul Sealy podbiegł do niego, gdy tylko go żył.

Uściskał mu serdecznie rękę.

Wyglądał na żonego.

- Pielęgniarka zaglądała tam o trzecie dziesiąt - powiedział.

- Bree i dziecko sną spali, najzupełniej zdrowi.

Kiedy robiła obchód nę później, Bree już nie żyła.

Tom nic z tego nie mógł zrozumieć.

Paul wydawał się tak samo bezradny.

- Jej po prostu przestało pracować.

Nagle.

Nic nie ws wało na to, że coś się może stać.

Próbowaliśmy p czyć ją do aparatury reanimacyjnej, ale już by późno.

Musiała umrzeć zaraz po trzeciej pięćdzf kiedy wyszła od niej pielęgniarka.

Tom patrzył na niego zmartwiały.

- Nie rozumiem, co się stało - mówił Paul.

liśmy badania.

Nie miała żadnych kłopotów z serc

- Odzie ona jest?

- zapytał Tom nieswoim głb

- Tam, gdzie poprzednio.

Przenieśliśmy tylko d ko do innej sali.

Maluch czuje się dobrze.

Tom już go nie słuchał.

Pobiegł do tamtego poi gdzie jeszcze tak niedawno zostawił Bree zdrową s ką szczęśliwą.

Na chwilę zatrzymał się przy drzwi Powiedział sobie, że może ona po prostu śpL wszystko.

Ona tylko śpi.

Trzy kroki i znalazł się pr łóżku.

I gdy tylko dotknął jej policzka, już wsz;

wiedział.

Policzek był zimny jak lód.

Dotknął szyi, rar dłoni.

Wszystko lodowate, przeraźliwie zimne.

Wz ją za rękę, jakby chciał ogrzać i szepnął jej imię t samym nieswoim głosem.

Twarz miała białą jak we Rzęsy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zaws podobnie włosy.

Patrzył na jej niewielki nosek, okrągłony podbródek, pełne wargi, wygięte w leki uśmiechu.

Leżała kochana i prześliczna, zbyt pięt żeby mogła być nieżywa.

322

-Och, moje maleństwo - szepnął, całując jej dłoń.

shniała olejkiem o zapachu bzu, którego użyła poedniego wieczoru do kąpieli.

I jeszcze jakimś antytykiem, użytym przez anestezjologa.

Stał przy niej.

pewnym czasie zapach szpitalny zniknął, pozostając woń olejku.

Tom wydał z siebie długi, przeraż.yj?

Ilb żaden żart, żadna pomyłka.

Jego ukochana Bree szyje.

Wora stracił poczucie czasu.

Siedział przy niej na łóż4 gładził jej rękę, całował policzki.

Mówił, że ją koB.

Chuchał na jej zimne ręce, przyciskał je do swojej fi.

Patrzył uważnie na jej twarz, jakby starał się zapaść na zawsze wszystkie rysy, każdy najdrobniejszy zegół.

Wiedział już, że nigdy nie otworzy oczu, że nie się nie obudzi.

Nie uśmiechnie się do niego.

I; Podeszedł do niego Paul.

- Czy mógłbym coś dla niej zrobić?

- zapytał przyciszonym głosem.

Tom poczuł, że ogarnia go złość.

Chciał mu wykrzyceć wszystko w twarz.

Bree znajdowała się przecież od jego opieki.

Dlaczego nikogo przy niej nie było, kiedy umarła?

Jak mogli zrobić jej badania i nie wierzyć, że ma słabe serce?

Nienawidził Paula.

I natychmiast przypomniał sobie, że Bree nie miała łopotów z sercem.

- Czy mogę w czymś panu pomóc?

- pytał doktor.

- Wrócić ją do życia!

- krzyknął.

I poczuł, że nienawiść ustępuje miejsca rozpacz.

Paul objął go serdecznie.

- Przykro mi.

Robię wszystko, co jest możliwe.

Nigdy żaden mój pacjent nie odszedł w ten sposób.

Umierali tutaj ludzie w podeszłym wieku, zdarzyło się kilka przypadków

323 .

wyjątkowo ciężkich, nieuleczalnych chorób.

jak teraz...

Nigdy nic takiego mnie nie spotkał Tom czuł, że ktoś przenika go do głębi.

- Czy mogę do kogoś zadzwonić?

- zapytał L Julia.

Trzeba zawiadomić Julię.

Tom jednak j(

nie był gotów dzielić z nią Bree.

Potrząsnął głę

Nie, jeszcze nie.

Świt zastał Toma siedzącego na łóżku Bree.

Bree po włosach, dotykał jej kończyn.

Stopy miała ne.

Kiedyś mu powiedziała, że zawsze marzną jej Przypomniał sobie, jak mówił jej o swojej matce, i uważała, że u kobiety ciepło gromadzi się wokół s

A jej serce było uszkodzone.

Ciepło uszło szczeB mi.

I Bree nie mogła z tym żyć, musiała iść do myślał Tom.

- Tom?

- dobiegł go przerażony głos.

W drz stała Julia.

Twarz miała przeraźliwie bladą, drą Przyglądała się Bree.

- Obudziłam się godzinę te z takim okropnym przecuciem - powiedziała Nie mogłam wytrzymać.

Przyjechałam tutaj.

Za mała mnie pielęgniarka...

- Zbliżyła się, ciągle trując się w Bree.

Niosła ze sobą jakąś paczu Upuściła ją na podłogę i nawet tego nie zauwa Wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy córki.

Pogłaskała ją.

Potem skierowała wzrok na Toma.

- Serce - szepnął.

- Nie.

Ona tylko śpi.

Uśmiecha się do słodkie snów.

Tom potrząsnął głową.

- Wygląda, jakby spała - zaprotestowała Julia.

Kobiety nie umierają przy porodzie.

Nie tutaj i nie te!

raz.

Tak było dawniej...

- odwróciła się do drzwi, jak by chciała pójść po lekarza.

324

złapał ją za rękę.

- Już za późno.

Już nic jej noże - rzekł zachrypniętym głosem.

" ieBree umarła.

Przyszedłem tu o piątej rano.

Już

dy nie żyła.

Nie...

Julia potrząsała głową, próbując zaprzeczyć.

Kiedy tak znowu spojrzała na Bree, zaczęła płakać.

Tom przytrzymał ją.

Nie chciał, żeby sprowadzała arzy.

Bał się, że mogliby zakłócić tę intymną chwilę żegnania.

Julia kochała jego żonę tak mocno jak Łzy Julii wyrażały ból.

Tom czuł się zmartwiały, raziowany z bólu i lęku.

W jakimś czasie Julia wyjęła z torebki chusteczkę zycisnęła ją do oczu.

Mówiłyście, pociągając noś.

- Miałam zamiar powiedzieć jej to dzisiaj.

Nalisałam o tym w dedykacji na malutkiej książeczce, którą przyniosłam jej do czytania.

O wszystkim, co się potem wydarzyło.

Dlaczego tak postąpiłam, co wtedy, czułam.

- Spojrzała na niego przez łzy.

- Czy już w wtedy w ogrodzie znałeś prawdę?

- Nie.

Domyśliłem się dopiero przed paroma godzi nami.

Oglądałem zdjęcia Bree z tobą i Nancy.

Do strzegłem wreszcie rodzinne podobieństwo.

Wszystkie trzy jesteście bardzo podobne do siebie.

Nie mógł używać czasu przeszłego.

Julia dotknęła ramienia Bree.

Wygładziła materiał szpitalnej koszuli i delikatnie przesunęła palcami po wierzchu dłoni.

Uśmiechała się tak smutno, że Tomowi w serce pękłoby ze współczucia, gdyby nie to, że czuł taki sam żal.

- Moja prześliczna Bree - szepnęła Julia.

- Piękna od samego początku.

- " Te słowa wydawały się właściwe, a nawet uśmierzające ból.

- Tak bardzo się przeraziłam, kiedy okazało się, że zaszłam w ciążę.

325 .

Ale to oznaczało życie po miesiącach myślenij o śmierci.
Kochałam ją przez cały czas, gdy nosiłam a pod sercem.
I Haywood mnie kochał.

Sprawił, że za.

pomniałam o Wietnamie.

Zbudował we mnie wiar we wspólne życie.

Tak się cieszyłam, kiedy Bree się urodziła.

Uważałam, że jakoś to wszystko się ułoży...

- Umilkła.

Tom przysunął się do Bree i ucałował jej dłoń.

Spój rżał pytająco w górę.

Zastanawiał się, czy ona wie o je go obecności w tym pokoju.

Ciekaw był, czy wie o Jij lii i czy teraz słucha jej zwierzeń.

Pragnął tego bardziej niż cegokolwiek innego.

- Czy mówiłaś swojej rodzinie o Bree?

- zapytał.

H Julia głośno westchnęła.

- Na Boga, oczywiście, a nie.

Jesteśmy katolikami, a ja dopuściłam się cudzołóstwa.

Jego rodzina nigdy by tego nie zrozumiała.

N mogli zrozumieć nawet tego, gdy pojechałam a wschodnie wybrzeże do żony ryzyjaciela
Teddye z wojny.

Był wtedy zaginiony, a oni uważali, że powiń nam cały czas czekać w domu przy telefonie.

Nie v trzymałabym tego.

Wyjechałam i dzwoniłam stamt do domu raz w tygodniu, żeby się dowiedzieć, czy pn szły
jakiś wieści.

Nie mogłam częściej, za bardzo !

denerwowałam.

Bree miała dwa tygodnie, kiedy !

dowiedziałam, że odnaleziono Teddyego.

Przywiezie no go do szpitala do Niemiec.

Stracił nogę i wymag stałej opieki.

Nie wiedziałam, co robić.

- Kochałaś Haywooda?

- zapytał Tom.

Bree wsze chciała to wiedzieć.

- Tak jak Teddyego?

- Spojrzała na córkę ze smutnym uśmiechem.

- Potrzebowałam Haywooda żeby zabić myśli o Wietnamie...

- stłumiła głos.

-i Ale Bree kochałam od początku.

Tak bardzo ją kocha!

łam...

- Łzy płynęły jej po policzkach.

Znowu pogła-;

skąła córkę po twarzy.

Dotknęła jej czoła.

- Bree

szepnęła.

- Moja Bree.

Może gdybym była starsza, bardziej pewna siebie, nie wyrządziłabym ci takiej strasznej krzywdy.

Byłam przekonana, że Teddy zmarł.

Kiedy dowiedziałam się, że żyje, czułam się winna.

Nie dotrzymałam przysięgi małżeńskiej, a w tym czasie mój mąż przeżył prawdziwy koszmar.

Ból pozostawienia Bree wydał mi się pokutą za to, co zrobiłam.

- Nie próbowałaś temu zaradzić?

Wymyślić jakieś rozwiązanie?

- Przez cały czas.

Tyle że na początku Teddy bardzo chorował.

Wreszcie urodzili się Nancy i Scott.

Czas mijał i potem byłoby jeszcze trudniej powiedzieć im o Bree.

Poza tym Haywood zabronił mi kontaktować się z córką.

Groził, że wszystko wyjawia, jeśli będę próbować.

Musiałam czekać, aż on umrze...

Teddy zmarł miesiąc wcześniej...

- Zadrzała.

- Przykry zbieg okoliczności...

Toma nic nie mogło zdziwić.

Już w ogóle nic.

- Przez cały ten czas byłam tutaj i nie powiedziałam jej - mówiła Julia z głębokim żalem.

- Bałam się, że mnie odrzuci.

Wystarczało mi, że mogę ją widzieć.

Bałam się, że nie myśli o mnie, że nie jestem jej potrzebna.

Dopiero tego dnia, kiedy wydawało jej się, że tamta ko bieta jest jej matką, zrozumiałam, że jest inaczej.

Płakałam, ale nawet wtedy nie potrafiłam wyznać jej prawdy.

Tom zdziwił się, z jaką precyzją spełniały się życzenia.

Tamta kobieta w mercedesie była potrzebna do skierowania rozmowy na inne tory.

- Urodziłaś się w Kalifornii?

- zapytał.

- W pobliżu Sacramento.

- Kim była Matty Ryan?

- To ja.

Ryan to moje panieńskie nazwisko.

Martina to moje drugie imię.

W dzieciństwie wszyscy mówili do mnie Matty.

Wszyscy oprócz Teddyego.

Dla niego zawsze byłam Julią.

327 .

- Od czego pochodzi imię Bree?

- Od imienia mojego ojca.

Nazywał się Bryce.

- tknęła włosów Bree.

- Haywood pozwolił jej zatrzy-" mać to imię.

Przynajmniej na to się zgodził.

1b znaczyła dla mnie tak wiele.

Ucieszyłam się, kiedy się o tym do-1 wiedziałam...

Mój ojciec był bardzo silnym mężczyzną!

o gęstych rudych włosach...

- głos jej zadrżał.

- Och,, Bree - szepnęła.

- Dlaczego d nie powiedziałam Powinnam była to zrobić znacznie wcześniej...

- Otar- łaizy.

Tom podniósł z podłogi paczuszkę.

Położył przy że nie na poduszce.

- Ona to jakoś wyczuwała.

Powie działa mi, jak wiele dla niej znaczysz.

Chciała, że) była matką chrzestną.

Julia łkała teraz głośno.

Mówiła przerywanyi głosem.

- Czułam się taka szczęśliwa tego wlecze ru.

Nie mogłam spać...

- Wyciągnęła z torebki al bum przeznaczony na zdjęcia dziecka.

- To preĄ zent, jaki dostałam od Bree...

- Przycisnęła!

chusteczkę do oczu.

Wyjęła z torebki list i podała goi Tomowi.

Droga Julio,

Ten prezent jest nie tylko ode mnie.

Może przede wszystkim od mojego synka.

Ja jakoś wiem, że to chłopiec.

A on będzie Cię bardzo kochał.

Będzie wie dział, że zawsze może przyjść do Ciebie, gdyby miał jakiś problem.

Będzie wiedział, że go kochasz.

Będzie dla mnie zaszczytem, jeśli zostaniesz je go matką chrzestną...

Chciałabym, żebyś myślała o Tomie i o naszym synku jako o swojej rodzinie w Panamie.

Zaczęłaś dla mnie znaczyć bardzo dużo.

Nie mogę tego zrozumieć, ale istnieje pomiędzy nami jakaś niezwykła więź.

Zawsze sprawiałaś, że czu328

tam się lepiej.

Pomogłaś mi przetrwać ciążę.

Po trzebałam Cię, szczególnie w tych ostatnich miesiącach.

Cieszę się, że przyjechałaś do Pana my.

Dziękuję Ci, że zawsze potrafiłaś okazać mi przyjaźń, że mogłam na Ciebie liczyć.

Kochająca Bree.

Tom przyglądał się listowi.

Potem złożył go staran nie i zwrócił Julii.

- Nie wiedziałem, że do ciebie napisała.

Dobrze, że to zrobiła - powiedział po chwili.

I jeszcze boleśniej odczuł pustkę, jaka po niej zo stała.

Julia spojrzała na miejsce, gdzie stało przedtem łó zeczko z maleństwem.

- Gdzie jest teraz dziecko?

- W sali noworodków.

- Byłeś tam?

- Nie.

- Pomogę ci, Tom.

Pozwolisz mi?

Musiał się zgodzić.

Nie miał wyboru.

Jeszcze nie mógł myśleć o dziecku ani o przyszłości.

Wiele razy w sądzie był świadkiem ogłaszania surowego wyroku, od którego nie było już odwołania.

Dopiero teraz zro zumiał, co czuje skazany, który do końca życia nie opuści murów więzienia.

W Panamie był tylko jeden cmentarz.

W tej spra wie nie musiał podejmować żadnych decyzji.

Wypeł nił w szpitalu druki, które podsunęła mu pielęgniar ka.

I został przy Bree, dopóki nie przyjechał karawan.

Wiedząc, jak bardzo zależało na tym jego żonie, wziął dziecko do domu.

Ubrano je w szpitalu w malut kie kaftaniczki, przygotowane wcześniej przez Bree.

329 .

Julia owinęta chłopca kocykiem, żeby nie zmarzł;
Trzymała dziecko na kolanach.
Tom prowadził.
A potem położyli dziecko do przygotowanego przez Bree łóżeczka.
Tom stał i rozglądał się.
Bree był" wszędzie w tym domu.
W lampie, którą kupowali razem.
W wesołym, kolorowym wzorku na ścianie.
Pa miętał, jak wybierała krzeselko.
Z jaką starannością stawiała je pod oknem.
Gdzie jesteś, Bree?
- chciał krzyknąć w panice.
Potrzebuję cię tu.
Nie rób mi tego.
Nie zostawiaj mnii
Zdruzgotany chodził z kąta w kąt.
Nogi miał ja z drewna.
Wszystkie pokoje wyglądały tak, jakb Bree miała tu zaraz wrócić.
Na nocnej szafeczce kłó łóżka, na toaletce, wszędzie pełno było jej rzecz;
W łazience leżały rozrzucone kosmetyki.
Nawet ściany w jego gabinecie przypominały m(o jej obecności.
Była w każdym miejscu, w każdej rzę czy, w książkach na półkach, w kuchni, w łyżeczkac i
talerzykach, które kupowali razem.
Prowadził go j zapach.
Słyszał echo jej głosu.
Odwracał się, ale jej było.
Tylko pustka, samotność.
Zadzwęczał dzwonek u drzwi.
Przyszedł Flash, samo załamany jak Tom.
Na jego ramieniu opiera się Jane.
Musiał ją podtrzymywać, bo nie miała siły s ma iść.
Chwilę później przyjechała jej matka z Emn zaraz potem Liz, Abby, Martin, potem LeeAnn,
Ełk i Earl z żonami, ksiądz, który jeszcze nie tak daw udzielił Tomowi i Bree ślubu.
Ból coraz bardziej pi gniał, ludzkie współczucie raniło serce.
Do południa przybyły tłumy ludzi.
Wszyscy składali kondolencje, wyrażali chęć pomocy.
Znajon z dzieciństwa, przyjaciele jej ojca, klienci Flasha.ij Niektórych Tom jeszcze nie znał.
Przynieśli jedzenie,!
choć i tak nie mógłby przełknąć ani kęsa.
Nie sprawa- wiali kłopotu swoją obecnością.
Sami otwierali di
330
parzyli kawę, odbierali telefony.
Wyrażali żal i mieli łzy w oczach.
Mówili o Bree przyciszonym głosem.
Jedni wychodzili, przychodzili następni.
Wszyscy pełni rozpacz.
Dziecko było jedynym jasnym punktem w tym ponurym dniu.
Goście, którzy zaglądali do dzieciennego pokoju, wychodzili stamtąd z uśmiechem.

- Jaki śliczny chłopiec.

Będzie wysoki i przystojny jak ojciec.

Tom ciągle nie potrafił określić swoich uczuć wobec dziecka.

Czuł się zbyt zmęczony, zdruzgotany, żeby się nad tym zastanawiać.

Powiedział o tym Jane, kiedy za stała go samego w kuchni.

Chował jedzenie, które przyniesiono.

Było tego dużo i musiał zrobić z tym po rząddek.

Nie wiedział, czym jeszcze mógłby się zająć.

Nie potrafił śmiać się ani płakać.

Ani tym bardziej bać gości rozmową.

Jane zaczęła od własnych wyznań.

- Wiedziała o życzeniach, Tom.

Powiedziała mi o tym.

Niepokoili się, że to może się wydarzyć.

Przeciagnął ręką po włosach.

- Wiedziała więcej ode mnie.

Dlaczego jej nie słuhałem?

- Nie wiedziała, nie była pewna.

Po prostu niepokoili się.

Ale tak bardzo cieszyła się dzieckiem, tak bardzo pragnęła ci je dać.

Nie chciała, żebyś żałował.

- Jak mógłbym nie żałować?

Pomogła mi wrócić do życia, a ja co zrobiłem?

Odebrałem jej życie.

- Nieprawda.

- Umarła dlatego, że urodziła moje dziecko.

- Sama podjęła decyzję.

- Tak, tak...

- Czuł, jak bardzo napięte ma mięśnie pleców.

Aż do bólu.

- Prosiłem ją, żeby nie wypowiadała ostatniego życzenia.

Powinna mnie była zapytać.

Na pewno wybrałbym ją, nie dziecko.

- Ono nie jest niczemu winne.

Tom.

Nie możesz mieć do niego pretensji.

331 .

Tom cały czas próbował przekonać siebie, że ko nie jest niczemu winne.
Jednak gdyby nie Wyatt, Bree żyłaby nadal.

Westchnął.

- Nie wiem, czy będę potrafił.

- Co potrafił?

- Żyć bez Bree.

- Nie kochasz go?

- zapytała Jane.

- Kocham - westchnął.

- Ale jak można dzić się z czymś takim?

Na kogo się gniewać?

B winić?

Co robić?

Ktoś delikatnie zapukał do kuchni.

Zobaczył oszklone drzwi, że to Verity.

Poczuł dziwną pot porozmawiania z tą kobietą.

Ścisnęła jakąś pacz owiniętą w ładny kolorowy papier.

Rozejrzę ostrożnie, kogo tu może spotkać, ale Tom zaraz wadził ją do środka.

Na początku nic nie mówiła.

Nie była do tego z Jej oczy przepełniał tak ogromny ból, że łom na miast zrozumiał, dlaczego pragnął jej obecności.

pięła podobnie jak on.

- Kochałam Bree - powiedziała z żalem.

- Umarła za wcześnie.

- Cały czas nie mogę sobie darować, że jej tym nie powstrzymałam.

- Ja tak samo.

- Odeszła, bo zrobiła to, co chciała.

Może jest szczęśliwa.

Tom chciał zaprzeczyć, ale nie mógł.

Przypo;

sobie twarz Bree.

Uśmiech, spokój, radość.

To mnienie zachowa na zawsze.

- Ona chciała dobrze dla ciebie - powie Verity.

- Dobrze?

Bez niej?

- Nie miała pewności.

Zaryzykowała i nigdy tego żałowała.

332

A teraz zostałem sam z jej dzieckiem.

To twój syn.

- Dzieci potrzebują matki.

- Ale jej nie ma.

I kto nim się zajmie, jeśli nie ty?

Tom wiedział o tym.

Tylko nie miał pojęcia, jak temu

doła.

I Verity rzuciła nerwowe spojrzenie na Jane, kiedy igle w kuchni pojawiły się Dotty i Emma.

- Muszę E iść - szepnęła i odwróciła się.

[bm przytrzymał ją za ramię.

- Co przyniosłaś?

-

azał na paczuszkę.

- To może poczekać, - Nadal mówiła szeptem.

ane nagle stanęła przy Tomie.

- Zrobiłaś coś dla

icka?

- zwróciła się do Verity.

bbieta speszyła się jeszcze bardziej.

- Nic wiel;o.

Chciałam to dać na przyjęciu przed urodzinami

scka, ale nie zdążyłam.

Przykro mi, że nie przyszłaś na przyjęcie.

Bree

dzo tego żałowała.

Moja matka plotła bzdury, a ty itrzebnie w to uwierzyłaś - odważnie wypaliła

;norowała gniewny pomruk, który dotarł do niej drzwi.

Tom również nie przejął się obecnością ty.

Bree bardzo lubiła Verity.

Na pewno ucieszyt się z tego prezentu.

Czując nieoczekiwany przyg sił, powiedział do niej: - I ja, i dziecko chcielin y dostać ten upominek.

Na pewno sprawi nam radość.

fcryty z wahaniem patrzyła na paczuszki.

Dopiero a, Tom spostrzegł, że to byty dwie rzeczy.

Mniejsza ększa.

Verity wcisnęła mu paczuszki do rąk i szybwyszła z kuchni.

Przynajmniej raz umiała się zachować - skomenia Dotty.

- Wie, do czego służą drzwi.

ni i Jane spojrzeli na siebie w cichym porozumieniu.

333 .

- Może ci pomóc - zaoferowała Emma.
Jednak Tom właśnie rozpakowywał większą paczuszkę.
Wyobrażał sobie, jak Bree podekscytowana rozrywa papier...
W środku leżał prześliczny koczek dla dziecka.
- Jaki piękny - jęknęła z zachwytem Jane, nieśmiało dotykając prezentu.
- Myślisz, że do tej pory nie kupiliście dziecku kocyka?
- burknęła Dotty.
- Bree na pewno wołałaby ten - odparł Tom.
- Ten, który mamy, jest dużo brzydszy.
Poza tym to wy rób fabryczny.
Zawsze wyżej cenę ręczną robotę.
- Bree żyłaby do tej pory, gdyby nie ta kobieta - powiedziała Dotty.
Spojrzał na nią pytająco.
- Dlaczego tak sądzisz?
- To Verity Greene namówiła ją, żeby urodziła dziecko.
Bree była już za stara, żeby mieć dzieci.
- Mamo, co ty wygadujesz?
- oburzyła się Jane.
- Mówiłaś Bree, że powinna z tym poczekać.
- Och, zamilknij wreszcie.
- Nie, to ty zamilknij.
- Jane nagle poczuła przypływ odwagi.
Brakowało jej tego przez całe życie.
Wyprostowała się.
Teraz wydawała się wyższa i silniejsza od Dotty, - Bree postąpiła tak, jak chciała.
Nikt jej do niczego nie zmuszał.
Trzeba wyjść naprzeciw swojemu szczęściu.
Dotty skinęła głową.
- Rozumiem.
Dlatego właśnie wybierasz się do studium grafiki artystycznej.
Jeśli nie będziesz ostrożna, skończysz tak jak Bree.
- Lepiej tak skończyć, niż zamykać się przed szczęściem.
Dotty westchnęła.
Emma wyprowadziła siostrę z kuchni.
- Jest zde nerwowana.
Nie traktuj tego poważnie.
Za jakiś czas dojdzie do siebie.
Jane patrzyła, jak wychodzą, po czym zwróciła się do Ibmy.
- Już doszłam do siebie i wiem, co robię.
Tak,
334
dostałam się do studium.
Będę się uczyć zawodu.
Bree zachęcała mnie do tego.
Jej to zawdzięczam.
- Oczywiście nie wypełniły się łzami.
Otarta je chusteczką.
- Bardzo mi jej brakuje - powiedziała łamiącym się głosem.
Tom nie mógł mówić.

Pustka wydawała mu się nie do zniesienia.
Żałował, że nie może płakać.
Łzy nie chciały napłynąć.
Duszenie w sobie emocji było bar dzo bolesne.
 Jane podała mu matą paczuszkę, pozostawioną przez Verity.
Opakowana w ozdobny papier, z kartką, na której wypisane było jego imię.
Od razu rozpoznał pismo Bree.
Domyślił się, że to jeszcze jeden prezent, który zostawiła dla niego.
 Tego, co leżało pod choinką, nie chciał na razie otwierać.
Niech leży, niech czeka.
 Coś jednak zmusiło go do otworzenia tej pacuszki.
Był w niej szalik.
Szalik koloru bordo, który żona wła snorecznie zrobiła dla niego na gwiazdkę.
Wiedział już, dlaczego tyle czasu spędzała ostatnio u Verity.
 Do prezentu dołączony był liścik.
 Kochany, pisała jego żona.
 Verity nauczyła mnie robiona drutach.
Nie je stem w tym jeszcze bardzo dobra, ale już mam pew ne rezultaty.
Sama zrobiłam ten szalik.
To miała być dla ciebie niespodzianka.
Nie przyglądaj mu się zbyt dokładnie.
Wiele razy się pomyliłam, ale miło ści jest jeszcze więcej niż błędów.
 Twoja kochająca Bree
 Tom spędził noc w dzieciennym pokoju, z wełnianym szalikiem na szyi.
To zapadał w drzemkę, to się budził.
Dziecko spało, a gdy zaczęło płakać, Tom od razu
335 .

otworzył oczy.

Zmienił małemu pieluszkę i n tak, jak pokazała mu Julia.

Potem usiadł na i ukołysał chłopca do snu tak, jakby to zrobiła Br nie mógł usłyszeć jej głosu.

Nie zabrzmiał jej śmii

Pomyślał z goryczą, że zastanawianie się nad ;

listą postacią i trzema życzeniami traktował jak we, a śmierć stała się faktem.

Niepodważa stwierdzonym naukowymi metodami faktem.

Kołysał dziecko, ale nie znalazł w tym ukój Z każdą minutą jego ból stawał się coraz do "

Ból straty.

Lęk przed przyszłością.

Czuł się zmęczony, straszliwie wyczerpany.

wają ją następnego popołudnia.

Nie wiedział, czy trafi stać tam i na to patrzeć.

Zmarznięty i samo nigdy przedtem.

Nie był sam na pogrzebie.

Przed kościołem zgr dziły się tłumy.

Na tę smutną uroczystość przybył 1e miasto.

Na cmentarzu leżał śnieg.

Niebo pokryte było nymi chmurami.

Tom kulił się z zimna.

Miał na czarny garnitur, czarny kapelusz i bordowy szalik.

ce miał gołe, czerwone od mrozu.

Ludzie otoczyli wykopany grób, gdzie miała ze złożona trumna.

Tom nie zastanawiał się nad tym, przyszedł na pogrzeb.

Czuł jednak głęboką wdzi ność, że nie pozostawiono go samego.

Przemowa k dza była krótka i serdeczna.

Chór śpiewał pięknie

Tom ostatni raz patrzył na żonę, ubraną w si wspaniałą suknię ślubną.

Julia upierała, się przy I Tom na zawsze zapamiętał Bree jako pannę mt Swoją pierwszą i ostatnią prawdziwą miłość.

336

iedy opuszczano trumnę do grobu, ogarnęła go fca.

Wyciągnął rękę i zdążył dotknąć ręką drewna wieka.

Było lodowate.

Zadrżał z zimna.

e się podziiała jego Bree, gorąca, kochana dziew?

Skulił ramiona.

Cofnął się.

Ból stał się nie do

mania.

igle pojedynczy promyk słońca przebił się przez

\1. Rozświetlił trumnę, nadając jej łagodny orzeblask.

To dało Tomowi ciepło, za którym tak

i tęsknił.

Zamknął oczy.

Gdy otworzył je po ciepło pozostało.

Wyprostował plecy.

tość przesunęła się na szalik, który miał na szyi.

ietliła twarze mieszkańców Panamy, którzy kołdchodzili z kondolencjami.
n słońce rozbłysło nad strzelistą wieżą kościoórym brali ślub.
Nad domem, gdzie ich synek łącznie, pod troskliwym okiem matki chrzest[ękitniało niebo
nad miastem.
była jego bratnią duszą i śmierć tego nie zmie kła promieniem słońca w pochmurnym dniu.
, przy nim, zanim się poznali i nadal w jakiś pozostała.
Cały czas tak silnie odczuwał jej ść, że kiedy tłum w końcu przerzedził się, oczea Bree
podejdzie do niego.
ejrzał się.
tiasz Bree, na udeptanym śniegu, stał jego ojciec.
w Tomie pękło.
Ledwie był świadom, że Alicja liała na pogrzeb.
Pamiętał, że bracia składali idolencje.
Ale to był jego ojciec.
Czuł na sobie ujrzenie.
Potem ojciec ruszył ku niemu.
Zatrzypół metra przed nim.
Stali minutę naprzeciw
w smutnym milczeniu.
I nie był pewien, co widział później, ponieważ Oczy wypełniły się łzami.
Poczuł to wszystko, co wiele lat było w nim zamrożone.
Czuł miłość,
337 .

smutek i potrzebę bliskości.

Chciał przeprosić, czuć się akceptowany, jak dziesięcioletek, kto chodzi do domu, do miejsca, gdzie czeka go runkowa miłość.

Wyciągnięta dłoń była zaproszeniem, które potrzebował.

Otworzył ramiona i obejmując ojca, twarz w kołnierz jego płaszcza, skąd wdychał z rodzinnego domu, tak dobrze znany i ciepły.

Najbardziej pamiętał go latami.

Wreszcie zaczął płakać.

W złości za Bree, za matką i za tym wszystki utracił, pograżając się w grzechawisku walki o a Wydobycie się z niego stłumiony szloch, który by go zawstydził, gdyby ojciec uczynił cokolwiek go powstrzymać.

Jednak nawet gdy już umilkł, wciąż trzymał go w ramionach.

Wkrótce podeszli inni.

Tom uściskał braci, im dziękując.

Znow nie mógł opanować łez, gdy płakaną Alicję, która znając Bree, boleśnie odczuła stratę.

Wiedział, że Bree cieszyłaby się z tego, że jej swojej rodzime ciepło, które ona w nim wytworzyła:

Po pogrzebie zaprosił ich do domu.

W drodze nieodparte pragnienie, by się tam jak najszybciej leżeć.

Gdy dojechali na miejsce, zostawił wszędzie i szybko wbiegł po schodach na piętro, do dziecinnej.

Tam Julia pochylała się nad łóżko poprawiając koc.

Oczy miała zaczerwienione Natychmiast dostrzegła, że i on płakał.

- Właśnie go nakarmiłam - powiedziała.

- zasypia.

- Uściskała mu ramię i wyszła z pokój

Dziecko spało okryte zrobionym przez Yerity kocykiem.

Tom odsunął go.

Podłożył jedną rękę pod czoło i główkę, drugą pod plecki i delikatnie pod syna.

Mały nie protestował, nie krzywił się, nie ptał Oczka, które już prawie zamknęły się do snu, się otwierały.

338

(B! poczuł ich ciepło i w jednej chwili Bree była u niego przy nim.

Dziecko miało jej usta, jej małe uszki mokoc.

Tom dobrze rozpoznawał to wszystko, co synek po niej odziedziczył.

Jednak mały Wyatt też własne cechy, jeśli nawet Tom ich teraz nie zegał.

Własny nos i podbródek, własny słodki i i mózg, dzięki któremu małe paluszki poruszyły i zacisnęły wokół palca Toma.

.Bardzo ładny chłopiec - usłyszał od drzwi zaięty głos.

podniósł wzrok.

- Nazywa się Wyatt.

ris Gates przyjrzał mu się bacznie.

- Zdecydowanie was obojga.

Och, wiem.

Nigdy jej nie tem, ale mam przecież fotografie.

Bree od powyglądała na porządną dziewczynę.

la najwspanialsza - rzekł Tom.

.Wziął głęboki ;h.

Ból nie ustępował, ale Tom nabrał nagle naze można to jakoś przetrwać.

- To zdumiewaj ąSpowiedział do ojca.

- Dwa lata temu nawet nie łem o jej istnieniu.

Naprawdę znaleźliśmy się tylmaście miesięcy.

Może....

może tak miało być...

knął ślinę i oczy wypełniły mu się łzami.

Nie ię przed nimi.

Wiedział, że to przyniesie ulgę.

oł delikatne włoski dziecka.

- Miałem wrazęWróciła do życia, żeby odkupić moje winy.

kochałeś ją?

, oczywiście.

łby za nią wszystko.

Kochał ją dla niej samej, itego, żeby odkupić swoje winy.

Podarował jej Iktóry tak lubiła, drogą biżuterię, podróż poślub" I jej kucharzem, kelnerem, szoferem.

Słuchał, łowiła.

Od rana do wieczora razem spędzali irawiało mu przyjemność, że może ją uszczęślił z niej centrum świata.

Pokochał ją całym

339 .

Czy chodziło tu o odkupienie jego winy?
miało znaczenia, chociaż wszystko było możliwe

- Napisała do mnie liścik - rzekł ojciec.

- Dot ła go do prezentu, który mi przysłała.

Napisała, że niżej ją najszczęśliwszą na świecie.

Czyżby się myli

Tom przyglądał się dziecku.

Malutki policzek przy szaliku, który wydziergała Bree.

Oczki były mknące, usteczka rozchylone, jak u jego żony W!

się snu.

Tom pamiętał, jak usta Bree poruszyły się w czasie oddechu, jak układały się do śmiechu.

ją pocałunkiem.

- Nie, nie myliła się.

- Ożeniłeś się z nią z powodu wypadku?

Czy winien?

- Nie.

Zrobiłem to, ponieważ ją kochałem.

Chciałem uczynić ją szczęśliwą.

Sprawiało mi radość, że ją dać jej szczęście.

- Pomyślał, że w tym egoizm.

- Czy nadal jestem przekreślony?

,

Ojciec przecząco pokręcił głową.

Tom przyglądał się tej surowej, nieprzystępnej rzy.

Wiek pogrubiał rysy, dodał zmarszczek i plam.

cały czas był to ten sam szlachetny człowiek, kto dziś podziw i szacunek.

Tom pomyślał znowu o swojej matce.

Pana dobrze, jak wyjrzała przez okno i pomachała pożegnaniem.

Wówczas widział ją ostatni raz.

Wiedział się przyjąć do wiadomości, jak bardzo chon - Popełniłem karygodne błędy - powiedział.

- Tak.

- Ojciec pochylił głowę.

- Ja też po łem błędy - przyznał z trudem.

- Powinno wcześniej przyjąć twoje przeprosiny i poznać. Straciłem szansę, a teraz już za późno.

Tom przyglądał się śpiącemu dziecku.

Przypomniał sobie słowa, które napisała mu Bree.-- Nie pr daj się z bliska temu szalikowi.

Wiele razy się po tam, ale miłości jest w nim jeszcze więcej niż b

340

jeszcze raz powtórzył w myśli: więcej miłości niż dów.

Nie chodziło tu tylko o szalik.

I znowu zawycit się, jaką mądrą kobietą była jego Bree.

delikatnie dotknął główki dziecka.

Potem podniósł rękę.

Sufit nie był pomalowany równo.

Szczególnie no miejsce, tam, gdzie padało światło lampy, wydato się dużo jaśniejsze.

I znowu odniósł wrażenie, że jest przy nim, bliska i kochająca jak zawsze.

EPILOG

Fotografie są niezwykle.
Uwieczniają chwile odchodzące w niepamięć.
Niektórzy narzekają, że zdjęcia są płaskie i nierucho, że brakuje im głębi, że nie ma w nich życia.
Nie mogę się z tym zgodzić.
Robiona przez artystę fotografia może zachować na zawsze nie tylko obraz, ale i emocje.
Dom Thomasa Gatesa jest pełen właśnie takich zdjęć.
Przychodziłam tam opiekować się dzieckiem.
Zawsze dziwiłam się, gdy znajdowałam wiszące na ścianach coraz to nowe fotografie Wyatta.
Oglądałam kolejne albumy.
Tom uwielbiał uwieczniać syna w każdej pozycji, w każdym miejscu.
Czasami robił nowe odbitki ze starych filmów i też oprawiał w ramki.
Na wieślu zdjęciach jest Bree.
Tom przyznał, że dokumentuje życie Wyatta dla Bree, żeby widziała, jak dorasta ich syn.
- Och, wiem - powiedział.
- Myślisz, że ona nie może tego zobaczyć.
Dobrze, może naprawdę nie widzi.
Ale możliwe, że tak.
Wiele razy zdarzyło mi się przyłapać Toma na dziwnym zachowaniu.
Pochyla głowę, przemyka oczy i przez jakiś czas wydaje się nieobecny dla otoczenia.
Nagle bierze głęboki oddech, wyprostowuje się i po chwili
tem już jest spokojny.
Nie rozmawiamy o tym, ale wiem, że w takich chwilach myśli o Bree.
Być może w jakiś sposób ona jest przy nim w tym domu.
Nie mogę powiedzieć, że jej nie ma.
Dla niej te fotografie były bardzo ważne.
Podarowała mi album na gwiazdkę.
A wśród prezentów, które zostawiła pod choinką dla Toma, znalazła się potrójna ramka, przeznaczona na trzy portrety: Wyatta, Toma i jej.
I na wiosnę powiesił je na ścianie.
Bree spogląda z portretu z ciepłem i miłością.
Ja także zapamiętałam ją właśnie taką.
Serdeczną i zarazem bardzo szczęśliwą.
Upłynęło kilka miesięcy, zanim Tom otworzył świąteczne prezenty, które przygotowała.
Drzewko już dawno zostało wyrzucone, a on nie mógł zdobyć się na to, by zajrzeć do podarunków.
Tyle tylko, że chodził zimą w bordowym szaliku, który dostał od Bree.
Dopiero kiedy nastąpiła wiosna, gdy zakwitły na jej grobie lilie.
Tom poczuł się dość silny, żeby otworzyć prezenty.
Posadził te kwiaty w chłodny, styczniowy dzień, a teraz obsypane były pięknymi, żółtymi pączkami.
Wśród podarunków znalazł książki, papier firmowy dla jego nowej kancelarii adwokackiej, skórzaną portfel z jego inicjałami, rękawiczki samochodowe i małe szklane serduszko, w którym wirowały kolorowe punkciki.
I jeszcze teraz, po pięciu latach, Tom za wsze nosi je ze sobą w kieszeni.
Najcenniejsze były dla niego pierwsze miesiące.

Często znajdowałam go wtedy na bujanym fotelu, z dzieckiem na ręku.
W oczach miał łzy.
Wydawało się, że nie potrafi istnieć, kiedy zabrakło przy nim jego drugiej połowy.
Potem jakoś pogodził się z tym, że nie ma tej, którą tak kochał.
Przywykł do myśli, że jej duch przychodzi do niego.
To pomogło mu przetrwać trudne chwile.

343 .

Nie przestał za nią tęsknić.

Przez pierwszy rok pi nie wychodził z domu.

Rozumiałam go dobrze.

Q się podobnie, gdy umarł Teddy.

Znam tę pustkę, n cię winy, że on umarł, podczas gdy ja cieszę się dc zdrowiem.

Lęk o samotną przyszłość.

Pierwsze spędzone bez ukochanej osoby.

Kiedy życie stawało się szczególnie trudne, przytulał Wyatta i starał się jakoś przetrwać.

Ch na początku nie potrafił kochać dziecka.

Było jednak kilka rzeczy, które stanowiły po i pomogły mu przetrwać najtrudniejsze chwile.

Pierwszą była ogromna życzliwość ludzi z mia ka.

Jeszcze długo po pogrzebie, kiedy bardzo nie nie wychodził z domu, przynosili mu jedzenie.

I nili, by dowiedzieć się, jak się czuje.

Pytali, czego potrzeba.

Opiekowali się nim jak kimś bardzwl skim.

Na wiele sposobów okazywali mu syoje wiązanie, nawet wówczas, kiedy w końcu dopac dziennikarze.

Drugą pociechą była dla Toma jego rodzina.

Si i bracia odjechali następnego dnia po pogrzebie.

ciec jednak został na dłużej.

I odtąd znikły dąsy i zy.

Oziębłe stosunki należały już do przeszłości.

sowie często odwiedzali Toma.

A gdy on czuł-si podle, że nie był w stanie tego znieść, brał syna d mochodu i jechał do ojca.

Rodzina dawała Ton poczucie bezpieczeństwa.

Zupełnie jak dawniej, l był małym chłopcem.

Trzecim pozytywnym czynnikiem była praca, l tin okazał się najlepszym partnerem, jakiego mógł sobie wymarzyć.

Prawda, że na początku,;!

dy dowiedział się, kim jest Tom, -poczuł się zagN ny.

Jeśli jednak czuł do Gatesa jakąkolwiek nieci po tym, co stało się z Bree, znikła ona bez śladu.;

role zmieniły się.

Martin stał się asystentem "

344

zaś odwrotnie, jak to się w pierwszej chwili wyyało.

Ebm pogrążony w żałobie, zupełnie nie interesował

Epracą.

Sprawy czekały, aż wreszcie znowu wciągnę, go praca.

Klientów wciąż przybywało i ostatecznie isieli z Martinem zatrudnić kogoś do pomocy.

Jed li niezależnie od tego, jak dużo mieli zajęcia.

Tom [Zgadzał się pracować na pełny etat.

Najważniejsze niego stało się wychowanie syna.

wartą pociechą okazał się Wyatt.

I właśnie dla tesaatego chłopca Tom musiał wrócić do życia.

Bo jak lie uśmiechać się do takiego wspaniałego dziecka, lnie śmiać się razem z nim?

Obawiałam się, że zaToma może spowodować, że Wyatt wyrośnie na

ko poważne i przedwcześnie dojrzałe.
Stało się
ej. Mały lubi się śmiać, potrafi się wesoło bawić, nie rozmawia z ludźmi.
Jest towarzyski...
Och, do wie, z której strony posmarowany jest chlebek.
ta swego ojca najbardziej na świecie, tu nie mam liwości.
Kiedy jednak Tom wziął go do zajazdu, i często zachodził, mały podbił miasteczko swoim ?
kiem.
Już w wieku trzech lat miał uśmiech, któknie sposób było się oprzeć.
Odziedziczył po To(ydzięk i czar, a po Bree otwartą naturę i życzli.
Żywy chłopak, odważny, o dużej wyobraźni.
To le wszystkim on pomógł Tomowi powrócić do ą żywych.
BI ma dziesiątki jego fotografii.
Wisiały na ściats?
oprawione w ramki.
Jeszcze więcej było ich w alch rozrzuconych po całym domu.
Oglądanie jest dla Wyatta taką samą atrakcją jak czytanie t na dobranoc.
Pamiętasz to, tatusiu?
Babciu, po, tutaj jesteśmy ty i ja.
Opowiedz jeszcze raz, ta Jeszcze raz chcę usłyszeć o tym, jak zrobiłeś to e.
Niektóre fotografie są kolorowe, inne czarno
345 .

-białe.

Jedne przedstawiają Wyatta samego, na inny bawi się z przyjaciółmi albo pomaga Flashowi w zajęciach;

dzie.

A dokładniej mówiąc: podaje Eariowi do stołu ulubionego murzynka.

Zbiera z Verity jeżyny.

I wreszcie składa gratulacje Jane.

Tak, Jane ukończyła swoją wymarzoną szkołę.

Pracuje w Bostonie w dziale graficznym jednego z wielkich wydawnictw.

I spotyka się z pewnym detektywem, który bardzo jej się podoba.

Dotty rozgłasza wszem wobec, że temu człowiekowi przede wszystkim zależy na pieniądzu.

Moim zdaniem jednak wygiąć na porządnego człowieka.

Poza tym przyjaciel Tona który też jest detektywem, zna go i ręczy za niego.

Tom opiekuje się Jane.

Pomaga także Verity.

I bardzo dba o mnie.

W tamtych strasznych dniach po śmierci Bree nie zdradził mojej tajemnic.

Czuł, że to moja sprawa, że ode mnie zależy, kiedy zdobędzie się na odwagę, by powiedzieć to ludziom.

Dał mi na to czas i nigdy mnie nie ponaglał.

To był nasz wspólny sekret.

A

Moja obecność w życiu Wyatta nie budziła podziękowań.

Ludzie wiedzieli, że Bree i ja byliśmy bardzo blisko.

Nikt nie domyślił się, że jestem dla dziecka rodową babcia.

Chciałbym wtrącić, że Tom od początku robił wszystkie rzeczy, których bali się mężczyźni z mojego pokolenia.

Zmieniał pieluszki, karmił małego, kapał. Bawił się z nim, uczył go i wychowywał.

Nigdy nie wzbierał się przed czarną robotą, choćby była dla niego jak bardzo nieprzyjemna.

I zawsze czuwał nad dzieckiem, kiedy chorowało.

Wyatt wiedział, że jestem jego babcia.

Kiedy wyruczył na tyle, że mógł zrozumieć, wiedziało już o tym całe miasto.

Plotka rozeszła się z prędkością błyskawicy

346

I znowu przez jakiś czas stałam się wyrzutkiem społeczeństwa.

Kobietą, która szukała Haywooda i porzucała malutką Bree.

Byłam oszustką, która ukrywała swoją tożsamość.

Nie chciałam kłamać.

Zbyt cenię sobie szczerść.

Związałam się z tym miastem.

Zależy mi na sympatii tych ludzi.

Opowiadałam dużo o sobie.

Prosiłam o zrozumienie i wybaczenie.

W końcu darowali mi winę.

Wiem, że Panama jest moim prawdziwym domem. Wszystko to wymagało ode mnie dużo odwagi.

Zanim dowiedziało się o tym miasto, musiałam opowiedzieć wszystko Nancy i Scottowi.

To było trudne.

Od początku nie lubiłam zwierzać się dzieciom z moich spraw.

Nancy szybko przeszła nad tym do porządku, potrafiła zrozumieć.
Zdażyła poznać Bree, polubiła ją.
Poza tym zdawała sobie sprawę, co czułam, kiedy powiedziano mi, że Teddy nie żyje.
Trzeba było więcej czasu, żeby wybaczył mi Scott.
Za bardzo utożsamiał się ze swoim ojcem.
Zawsze w życiu kierował się ambicją.
Nigdy nie pozwolił na to, żeby zepchnięto go na dalszy plan.
I kiedy dowiedział się, że Nancy odwiedza mnie w Panamie, też zaczął przyjeżdżać.
Dobrze mi się żyje w tym mieście.
Zajęcie kwaciarki jest takie, że zawsze mogę wygospodarować trochę czasu dla siebie, jeśli mi na tym zależy.
To oznacza, że mogę odbierać Wyatta z przedszkola zawsze, kiedy Tom musi być w sądzie.
Tom szanuje moją pracę i bardzo jestem mu za to wdzięczna.
Bardzo się cieszę, że mogę robić dla Wyatta to, czego nie mogłam dla Bree.
Dostałam drugą szansę.
Po latach pojawiła się jeszcze jedna sprawa.
Tom potrzebuje kobiety.
Wyatt skończył pięć lat, wkrótce będzie miał swoich kolegów, swoje życie.
Będzie chciał spędzać z nimi coraz więcej czasu.

Tom zdaje sobie z tego sprawę.

Opowiadał mu starczające dużo o Bree, żeby stała się integralną częścią jego życia.

Trzeba jednak iść do przodu.

Na początku ogarniała mnie złość, że Bree UTO za młodo.

Myślałam przede wszystkim o wypac który zdarzył się tamtego październikowego wieczór

Wróciła na ziemię dla mnie i dla Toma.

Gdyby nie t nigdy nie doświadczyłyby radości i szczęścia, jakie st ły się jej udziałem.

Nie pozostawiłaby po sobie tak downej pamiątki, jaką jest Wyatt.

Tak, dla mnie j czternaście miesięcy to dar z nieba.

W końcu Tom także zaczął patrzeć na to w ten s sób.

Jest wspaniałym ojcem i doskonałym pTW kiem.

Bree na pewno byłaby z niego dumna.

Tom i że jego żona pragnęła, żeby byt szczęśliwy.

Dłat właśnie data mu dziecko.

Nie chciała, żeby przez r tę życia cierpiał samotność.

Ta kobieta to wdowa z nastoletnią córką.

Zajmu się statystyką.

Nie pochodzi z Panamy, nigdy przei tem tu nie była.

Wprowadziła się do uroczego domte zbudowanego na gruzach tamtego na South Forest

Upłynęło sporo czasu, zanim Tom coś zrobił z t] placem.

Dopiero dwa lata po śmierci Bree.

W koi uprzął teren, który przez następne dwa lata stalj sty.

Potem wybudował domek.

Było dla niego bar ważne, żeby kupiła go właściwa osoba.

Bardzo gry sił przy sprzedaży.

Jednak ta kobieta mu się spode ła i osobiście pomagał jej zagospodarować posiadł Na imię ma Diana.

Zdrobniale Dee.

Dziwny zbieg okoliczności?

W życiu często zdarzają się dziwne rzeczy.

Zapytasz może, czy te trzy życzenia istotnie byty t remznieba.

Nie wiadomo.

Iskierka ze starego, popsutego pić mogła wywołać pożar.

Bree przez trzy lata spotyi

348

się ze mną, zanim wypowiedziała życzenie, że chce zo baczyć swoją matkę.

Intensywne emocje mogły spo wodować, że zdrowe serce przestało pracować.

Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę olbrzymią siłę sugestii.

Nigdy nie dowiemy się, jak było naprawdę.

Lecz Bree przez ostatnie czternaście miesięcy życia wierzyła, że dostała dar od Boga.

Była przekonana o tym, że wszystko jest możliwe.

I wydaje mi się, że miała rację.

W życiu zdarzają się dziwne rzeczy.

Mogą się spełnić najpiękniejsze ma rzenia.

Proszę o przesłanie mi w wliczeniu pocztowym następujących ksufzek

UKŁADANIE BUKIETÓW - wydanie albumowe
cena 30,00 zł.

Andrew Stanway NATURALNY LEKARZ DOMOWY
Poradnik dla całej rodziny - twarda oprawa, ilustracje
cena 44,00 zł.....

Christopher Vaughan JAK ZACZYNA SIĘ ŻYCIE
czyli 9 miesięcy w tonie matki
cena 14,00 zł.....

Wojciech Józwiak IMIĘ DLA TWOJEGO DZIECKA
Rady astrologa (oprawa twarda)
cena 20,00 zł.....

Danuta Błaszak OBOJE ZBYT WRAŻLIWI
cena 5,00 zł.....

Catherine Coulter MŁODA PANI SHERBROOKE
cena 14,00 zł.....

Catherine Coulter PANNA MŁODA Z PIEKŁA RODEM cena 16,00

zł.....

Catherine Coulter POSAŻNA PANNA MŁODA
cena 15,00 zł.....

Catherine Cookson MALTAŃSKI ANIOŁ cena 10,20 zł.....

Catherine Cookson PTAK BEZ SKRZYDEŁ
cena 11,90 zł.....

Catherine Cookson CÓRKA PASTORA
cena 13,90 zł.....

Catherine Cookson WIECZERZA Z ZIÓŁ 1.1
cena 9,90 zł.....

Catherine Cookson WIECZERZA Z ZIÓŁ t.

II

cena 10,10 zł.....

Barbara Taylor Bradford AKT WOLI
cena 12,00 zł.....

Barbara Taylor Bradford KOBIETY JEGO ŻYCIA
cena 6,60 zł.....

Barbara Taylor Bradford ZACHOWANE W PAMIĘCI
cena 6,00 zł.....

Barbara Taylor Bradford NIEBEZPIECZNY MĘŻCZYZNA cena 14,50

zł.....

Barbara Taylor Bradford BYĆ NAJLEPSZĄ
cena 11,90 zł.....

Barbara Taylor Bradford ZAGINIONE DZIECIŃSTWO cena 15,00

zł.....

Barbara Delinsky CZEKAJĄC NA ŚWIT
cena 12,00 zł.....

Barbara Delinsky MOTYW MIŁOŚCI
cena 12,70 zł.....

Barbara Delinsky DLA MOICH CÓREK cena 11,00 zł.....